OJCIEC STANISŁAWA AUGUSTA

przez

KLEMENSA KANTECKIEGO.

(Dokończenie).

Służąc sasko-rossyjskiéj partyi za najgorliwsze narzędzie, w stłumianiu wszelkiego przeciwnego ruchu, próbował Poniatowski równocześnie odgrywać rolę sprzymierzeńca i szczerego przyjaciela dawnych druhów, wiernego mimo wszystko stronnika króla Stanisława.

Nie mamy, nie możemy nawet mieć dokładnego i wyczerpującego obrazu skomplikowanéj i tejemnicą pokrytéj działalności jego w téj mierze, lecz kilka współczesnych wynurzeń rzuca wielkie światło na ową sprawę i odsłania właściwy charakter misyi wojewody. Porozumiewał się między innymi z Ossolińskim, z Tarłą, wojewodą lubelskim i z panią Rudzińską kasztelanową czerską, kobietą, która w sprawach politycznych żywy miała udział, i w Petersburgu nawet, jak to zobaczymy niżéj, intrygowała na rzecz Leszczyńskiego (1).

(1) Rękopis Małach. z bilioteki Jagiellońskiéj nr 101, t. IV. O jéj stosunkach z Poniatowskim w oryginalnych listach jego do Ossolińskiego. Manusk. Zakł. Ossol. nr 708, 243 i 245

Najusilniejsze zabiegi wojewody rozbijały się jednak często o brak zaufania do tak niesumiennego jak on zmiennika. Kiedy mówił o swych dobrych chęciach dla Stanisława, o gotowości popierania jego sprawy; zapewnienia te nierównie mniéj wiary znajdowały u współczesnych, niż u dzisiejszego dziejopisa (2). Widział taką nieufność względem siebie w Ossolińskim, choć ten traktował z nim przez swego pisarza Sikorskiego. To też obruszony pisze z przekąsem pod dniem 10 grudnia 1734 z Neidenburga: „Spodziewałem się, że dla rektyfikacyi mojéj, jeżeli błądzę, nauczyć się czego fundamentalnego i konwikującego przez tegoż Imć Pana Pisarza, ale że to Wmpanowie macie *pro arcano*, jako mi powiedział, głupiemu rozumowi memu tę moję niepojętność przypisać muszę, *que je ne scaurois pénétrer*" (3),

Słowa powyższe pisał Poniatowski w drodze do Warszawy któréj nie widział od chwili wyjazdu do Gdańska. Ossoliński i towarzysze wiedzieli, dokąd zmierza wojewoda; wycieczka ta zajmowała ich i niepokoiła zarazem — radziby byli poznać jéj cel i zadanie.

Niezadowoliła bez wątpienia ich ciekawości odpowiedź wojewody ogólnikowa, nieszczera, naszpikowana zapewnieniami wielce podejrzanego patryotyzmu. „Z jaką do Warszawy intencyą jadę— pisze w zacytowanym już liście—opowie tenże Imć Pisarz, o téj zaś nigdy moje Dobrodziejstwo nie wątpcie, że nie mam inszéj ani ambicyi, ani *scopum utilitalis* inszego, nad ten szczególniéj. żebym mógł ojczyznie mojéj służyć."

Do stolicy spieszył on istotnie w celu ostatecznego pojednania się z obecnym rządem i pozyskania tego wybitnego stanowiska, jakie zajmował był przed ostatnią zawieruchą polityczną. Jeśli mimo licznych przewinień, jakich się dopuścił względem dworu saskiego, doznał jednak obecnie jak najlepszego przyjęcia tak od Fryderyka Augusta jak od pierwszego podówczas królewskiego faworyta Sulkowskiego, winien to był jedynie sil-

---

(1) Szujski. Jerzy Ożarowski i kardynał Fleury. Przewodnik naukowy i literacki, rok 1876.

(2) List oryginalny Poniatowskiego do Ossolińskiego z Neidenburga 10 grudnia 1734. Man. Zakł. Ossol. nr. 708, fol. 108.

nemu poparciu Rossyi, co sam przyznaje z wdzięcznością w obszernym i zajmującym liście do Birena (1).

Kiedy od świeżo przybyłego zażądano, aby podał plan pacyfikacyi państwa, odparł, że takiego planu nie ułożył wcale, że uczynili to niezawodnie ministrowie i poprosił o udzielenie sobie owego projektu, jeśli zasłużył na tyle zaufania. Gdy go zapewnili, że mu najzupełniéj wierzą, lecz planu gotowego nie mają, zadał im następne pytania:

— Czy zawiązali stosunki bądź to z naczelnikami przeciwnego stronnictwa, bądź z osobami prywatnemi?

— Czy otrzymują wiadomości o tém, co się dzieje w konfederacyi dzikowskiéj?

— Czy posiadają kogo zaufanego w armii?

— Czy krajczy koronny Michał Rzewuski powiększył swe wojsko nowo przybywającym i jaką ma po temu nadzieję?

— Czy się postarali o szpiegów w Królewcu?

Na wszystkie powyższe zapytania otrzymał jedną tylko krótką odpowiedź: *Nic!* — odpowiedź daną zapewne przez ministrów nie bez wstydu, bo wykazującą jak mało pracowali dla utwierdzenia tronu swego pana i o ile bystrzejszy od nich wojewoda. Oświadczyli natomiast, że ogłosili już i ogłaszają obecnie uniwersały tak cesarzowéj, jak króla, że mają nadzieję pozyskania Józefa Potockiego wojewody kijowskiego i Mniszcha, marszałka w. koronnego, od których spodziewają się w każdéj chwili wiadomości.

Ubodło mocno Stanisława, że nie wymieniono mu wcale ani wymagań wojewody i marszałka, ani też stawianych im przez rząd warunków; co znowu słusznie poczytał za brak ufności we własnym już obozie, a co w części zapewne było skutkiem nieprzyjaźni, jaka rozdzielała Poniatowskiego z Potockimi.

Wszakżeż to wojewoda kijowsbi krótko przedtém, w czasie gdy już przemyśliwał o porzuceniu Leszczyńskiego, folgując nienawiści ku staremu adwersarzowi, pod pozorem, że go karze za odstępstwo, uwiózł mu trzechletniego niespełna synka, smutnéj późniéj sławy Stanisława Augusta, zostawionego z powodu niemo-

(1) List Poniatowskiego do Birena z 22 grudnia 1734 r. Archiwum ex-książęce w Mitawie. Przybycie Poniatowskiego do Warszawy dawno już zapowiadały gazety, dziwiąc się nawet, że tak długo zwłóczy wyjazd. (G. d'Amsterdam, nr 94, 98, 100) rok 1734.

więcego wieku w Wołczynie, podczas gdy reszta dzieci przebywała z rodzicami w Gdańsku (1).

O układach Potockiego z dworem warszawskim dochodziły Poniatowskiego już dawniéj szczegółowe wieści, lecz nie przykładał do nich wielkiéj wagi, ile że źródło nie było dość pewne.

Dowiedział się zaś w Warszawie od Keyserlingka i hr. Wratisława, że dwór zgodził się na wszystkie żądania Potockiego i przyrzekł mu w. buławę kor. (2). Tknięty tém do żywego, gdy mu ofiarowano polną buławę, odparł, że z powodu nadwątlonego zdrowia nie przyjąłby nawet wielkiéj, że do Warszawy nie przywiodły go widoki ambicyi, lecz chęć zaskarbienia względów króla i cesarzowéj, stosownie do jéj woli, wyrażonéj w nader uprzejmym liście. To też gotów pracować jak najgorliwiéj dla wzmocnienia królewskiego tronu, nie myśląc nikomu stawać w drodze, ubiegać się o łaski i urzędy, chyba, gdyby go do tego zniewoliła ostatnia potrzeba.

Ale mimo najgorętszych życzeń stania się użytecznym, spostrzega, że jego przyjazd do stolicy nie na wiele się przyda i otwarcie wyznaje, że widzi wziętość swą zarówno pośród szlachty, jak w wojsku, mocno podkopaną, co sam przypisuje intrygom tak francuskiego, jak nawet saskiego stronnictwa, a co nam łatwo wytłómaczyć postępowaniem wojewody, tak dalece zmiennem i nieszlachetnem, że nawet dawniejszą miłość armii zmienił na niechęć i wzgardę.

Sądzi on, że wówczas tylko mógłby odzyskać dawniejszą popularność—gdyby się złączył z tłumem i udawał, że działa w poprzek interesom króla; co mu zgoła nieprzystoi -- albo też gdyby dwór w uderzający sposób okazał, że mu zupełnie ufa, rozdzielając wedle jego woli i zdania najpierwsze godności i urzędy.

---

(1) Pamiętniki Stanisława Augusta, w przekładzie Br. Zaleskiego, Drezno, roku 1870, str. 3.

(2) Potocki dość długo zwlekał, zanim się otwarcie ogłosił stronnikiem Augusta. Gdy to ostatecznie nastąpiło (w lutym), pragnął pociągnąć za sobą prymasa, 17 marca 1735 roku, błaga X. Teodora, „aby *cum plena* do woli Boskiéj *resignatione* raczył *accedere ad unionem* Mtis Najjaśn. Króla Augusta III, Pana już naszego.“ Prymas w odpowiedzi 10 kwietnia gorzko wyrzuca wojewodzie, że wbrew związkom krwi i powadze prymasa, zamiast wspólnie z nim działać, a przynajmniéj własne poddanie uczynić zależnem od uwolnienia Prymasa, odsunął się od niego i żąda uznania Augusta w chwili, „gdy nie jest zdania i woli swéj panem, siedząc pod flintami.“ Ręk. Ces. bibl. w Petersburgu nr 118, pag. 224 et seq. Jak więc z całéj sprawy widać, błędném jest przytoczone przez Roeppla (p. 46) mniemanie, jakoby Józef Potocki przeszedł na stronę Augusta za staraniem familii Czartoryskich.

Jak widzimy, mimó wielkiéj na pozór bezinteresowności i skromności, wymagania Poniatowskiego były niesłychanie wygórowane. Żądał on, aby August zdał się na jego łaskę — aby działał wedle jego przepisów, najwyższe dostojeństwa oddał jego krewnym i przyjaciołom, słowem zapewnił mu bezpośredni i niepodzielny wpływ na sprawy publiczne; a tém samém usunął od steru przeciwników, w obec czego traci oczywiście zupełnie wagę owo pozorne zrzekanie się dla samego siebie wszelkich urzędów, tém więcéj, że zręczny dyplomata zostawia sobie furtkę do przyjęcia każdéj wielkiéj godności, w słowach, dających się wykładać rozmaicie: „*à moins que la dernière necessité ne m'oblige.*"

Od wyrażonych powyżéj żądań, jako od swego *ultimatum*, nie myślał bynajmniéj odstąpić. „Jeśli się nie zgodzą na nie—pisze do Birena—mimo najlepszych chęci nie widzę wcale możności służenia królowi z powodzeniem."

Wspomina też daléj o planie Keyserlingka uspokojenia zamąconéj Rzplitéj, który uważa za bardzo trafny i dobry, lecz na nieszczęście dwór się doń nie stosuje, czego dowodem uniwersał generała Bose, „qui ne respire que la force et la violence."

Biskup krakowski, Lipski, za pierwszém widzeniem okazał mu wiele serdeczności, późniéj zaś ze względu na Michała Wiśniowieckiego, znacznie ochłódł.

Utrzymuje wreszcie jakoby miał dowody, że jego przejście na saską stronę gniewa magnatów, przebywających w Warszawie— że chcieli mu zatamować drogę do królewskiego zaufania, lecz Keyserlingk nietylko go o tém uprzedził, lecz nawet wskazał, zkąd mu cios zagraża. Szczególniéj wszechwładny wówczas faworyt Augusta, Sułkowski tak go nienawidził, że jak późniéj opowiadał Stanisław August Korffowi, agentowi pruskiemu w Warszawie, byłby go zupełnie zgubił, gdyby ten rossyjskiéj pomocy nie miał w odwodzie (1).

Względy okazywane Potockiemu, najwięcéj dręczą Stanisława i spać mu nie dozwalają. „Wojewodzie kijowskiemu—dodaje z przekąsem — liczą nieczynność jako zasługę; bodajby ztąd tylko rychły i stały pokój wypłynął."

Mimo tak naprężonéj sytuacyi i nieufności wzajemnéj, któréj echo długo się jeszcze w niniejszem opowiadaniu odzywać będzie, Poniatowski wbrew własnym zapowiedziom blisko przez pół roku

---

(1) Relacya króla z 2 marca 1763 r. Roeppel. Polen um dieMitte des XVIII Jahrhunderts, p. 47.

bawić będzie w Warszawie, bo taką jest wola najwyższéj dlań zwierzchności. W tym czasie wedle powtarzających się bez ustanku słów korespondencyi swéj z Birenem „czyni co tylko może, aby być użytecznym sprawie publicznéj, a zwłaszcza stosować się do woli Jéj Ces. Mości.“

Rzecz oczywista, że głównym celem jego zabiegów było nawracanie zaślepionych grzeszników partyi Stanisławoskiéj, i napędzanie ich do wspólnéj saskiéj owczarni, nad czém pracował także znany nam już Lipski. Tak biskup, jak wojewoda wysilali się dla pozyskania Fryderykowi Augustowi glowy kościoła Katolickiego Teodora Potockiego i jednego z najpierwszych optymatów Rzeczypospolitéj, Janusza Wiśniowieckiego, kasztelana kr., gorliwego z razu (co rzecz dziwna) stronnika Sasów, następnie zaś Stanisławowskiego zwolennika. Równocześnie niemal, bo w pierwszych dniach Stycznia r. 1735 przypuszczają obydwaj szturm po szturmie do nieustraszonego aż dotąd toruńskiego więźnia, sędziwego prymasa, który wszelkie ofiary stale odrzucał (1), oraz do chwiejnego potomka starożytnego rodu Korybutów.

Lipski przekonany, że najwięcéj podziała na Wiśniowieckiego przykład dygnitarzy kościola, donosi o przejściu na saską stronę biskupów, „dyrektorów *alienarum conscientiarum*,“ w czém widzi oczywisty dowód, że „nie masz zawodu sumienia *in accessione* do téj strony.“ Wprawdzie p. Adam Tarło glosi, że biskupi ci jako przeniewierzający się dawniejszéj przysiędze, tém samém podlegają exkomunice; ale Lipski odmawia mu prawa sądu w nienależącéj doń sprawie i mówi, że „pan starosta jasielski, młody teolog, który nas potępia“ (2).

Poniatowski rozpoczyna z innéj beczki. Udaje on, jakoby go do niniejszego odezwania się pobudziła tylko miłość ku kasztelanowi, a raczéj uczucie wdzięczności za życzliwość, okazywaną po poddaniu Gdańska. Obowiązany za ówczesne wstawienie się, pozwala sobie niniejszém kilku uwag. Powtórzywszy, co już dawniéj niejednokrotnie mówił i pisał, że „nie tak dla utrzymania praw i wolności naszych promowano i osadzono króla Stanisława na tronie polskim, jako dla uczynienia Cesarzowi dywersyi, aby mu łatwéj włoskie podbierać państwa i deklarowane z Rossyi posiłki w Polsce zabawić“—dla stwierdzenia powyższego zdania schodzi do szczegółów i wymienia „leniwe operacye Francuzów nad Re-

(1) Gazette d'Amsterdam, 1735, nr 7, z Gdańska 10 stycznia.

(2) Man. Zakł· Ossol; nr 302, p. 723.

nem, dotąd we stu tysięcy z X. Eugeniuszem do opozycyi o 10 mil stojącego wojska nie atakowano i preferowano bawić się dobywaniem Filipsburga, niżeli nastąpić na tak nierówne siły albo pójść do Saxonii.“

O ile niegodziwą i zdradziecką była polityka Francyi w obec Polski, o tyle na odwrót szczerém i przyjacielskiém postępowanie Rossyi. Mocarstwo to wedle niego nietylko zachowa swobody polskie, lecz ich nawet bronić będzie, „na co oryginalne widział dokumenta.“ Jedna zgoda z Rossyą i z Augustem zdolna ocalić kraj, stojący nad brzegiem przepaści i ruiny, co mu nakazuje wyznać sumienie, lubo jedni odrzucają jego „reprezentacye;“ inni „opacznie tłómaczą,“ inni wreszcie „kalumniami,“ mu za nie płacą.

Zaklina przeto kasztelana, aby korzystając ze swéj wziętości i „nieporównanéj w narodzie polskim miłości,“ naklonieniem szlachty do zgody zapobiegł grożącemu Polsce „rozbiorowi,“ czém sobie zjedna „*perennem gloriam* i nieśmiertelną w sercach braterskich wdzięczność“ (1),

Na walnéj radzie we wtorek 9 lutego 1735, niejaki Stoliński, chorąży chełmiński, niewiadomo czy z własnego popędu, czy z ubocznych względów, po gorących panegirykach na rzecz Fryderyka Augusta oświadczył, że król „powinienby mianować regimentarzem koronnym Poniatowskiego, któremu ten stopień *nieprawnie wydarto*“ (2).

Cokolwiekbądź skłoniło pana chorążego do odezwania się za wojewodą, to pewna, że nie uczynił tego z natchnienia dworu, bo dwór owszem dzięki Sulkowskiemu zostawał w bardzo chłodnych i naprężonych stosunkach ze Stanisławem. W niewiele dni późniéj po rozwiązaniu Rady, 3 marca t. r. skarży się on Birenowi, że mimo największych starań nie udało mu się pozyskać zaufania ministrów; zapowiada więc, że ma zamiar prosić króla o pozwolenie usunięcia się do Gdańska, gdzie zostawił rodzinę; a gdzie jeśli można, pragnąłby dotrwać w pokoju aż do pacyfikacyi, w samym kraju bowiem z powodu „niesprawiedliwych podejrzeń“ dłużéj zostać nie może (3).

---

(1) Man. Ossol. nr 302, fol· 724, et seq.

(2) Relation du Grand Conseil de Varsovie, ou Wolna Rada de l'anné 1735. (Kopia, znajdująca się w ręku prof. Pawińskiego).

(3) List Poniatowskiego z Warszawy do Birena 3 marca 1735 - Archiwum exksiążęce w Mitawie.

Echo Stanisławowych utyskiwań i żalów, odbite o ściany petersburgskiego gabinetu, miało wkrótce dotrzeć aż do saskiego dworu; bo już 17 marca 1735 pisze hr. Lynar do Fryderyka Augusta: „doszła tu wiadomość, jakoby wojewoda mazowiecki chciał się schronić w zacisze domowego pożycia, z powodu, że nie może pozyskać u W. Kr. Mości takiego zaufania, jakiego pragnie“ (1).

Nie tak zaraz jednak spełnił rzuconą w chwili oburzenia groźbę. Powstrzymała go od tego na razie prośba Keyserlingka, aby uczestniczył w tajnéj z nim konferencyi. Na nieszczęście nie znamy treści owéj narady, bo jakkolwiek Poniatowski wspomina o niéj w liście do Birena, czyniąc zadość poleceniu Loewenwolda, aby w jego nieobecności donosił w. podkomorzemu, „co się dzieje w Warszawie,“ to jednak nie przesyła szczegółowego sprawozdania, pewny, że Biren wie już o wszystkiém zarówno z relacyi Keyserlingka, jak z własnego listu wojewody do Loewenwolda.

O zamierzonem opuszczeniu Warszawy odzywa się już znacznie chłodniéj. Gdyby z powodu pogorszającéj się słabości żony musiał jechać do niéj do Gdańska, prosi, aby jego wyjazdu nie uważano za zupełne usunięcie się *(retraite)*—„byłby bowiem zawsze gotów powrócić, skoroby mógł stać się użytecznym przy pacyfikacyi, lub spełniając rozkazy i wolę Jéj Cesarskiéj Mości, jakkolwiek nie ma najmniejszego powodu chlubienia się poparciem swego dworu, dla braku zaufania mimo najgorętszych starań z jego strony, w czém powołuje się na świadectwo Keyserlingka.

Prosi też o „wyraźny rozkaz Jéj Ces. Mości,“ by nadal nie nakładano już ciężarów na jego i familii dobra, gdyż jak wiadomo całemu światu, obie partye dotąd niszczyły je i rujnowały, a z pomiędzy generałów carowéj oszczędza ich jeden tylko książe Homburski (2).

Prośba ta odniosła rychło pożądany skutek, bo już 21 kwietnia dziękuje Stanisław gorąco za jéj wysłuchanie (3).

---

(1) Relacya posła saskiego, hr. Lynara z Petersburga 17 marca 1735. Hermann, Gesch. des russ. Staates, tom IV, p. 693.

(2) List Poniatowskiego do Birena, bez daty i końca, lecz widocznie z marca r. 1735. Archiwum ex-książęce w Mitawie.

(3) Mniéj szczęśliwą była wprzód Marya Czartoryska, wojewodzina ruska. Xiężna przypominając się dawnéj przyjaźni Birena, pisze po polsku: „Kiedy dobra moje tak przez wojska cudzoziemskie, jak przez Jmci Pana wojewodę kijowskiego, co mię bardziéj jeszcze dolega, znacznie zdezolowane, gdyby dalszym podlegały ciężarom, do ostatniéj pewnie przyszłyby ruiny, rezolwuję się z poufałym adresem na fundamencie uznawanego Jmci Pana efektu upraszać uniżenie, abyś W. Pan wielką swoją powagą u Najj.

Drażliwe położenie wojewody w obec warszawskiego dworu, ściąga nań baczniejszą odtąd uwagę stronników Leszczyńskiego; podawane jednak przez nich nowiny tracą niekiedy na wadze i doniosłości z powodu, że bywają dość niedokladne i noszą tendencyjną cechę.

Ossoliński, podskarbi wielki kor., prawa ręka króla Stanisława, w liście do obożnego Ożarowskiego, wysłanego w poselstwie do Francyi, pisze pod dniem 27 maja: „W Warszawie, w przeklętéj sekcie tamecznéj *mirabilia peraguntur*; między ministrami saskimi i rossyjskimi wielka dyfidencya i przy Rossyi nikt się tam z naszych nie wiąże, tylko wojew. mazowiecki i woj. ruski, i *ponickąd* (?) biskup krakowski" (1). W cztery dni zaś późniéj donosi ktoś z Gdańska, że tak Poniatowski. jak August Czartoryski otrzymali pozwolenie wyjazdu do Gdańska, lecz król miał się do nich odezwać:

— Zostańcie się, bo i mnie i wam lepiéj będzie (2).

Nie ulega wątpliwości, że Augustowi dobrze było z wojewodą, na każdym bowiem kroku doświadczał wielkiéj jego użyteczności. Wysłany w charakterze królewskiego komisarza do boku trzymającego z Leszczyńskim Rudzińskiego kasztelana czerskiego, wywiązał się jak najpomyślniéj z tego zadania, i powróciwszy niebawem razem z Rudzińskim do Warszawy, przedstawił go królowi już jako poddanego (3). Przejście kasztelana do saskiego obozu miało tém więcéj wagi, że jak wiemy, był jednym z naczelników siły zbrojnéj Leszczyńskiego, i że razem z nim poddawało się wojsko, zostające pod jego dowództwem, Poniatowski umówił się z oficerami tego wojska i sklonił ich do podpisania aktu poddania się konfederacyi dzikowskiéj (4). Ale wszystkie te zasługi nie odnosiły jednak pożądanego skutku.

W umyśle Poniatowskiego odbywały się teraz, że użyjemy słów Ossolińskiego, w istocie „dziwne rzeczy." Przeszedł on na

---

Imperat. Mości na też moje dobra tak w Polsce, jako i na Litwie będące, libertacyą od wszelkich kontrybucyi, prowiantów i konsystencyi uprosić mi raczył." List datowany w Gdańsku 7 sierpnia 1734 r. Archiwum w Mitawie.

(1) Rękopis po Małachowskim, w bibliotece Jagiellońskiéj nr 101, tom IV. List Ossolińskiego do Ożarowskiego z Królewca 27 maja 1735 r. Wszystkie te listy są w kopiach; rękopis bez paginacyi.

(2) Ibidem. Excerpta z korespondencyi gdańskiéj, z listu 31 marca 1735 r.

(3) *Gazette d'Amsterdam* nr 33 z Warszawy 19 kwietnia.

(4) Gazette d'Amsterdam, nr 37 z War. 22 kwietnia. Czytaj tu również o warunkach poddania.

stronę saską w nadziei, że przyjęty tam z otwartémi ramiony, dzięki zwłaszcza petersburgskiéj protekcyi, stanie u steru władzy i postawi się na takiéj stopie z Fryderykiem Augustem III, na jakiéj zostawał z ojcem. Nadzieje go zawiodły, bo mimo najgorętszego ze strony Rossyi poparcia, spotykał się jak wiemy na każdym kroku z chłodem i nieufnością, jakkolwiek z obawy przed potężną opiekunką wprost go nie odtrącano.

Spostrzegłszy jak małą odebrał nagrodę w zamian za upokorzenie, zapłonął gniewem i uczuciem zemsty, któremu byłby pewnie pofolgował i opuścił znowu Sasów, gdyby nie tak silnie w nim rozbudzony zimny rozsądek, szepczący mu, że jeśli pójdzie za pierwszym popędem obrażonéj dumy, to utraci wszystko co zdołał zachować, zostanie ponownie zaliczonym między wrogów spokoju publicznego.

Nie wątpimy, że byłby się znów przygarnął do sprawy ukrytego w pruskim Królewcu monarchy, gdyby ta sprawa była wówczas lepiéj stała, gdyby owszem w owéj porze nie była tak dalece zagrożoną, że nawet Ossoliński woła z rozpaczą: „O sytuacyi nieszczęśliwéj Polski naszéj krótko donoszę, że nie może być nieszczęśliwszą jako już stanęła teraz *in summo gradu infelicitatis*“ (1).

Jeśli przeto nieraz jeszcze będzie mowa o zamiarze jego połączenia się z Leszczyńskim, nie należy zdaniem naszém uważać tego za szczerą intencyą, lecz raczéj za środek dla dopięcia pewnego celu.

Człowiek, któremu się nie po myśli wiedzie, winę swego niepowodzenia zwykł składać na barki innych osób, często przyjaciół nie dość gorliwie jak mniema, chodzących około jego interesów. Tak Poniatowski podobnym zarzutem w liście do Birena obciąża Keyserlingka. Po pełnym uniżonych komplementów i oględnych półsłówek wstępie, że nie w swojém, lecz w imieniu ogółu się odzywa, przystępuje wreszcie do saméj rzeczy. Nie chce on zerwać z człowiekiem, z którym go łączy pewna przyjaźń i zażyłość, tém więcéj, że jeszcze nie raz może potrzebować jego pomocy, z drugiéj zaś strony we własnym interesie musi wytknąć, że reprezentant Rossyi nie dość się troszczy o przyjaciół swego rządu. Po-

(1) Ręk. Małach. w bibliot. Jagiell. nr 101, tom IV. List Ossol. do Ożarowskiego z Królemca 3 czerwca 1735 r.

chwaliwszy przeto wielką zkądinąd gorliwość służbową Keyserlingka, zarzuca mu poprostu, że nie dorósł do wysokości trudnego poselskiego zadania. „Wypadałoby—mówi—aby W. Excel. był dokładnie uwiadomionym o stanie interesów w Polsce, o uczuciach i sposobie myślenia ludzi, o ich zdolnościach, dobrych lub złych zamiarach, albowiem *mimo siły przedstawień (malgrès la solidité des réprésentations) tak rozumnego i bystrego ministra, muszę, nie oskarżając nikogo, powiedzić otwarcie (naïvement!), że ministerstwo nasze postępuje częstokroć wprost odwrotnie, aniżeliby należało.*“

Wina Keyserlingka polega przeto na tém, że coś podobnego toleruje, że patrzy obojętném okiem, jak rząd polski na pierwszym planie stawia ludzi świeżo od Leszczyńskiego do Augusta przybyłych (np. Potockich), jak ich obsypuje najwyższemi łaskami i zaszczytami—zaniedbuje dawniejszych stronników, lubo zaszczyconych protekcyą petersburskiego dworu, jak Poniatowskiego i familią. „Uczciwi ludzie“ stronnictwa rossyjskiego nie rozumieją takiéj taktyki, sam zaś Poniatowski oświadcza, że jeszcze wszystkiego nie wypowiedział, „że miałby nie jedno do dodania, czegoby pióro wyrazić nie mogło, o czém się od Keyserlingka dowie“ (1).

W niezaprzeczonym związku z tajemniczemi słowami, jakiemi się kończy list wojewody, zostaje ciekawe doniesienie Ossolińskiego z dnia następnego, rozwiązujące jednak dość niedokładnie zagadkę, któréj Poniatowski nie chciał papierowi powierzyć. Podstawą wieści tak z Warszawy jak z Królestwa puszczonych, był spodziewany wyjazd Augusta do Saksonii z powodu nieszczęśliwego dla sprzymierzonéj z nim Austryi obrotu wojny—oraz nieporozumienia, może w sprawie tegoż wyjazdu, między ambasadorem rossyjskim a tamtejszym dworem. Bliższych szczegółów téj ciekawéj sprawy nie znamy, od domysłów zaś tém więcéj wstrzymać nam się wypada, że posiadamy tylko źródło z drugiéj ręki tendencyjne i niezbyt dokładne. „Z Warszawy — pisze Ossoliński 3 czerwca—mamy te sekretne *ab intimoribus* dworu tamecznego przestrogi, że Rossya z Sasami nie bardzo dobrze *coalescunt* i zrozumiawszy, że się elektor saski miesza i że rzeczy nie bardzo dobrze *in rem* koligatów jego idą, tak we Włoszech, jako i nad Renem, obawiają się, aby dla miłości państw swoich dziedzicznych nie opuścił Królestwa Polskiego i nie wrócił się do Saksonii.“

---

(3) List Poniatowskiego do Birena z Warsz. 2 czerwca 1735. Arch. ex-książęce w Mitawie.

Jeśli powyższe zdanie nosi na sobie pewną cechę prawdy, to następne złożyć już należy niechybnie na karb zbyt bujnéj fantazyi królewieckich dyplomatów. „Dla tego—pisze dalej podskarbi—już tam Rossya mocną swoję wyrabia partyą, przybrawszy *pro principatioribus* księcia wojewodę krakowskiego (Teodora Lubomirskiego), X. biskupa płockiego (Załuskiego), p. wojewodę mazowieckiego i ks, wojewodę ruskiego, aby *in hoc casu,* żeby elektor saski miał *deserere regnum*, wystawić sobie *per potentiam* nowego króla Polaka, *ut supponitur*, Xięcia wojewodę ruskiego."

Twierdzeniu temu mają służyć za poparcie następne słowa wyrzeczone przez Keyserlingka do kasztelana czerskiego, Rudzińskiego; a dowodzące tylko, że ambasador pragnął Poniatowskiemu dodać w ten sposób wziętości i powagi.

— „Ty o nic nie dbaj—miał mówić Keyserlingk do kasztelana—tylko o wojewodę mazowieckiego, bo carowa na niego łaskawa i wzięła go w swoję protekcyą. Kto będzie z nim trzymał, temu będzie dobrze i będzie szczęśliwy"... (1).

Rudziński, acz bawiący w Warszawie przy boku Augusta, razem z żoną, a nawet może z jéj namowy, bo to była energiczna kobieta, sprzyjał Leszczyńskiemu i tajemnie się z nim znosił. Nie uszło to snać baczności Keyserlingka, skoro go namawiał, „*ut adhaereat* całém sercem partyi ich;" niemniéj Poniatowski „animował" kasztelana, „aby się uspokoił i dał sobie wyperswadować, że się Kr. J. Mość Stanisław na tronie nie utrzyma."

Rudziński na takie *dictum* nie umiał z razu nic odpowiedzieć, ale posłyszawszy na mieście, że Turcya ma stanąć w obronie ciemiężonéj przez Sasów i Rossyą Rzpltéj, pobiegł co prędzéj do wojewody i *exultante spiritu* zawołał:

— Jeszcze dobędziemy szabli na nieprzyjaciół naszych i jeszcze na karkach ich pojedziemy! (2).

Jakoż żyjąc w téj błogiéj nadziei, długo jeszcze agitował na rzecz Leszczyńskiego i o wszystkiém co się w Warszawie działo, do Królewca donosił. W jednym z listów jego do żony spotykamy najlepsze potwierdzenie wypowiedzianego wyżéj zdania o nieporozumieniach między Rossyą, a dworem warszawskim... „Sami ministrowie rossyjscy — mówi — namawiają mnie..... żebym pisał do

---

(1) Man. po Małach. bibl. Jagiel. nr 101, t. IV. List Ossol. do Ożarowskiego (explik. cyfry) 3 czerwca 1735 r.

(2) Ibidem. Excerpt z koresp. gdańskiéj 23 czerwca 1735. (Podpisany Antoine Morgenstern, *fictum nomen*).

Carowéj, oddając się jéj protekcyi, i żebym wyraził, że na początkach panowania swego, król nam prawa łamie... (1).

W pierwszéj połowie tego miesiąca opuszcza Poniatowski stolicę. Jeszcze 6 czerwca żądał, aby „w expedycyi sejmowéj *non vana sed viva* wyrazić *motiva* tak od Carowéj, jako i dworu warszawskiego o realném wyprowadzeniu wojsk posiłkowych po skończonym sejmie“ i prosił, aby dwór wstawił się u Carowéj za Gdańskiem o darowanie ostatniéj raty kontrybucyi (2), a już wieczorem 16 stanął w Gdańsku (3).

Tak nagły wyjazd wojewody ze stolicy, i to przed rozwiązaniem rady senatu, w oczach stronników Leszczyńskiego uchodził za „wielkie *mysterium*“ „Nie musi to być darmo“—pisze jeden z nich z Gdańska do Królewieckich matadorów; „dociec tego nie można, więc trzeba być Wmpanom ostroźniejszymi, im są skrytsze ich machinacye.“

Gdański dyplomata posuwa daléj wodze swéj wyobraźni i gubi się w daleko idących, a płonnych domysłach. Wiążąc przyspieszone przybycia Poniatowskiego do Gdańska z wyjazdem sekretarza saskiego do Szwecyi, o czém dawniéj już donosił, „któż wie—mówi—jeżeli wojewoda mazowiecki nie czeka na jakie rezolucye, albo żeby tam pojechał *in charactere ad praeocupandam benevolentiam*, albo żeby tu bliżéj będąc, mógł na swoję stronę *subministare consilia*.“

Bezpośredniém następstwem teraźniejszego pobytu w-dy mazowieckiego w Gdańsku było nakłonienie wespół z Xięciem Augustem Czartoryskim żony jego, w-dziny ruskiéj, do pośpieszenia na dwór warszawski; czemu się dotąd statecznie opierała, idąc w téj mierze za wiernym Leszczyńskiemu szwagrem, podkanclerzym, a wytrwałością swoją zawstydzając męża (4).

---

(1) Ibidem. Kasztelan czerski do żony z Warszawy 28 czerwca 1735 r.

(2) Ibidem. „Propozycye na radę warszawską pro die 6-ta Junii 1735 ad deliberandum podane.“

(3) Ibidem. Kopia listu z Gdańska do Ossol. 17 czerwca 1735 r. Autor listu, mówiący z oburzeniem o „przeklętych saskich inwencyach i fabrykach, które jak z piekła wychodzą,“ dodaje, że „wyrozumieć niepodobna co się tam w Warszawie między nimi dzieje.“

(4) „La princesse palatine de Russie, malgrès la desertion de sa famille très attachée à Nous, m'a adressé cette lettre pour Vous. Proszę odpiszże jéj de facon, qu'elle puisse être assuré de Vos bontés.“ Pisze 14 marca 1735 r. Leszczyński do królowéj Maryi. Archiwum koronne w Paryżu. (*Archives nationales*, K. 141, listy króla Stanisława do córki, w oryginałach niekiedy z brukanych i dość uszkodzonych).

Daleko jeszcze gorszych rzeczy lęka się nasz Gdańszczanin, i z obawy, aby przebiegły Stanisław siedząc w Gdańsku nie wciągał w swą matnię królewskich znajomych, a mianowicie chwiejnego już Jana Tarlę, woła: „korespondencye królewskie trzeba mieć na oku, gdyż między wojewodą lubelskim a mazowieckim zachodzą dawne przyjaźnie (1).

Dla tém pewniejszego zaś utorowania sobie drogi do Królewca jął znowu udawać, jakoby gotów był powrócić do Leszczyńskiego i jął traktować o to. Z samym powrotem jednak oczywiście mu się nie śpieszyło, dla tego też, gdy zaczęto nastawać, aby spełnił zapowiedź, okazał się „irresolutus“ i upominał się wytrwale „fundamentu (mówi Ossoliński), na jakim tu dotychczas utrzymujemy się.“ Widocznem ztąd było, że postępuje obłudnie; to też rozgniewany wreszcie król odpowiedział z pogardą, „że takiego przyjaciela, co się dla niego azardować nie chce, łatwo zawsze dostać“ (2).

Około 22 lipca miał Poniatowski razem z X. Augustem Czartoryskim wyjechać z Gdańska,—co także niezwykłemi pobudkami tłómaczono (3), ale go na kilka tygodni wstrzymała choroba żony, po nie dość szczęśliwie odbytéj słabości, jak się tłómaczy przed Birenem d. 18 sierpnia, zapewniając jednak że jeszcze przed rozpoczęciem sejmu stanie w Warszawie (4).

Z przedłużonéj bytności swéj w pobliżu konfederatów, korzystał Poniatowski, intrygując jak mógł przeciw Leszczyńskiemu a równocześnie udając, że się na jego stronę nakłania.

---

(1) Man. bibl. Jagiellońskiéj. „Except z korespondencyi gdańskiéj 24 Junii 1735.“

(2) Ibidem. Ossoliński do Ożarowskiego 22 Julii. „A tak ten człowiek żal się Boże,“ dodaje od siebie wzgardliwie Ossoliński,

(3) Ukryty jakiś stronnik Leszczyńskiego, znany pod pseudoniem Morgensterna czy Morgensteina, donosi 22 Julii z Gdańska: „Musiał przyjść mocny kompuls wojewodzie mazowieckiemu i ruskiemu, bo się ztąd wybierają na głowę i ja z nimi jadę, alem dobrą respektem korespodencyi uczynił dyspozycyą.“ Except z korespondencyi zwykłéj gdańskiéj. Ręk. po Mał., bibl. Jag. ut supra.

(4) Poniatowski do Birena, z Gdańska 18 sierpnia 1735. Archiwum ex-książęce w Mitawie. Główną treść niniejszego listu stanowi gorąca prośba o wyjednanie Załuskiemu biskupowi płockiemu, wielkiéj pieczęci koronnéj, a niedopuszczenie do niéj przyjaciela Potockich, Lipskiego biskupa krak. Grozi złemi następstwami: „si cette charge restoit plus longtemps entre les mains de l'eveque de Cracovie [ou entre quelqun de ses creatures, qui au défaut de la pouvoir garder lui—même, tachera d'y en fourrer de sa dépendence.“

Dla zdemoralizowanéj królewieckiéj kolonii użył podobno chytrze przebiegłego hultaja, niejakiego Odachowskiego skarbnika W. X. Litewskiego. Osobistość ta ubiegłéj zimy dostawszy się do rossyjskiéj niewoli, staraniom woj. mazowieckiego miała zawdzięczać odzyskanie wolności. Szczegóły podane o nim przez Ossolińskiego naprowadzają na myśl, że był narzędziem w rękach Poniatowskiego.

Wymustrowany dobrze pan skarbnik tak umiał się ułożyć, że mu król dał tajne posłuchanie. Oświadczywszy, że w województwie mazowieckim spostrzegł wielką ochotę służenia na nowo dobréj sprawie „z dawnych ku panu obligacyi,“ prosił Leszczyńskiego, „aby mu nie miał za złe, kiedy będzie miał co mówić przeciwnego interesom w téj tu kompanii,“ a to, aby się nie narazić Rossyi. Król do dzieciństwa niemal, że się tąk ośmielimy powiedzieć, dobroduszny i łatwowierny, pozwolił na podkopywanie własnéj powagi pod swym bokiem. Korzystając z jego poczciwéj lekkomyślności jął prawić „*mirabilia*“ rozrzucać saskie skrypta, „odmawiać ludzi godnych i zacnych“ proponując np. Massalskiemu polną buławę litewską, gdyby przeszedł do Augusta. Powoływał się przytém na słowa mistrza swego, Poniatowskiego, „iż pozwoli się na stołokciowéj obwiesić szubienicy, jeżeli się król Stanisław utrzyma na polskim tronie.“

Gdy się już nagadał go syta, wtenczas dopiero konfederaci „huknęli potężnie na to“ i zawezwali króla, „aby takowego zdrajcy nie cierpiał przy swym boku,“ o czém usłyszawszy p. Odachowski, czmychnął zawczasu (2).

Poniatowski ze swéj strony wprost próbował siły swego rozumowania; na dniu 12 sierpnia wybrał się z obszerném pismem do samego Ossolińskiego. Wspomniawszy na wstępie o zawziętości przeciwników, która go zewsząd ściga, zapewnia, że nie ma sobie nic do wyrzucenia (à me reprocher de mes actions!).

Ossoliński przypuszczając, że się może da nawrócić, przesyła mu kopie listów postronnych monarchów przyrzekających im pomoc, aby wykazać, że na rychłą odsiecz liczyć mogą. Poniatowski „jako zwykł z wszelkiém uszanowaniem mówić i pisać o monarchach,“

---

(1) Zwracamy uwagę czytelników, że jest to tylko nasza hypoteza, jakkolwiek bardzo do prawdy podobna; ztąd też nie podajemy jéj za rzecz pewną.

(2) Ręk. blibl. Jag., ut supra. Ossoliński do Ożarowskiego z Królewca 29-go Julii 1735.

odczytał listy „z głębokim respektem i należytą refleksyą,“ ale daremnie w nich szukał „czego fundamentalnego, bo okrom generalnych terminów,“ nie znalazł nic, coby zasługiwało na uwagę. Nie cieszy się też wcale z zapewnienia kanclerza Francyi, „że chcą *co tylko można*, dla interesów Rzpltéj i króla uczynić.“ Ubolewa, że akredytowany przy dworze francuskim poczciwy Ożarowski, zbyt na seryo przyjmuje owe nic nie znaczące ogólniki, zamiast się upomnieć o „jaśniejsze explikacye.“

Traktat ze Szwecyą ogranicza się do saméj neutralności; „cóż wam więc—woła—kochane państwo, może pomódz?“ Daremnie się również spodziewają pozyskać króla Duńskiego i pruskiego, a gdyby ostatni istotnie ujął się za ich sprawą, „podobnoby Warmia i co więcéj odpowiedziała za to.“

Turcy pobici na głowę przez Persów; na nie wiele się zdadzą tatarskie zagony. Ponieważ zaś, jak to dowodnie wykazał, o utrzymaniu Stanisława ani sposób myśleć, przeto mimo najlepszych chęci nie może posłuchać głosów wzywających go na tamtą stronę. „Sam Pan Bóg — zaklina się — lepiéj widzi *intima* serca mego, żebym chciał i siebie samego i wszystko sakryfikować (?), jakom dla ojczyzny powinien, gdybym mógł *pracvidere* sposoby do poratowania jéj i dla wydźwignienia z tych publicznych nieszczęśliwości otchłani, ale kiedy mi tego oświecenia nie dał, gdzie mnie *fata trahunt*, dla jakiegokolwiek upadających wolności ratunku, ażeby ich do ostatka nie utraciły, muszę *subsegui*.“

Nie myślimy wcale słowom powyższym zarzucać obłudy i wierzymy, że w téj shwili nie widział wojewoda sposobu naprawienia starego złego przejściem do króla Stanisława, boby mu to już teraz na niewiele się zdało. Nie godziło się tylko łudzić królewieckiéj osady nadzieją, któréj nie myślał spełnić. Zamiast tego, radzi owszem łączyć się z Augustem, „bo gdybyśmy w kupie byli, mężniéjbyśmy mogli *certare* o tę nieoszacowaną wolność, o którą starać się powinniśmy, abyśmy ją mogli *serae* zostawić posteritati (1).

Padła zaś na nich tak powszechna mania dyplomatyzowania, że od téj choroby nie wolne nawet kobiety, jak pani Czapska, wo-

(1) Manuskrypt bibli. Jagiel. nr 101, tom IV. „Kopia sub litera „A,“ pisana do mnie przez wojewodę mazowieckiogo (Słowa Ossol. w liście do Ożar. 16 Aug. 1735).

jewodzina pomorska, pani Rudzińska kasztelanowa czerska. Pani kasztelanowa spodziewała się w prostocie ducha „przez swoje fakcye białogłowskie“ jak za uderzeniem rószczki czarodziejskiéj, odwrócić tok politycznéj akcyi petersburgskiego gabinetu. Donosi przeto Ossolińskiemu z powagą dyplomatki, „że przez M-me Billo prosiła *la comtesse* Laton, która wielką jest przyjaciołką Jagodzińskiéj, aby z niéj wyrozumiała, czy nie możnaby męża nakierować na sprawiedliwą drogę alias stronę“ i dodaje, że „M-me Laton miała to dla niéj uczynić“ (1). Nie wiele mądrzéj rozumował domorosły statysta, Tarło wojewoda lubelski; a na dobitek sam król Stanisław, skoro za jego pozwoleniem „expostulował z rezydentem moskiewskim .. aby pisał do swego ministeryum, że widząc *Desperatam causam* cesarza, czyby się nie mógł dwór tameczny powrócić do dawnéj przyjaźni z dworem francuskim, deklarując i z siebie i z nas tu wszystkich przytomnych szczere do tego przyłożenie się i niezawodną kooperacyą.“—Nie trudno było oczywiście przewidzić brzmienie odpowiedzi rossyjskiéj. Biren „króciusieńko“ odpisał, Ostermann „prolixissime,“ ale obaj stanowczo odmownie (2). Niezrażony tak wyraźną odprawą, a wiedząc jak wielkiéj wziętości w Petersburgu zażywa Poniatowski, przez niego znów „za pozwoleniem J. K. Mci“ umyślił działać. A przyjeżdżał on właśnie przez Polskie Prusy do Warszawy; była więc wyborna sposobność widzenia się z nim „incognito“ (3). Chciał się z nim spotkać dla większego bezpieczeństwa w pruskiem miasteczku Działdowie i uczynić „*similes propositiones*“ jako i rezydentowi rossyjskiemu; aby „mający także kredyt u Keyserlingka, dysponował go *ad aliqua media pacis*, a przynajmniéj do zwalczenia sejmu“ (4). Osobiście nie zetknęli się wcale, a piśmienne porozumienie szło bardzo opornie. Poniatowski sądził, że jego stary przyjaciel chce po prostu przejść do saskiego obozu, nie troszcząc się o króla i towarzyszów; jego zaś wielkie polityczne plany w interesie całéj partyi podejmowane, nie są niczém więcéj, jak czczym pozorem, jak szumnym, poetycznym prologiem do prozaicznego odstępstwa; nie przypusz-

(1) Manuskrypt bibl. Jagiell. Nr. 101, IV, Rudzińska do Ossolin. 5 septembris 1735

(2) Manuskrypt bibl Jagiell. N. 101, t. IV. „Explikacya *ignoti characteris* do Ossolińskiego z Gdańska“ w pierwszéj połowie Września; rzecz zaś sama działa się przed kilku tygodniami.

(3) Manuskrypt bibl. Jagiell. N. 101, IV Ossol. do Ożarowskiego 26 Augusti 1735 Nie wiem, na co się to wszystko przyda „dodaje skeptycznie Ossoliński.‘

(4) Explikacya ignoti characteris ut supra.

czał bowiem ani na chwilę, aby wojewoda lubelski był tak naiwnym i sam wierzył w spełnienie owych widoków. Wyraził to snać Poniatowski, wykazując, jak mało spodziewać się można od Francyi „śpiewającéj zawsze tę samą piosnkę *de la confiance et patience*“ i wzywając do bezwarunkowego poddania się, czém obruszony Tarło, odpowiedział wyniośle.

Niemniéj przeto układy toczyły się dość długo, choć było widocznéni, że muszą spełznąć na niczém. Na szczegółowe już snać propozycye Tarły, których nie posiadamy, odpisuje Stanisław obszernym listem z Warszawy po zniesieniu się z Keyserlingkiem, starając się wybić mu z głowy niepraktyczne pomysły, i żądając, aby „jaśniéj wyexplikował, jaki ma kombinowania tego traktatu sposób.“ Dowodzi nasamprzód, że niemożebne są układy między Rzplitą a konfederacyą dzikowską, jako taką, lecz tylko jako z rokoszem. Niemożebném jest daléj, aby ku pomocy wzięto rossyjskiego i francuskiego ministra, bo by to strasznie rzecz przeciągnęło, a właśnie obudziło się w Warszawie podejrzenie, że o to tylko królewieckim dyplomatom chodzi, aby przez odwłokę „puścić sejm z dymem.“ Prosi wreszcie, aby naznaczono „czas i sposób w najstosowniejszéj na ten cel Warmii,“ a Warszawa wyszle deputatów. Zapewnia, że sejm teraźniejszy zniesie wiele nadużyć, ustali prawa i swobody, a zgoda opozycyi mogłaby „wiele do tego pomódz“ i przyśpieszyć wyprowadzenie z kraju wojsk cudzoziemskich (1). Zasmucony tak upokarzającą nietylko dla Tarły, ale dla całego Królewieckiego obozu odprawą, pisze w kilka dni późniéj Ossoliński do Ożarowskiego: „Zważcie, kochany Dobr., jak się to na mało przydały takowe propozycye, o ile od naszego pana wcale nie aprobowane (2). Lepiéj im było dać absolute pokój, aniżeli *in tantum* przychodzić *contemptum*“ (3). Spełniając żądanie szczegółowszych objaśnień, odsłania już Tarło zupełnie tajemnice swych dyplomatycznych kombinacyi, i bez wahania przedstawia propozycye, które dziś badaczowi uśmiech litości sprowadzają na usta, a niezawodnie wówczas takich dyplomatów jak Keyserlingk i Poniatowski do serdecznéj pobudzały wesołości. Wymaga tedy, aby „obadwa *concurrentes* (Stanisław i August III) zdali swe losy do decyzyi Rzplitéj,“ t. j. ażeby zebrane stany zajęły w obec królewskich za-

---

(1) Ibidem. Poniatowski do Tarły z Warsz 25 Sept. 1735.

(2) Poprzednio owszem zapewniał Ossoliński, że „za J. K. Mci konsensem.“

(3) Ossoliński do Ożarowskiego, 30 Sept. 1735.

paśników takież same stanowisko, jak w wiekach średnich sobory względem walczących z sobą papieży (1).

Propozycya ta była tém śmielszą wedle rozumienia saskiéj partyi; nawet tém zuchwalszą i śmieszniejszą, że kraj cały dostał się faktycznie w ich ręce; że Leszczyński zostawał na łasce chwiejnego sąsiada, a między wiernymi mu straszna panowała nędza. A trudno było wątpić, że choćby między nimi duch był najsilniejszy, to mdłe ciało wkrótce nieuchronnie ulegnie. Okropny zaprawdę obraz krwawił tkliwe serce króla, widzącego, jak ludzie do niedawna możni, poświęciwszy wszystko, koniecznością przyciśnięci, „bez wstydu żebrali" (2) — jak jedni wołali:

— Panie, każ nas wykupować z gospód, a do Polski odsyłaj— drudzy zaś upominali się żałośnie:

— Ratuj nas, bo żyć czém nie mamy.

Wyczerpawszy wszelkie argumenta nieszczęśliwy król, przestał już ukazywać świetne widoki, ale tylko „z gracyą osobliwą i obligującą każdego" mawiał łagodnie: — Dziatki, wybaczcie, pieniędzy nie mam, jestem jak reformat, konsolujący się tylko wiarą nienaruszoną i przyjaźnią waszą. Jeśli przyjdzie jaki sukurs pieniężny, pewnie przed Wami nie zataję, ani was nie opuszczę."

Opłakane położenie króla i rezygnacya, z jaką znosił niedolę, ujmowała delikatniéj czujących; zdjęci „kompassyą" odchodzili, jakby najwięcéj odebrali." Ale inni niewzruszeni słowami, zawodzili „płaczem i narzekaniem," wołając z goryczą, że „już chyba siebie samych na zastaw zapisować muszą" (3). Rozpaczliwe usposobienie, skołatanego tylu ciosami, zapomnianego przez Francyą, skłaniającego się już do abdykacyi Leszczyńskiego, żywo uwydatnione w liście z téj pory, gdzie powiada:

— *Horret animus*, serce truchleje, ręka drży do wyrażenia, co się z nami dzieje...

A tak nieszczęśliwy stan królewieckiéj załogi nie był wcale tajemnicą dla Warszawian, po części z winy samegoż króla, który swą seraficzną dobrocią więcéj szkodził, niż pomagał sprawie.

Roiło się w mieście od „hipokrytów i zdrajców," których on, czy z wrodzonéj słabości, czy ze zbytecznéj łagodności, nie powściągał. Nie mniéj szkodliwe i niepolityczne były układy poczci-

---

(1) Rękopis bibl. Jagiell. 101, IV, Responsum od JW. Pana Wojewody lubels. JMci Panu wojewodzie Mazowieckiemu die 3 Octobris. 1735.

(2) Manuskrypt bibl. Jag. IV. Tarło do Poniat. 4 Sept. 1735.

(3) Rękopis bibl. Jagiell. N. 101. IV. Ossol. do Ożar. 9 Decemb. 1735.

wego Tarły ze sprytnym Poniatowskim. Gani je mocno Ossoliński, powtarzając jednak wytrwale tęż samą piosnkę, że ich „Pan nie approbował.“ Pomijając już wzgląd, iż rzecz ta miała się inaczéj, przypuściwszy że wojewoda traktował na własną rękę i z własnego natchnienia; czyż to nie wina króla, że jego poddany mimo jego woli i wiedzy działał w najważniejszych interesach — czyż to nie dowodzi występnéj w monarsze miękkości, pociągającéj za sobą nieodparcie utratę powagi.

Dyplomatyczne experymenta Tarły zadały konfederacyi dzikowskiéj cios dotkliwy. Warszawianie nieomieszkali korzystać z nieopatrznéj lekkomyślności poczciwca.

Poniatowski użył ich „politycznie“ na hańbę konfederatów i „na wstyd“ dawnego druha. Jego listy rzuciły straszny popłoch między tych, co jeszcze bodaj skrycie trzymali ze Stanisławem; wyciągnięto bowiem z nich ten wniosek, że cała konfederacya sprzykrzywszy sobie nieszczęśliwą dla siebie wojnę, nie licząc już nic na zewnętrzną pomoc; całą siłą cięży do Warszawy, gotowa przyjąć amnestyą pod jakiemibądź warunkami (1). Postanowiwszy kuć żelazo póki gorące, wysłał dwór do Królewca, Zawiszę, podkomorzego litews. podobno z pieniędzmi, dla ujęcia osiadłych w Królewcu Litwinów (2), Niezrażony niefortunnym skutkiem dyplomatycznych usiłowań stryja wdał się wkrótce w układy z Poniatowskim Adam Tarło, starosta jasielski i marszałek konfederacyi dzikowskiéj. W odpowiedzi na jego pismo zapewnia wojewoda z Gdańska 27 grudnia, że go zawsze „serdecznie i statecznie kocha,“ że konfederatom jak najlepiéj życzy, lecz pewny, że się na to dwór pociągnąć nie da, „aby *sub nomine et authoritate* konfederacyi dzikowskiéj, teraz akces swój uczynić mogli“ (3).

Ale i w Warszawie pośród saskiéj partyi, niedobrze się działo. Panował tu zamęt, wrzała zawiść, występowały na jaw lub kryły się w cieniu najsprzeczniejsze dążności. Z pomiędzy tłumu zgromadzonéj tu szlachty i magnatów, drobna zaledwie cząstka szczerze sprzyjała Sasom; inni związali się z nimi dla obrażonéj przez stronę przeciwną dumy, dla interesu, inni wreszcie przymuszeni, choć całą duszą oddani Leszczyńskiemu, nie przestawali się z nim znosić. Należał do nich od lipca prymas, wielbiony przez

---

(1) Manuskrypt. bibl. Jagiel. Ossolin. do Ożar. (cyfra) 4 Octob. 1735.

(2) Ibidem.

(3) Hubert Leopold, „*Adam Tarło wojewoda lubelski*“ *Biblioteka Warszawska* 1859 t. I, p. 33.

współczesnych za heroizm, okazywany długo w niewoli; chwalony przez historyków za to, że bez ujmy dla swéj godności umiał wystąpić wobec Augusta (1) — lubo wkrótce wszystkie te zasługi zatrze niestety, biorąc pensyą od postronnego mocarstwa...

W pierwszych miesiącach pobytu w Warszawie, odgrywał jeszcze sędziwy dostojnik kościoła piękną rolę nieugiętego, choć pokonanego Katona; ani publicznie, ani wobec króla nie wznosił nigdy toastu: *Vivat Augustus!* lecz poprostu i dwuznacznie: *Vivat rex!* choć mu o to, jeśli się godzi wierzyć współcześnikowi, „prawie do nóg sama upadała elektorowa" (2).

To też jak jeszcze w październiku tenże korespondent o prymasie, tak o wielu innych mógł powiedzieć, że „jest *totissimus* nasz" lubo z dniem każdym to ten to ów, ujęty szczodrobliwością Rossyi, zwijał chorągiewkę, a Stanisława zdawał na samą „łaskę Opatrzności".

Łatwo sobie wyobrazić, jaka anarchia panowała w sejmie, złożonym z tak różnych tendencyi osób. Miała to być pacyfikacya, a była w istocie walka na zabój. Ci co nie brali pieniędzy, wołali oburzeni srodze, że „Rossya *non desistit* od kontrybucyi dymów", że nie wyprowadza wojsk swych z granic Rzplitéj — z panem Kamockim, żądali 20 października „aby dwór *in diplomate* naznaczył *diem evacuationis*, aby Moskwa, ani Sasi podwód nie pretendowali, aby dwór nie implikował Rzplitéj w żadne traktaty z Moskwą".

Psuli Augustowi interesa więcéj sascy niż on sam stronnicy, głosząc, co ich partyi wcale nie przynosiło zaszczytu, że nie mogą obyć się bez rossyjskich posiłków, „bo król Stanisław w pięćset koni przybiegłszy do Polski, wszystkichby do siebie pociągnął".

Rozdrażniona takiémi mowami opozycya, nie hamowała się wcale. I tak Zbroiński, podkomorzy dobrzyński, miał odwagę powiedzić wobec całéj izby, „że król *per potentiam*, *cedes*, *sanguinem*, *ruinas*, po karkach naszych wstępuje na tron" (3).

---

(1) Roepell, *Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts, p.* 45.

(2) Rkps· bibl. Jagiell. nr 101, IV. Excerpt z sekretnéj warszawskiéj korespondencyi z 18 septembra 1735

(3) Ibigem. Excerpt z listu z Warszawy 3 novembra 1735.

Gdy do innydh pobudek i namiętności przyłączyło się zaciekłe uganianie kilku zwykle osób za jednym urzędem, nie dziw, że sejm nie doszedł (1).

W skutek długich zaburzeń kraj cały tak smutny wówczas przedstawiał widok, że nie możemy wcale zarzucić Ossolińskiemu przesady w jaskrawém malowaniu epoki, gdy pisze do słynnego późniéj Konarskiego, podówczas sekretarza Ożarowskiego: „Polska tak się zapaskudziła (sic) pychą, fałszami, nieszczerością, przez tak długie przeszłego pana rządy, gdzie cały czas Niemcy utrzymywali między nami dyfidencyą, że gdyby się (to strzeż Boże) odmienić nie miało, życie by się każdemu poczciwemu w takim stanie sprzykrzyło" (2).

Nazajutrz po zerwaniu sejmu, zgromadził August radę senatu. Prymas wzbraniał się jechać na nią, lecz użyto przeciw niemu gwałtu, a dla przyzwoitości jednym z tych co go zmusić mieli, mianowano łaknącego buławy, Józefa Potockiego, drugim nawróconego już do Sasów Janusza Wiśniowieckiego.

Właśnie X. Teodor, jako w święto swego patrona, jechał na nabożeństwo, gdy go ci panowie napadli i wsiadłszy do jego powozu, przemocą bez krzyża i laski, zawieźli do zamku.

Natychmiast tedy wzięto się do rozdzielenia wakansów. Stało się to na co przez tyle lat nie śmiał się odważyć August Mocny: rozrządzono hetmaństwem po za sejmem; dostał je Potocki wbrew wyraźnéj woli Anny, która umyślnym listem „rekomendowała *ante omnia* Poniatowskiego do buławy" (3).

Dla tém wyraźniejszego zaś okazania swej sympatyi Wojewodzie w odpowiedzi na jego pismo 12 grudnia, w którém zaręczał o swém życzliwém oddaniu i dobrych zamiarach, zaszczyciła go carowa nader uprzejmym listem. Oświadczając, że jak do dzisiaj nie opuściła żadnéj sposobności działania po woli i ku zadowoleniu Stanisława i jego familii, tak i na przyszłość nie omieszka czynem stwierdzać, ile mu sprzyja (4).

---

(1) Ibidem. Zerwanie sejmu było dziełem Rudzińskiego. „Kasztelanowi czerskiemu, pisze 29 listopada Ossoliński do Ożarowskiego—„trzeba mieć obligacyą w zatamowaniu tego sejmu".

(2) Ibidem. Ossoliński do X. Konarskiego, 25 novembra 1735 (cyfra).

(3) Rossyjski oryginał listu Anny między autografami Zakładu Ossolińskich, Petersburg 3 stycznia 1736.

(4) „Czartoryscy niekontenci, że im August nic dobrze nie uczynił w dystrybucie wakansów. „Cyfra z Warszawy 4 grudnia 1735 w manuskrypcie bibl. Jagiell. Za,

I z innych urzędów żaden nie dostał się członkom familii (1) szczęściem jeszcze, że mniejszą litewską pieczęć zostawiono księciu Michałowi Czartoryskiemu (2). Zdawałoby się, że jest to chwila, w której wierny dotąd Leszczyńskiemu książe, nagabywany przez rodzinę, a nie widząc już możebności i użyteczności dłuższego oporu, skłania się na stronę Augusta, skoro dlań urząd zachowują. Przez półtrzecia blizko roku dotrwał on na swém stanowisku, nie ujęty najświetniejszemi widokami, jakiemi go kuszono. To też w znaczeniu moralném, jest to najpiękniejsza epoka jego życia i wyrasta on wysoko po nad wszystkich swych krewnych, a mianowicie Poniatowskiego i korzystnie od nich odbija.

Rzecz tylko dziwna, że doznaje takich względów wtenczas, gdy jeszcze trzyma się zdala od Sasów, gdy utrzymuje najlepsze stosunki z Leszczyńskim, koresponduje ciągle z Ossolińskim i Ożarowskim. „Nie mogę żadną miarą przypuścić — pisze 4 grudnia z Koźlina—aby Francya chciała poświęcić swoją chwałę, wziętość, słowem wszelkie względy i tak bezbożnie Polskę opuścić". Przemógł tu zapewne wpływ Poniatowskiego, skarżącego się przecież że niczego wedle swej woli przeprowadzić nie może.

Jeszcze w połowie stycznia 1736 książe podkanclerzy duszą i ciałem oddany był Leszczyńskiemu. Poniatowski spodziewając się, że siostra przemoże upór brata, wyprawił do Koźlina swą żonę, panią Konstancyą, ale, i tak mądra kobieta nic podobno nie wskórała (3). „Pan ten pisze—o księciu Michale, Ossoliński do Ożarowskiego 17 stycznia 1736 — *ad ultimum terminum* z nami do-

---

pewne w porze niezadowolenia z powodu pominięcia przy rozdawnictwie urzędów wymknęła się Poniatowskiemu groźba, że sprzeda wszystkie swe dobra i przeniesie się do Wenecyi (*G. d'Amsterdam*, z Gdańska 12 stycznia 1736).

(1) Mskr. bibl. Jagiell. Excerpt z listu z Warszawy 10 novembra 1735. Po rozdziale wakansów zwiększyła się oczywiście liczba malkontentów, ponieważ nie każdy umiał czy chciał tak „politycznie dyssymulować" żal po zawiedzionych nadziejach, więc przychodziło do gorszących zajść. I tak wojewoda trocki, Ogiński, rozgniewany że go minęła buława polna litewska, powiedział, że szczęśliwy rywal jego, Radziwił, „jeszcze na paskach chodził, gdy on regiment wodził", ale go skarcił za to w poczuciu koleżeńskiej solidarności, obdarzony w. litewską buławą książe Wiśniowiecki, mówiąc z przekąsem:—Ale toż co i waszeć zrobił! (Excerpt z listu z Warsz. 2 listopada).

(2) Ibidem.

(3) „Ce n'est que pour accompagner la lettre de mon beau-frère, le Prime Czartoryski, Vicechancelier de Lith., que je me donne l'honneur d'écrire à VE." pisze Poniatowski do Birena 4 lutego 1736 Arch. ex-książęce w Mitawie.

trzymać Panu naszemu konfederacyą, i Francyi *fidem honorem et conscientiam spopondit* i nas tu w tém upewnił. Daj Boże (dodaje z rozrzewnieniem) aby te poczciwe serca polskie mogły znaleść gdzie kredyt i kompassyą".

Ale niebawem przechodzi do przeciwnego obozu, bo w dwa tygodnie późniéj koresponduje już z Birenem (1), coby mogło podać w wątpliwość szczerość zaręczeń, o których mówi Ossoliński i naprowadzić na przypuszczenie, że misya pani Poniatowskiéj lepszy, aniżeli mniemamy odniosła skutek. Siódmego lutego donosząc Ożarowskiemu o abdykacyi Leszczyńskiego, powiada, że i jemu „trudno daléj sakryfikować się bez żadnego fundamentu *et minimo* dla ojczyzny *utilitate*" — że „na nieustanne familii zaklinania" wyjeżdża 12 do Gdańska, gdzie postanawia „spokojnie siedzieć, póki go do warszawskiéj drogi nie przymuszą" (2).

Około 20 lutego przybył z Koźlina do Gdańska i wyprawił gońca do króla z prośbą, by mu pozwolił wyjechać na wieś, gdzie pragnie resztę dni swoich spędzić (3).

Podobnie jak książe podkanclerzy, najwierniejsi dotąd zwolennicy Leszczyńskiego przechodzili na stronę Sasów; wchodzili z nimi i z Rossyą w układy, lub przynajmniéj gotowi byli ostatecznie przyjąć ułożone przez tamtych warunki ugody. Pertraktacye wojewody lubelskiego z mazowieckim, lubo przerywane kilkakrotnie, mimo przeszkód i krzyków nie ustawały. Zjechali się około 15 stycznia r. 1736 na gdańskim trakcie, o ośm mil od Królewca, w pobliżu Pilawy. Nawet Ossoliński, tak jeszcze niedawno przeciwny tym spotkaniom zmienia teraz ton i wspominając o schadzce, mówi: „in casum, że nas Francya zapewnie odstąpi i da na pośmiewisko całemu światu, a osobliwie nieprzyjaciołom naszym, nie masz inaczéj, pewniejszéj dla nas i dla wolności naszéj protekcyi, jako Carowa" (4).

Tarło gorączkowo, mimo wszystkich zawodów goni za marą honorowego pokoju, jak rozbitek chwytający belkę, rzuconą wśród fal odmętu.

---

(1) Manuskrypt Biblioteki Jagiellońskiéj, jak wyżéj. List X. Michała Czartoryskiego do Ożarowskiego, z Koźlina 7 lutego 1736.

(2) *G. d'Amsterdam*, nr 19, 1736 z Gdańska 24 lutego.

(3) Rps bibl. Jagiell. Ossoliński do Ożarowskiego 17 stycznia 1756. „Wyjeżdżał tam pan wojewoda lubelski w przeszły piątek"—pisze Ossoliński.

(4) List wojewody mazowieckiego do Keyzerlingka. Z Gdańska 16 stycznia równie jak list Ostermana z prywatnego źródła.

Nieszczęśliwy, już, już zdaje się, że pochwycił ją w swe dłonie, gdy znów spiętrzony bałwan rozdzielił go od jedynego środka ocalenia, i każe mu się na nowo borykać z rozchukanemi żywioły.

Treść rozmowy Poniatowskiego z Tarlą znana nam dokładnie z relacyi złożonéj przez pierwszego Keyserlingkowi bezpośrédnio po schadzce, bo 16 stycznia. „Byłby to długi dyalog — powiada—gdybym chciał szczegółowo przedstawiać wywody, jakich używałem dla zbicia przeciwnych". Na nieszczęście nie otrzymawszy od dworu instrukcyi względem rokowania, mógł tylko przyjmować wszystko *ad referendum*.

Najprzód określa wojewoda sytuacyą i usposobienie konfederatów. Zapewnia, że ostrzeżenie Francyi o podpisaniu przedugodnego traktatu, wywołało pośród nich wzburzenie i rozpacz. Uspokoili się dopiéro i nabrali otuchy, gdy następną pocztą nadeszły stanowcze i szczegółowsze obietnice: że Francya niczego nie zaniedba, aby się stało zadość ich żądaniom, które silnie poparte, przed publikacyą będą rozbierane na dworze wiedeńskim. To też i wojewoda lubelski domagał się usilnie, aby dwór warszawski wysłał swoich senatorów, celem wzajemnego porozumienia się i nie wahał się twierdzić, że trwałość rządów Fryderyka Augusta zależy od oficyalnéj ugody z konfederacyą; która aktem publicznym mogłaby je uznać, w przeciwnym bowiem razie, za lada znów pozorem mogą się wszcząć zamieszki. Na zarzut Poniatowskiego, że uznanie Augusta królem przez wszystkie województwa, zniosło i unieważniło konfederacyą dzikowską, odparł że to bynajmniéj nie wystarcza i że należało aby wszystkie te województwa, uczyniły do konfederacyi jakiś uroczysty krok za pośrednictwem deputacyi, dla uwolnienia się od wzajemnéj a nierozwiązalnéj przysięgi. Żądał daléj, by na czas pewien usunięto z Warmii rossyjskie i saskie wojsko, aby snać nie głoszono, że narady odbywały się *sub armis*.

Wystawiał też, że król źle na tém wyjdzie, jeśli nie zechce się układać z konfederacyą; tylko będzie przyjmował ich poddanie się jako ludzi prywatnych, bo w takim razie pod popiołem zawsze zostaną iskry, z których się rozpłonić może pożar w całém królestwie. W końcu zaręczał, że Francya po zawarciu pokoju z Cesarzem i Carową, nie odmówi Rzplitej pośrednictwa i zapytywał, czy nuncyusz apostolski ma od papieża władzę rozwiązania przysięgi złożonéj Leszczyńskiemu, uważa to bowiem za potrzebne „dla uspokojenia słabszych umysłów".

Rzecz jasna, że Poniatowski nie mógł dawnemu przyjacielowi robić nadziei, iż jego propozycye zostaną przyjęte, skoro one

były wprost przeciwne widokom warszawskiego i petersburskiego dworu, a Osterman jeszcze 20 grndnia 1735 pisał w instrukcyi do Keyserlingka. „Można tym panom w Królewcu dać do zrozumienia, że Jéj Car. Mość w zwykłéj i wrodzonéj sobie wspaniałomyślności, nie odmówi im protekcyi i usług w sprawach tyczących się ich osobistych interesów – że jednak sami najlepiéj rozumieją, iż przedtém, wszyscy pospołu powinni uznać Augusta III prawowitym królem, oraz, że tutaj żadna deputacya od nich, czy to pod nazwą skonfederowanéj Rzplitéj, czy pod jakąkolwiek inną formą, nie będzie, ani nie może być przyjętą".

Nadaremnie téż nalegał wojewoda lubelski, aby się z nim Keyserlingk zjechał na granicy pruskiéj. Mówił, że mógłby wprawdzie sam pojechać do Warszawy, ale tylko wtedy, jeśli otrzyma paszport od Króla i Carowéj, i rękojmią bezpieczeństwa na czas powrotu, jeśliby ugoda nie przyszła do skutku; gdyż mimo zapewnień Poniatowskiego, że wszystkie grzechy przeszłości puszczono w niepamięć; treść punktów konfederacyi dzikowskiéj, oraz kilka manifestów, wydanych przeciw Cesarzowi i Carowéj, czynią go niespokojnym o swą osobę. Wojewoda mazowiecki radzi uczynić zadość ostatniéj prośbie, a pewny téż, że łaskawe przyjęcie ze strony ambasadora, zniewoli go i uczyni posłusznym; Ożarowski jeszcze go podnieca, ale Tarło mimo to nader do zgody pochopny — należy więc spieszyć z zakończeniem sprawy.

Po za sprawozdaniem z powyższéj rozmowy, znajdziemy w liście Poniatowskiego ciekawe szczegóły, o ówczesnéj polityce rządu pruskiego wobec Polaków. „Intrygi dworu berlińskiego w Królewcu — czytamy — są obecnie silniejsze niż kiedykolwek. Generał Katt oświadczył kilku polskim panom w imieniu swego pana, jako tenże mocno wzruszony ich nieszczęściami i wytrwałością, gotów im pomagać, gdyby mu w imieniu konfederacyi zechcieli przyznać tytuł królewski, i gdyby to również uczyniła Francya, zapewniając, że Rossya już uprzedzona i zgodzi się na pośrednictwo Prus".

Odpowiedzieli na to po naradzie Polacy, że przyjmą pośrednictwo jeśli inne mocarstwa, a mianowicie Rossya i Austrya pozwolą, lecz domyślając się podstępu, nie wyprawili nikogo do Berlina. Wyjątek w tym względzie stanowi jeden z magnatów, członek nienawistnego dlań domu, Stanisław Potocki, o którym mówi z przekąsem: „Wprawdzie wojewoda bełzki dla pozyskania względów dworu pruskiego, i sądząc że pochlebstwami będzie mógł długi swe spłacić, dodawał królewiczowi Fryderykowi otuchy, że Rzplita mogłaby go na tron powołać, lecz inni uważają to za

czcze przywidzenie. Zrażeni wreszcie surowém obejściem, jakiego doznali w Królewcu, chcieliby jaknajprędzéj wydostać się z pod tak uciążliwéj i z ich duchem niezgodnéj opieki" (1).

Przed odebraniem jeszcze téj relacyi, jak się zdaje, pisał Keyserlingk, że jak widzi z listu agenta rossyjskiego, radzcy Belga. „Ichmoście w Królewcu siła rzeczy napierają się". Podał on przez tegoż agenta „sposób, aby bez uszczerbku najmniejszego sławy swojéj *ad unionem corporis* Rzplitéj przyszli," co tém snadniéj mogą uczynić, ile że sam Stanisław wypowiada w ostatniéj deklaracyi, że „już królem polskim dłużéj być nie może". Krok ten jeszcze obecnie przed ogłoszeniem traktatu uzna świat cały za dobrowolny i niewymuszony; późniéj zaś „jawnie się pokaże, iż był *actus coactus* i szkodzący ich sławie i reputacyi".

Próżną mieniąc obawę utraty swobody, wzywa Kayserlingk Poniatowskiego, aby „skuteczną swoją perswazyą" wymógł na konfederatach, przyjęcie ofiarowanych im warunków i wysłanie dwóch deputatów. Daremnie zaś łudzą się nadzieją, „żeby mogli na tym traktacie figurować jako *pars contracta*, kiedy *in praeliminaribus* zakończonych i ratyfikowanych *conclusum*, że do generalnego traktatu oprócz ministrów Imperatorowéj, cesarskiego i królewskiego z jednéj, a francuzkiego z drugiej, nikt przypuszczony nie będzie" (2).

Jak widzimy z powyższego listu, misya Poniatowskiego nie ograniczała się na samym Tarle, ale rozciągała się raczéj do wszystkich konfederatów; wyjątek zaś niniejszy, jak się zdaje, umyślnie w polskim przekładzie puszczony był w obieg, aby ułatwić pracę wojewodzie. Znajduiąca się w nim wzmianka o królu Stanisławie nie była zupełnie bezzasadną, jak widać z listu Ossolińskiego do Ożarowskiego z dnia 3 lutego. „Co tu był z ogłoszenia abdykacyi za *motus i consternatio*, wypisać tego niepodobna." Konfederaci nie chcieli przyjąć abdykacyi, odesłali akt, nie rozpieczętowawszy go, a zaklinali *per viscera misericordiae* nad ojczyzną, żeby ich do tego nie zmuszał."

Dzień sądny nastał w Królewcu, bo w dodatku Prusacy jakby spełniając szumne obietnice i objawy sympatyi, nikogo wypuścić nie chcieli z miasta, dopókiby nie złożył w ofierze Fryderykowi Wilhelmowi do gwardyi „dwóch rosłych ludzi" lub 200 talarów,

---

(1) List woj. mazow. do Kajserlingka, z Gdańska 16 stycznia, równie jak list Ostermana z prywatnego źródła.

(2) Ręk. bibl. Jagiell. nr 101, IV „Excerpt z listu WP. Kayserlingka do Poniatowskiego, pisanego"; bez daty, ale jak z treści widać, między 16 a 20 stycznia.

tak że aż do opieki rossyjskiego i austryackiego posła uciekać się musiano (1).

Po wysłaniu „prywatnego instrumentu rezygnacyi" zaczęła się szlachta z Królewca rozjeżdżać, zaopatrywana po części hojnie przez Rossyą za pośrednictwem Poniatowskiego, bo jak powiada Ossoliński „przez insynuacyą wojewody mazowieckiego miano tu przewekslować sto tysięcy rublów na pociągnienie do Warszawy jak najprędzéj panów konfederatów naszych" (2).

Dzięki tak szczęśliwemu obrotowi rzeczy i licznym nawróceniom, udało się wreszcie Augustowi doprowadzić sejm do pomyślnego końca i pojednać, bodaj na zewnątrz, wzburzone i rozżalone umysły. Stało się to jednak nie bez ciężkich trudów i mozołów, a opozycya była tak silną, czynną i żwawą, że już powątpiewano, czy i teraz najgorliwsze usiłowania nie rozbiją się o żelazny opór malkontentów, i czy nie zatryumfuje znowu hasło tradycyjnéj anarchii, zwane patetycznie „źrenicą złotéj wolności." A przyznać téż trzeba, że w tym razie skorzystanie z obrzydłego *nie pozwalam* nie byłoby tak antypatryotycznem jak zwykle, że owszem stanęłoby w obronie najistotniejszych praw narodu. Nie tu miejsce i pora opowiadać szczegółowo ciekawy przebieg sejmu pacyfikacyjnego i walki jaka wówczas wrzała w łonie zgromadzonego w Warszawie narodu; dla utrzymania przecież wątku opowieści trzeba nam koniecznie wspomnieć o nich choć kilkoma słowy.

Najtwardszym do zgryzienia orzechem, najtrudniejszą do zwalczenia zawadą, była wówczas (rzecz dziwna), sprawa na pozór dla Polski obojętna i dość odległa, sprawa kurlandzka. Jak się już wyżéj wspomniało, Fryderyk August zyskał pomoc od Rossyi tylko za cenę pozostawienia téj krainy w dotychczasowych warunkach; jakkolwiek na mocy układów między Gotardem Kettlerem a Zygmuntem Augustem, przysłużało mu prawo a nawet obowiązek, po wygaśnięciu męzkiéj linii Kettlerów, których ostatni potomek dogorywał w Gdańsku, wcielić Kurlandyą do Rzeczypospolitéj. Naklonienie sejmujących stanów do wprost przeciwnego zdania, do zrzeczenia się oczekiwanego nabytku, pozwolenia na wybór nowego księcia i to z łona krajowców, (którem to orzeczeniem torowano Birenowi drogę do książęcéj czapki) — było rzeczą niesłychanie trudną. „Sejm ten — pisze Keyserlingk w obszernym raporcie do Carowéj z dnia 20 lipca, był nader ciężki; towarzyszyły mu pra-

---

(1) Ibidem. List 2 3, i 12 lutego.

(2) Ibidem. Ossoliński do Ożarowskiego 20 marca 1736 r.

wie nieprzezwyciężone trudności tak, że do ostatniéj chwili mieliśmy powód do powątpiewania o pomyślnym jego skutku.“

„Co się tyczy sprawy kurlandzkiéj — pisze daléj — niepodobna również wyrazić, jak nadzwyczajne trudności trzeba było pokonać, zanim się ten interes załatwił“ (1).

Czoło opozycyi w kwestyi kurlandzkiéj stanowiło duchowieństwo. Wytężyło ono wszystkie swe siły, ażeby albo przeprowadzić wcielenie Kurlandyi i Semigalii; albo téż zostawić sprawę *in statu quo*, w żadnym więc razie nie dopuścić elekcyi nowego księcia. Ambasador opowiada z gniewem, że z obawy przed groźbą klątwy duchownych, w pierwszych dniach sejmu nikt w izbie posłów nie ośmielił się poruszyć kwestyi kurlandzkiej, i to (rzecz charakterystyczna) pomimo najdzielniejszéj pomocy, jaką ofiarowali Rossyi w téj mierze, kanclerz wielki koronny (Załuski) i familia Czartoryskich. Gdy się wreszcie przekupiony jakiś szlachic odezwał, podniesiono głośną wrzawę niechęci i odepchnięto wniosek ze wstrętem.

Nieodstraszony tém Keyserlingk, wiedząc, że szlachta od magnatów zawisła, rozpoczął działanie z pomocą: kanclerza w. koronnego, Czartoryskich, nawróconego już zupełnie kasztelana czerskiego i oboźnego Ożarowskiego ex-posła Leszczyńskiego w Paryżu.

Niemniéj pomocnymi okazali mu się: Michał Wiśniowiecki, Radziwiłłowie, Mniszech marszałek w. koronny i prymas Teodor Potocki, którego ujął pensyą, wypłaconą jednak dla pewności nie prędzéj, jak po zakończeniu sejmu. To téż mimo nad wyraz energicznego działania duchowieństwa z biskupem kujawskim Krysztofem Szembekiem na czele, „który niebo i ziemię poruszał“ uczoną broszurę w sprawie kurlandzkiéj napisał i zerwaniem sejmu groził — zwyciężyła Rossya, dość ogólnikowem przyrzeczeniem *liberi exercitii religionis* dla katolików w Rydze.

Uradowany pomyślnym rezultatem swych zabiegów pełnomocnik, rossyjski, mówi z uznaniem o zasługach, jakie w téj mierze położyli wspomniani przezeń magnaci, bez których pomocy nie byłby się mógł w rzeczy saméj tak walném zwycięztwem pochlubić. A jeśli mowa tu o staraniach familii Czartoryskich, bez wymienienia nazwiska samegoż Poniatowskiego, nie idzie zatém aby Stanisław nie miał również na tém polu znacznych zasług — pochodzi to raczéj

---

(1) Kopia raportu Keyserlingka do Carowéj, z 20 Lipca, przesłana Birenowi. Archiwum ex-książęce w Mitawie.

ztąd, że pod ową porę z powodu skołatanego zdrowia bawił u wód zagranicznych (1).

Jak żywo zaś interesowała go sprawa kurlandzka i jak nieobcemi były mu dążności Birena, widać z następnych słów listu, w którym biorąc pochop z przesyłanych sobie wieści o zwycięztwach Rossyi nad Portą, oddaje hołdy Annie za tryumf oręża na Wschodzie i za uspokojenie Polski; poczém tak pisze; „dla dopełnienia tego dzieła, niczego nam już nie braknie prócz ostatecznego załatwienia sprawy kurlandzkiéj. Magnat pochodzący z tamtego kraju byłby nam pożądańszym na księcia, niż jakikolwiek cudzoziemiec. Pragnę z całego serca, aby Wasza Excelencya była na to dostojeństwo wyniesioną. Ona tylko jedna zdolna utrzymać zupełną harmonią między dwoma mocarstwami. Większość głosów jest na to przygotowaną, a ja z méj strony czułbym się nader szczęśliwym, gdybym się mógł przyłożyć tak do wzrostu sławy W. Excelencyi) jak do pożytku, jakiby ztąd Ojczyzna moja wyniosła (2).

Po powrocie z wód stanąwszy w Gdańsku, stale już odtąd mieszka w tém mieście. Około połowy sierpnia otrzymuje tu bardzo serdeczny i przyjacielski list od króla pruskiego, w którym monarcha ten odwołując się do przyjaźni Poniatowskiego, prosi go o uwolnienie kawalerzysty z pułku generał majora Buddenbrock'a, którego wojewoda kazał uwięzić z powodu bójki z jakimś Menonistą (3).

Najczęściéj jednak koresponduje z Birenem, a listy jego przybierają teraz coraz poufniejszy i przyjaźniejszy charakter. Widać z nich, że w. podkomorzy przesyłając mu wiadomości z teatru wojny, prosi go czasami o radę, jak w danéj okoliczności postąpić. I tak na schyłku r. 1736 doniosłszy mu treść rozmowy, między wysłanym przez w. wezyra hospodarem wołoskim a pełnomocnikiem rosyjskim, zapytuje, co począć, czy zawrzeć pokój, czy też prowadzić daléj wojnę; na co odpowiada Stanisław, że zarówno jedno jak dru-

(1) List Poniatowskiego do Birena, Akwizgran 2 czerwca 1736 r. Z powodu rozpuszczonéj po Niemczech pogłoski, jakoby carowa wkrótce miała pojechać do Rossyi, dokąd téż po rozwiązaniu sejmu pospieszy Fryderyk August — rozpacza Stanisław, że nie może być z nimi- ale jeśli się nowina potwierdzi, jest niemal zdecydowany przerwać rozpoczętą kuracyą i puścić się w podróż, aby się rzucić do nóg wielebnéj monarchini. Archiwum ex książęce w Mitawie.

(2) Ibidem. List Poniatowskiego do Birena z Gdańska 28 sierpnia. Donosi w tym liście Poniatowski, że mu kąpiele pomogły.

(3) List ten w oryginale znajduje się między autografami zakładu Ossolińskich. Z Berlina 18 Września 1736 r.

gie, byłoby chlubném dla Rossyi, dodaje tylko, że uwagi wezyra świadczą, w jak złem się znajduje położeniu, i że szuka pokoju za jakąbądź cenę; że zatém Anna jest panią ich losu i na żadne względy oglądać się nie potrzebuje.

W témże samém piśmie odpowiadając na utyskiwanie Birena z powodu Józefa Potockiego, folguje staréj niechęci ku swemu wrogowi. „Postępowanie wojewody kijowskiego—pisze—gorszy mnie, lecz nie zadziwia wcale. Zbyt on dobrze dał się poznać działaniem całego życia, by można było czegoś rozumnego oczekiwać od niego. Do wdzięczności za swe wyniesienie poczuwa się tak mało, że nawet zwykłym względom prostéj grzeczności nie czyni zadość.“

Wzmianka o Potockim daje mu sposobność do powtórzenia starych żalów. „Ponieważ dobroć Pańska — pisze — upoważnia mnie do mówienia z zupełném zaufaniem, mam honor oświadczyć, że jeszcze codzień widzimy jak osoby tego niegodne, (*peu dignes*), bywają na wysokich urzędach umieszczane – jeśli zaś kto zasłużony, przez potężną protekcyą Jéj Cesarskiéj Mości dojdzie do jakiego stanowiska; nie może spełniać swych obowiązków, nie zdoła bowiem żadną miarą pozyskać królewskiego zaufania, a ztąd wziętość jego i zdolności upadają w proch i ruinę. Sułkowski przez Keyserlingka coś mu wprawdzie proponował, co przecież uważa raczéj za objaw lekceważenia i chęć podania go w pogardę, niż za dowód łaski i ufności. Miał wojewoda śledzić pilnie postępowanie Józefa Potockiego i zdać z niego obszerną sprawę. „Wyznaję Waszéj Exc.“ — mówi obrażony — „że wedle mnie ktoś młodszy, stosowniejszy i małego talentu, starczy temu zadaniu.“ W taki mniéj więcéj sposób odpowiedział na samą propozycyą, zaręczając jednak że jest gotów służyć ze wszystkich sił królowi i ojczyźnie, oraz donosząc o zabiegach wymierzonych przeciw spokojowi publicznemu (1).

Wojewoda zostawał też wówczas w dobrych stosunkach z księżną kurlandzką, Joanną Magdaleną, młodą małżonką zgrzybiałego Ferdynanda; skoro 4 maja, w dniu długo oczekiwanego zgonu męża, wiadomość o tém, tajoną przez czas pewien, przesyła Birenowi przez jego ręce, nie mówiąc mu jednak co zawiera udzielone mu pismo (2). Tegoż dnia korzystając z powtarzanych próśb Birena

(1) List Poniatowskiego do Birena z Gdańska 4 stycznia 1737. Archivum ex-książęce w Mitawie.

(2) „Madame la Duchesse de Courlande vient de m'envoyer la cy jointe, me priant instament, que je la dois faire tenir à Votre Excellence par une stafette, sans perdre un moment. I'ignore, de quoy il s'agit. etc. Dantzig le 4 mai, à 11 heures du matin.“ Ibidem.

o radę w kwestyi wojny wschodniéj, daje mu następną wskazówkę. Ponieważ przyszła wyprawa rozpocznie się niezawodnie oblężeniem Oczakowa i Benderu, przeto znając te miejsca zapewnia; że same przez się nie są one dość silne, by się oprzeć niezwyciężonym wojskom Jej Cesarskiéj Mości; lecz okolica jest częściowo podminowaną, w czém nieprzyjaciel przy obronie pokłada najwięcéj ufności, należy więc udaremnić jego zachcianki. Donosi o tém jednak poufnie, prosząc o dochowanie tajemnicy (soli) i powtarzając, że podobne wiadomości powinny tylko komendantów wojska dochodzić (1).

Tak samo w kilka dni późniéj uprasza o sekret w sprawie przesłania depeszy księżnéj kurlandzkiéj, wiele mu bowiem na tém zależy, by publiczność nie wiedziała: „jakim kanałem (Biren) otrzymał pierwszy wiadomość o zgonie księcia Ferdynanda.“ Wspominając daléj o zabiegach rezydentów różnych mocarstw a mianowicie Prus i Szwecyi, ubieżanych przez agenta saskiego Unruha, a dążących mimo to do posięścia spadku po zmarłym; czyni trafne spostrzeżenie, że wedle jego zdania, „gra nie warta stawki.“ Gniewa go zuchwałe postępowanie zagranicznych rezydentów, nie wahających się grozić magistratowi za przyznane Unruchowi pierwszeństwo (2).

Bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o śmierci księcia Ferdynanda, wyprawiono z Petersburga rozkaz w celu przygotowania umysłów do elekcyi na rzecz w. podkomorzego. W przejeździe przez Gdańsk widział się z Poniatowskim i odbył z nim konferencyą, o czém donosząc 31 t. m. powiada, że ambasador nie przybył jeszcze z powrotem (3). Nastąpiło to dopiéro w kilka dni późniéj; Keyserlingk zatrzymał się znów w rezydencyi Stanisława i ofiarował mu w imieniu Birena piękne wilczury (4).

Nareszcie spełniły się gorące życzenia szczęśliwego faworyta Anny, dzięki wytrwałym staraniom na głowie jego spoczęła książęca czapka, a w twardą dłoń dostało mu się lenne berło nadbałtyckiego kraiku. I teraz to, gdy chodziło o potwierdzenie wyboru kurlandczyków przez króla i Rzplitą, okazało się znowu, jak mądrze poczynał sobie Biren, zyskując życzliwość polskich magnatów. Najgorliwiéj podobno broniła teraz jego interesów wdzięczna

---

(1) Ibidem. List pod tą samą datą.
(2) Ibidem. Gdańsk. 10 maja. Poniatowski do Birena.
(3) Ibidem. Poniatowski do Birena. Gdańsk 31 maja 1737.
(4) Ibidem. Gdańsk 8 czerwca 1737 „une fourrure tout extraordinaire des loups.“

za protekcyą *familia*. Wierny do niedawna stronnik Leszczyńskiego, książę podkanclerzy, z tak wielkim zapałem we Wschowie gardłował za Birenem, że jakeśmy to opowiedzieli gdzieindziéj, przykrego za to doznał afrontu (1). Niemniéj gorliwym, choć oględniejszym był na radzie senatu we Wschowie wojewoda mazowiecki. Pisze on 28 Lipca, że list Ernesta z 21 czerwca odebrał dopiero po powrocie z Wschowy, *a więc nie mógł przedtem wiedzić co się w nim mieści*; jednakże pospołu z przyjaciołmi działał zupełnie zgodnie z hr. Keyserlingkiem, niczego nie zaniedbując, coby uczynić należało, w czém mu ambasador niechybnie odda sprawiedliwość."

Ustęp powyższy świadczy, że Biren w piśmie swem starał się podnieść gorliwość wojewody jakąś obietnicą; on zaś na odwrót pragnął okazać, że przysługa jego była bezinteresowną, bo się o nagrodzie dowiedział już *post festum*. Donosi daléj, że jeśli życzeń księcia nie spełniono w całéj rozciągłości, stało się to dla zbyt krótkiego czasu. Rzecz główna już skończona; reszty z łatwością przyjdzie dopełnić. Jeśli prawda, że król na wiosnę ma podążyć do Gdańska i Marienburga, możnaby tę sprawę załatwić nawet bez sejmu (2).

Najwięcéj nowemu księciu kurlandzkiemu zależało na tém, aby wbrew ustawom mógł złożyć hołd Rzplitéj nie osobiście, lecz przez zastępcę; obawiał się bowiem, iżby go nieprzyjaciele u dworu podczas nieobecności nie strącili z wysokiego stanowiska, jak to niedługo potém zdarzyło się innemu faworytowi—Sułkowskiemu; gdyż nawet dla rządów nad księstwem nie chciał się zrzec roli właściwego pana olbrzymiego caratu. To téż zapytuje Poniatowskiego ciekawie, czyby nie można było obejść prawa. Stanisław odpowiada, że wedle starego zwyczaju należy osobiście przyjmować inwestyturę, dla odbycia zaś ceremoniału przez pełnomocnika potrzeba zgody zgromadzonych na sejmie stanów, gdzie zwykle duch republikancki stawia mnogie trudności. Dla tego radzi, że najlepiéj nie czekając na sejm, skoro tylko król przybędzie do Polski, wystosować doń bez zwłoki prośbę i tak za jednym zamachem usunąć wszystkia zawady (3). Nie poraz pierwszy podobno poszedł książę za radą wojewdy, i to jak się wkrótce miało okazać ze szczęśliwym skutkiem.

---

(1) *Pszewodnik naukowy i literacki* 1874 r., zeszyt czerwcowy: *Książęce zaloty*.
(2) Archivum mitawskie. Poniatowtki do Birena z Gdańska 28 lipca 1737.
(3) Ibidem. Gdańsk 24 sierpnia 1737.

Treść listów Poniatowskiego do Birena w téj porze stanowią głównie dwa przedmioty: Kwestya Kurlandzka i wojna z Turcyą; ztąd to spotykamy w nich nieustannie uwagi, spostrzeżenia i rady w pierwszéj sprawie, przeplatane pochlebnemi zachwyty nad powodzeniem oręża Anny na południu. Z małą różnicą w każdym niemal liście czytamy to, co pod dniem 3 sierpnia: „Wojska Jéj Car. Mości idą za przykładem Cezara: przyszły, zobaczyły, zwyciężyły" (1). Pewny téż, że jęcząca pod muzułmańskiém jarzmem Grecya chętnieby przeszła pod panowanie Rossyi i „że kwapiłaby się żyć pod jéj rządami, słynącémi zarówno ze sprawiedliwości i szlachetności, łagodności i rozumu, jak z dzielności wojsk niepokonanych." W zwycięstwach tych niemały udział przyznaje Birenowi, wpływającemu jakoby na szczęśliwy obrót wojny „swemi mądrémi i niezrównanémi radami" (2).

Niemniej pochwał oddaje Keyserlingkowi. Z powodu szczęśliwego zakończenia komisyi Kurlandzkiéj, którą rossyjskie podarki bardzo zmiękczyły, nie może dość napodziwiać czynności i talentu (*savoir faire*) ambasadora; zapewniając, że „gdyby żył w epoce Richelieugo i Mazarina, mądrość jego stawiłaby go wyżéj nad tych sławnych ministrów" (3).

Teraz snadniéj przychodziło wojewodzie nakłonić Birena do powolności dla próśb własnych lub przyjaciół, z którémi niejednokrotnie występuje, już to nalegając o wynagrodzenie szkód zrządzonych mu przez wojska rossyjskie w pochodzie do Turcyi, (4) już téż wstawiając się np. za Ożarowskim, którego poleca do wakującego podskarbstwa w. koronnego i zapewnia, że to ważny nabytek dla partyi rossyjskiéj, że Ernest nie będzie z pewnością żałował rekomendacyi tak zacnego i powszechnie szanowanego człowieka (5). Z drugiéj strony nie pomija niczego, czémby mógł przełamać lody chłodu i obojętności na dworze saskim i zaskarbić łaskę monarszą. Nastręczyła się potemu wyborna sposobność 9 maja 1738 r., jako w dniu zaślubin królewny, córki Fryderyka Augusta III, z królem obojga

---

(3) Ibidem. Gdańsk 3 sierpnia 1737.

(3) Ibidem. Gdańsk 10 października 1739 r.

(3) Ibidem. Gdańsk 12 listopada 1737 r

(4) Ibidem. Z Akwizgranu 12 maja 1736 i w innych listach do Birena.

(5) Ibid. Z Gdańska 19 listopada 1737. W tejże sprawie pisze 20 marca 1738 w powrocie z Korony do Gdśńska z podziękowaniem za polecenie. Nie wątpi że tak wysoka protekcya odniesie z czasem pożądany skutek, lecz ponieważ Król dotąd nie objawił swéj woli, śmie prosić o powtórną rekomendacyą za pośrednictwem Keyserlingka (*avec bien de timidite*).

Sycylii. Poniatowski przedsięwziął obchodzić tę uroczystość w Gdańsku świetną ucztą, o której już na miesiąc przed tém głoszono w zagranicznych dziennikach, bo wojewoda tak wcześnie rozpoczął przygotowania (1). Obszerne sprawozdanie umieszczone w jednėm z pism współczesnych (2) pozwala nam dać opis bankietu. W gronie biesiadników zasiadali: owdowiała księżna kurlandzka, księżna Michałowa Czartoryska, biskup chełmiński, Adam Stanisław Grabowski, magistrat gdański i wiele innych osobistości. O godzinie piątéj z południa huk kilkudziesięciu dział dał hasło do rozpoczęcia zabawy. Trwały najprzód przez trzy godziny tańce, poczem towarzystwo ruszyło do stołów. Było ich trzy, przy największym siadło pięćdziesiąt, przy dwóch inych po trzydzieści osób. Pomiędzy bogatémi zastawami, zwracał szczególnie uwagę prześliczny, nader misternie wykonany przyrząd, z którego płynęło białe i czerwone wino. Sale do tańca na jadalnie przeznaczone, były pięknie oświetlone, a obiad złożony z najwytworniejszych potraw. Artystycznie ułożone wety, przedstawiały z jednéj strony herby Polski i Lit, z drugiéj zaś Neapolu i Sycylii z napisem: *Regnorum felicitas connubio firmata*.

Pod koniec obiadu zaczęto puszczanie przepysznych ogniów sztucznych, przedstawiających różne do okoliczności zastosowane alegoryczne figury widoki i sceny, jak wulkany Etnę i Wezuwiusz, wybuchające ogniem, uosobienie Polski w postaci kobiety z koroną na głowie, z lewą ręką opartą na herbach Korony i Litwy, w prawéj zaś trzymającéj portret królewny z napisem: *Acrius urit* i wiele wiele innych. Samo widowisko trwało około dwóch godzin, a zakończyło się o godzinie trzeciéj z rana snopem rac i wystrzałem z dział, ustawionych opodal od pałacu. „Uroczystość ta, dodaje w końcu korespondent *Gazety Amsterdamskiéj*, przynosi zaszczyt hr. Poniatowskiemu; pan ten odznaczył się zarówno uprzejmością dla gości, wspaniałością i ładem utrzymanym w ciągu całéj recepcyi, jak niemniéj przywiązaniem dla króla". Oto też właśnie, o zamanifestowanie miłości i przywiązania do tronu chodziło tylko wojewodzie, i celu tego jak się zdaje w znacznéj części dopiął. Atmosfera dworu była już dlań obecnie tém samém przyjaźniejszą, że Brühlowi udało się z niego usunąć osobistego wroga Stanisława, hr. Sułkowskiego (5 lutego 1738). Wszechwładny i niepodzielny wpływ na umysł królewski wywierali odtąd

(1) *G. d'Amsterdam* nr 32, z Gdańska 10 kwietnia.
(2) Ibid. nr 40, 10 maja.

hr. Brül i O. Guarini S. I. przez Matuszewicza nazwany współzawodnikiem ministra do monarszych względów ([1]). Obaj zręczni i przebiegli, uznali wkrótce, że Poniatowski zdolnościami swémi może im być bardzo użytecznym i dlatego też zamiast, jak dotychczas, zostawiać go w przykrém dlań stanie bezczynności, wciągali owszem coraz bardziéj doświadczonego gracza w zaplątane koło swych politycznych robót, i w końcu jak zobaczymy, przypuszczali nawet do największych tajemnic ([2]). Nastąpiło to ostatecznie dopiéro w dwa lata późniéj, lecz już na początku roku 1739 rozpoczął zapewne pracę, czego się domyślamy z jego korespondencyi z generał majorem Neubaurem ([3]). Na wiosnę tegoż roku, jak zwykle miał wojewoda dla poratowania zdrowia pojechać do wód akwizgrańskich, i w końcu lutego ułożył się z generałem, aby wspólnie odbyć podróż. Ale w ciągu następnego miesiąca dwukrotnie z Warszawy (4 i 21) i raz z Gdańska (28) tłómaczy się z opóźnienia i prosi o odłożenie dnia wyjazdu, w końcu oświadcza stanowczo, że nie prędzéj jak w lipcu będzie mógł wyruszyć; a mamy wiele powodów do mniemania, że nie domowe, jak zapewnia, ale publiczne sprawy sprowadziły tę zwłokę.

W tej porze rozpoczynają się też coraz już poufniejsze i serdeczniejsze jego stosunki z Brühlem, a brama do łask monarszych długo dla Poniatowskiego zamknięta, teraz się otwiera na rozcież. Bardzo często dziękuje za otrzymane dary, jak np. w kwietniu za przekazanie po Sułkowskim jakiegoś placu i domu po generale Klinkenbergu, (4) a jeśli się sam o coś przymawia jak np. 23 pa-

---

(1) „Był Guarini, Jezuita, *aemulus* Bryla, mający królowę łaskawą na siebie". Matuszewicz: Pamiętniki t. 1 str. 82. Na niedoszłym zwyczajnym sejmie z r. 1738 odzywał się wojewoda za powiększeniem sił zbrojnych Rzplitéj, lecz z powodu finansowego wycieńczenia i wyludnienia kraju, nad czém również tak gorzko ubolewa współczesny mu autor *Anatomii Rzplitéj* Garczyński, radzi wprzód postarać się o wzrost ludności za pomocą osadnictwa. Szmidt: Dzieje Polski w XVIII i XIX wieku t. I, p. 128.

(2) Nie posiadamy korespondencyi wojewody z Jezuitą, lecz w listach jego i Brühla mamy liczne dowody, że ich łączyły serdeczne stosunki. Brühl bardzo często pisze. „Le très Reverend Pere Guarini me charge de Vous faire, Monseigneur, mille compliments reciproques".

(3) Briefe der Poniatorwskischen Familie an den General-Maior v. Neubauer (1738—1745) tajne archiwum drezdeńskie, str. 719 s. l. nr 66. Był on wówczas generał-adjutantem hetmana polnego koronnego Branickiego.

(4) „J'ay contois remercier V. Ex. moy mesme á Leipsig des soins à me procurer la donation des places de Mr. le Comte Sułkowski, pisze Poniatowski do Brühla z Gdańska 29 kwietnia 1739. Correspondenz des Premiér ministr Grafen v. Brühl 1734 1742. Geh. cab. Canzelei s. l. n 467, vol. 36; P. Q. w tajném archiwum drezdeńskiém

ździernika o wakujące po zmarłym w Paryżu Lubomirskim, synu wojewody krakowskiego, starostwo olsztyńskie, nigdy nie otrzymuje odmownéj odpowiedzi (1). W takim razie rozwodzi się zwykle że obarczony liczną familią, prosi o ułatwienie w ten sposób edukacyi dzieci, aby z czasem mogły służyć z pożytkiem królowi i jego rodzinie *(et sa sacrée famille)*. Gdyby był przeczuwał, jak mu w niedalekiéj przyszłości służyć będą, nie byłby król zapewne tak hojnym.

Niemniéj skutecznémi bywały rekomandacye, jakiémi swoje kreatury zaszczycał, ręcząc zwykle Brühlowi za ich wierność. W czerwcu 1740, zalecił np. na pisarstwo ziemskie lubelskie Suchodolskiego, pisarza grodzkiego krasnostawskiego; na podkomorstwo sandomierskie Ossolińskiego, byłego półkownika artyleryi—na podkomorswo lubelskie Slugockiego — na podkomorstwo krakowskie Lanckorońskiego, starostę stobnickiego i t. d. i t. d.

W lipcu, jak zapowiedział puścił się istotnie w drogę, bo 1 sierpnia widzimy go już w Hadze, a w tymże miesiącu w Akwizgranie. Z Hagi pisze do Brühla list, ważny zarówno dla zawartych w nim wiadości, jak dla tonu zdradzającego przyjazny i zupełnie już poufny między nimi związek. Stosownie do żądania ministra rozwija w nim Stanislaw swe zapatrywania na stan krajn i jego stosunek do zagranicy. Uspokaja tedy nasamprzód Augustowego faworyta, że niepotrzebnie trwoży się zmorą konfederacyi, bo w listach, jakie na miejscu odebrał z Polski, nie masz najmniejszéj o tém wzmianki; a gdyby nawet powstały rozruchy, musiałyby same przez się upaść, nie doznając z nizkąd wsparcia, ni pomocy. Jakkolwiek przy tém zwołania sejmu nadzwyczajnego nie uważa za rzecz konieczną, dobrze byłoby okazać gotowość zgromadzenia stanów na obrady. Jego zdaniem obecność króla w kraju wystarczyłaby do utrzymania burzliwych umysłów; a do powstrzymania agitacyi, przyczyniłyby się nie mało energiczne oświadczenia ze strony Rossyi, zapewniające zadosyć uczynienie i zwrot szkód zrządzonych przez wojska rossyjskie, podczas wojny z Turcyą. Francya nie usiłuje wcale podburzać Polski ani wprost, ani pośrednio, pragnie owszem związków z dworem saskim; godziłoby się zatém wyprawić do niéj za przykładem Rossyi nadzwyczajne poselstwo. Szwedzi zatrwożeni postępowaniem Anglii, rzucili się w objęcia Francyi i jest rzeczą pewną, że można ich by-

(1) Ibid. list z 23 października 1739 Starostwo olsztyńskie otrzymał, jak widać z listu datowanego 21 stycznia 1740.

ło kupić za połowę tego, co kosztowała Dania; eskadry francuzkiéj na Bałtyku, nie należy się obawiać, przed zimą bowiem powróci do własnych portów.

Tatarzy, wpadali na Ukrainę i Podole, jakoby w pogoni za nieprzyjacielem, uprowadzając łupy i uwożąc ludność w jasyr — podczas gdy na drugim krańcu państwa król pruski przemocą w ziemiach polskich wybierał rekrutów. Ponieważ bezsilny, przez faworytów kierowany dwór warszawski nie śmiał energicznie wystąpić przeciw nadużyciom, postanowili przeto zaradzić sobie sami możnowładzcy z Józefem Potockim na czele. Ten pozawiązywał stosunki z francuzkim i szweckim agentem i w imieniu narodu układał się z Portą o zaczepno-odporne przymierze, ze skrytym zamiarem strącenia Augusta a przywołania Leszczyńskiego. Równie jak inni, nie małe straty od wojsk rossyjskich poniósł Poniatowski, mianowicie ucierpiał jego majątek Grzymałów, położony w pobliżu Chocimia. Dla otrzymania wynagrodzenia za szkody podając zażalenie w téj sprawie, pragnie jednak wojewoda utrzymać się w granicach dworskiéj grzeczności. Straty tak dotkliwe zadałyby niepowetowany cios majątkowi Stanisława i skazałyby go na kilka lat niedostatku, gdyby Carowa za wstawieniem Birena nie zechciała mu przeznaczyć wynagrodzenia (1).

W kilka tygodni późniéj, już po ukończeniu rady senatu we Wschowie, winszuje wojewoda Brühlowi szczęśliwego obrotu sprawy, radzi co należy dodać do instrukcyi posłowi idącemu do Turek, donosi, że w liście pisanym z Berlina do jednego z bawiących u wód pruskich oficerów, widział następny dopisek: „Mieliśmy tu dostojnego gościa (*un Gast distingué*) księcia (sic!) Potockiego. Jadał on zawsze u królewskiego stołu i miał kilka osobnych i bardzo długich konferencyi z J. Kr. Mością.“ Poniatowski nie pewny, kto się kryje pod nazwą *księcia* Potockiego, lecz sądzi że nie będzie to tajnem Brühlowi (2). Z powrotem zatrzymał się znów przez pewien czas w Hadze, zkąd w pierwszéj połowie października dwa listy wysłał do Brühla.

Sędziwy już, bo sześćdziesiąt cztery lat liczący Stanisław, doczekał się licznego potomstwa, bo sześciu synów (Kazimierza, Franciszka, Aleksandra, Andrzeja, Stanisława, Augusta, Michała) i dwóch

---

(1) Akwizgran 30 sierpnia 1739. Poniatowski do Birena. Archivum ex książęce w Mitawie. Też samę prośbę tylko obszerniéj i natarczywiéj powtarza z Drezna 18 marca 1740 i 2 listopada 1740 r. dziękuje za 5 tysięcy dukatów, które mu Anna przesłała przez Keyserlingka.

(2) Akwizgran 25 września 1739 r. Tajne archivum drezdeńskie.

córek Ludwiki i Izabeli. Najmłodsze z dzieci Michał, późniejszy prymas, liczył wtedy lat zaledwie trzy, najstarszy Kazimierz urodzony 15 września 1721 r. zaczynał rok dziewiętnasty. Ojciec wierny dawnym związkom z ojczyzną Karola XII, wysłał go około tego czasu do Szwecyi, aby się tam zaprawiał w wojenném rzemiośle; a król Fryderyk w dowód uznania dla wojewody, dał synowi stopień oficerski w wojsku heskim. Stanisław podziękował 23 października, za ten nowy dowód monarszych względów, a król odpisał mu nader uprzejmym listem; zapewniając o swéj życzliwości, wzywając do stałéj korespondencyi i dodając do innych grzeczności komplement, że wedle opisu Kazimierza, jaki mu dano, zbyt on przypomina ojca, aby nie zasługiwał na jak największą uwagę i życzliwość ze strony monarchy (1).

W roku następnym wcześniéj już bo w kwietniu podążył Stanisław do wód Akwizgrańskich. I teraz utrzymuje on stałą korespondencyą z Brühlem; a nawet z miasta Kassel, gdzie się zatrzymał, sprawia Królestwu niespodziankę, przesyłając im 24 kwietnia jako nowalią dojrzałe śliwki. Ażeby się zaś jego poufny stosunek z ministrem nie wykrył, prosi go o wskazanie tajnéj drogi, w skutek czego otrzymuje zmyślony adres kapitana Beldorffa i cyfrę.

Listy Poniatowskiego z téj epoki zawierają nietylko wiadomości o rzeczach krajowych, lecz także często wkraczają w zakres ogólnéj polityki i mieszczą w sobie nowiny z zagranicy; niekiedy nawet tak skandalicznéj treści, że ich powtarzać nie można, jak n. p. opis zajść pomiędzy Fryderykiem Wilhelmem I, królem pruskim, a jego synem, nazwanym późniéj Fryderykiem Wielkim, z powodu, że drugi nie chciał żyć z żoną. W tym też czasie ubywa nam jedno źródło ważne, z którego czerpaliśmy dotąd obficie t. j. korespondencya wojewody z Birenem. Ostatni list z tego zbioru datowany z 10 listopada 1740 r.; a więc świeżo po ciężkich skargach zanoszonych w obec sejmu przez Tyzenhausa wileńskiego i Eperiasza inflanckiego posła przeciw despotycznemu Ernestowi — wyraża żal z powodu zgonu Anny, ukojony jednak znacznie wiadomością, że książe kurlandzki piastuje godność regenta. Wkrótce potém jak wiadomo, Ernest Jan strącony z wysokiego stanowiską, poszedł na wygnanie do mroźnego Sybiru. Odtąd wszelkie stosunki pomiędzy nim a wojewodą ustają, dotychczas bowiem wiązał ich tylko wza-

(3) A. Stockholm le 26 d'Octobre et 6 de Novembre 1739. Autografy zakładu Ossolińskich.

jemny interes, a wszelkie zapewnienia niezachwianéj przyjaźni były tylko czczémi frazesami.

Nadeszła wreszcie chwila, w któréj dwór drezdeński, miał użyć starego już Stanisława do dyplomatycznych usług; chwila dla Saksonii nader stanowcza i ważna, wymagająca też szczególnego uzdolnienia i zręczności ze strony ministrów i dyplomatów saskich. Fryderyk August mógł wówczas odegrać wielką rolę, mógł zostać najpotężniejszym w Europie monarchą; ale na to potrzeba było nie tak niedołężnéj jak on osobistości, lecz dzielnych i śmiałych książąt, jakimi byli jego przodkowie: Jan Fryderyk lub Maurycy; a przynajmniéj potrzebaby mu było genialnego ministra, coby w burzliwéj porze umiał szczęśliwie kierować krajem. Przymiotów wielkiego męża stanu nie można jednak żadną miarą przyznać Brühlowi, intrygantowi zręcznemu, lecz pozbawionemu wyższych zdolności i psującemu wszystko chwiejnością i wyrafinowaną szarlataneryą polityczną. Na dniu 20 października 1740 r. umarł ostatni męzki potomek Habsburgów Karol VI w błogiem przekonaniu, że spadek po nim obejmie bez oporu córka jego, Marya Teresa na mocy sankcyi pragmatycznéj; uznanéj w skutek usilnych starań przez niemieckie i postronne państwa, lubo książe Eugeniusz Sabaudzki utrzymywał skeptycznie, że 200,000 bagnetów dawałyby nierównie lepszą rękojmią, aniżeli milion przysiąg... Były to wieszcze słowa, ale cesarz ufny w solenne zobowiązania sąsiadów, nie sposobił się wcale do walki.

Jeśli kto, to August III mógł być niezadowolonym z sankcyi, jako mąż Józefiny starszéj córki cesarza Józefa, starszego brata i poprzednika Karolowego; podobnie jak jego dziewierz, Karol Albrecht, elektor bawarski; obydwaj bowiem w imieniu swych żon a córek starszego członka linii Habsburskiéj, mieli większe prawa do spadku, niż Marya Teresa, córka młodszego cesarza Karola VI. Ale sam Fryderyk August dobrowolnie już zamknął sobie drogę do sukcesyi zarówno przy ślubie, jak w epoce zabiegów o polską koronę, kiedy zrzekł się dochodzenia wszelkich pretensyj i uznał bezwarunkowo sakcyą pragmatyczną (1).

---

1) Cały ustęp o dyplomatycznéj działalności wojewody w roku 1741 i 1742 skreśliłem na podstawie jego relacyj i listów przeważnie w brulionie złożonych w tajném archiwum drezdeńskiém: Nr. 3292, *Correspondenz des Grafen Poniatowski, Palatino von Masovien und andere Papiere desselben, hauptsächlich den Krieg und Verhandlungen um die österreichische Erbfolge betreffend*, 1741, 1742. Z materyałów tych, składających ogromny tom *in folio*, możnaby napisać obszerne studyum o ówczesnych zawikłaniach polityki europejskiéj; mnie ramy monografii dozwoliły zaledwie najzwięźléj streścić sy

Mimo to nie chciał Brühl w nadchodzących wypadkach odgrywać biernéj roli. Zawadzały mu bardzo poprzednie układy, nie śmiał ich zerwać otwarcie, a pragnął przecież z całéj duszy obfitego w mętnéj wodzie połowu. Sądząc, że obłuda najprędzéj go przywiedzie do celu, postanowił wytrwać jak najdłużéj na wyczekującém i dwuznaczném stanowisku. Gdy Francya wkrótce po zgonie Karola VI dała mu do poznania, że godziłoby się zaszczycić ją wyższego stopnia dyplomatą, niż uwierzytelnionym dotąd przy niéj sekretarzem; i że gotowąby była zgodzić się na pożądany w tak stanowczéj chwili związek królewicza z księżniczką francuzką *(avec une dame de France)*; dwór saski, a właściwie mówiąc Brühl, pochwycił skwapliwie tę propozycyą i umyślił co rychléj wyprawić tajemne poselstwo do Paryża, dla wybadania, czy z tak silną pomocą nie udałoby się dopiąć ambitnych zamysłów; ambasadorem zaś mianował Poniatowskiego.

Niedługo po rozwiązaniu spełzłego znów bezowocnie sejmu, na którym nasz wojewoda wystawiał ponownie trudność wybierania rekrutów w ziemiach Rzplitéj z powodu, że nieliczną i tak ludność zdziesiątkowała świeżo dżuma, — w grudniu, wśród mrozów, bez względu na wiek podeszły, puścił się w daleką drogę; tając skrupulatnie cel swéj podróży i głosząc, że dla zdrowia jedzie do cieplejszéj Francyi a zabawiwszy krótko w Paryżu, uda się następnie do wód w Barège. Nikt też podobno z razu nie odgadł istotnego powodu téj zimowéj peregrynacyi. Zagraniczne gazety donoszą lakonicznie, że Stanisław w końcu grudnia przejeżdżał przez Frankfurt, spiesząc z Drezna do Paryża; że 5 stycznia 1741 roku stanął w stolicy Francyi z panem Fritschem, saskim radcą wojny; w pięć dni zaś późniéj miał w Wersalu posłuchanie u Ludwika XV i całéj familii królewskiéj, a więc i Maryi Leszczyńskiéj z którą spotkanie nie najmilsze zapewne obudziło w nim wspomnienia (1). Niebawem jednak przybycie do Paryża sędziwego dygnitarza w tak niezwykłéj porze z królewskim urzędnikiem, zaczęło pośród dyplomatów zwracać uwagę, a mianowicie poseł pruski starał się usilnie wykryć prawdziwy cel wyprawy.

---

tuacyą i wypadki, o ile w nich na widownią występuje Poniatowski. Z tegą też powodu nie cytuję pojedynczych relacyj ani listów do żony; wszystkie one mieszczą się w tymże samym woluminie.

(1) *G. d'Amsterdam*, Nr. 3, z Frankfurtu nad Menem 1 stycznia; Nr. 5 z Paryża 9 stycznia, Nr. 8 z Wersalu 11 Stycznia 1741.

Wedle otrzymanéj w Dreźnie instrukcyi miał Poniatowski wyśledzić, o ile można liczyć na przyjaźń Francyi i czego po niéj oczekiwać—wybadać wszechwładnego Kardynala Fleury, co sądzi, iżby w obecném bezkrólewiu w Niemczech czynić należało, i jak się zapatruje na wtargnięcie króla pruskiego do Szlązka; oraz wyciągnąć zeń pewne ustępstwa i ofiary, nie czyniąc ze swéj strony żadnych propozycyi a zapowiadając tylko, że wystąpi z niemi późniéj. Instrukcya powyższa jest konsekwentném następstwem całéj taktyki brühlowskiéj, całéj téj przebiegłéj, zmiennéj i przewrotnéj polityki, łaknącéj jak największych korzyści, bez żadnych na odwrót zobowiązań. Położenie dyplomaty zaopatrzonego w podobne zlecenia bywa drażliwém i trudném. Mimo to wiodło się jednak Poniatowskiemu z początku wcale pomyślnie na wersalskim dworze, i to nietylko dzięki osobistéj zręczności posła, lecz niemniéj także z powodu, że Francya wierna tradycyjnéj swéj polityce względem Austryi, pragnęła bądź co bądź w Saksonii znaleść przeciw Habsburgom nowego sprzymierzeńca. Kardynał przyjąwszy go serdecznie, wyraził bez ogródki, że oczekuje od Fryderyka Augusta oświadczenia, kogo chce widzić na cesarskim tronie, czy może sam pragnie sięgnąć po koronę, czy téż nie jest przeciwnym wyborowi elektora bawarskiego; Francya bowiem względem ostatniego do niczego się jeszcze niezobowiązawszy, wzrostowi téż Prus niechętna; gotowa z całych sił pomagać Augustowi i oddać mu wszelkie możliwe usługi, nie myśląc się przytém wcale mięszać do spraw polskich ani działać na rzecz Leszczyńskiego (*ni intriguer pour le Roi Stanislas).* Wyraził daléj Fleury życzenie, aby Fryderyk August wszedł w tym celu w poufne stosunki z elektorem bawarskim, bez względu na różniące ich pretensye do spadku po austryackim domu, gdyż sprawa ta da się załatwić bez trudu. Francya za swe usługi niczego w zamian nie żąda — z ważnych powodów zależy jéj tylko na tém, aby sankcya pragmatyczna upadła; tém więcéj że i tak już naruszona współregencyą Maryi Teresy, z mężem Franciszkiem Stefanem, daléj przez króla pruskiego i przez Hiszpanią, którzy od swych słusznych pretensyi nie odstąpią. Wyprawiwszy tyle pożądane nowiny do Drezna, wraz z zapytaniem, co na tak świetne zapewnienia nawzajem odpowiedzieć, pewien był, że jak najrychléj otrzyma szczegółową informacyą; lecz któż opisze niecierpliwość, gniew i oburzenie, jakie nim miotały, gdy przez dwa miesiące oczekiwał napróżno, i na słuszne naleganie Kardynała nie mógł dać żadnéj odpowiedzi; co tém więcéj zadziwiało, że sascy kuryerzy jeździli bez ustanku między Wiedniem, Londynem a Petersburgiem.

Coraz też natarczywiéj upomina się o słowo wyjaśnienia, żali się gorzko na milczenie dworu i ubolewa; że w skutek tego wszelkie jego usiłowania pełzną na niczém; całe zaufanie, jakiém go obdarzono od razu niknie bez śladu, natomiast rodzą się brzydkie podejrzenia o celu jego przybycia. Około 20 lutego odebrał wprawdzie list od Brühla, w którym jednak wszystkie jego pytania pominięto grobowém milczeniem, na co się z goryczą skarży nieszczęśliwy poseł. Jakby zaś na ironią domagał się minister w swém piśmie dokładnego przedstawienia sytuacyi. Odpisuje na to Poniatowski: że dość jasno, jak sądzi, dwa razy co tydzień zdawał sprawę z wszystkiego, o czém donieść wypadało, lecz ponieważ Brühl rozkazuje, powtarza więc raz jeszcze, mianowicie, że zobowiązanie Francyi względem zmarłego cesarza było warunkowém; że tenże przyrzekł pozyskać od rzeszy ratyfikacyą traktatu, zapewniającego zachodniemu sąsiadowi posiadanie Lotaryngii, lecz ponieważ to samo obiecał księciu wirtembergskiemu, Francya nie czuje się wcale związaną. Mówi też ciągle o zgorszeniu francuskich dyplomatów z powodu tak osobliwego postępowania drezdeńskiego gabinetu i zapewnia, że o ile Francya okazywała się dotąd głuchą na pruskie propozycye, o tyle teraz obrażona na Saksonią, zaczyna zwracać na nie baczniejszą uwagę. Nie dziwi go też wcale, że listy jego bywają otwierane, po tém, czego się dowiedział z rozmowy i z listu nuncyusza Pauluzzi z Wiednia. Prałat ten bowiem donosił, że jedynym celem misyi Poniatowskiego jest wyciągnienie na słówko i wybadanie kardynała, w kwestyi zamysłów Francyi; słowem szpiegowanie wszystkiego, celem zawiadomienia o tém drezdeńskiego gabinetu. „Wyznaję — dodaje z indygnacyą Stanisław (1), że nuncyusz każe mi odegrać szkaradną rolę, a posądzenie znajduje na nieszczęście pewnego rodzaju potwierdzenie w smutném zaniedbaniu, na jakie mnie dwór skazuje. W ciągu całego życia byłem człowiekiem bez skazy, lecz piękny potret mój skreślony ręką nuncyusza, rzuca silny cień na moję reputacyą, Przywodzi mnie to do rozpaczy, a nie wiem jak się uniewinnić?“ Boga daléj przyzywa na świadka, jak przywiązany do króla i do jak nadludzkich poświęceń dlań skłonny. Wierzy o tyle w wspaniałomyślność serca monarchy, że nie zechce go na stare lata odzierać z dobréj sławy, bo już za szpiega uchodzić zaczyna, że owszem da mu wkrótce sposób zrehabilitowania się lub odwoła go co prędzéj.

---

(1) *G. d'Amsterdam* Nr. 39, z Paryża 8 maja: „Le Comte Poniatowski qui est ici depuis plusieurs mois, partira demain pour retourner en Pologne.“

Podobnież inną razą oświadcza, że jak z wszystkiego miarkuje, wysłano go dla tego tylko, aby służył tajnym planom dworu za parawan; że odgrywanie podobnéj roli nie zgadza się wcale z jego charakterem, że drogie mu są interesa królewskie, lecz nie mniéj téż własna sława, że gotów mienie i życie poświęcić dla monarchy lecz nie honor i t. d.

Przywiózł mu wreszcie syn listy z Drezna w których jednak na najważniejsze kwestye nie znalazł odpowiedzi, a to z powodu, jak się tłómaczono, że wprzód wypada zaczekać na odpowiedź z Petersburga w téj sprawie. W obec tego na nic się zdało wyraźne już przymawianie się o cesarską koronę dla Augusta. Opowiada owszem wojewoda, że jego przepowiednie zaczynają się sprawdzać, bo jak się zdaje, elektor bawarski zapewnił sobie głos palatyna kolońskiego; ze swoim więc (za Bawaryą i Czechy) ma już trzy głosy, a niebrak mu podobno widoków na czwarty, jednego z duchownych elektorów, podczas gdy niewiadomo jakich stronników król mieć będzie. Cóż skłaniało Brühla do tak dziwnego postępowania? zapytujemy zdumieni. Oto po prostu ten wzgląd charakterystyczny, że w porze właśnie poselstwa wojewody układał się z Rossyą i że w marcu 1741, a w pięć miesięcy po zgonie Karola VI zawarł z nią traktat, aby pospołu z tém mocarstwem utrzymać pragmatyczną sankcyą, przeciw któréj dopiero teraz protestował. Trafne téż lubo nader surowe są uwagi Poniatowskiego nad polityką saską, przesyłane żonie, dla któréj nie miał żadnych, nawet politycznych tajemnic. „Już to — pisze 24 marca—utrzymujemy sankcyą pragmatyczną, już się skłaniamy do podziału Austryi; dziś pragniemy usilnie cesarskiéj godności, nazajutrz wstręt do niéj czujemy—jedną ręką głaszczemy dwór wiedeński—drugą przeciw niemu godzimy. Niepodobno mi, pogodzić tylu na raz sprzeczności; dla tego prosiłem o odwołanie i oczekuję go niecierpliwie.“

Fryderyk August nie śpieszył z odwołaniem wojewody, mimo jego zniecierpliwienia i mimo ponawiającéj się tak mocno choroby (*„contractions spasmatiques“*), tak iż niejednokrotnie na konferencyach z kardynałem zastępować go musiał wspomniany już radzca Fritsch. Na chwilę zabłysnął Stanisławowi promyk nadziei, że dwór drezdeński porzuci dwuznaczną taktykę i wprost już zdążać będzie do celu. „Ostatni peryod listu Pańskiego, pisze 25 marca do Brühla — natchnął mię nowém życiem. Król z Bożą pomocą zostanie niechybnie cesarzem, jeśli się porozumie z elektorem bawarskim i królem pruskim. Kardynał ręczy, że tak z jednym jak z drugim będzie się można ułożyć.“ Ale niebawem miał doznać

smutnego rozczarowania; to też jeszcze w ciągu wiosny, 9 maja wyjechał z Paryża (1)

W czasie pobytu we Francyi, zetknął się snać z Leszczyńskim i wiernymi mu Polakami, bo od króla Stanisława przywiózł propozycyą w sprawie wychowywanych w Lunewillu kadetów. W liście do Brühla pisanym już z kraju 28 czerwca, donosi, że w przejeździe przez Drezno zdał sprawę z tego zlecenia znanemu spowiednikowi króla, O. Guarinięmu. Jezuita radził, aby się nie wdawać w pakta z nieprzyjacielem i nie odpowiadać mu wcale, lecz zainterpelowany nowym listem Ossolińskiego Poniatowski, prosi ministra o wiadomość, co począć (2).

W samą porę wrócił Stanisław do Polski, stał się bowiem użytecznym królowi wewnątrz Rzplitéj, gdzie pojednany z dworem w końcu 1739 r. hetman podjął na nowo dawne plany i agitacyą, skierowaną głównie przeciw Rossyi, Poniatowski czuwa nad spokojem kraju i donosi troskliwie o każdym groźnym objawie o każdym wypadku podejrzanym lub z jakiegokolwiek względu zasługującym na uwagę. Czternastego więc czerwca pisze, że niejaki Jakubowski, były sekretarz ś. p. wojewodziny krakowskiéj, krąży nieustannie mięzy Warszawą a Boćkami, rezydencyą podskarbiego litewskiego, Sapiehy; że wojewoda wołyński, Rzewuski Seweryn jeździ z jednego jarmarku na drugi i skupuje mnóstwo koni; że Potocki, wojewoda bełzki, wyjeżdża do Królewca; że wojewoda bracławski, Jan Świdziński przyszedłszy doń tegoż dnia, oświadczył, iż kilku przyjaciół zapytywało go o zdanie, czy mają przystąpić do konfederacyi, nie podając wszakże bliższych szczegółów. Sam przyrzeka użyć wszystkich sił i całego wpływu dla stłumienia rozruchu w zarodzie; rozpisze w tym celu listy do przyjaciół i pojedzie do Białegostoku do Branickiego, aby się przekonać, czy u niego nie będzie jakiego zgromadzenia (3).

Długo jeszcze po tém będzie wietrzył emisaryuszów i donosił o nich ministrowi, jak n. p. w liście z 18 lipca. Charakterystycznem jest przytem, że występuje tu w charakterze ślepego narzędzia Brühla przeciw Potockim i wszystkim, co za pomocą konfederacyi z interesem czy bezinteresownie pragnęli podźwignąć kraj z upadku i zaprowadzić w nim zbawienne reformy, których niezbędność sam

(1) Ibidem. 20-ta sekcya z 24 Lutego.

(2) *Correspondenz des Prem. Minister Grafen v. Brühl* P. i Q. (1734—1742) Geh. Cab. Cantzlei, s. l. n. 467, vol. 36. Tajne archivum drezdeńskie.

(3) Ibidem.

niedługo z Czartoryskim głosić będzie. Nieprawność i szkodliwość Brühlowych rządów już wówczas bez wątpienia doskonale widział— ale mimo to zostawał z nim w najserdeczniejszych stosunkach, bo mu z tém dobrze się działo. Wszystko podówczas niestety tłómaczy się prywatnymi stosunkami, sympatyami i antypatyami magnatów. Można téż śmiało powiedzieć, że Potoccy domagali się konfederacyi i reformy dla tego, że *familia* cieszyła się wyłącznym wpływem na dworze; ta zaś dla tego przeciwną była reformie i konfederacyi, że jéj chcieli Potoccy; jakkolwiek oświadczyli głośno, że się wiążą przy królu i swobodach, aby przeprowadzić różne naglące sprawy, (jak aukcyą wojska) nie dochodzące z powodu tamowanych od r. 1736 sejmów. I sejmy również, jak świadczy współczesny, spełzły na niczém głównie z powodu owego antagonizmu nienawistnych sobie rodzin, „przez oponujących się dworowi Potockich, emulantów z książętami Czartoryskimi“ (1).

Inny poplecznik dworu, znany nam kardynał Lipski w dniu 27 sierpnia wprost już denuncyuje hetmana w. koronnego o zawiązywanie generalnéj konfederacyi; (2) a wkrótce téż rzecz cała wychodzi na jaw, bo na zgromadzeniu w Chełmie 13 września uchwalono konfederacyą z marszałkiem Krysztofem Romanowskim, i naznaczono zjazd walny do Zamościa. Ochłodli jednak znacznie konfederaci, skoro ujrzeli, że Szwedom w walce z Rossyą nieszczególnie się wiedzie; z obawy, aby król, osiągnąwszy cesarską dostojność, nie targnął się na starodawne swobody i nie chciał sobie poczynać absolutnie, zabezpieczyli się nawet przeciw niemu pomocą samejże Rossyi, przeciw któréj niedawno chcieli formować krucyatę...

Tymczasem dwór postanowił znów użyć Stanisława do ważniejszych zajęć, niż do śledzenia niestrasznych już dlań konfederatów; postanowił go powołać na szerszą arenę działania, gdzie miano decydować o przyszłéj równowadze państw europejskich. Brühl widząc, że dotychczasowa taktyka na nic się nie zdała, że jeśli jéj nadal zostanie wiernym, to Prusy, Bawarya, Francya i Hiszpania rozdzielą między siebie Austryą, nie dopuszczając Saksonii do udziału w łupie, a nawet zwrócą oręż przeciw niéj jako przyjaciółce Maryi Teresy; umyślił po raz już nie wiem który sprzeniewierzyć się niedawnéj przeszłości i przystąpić otwarcie do koalicyi. Stało się to za wpływem marszałka Belle-Isle, który zje-

(1) Matuszewicz, Pamiętniki t. I. p. 81.

(2) Archiwum drezdeńskie Nr. 3292 (*Correspondenz des Grafen Poniatowski* etc.), list Lipskiego do Brühla 27 sierpnia 1741.

chawszy do Drezna, pociągnął dwór saski do związku, przyrzekając mu Morawią i Szląsk wyższy (1).

W sprawie podziału austryackiéj monarchii toczyły się już układy we Frankfurcie nad Menem, „za pośrednictwem i gwarancyą arcy-chrześciańskiego króla.“ Minister saski, Schönberg i radca ambasady Saul, podpisali tam 19 września *praeliminaria* z pełnomocnikiem bawarskim. Poniatowski już poprzednio udał się do Paryża, zkąd od 11 do 18 tegoż miesiąca wysłał trzy depesze do Drezna. Dwudziestego szóstego wzywa go król aby spieszył do Frankfurtu, gdzie go oczekują niecierpliwie; mimo bowiem podpisania układów przyrzekł marszałek Belle-Isle pod słowem honoru, że jakąkolwiek korzyść dla Saksonii uzyska wojewoda na francuskim dworze, będzie ją można dołączyć do traktatu jako artykuł osobny (2).

Z pisanego w cztery dni później listu Fryderyka Augusta, przekonywamy się ile liczył na udział w pertraktacyach „człowieka takiéj powagi i tak wielkiéj reputacyi we Francyi i za granicą,“—przywiązanego do osoby monarchy, a obeznanego doskonale z usposobieniem francuskiego dworu i osobiście zaprzyjaźnionego z marszałkiem. Schönberg i Saul nie mogli widocznie przyjść do ładu z Belle-Islem, na którego zbytnią „żywość“ się skarżą, jak on na ich ciężkość i pedanteryą (3). Król pewny, że wojewoda swobodnémi i szczerémi przedstawieniami wywrze pewne wrażenie na drażliwym marszałku i stawi czoło jego „żywości“ (*vivacité*) tém więcéj, że jako senator na większe może liczyć względy. Dla tego też nadał mu pełnomocnictwo z pewnemi tylko ograniczeniami i z upoważnieniem wyjazdu do Francyi do kardynała, ilekroć tylko uzna to za potrzebne (4).

W urzędowéj instrukcyi, przesłanéj Poniatowskiemu, najciekawszą jest druga część artykułu piątego: *Si l'on accorde au Roy de Prusse pour ses nouvelles acquisitions en la Basse-Silésie une pleine souveraineté sans aucune dépendance ni de la Couronne de Boheme, ni de l'empire, il est juste, qu' on ne refuse pas pareille souveraineté*

---

(1) Böttiger, Geschichte des Kurstaats u. Königreich Sachsen, t. II, p. 298.

(2) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 937. List. króla do Poniatowskiego, z 26 września 1741.

(3) Belle-Isle pisze w liście do Poniatowskiego z 29 października 1741 r. donosząc, że pragnie go co prędzéj uściskać i pogadać z nim: „Vous me serez d'ailleurs infiniment utile, pour abréger les longueurs et les difficultées de Mr. de Schönberg, qui en verité deviennet insupportables.“

(4) Archivum tajne drezdeńskie nr. 3292. *Correspondenz des Grafen Poniatowski* etc. List króla z 30 września do Schönberga.

et indépendance au Roy de pologne, surtout pour le Royaume de Moravie et pour la Haute-Silésie." W jedenastym rozdziale instrukcyi spotykamy podsuniętą przez Fleurego myśl związków małżeńskich między dziećmi Augusta a Karola Albrechta; w dwónastym żądanie, aby poseł jak najjaskrawiéj wystawiał niebezpieczeństwo, grożące Europie ze strony rosnącego ciągle w siły króla pruskiego (1).

Pierwszego listopada 1741 r. podpisała wreszcie Saksonia z Prusami i Bawaryą traktat, w którym jéj Morawią i Szląsk wyższy, Fryderykowi zaś II Szląsk dolny poręczono. Do niedawna jeszcze nad ocaleniem Austryi przemyśliwający Brühl znalazł z łatwością powody do wypowiedzenia jéj za przykładem Prus wojny; tłómacząc, że sankcya pragmatyczna, zniesiona już współregencyą Franciszka Stefana, wskutek czego Józefina, jako najstarsza córka najstarszego Leopoldowego syna powraca do praw swoich.

Stanisław pozostał jeszcze nadal na stanowisku w Paryżu, pełniąc ku zadowoleniu swego dworu dyplomatyczne obowiązki. Radził on aby magnatów polskich uwiadomić o lidze z Prusami, na co się Brühl zgodził. Zadowolony z dotychczasowych powodzeń, domagał się nienasycony minister saski miasta Pragi a w razie odmowy czegobądź w zamian, „*pour pouvoir au moins faire des limites convenables à la Saxe* (2).

Nie skończyło się jednak na tém uroszczeniu; owszem żądza nowych zaborów coraz więcéj ogarnia chciwego faworyta. „Jeśli okoliczności — pisze 30 stycznia 1742 r. z Drezna do Poniatowskiego, nakażą wypędzić królowę węgierską z całéj Austryi, nie omieszkamy zaproponować tych krajów nowemu królowi rzymskiemu, wybranemu jak zapewne wiadomo W. Excelencyi, 24 b. m.; on bowiem ustąpi nam wzajem Czech albo przynajmniéj części, o któréj rozciągłości będziesz W. Excel. mógł powziąść wyobrażenia z załączonéj mapy." Przytém zaleca jak największe ostrożności względem króla pruskiego, przestrzega, aby się nie zdradzał z nieprzyjazném dlań usposobieniem, gdyż Fryderyk August musi obecnie względem swego północnego sąsiada odgrywać komedyą życzliwości (3).

Wypadki na teatrze wojny usprawiedliwiają z razu tak wyniosłe żądania. Dwudziesto dwutysięczna armia saska z naturalnym

---

(1) Ibidem. W drugiéj połowie października był Poniatowski w Dreźnie, bo tamtejszy korespondent do *Amsterdamskiéj Gazety* donosi pod dniem 28 października o jego wyjeździe do Frankfurtu.

(2) Ibidem. Brühl do Poniatowskiego 10 grudnia 1741 r.

(3) Ibidem.

synem Augusta Mocnego, hr. Rutkowskim na czele, wyruszywszy do Czech dla złączenia się z Bawarczykami i Francuzami, zostającymi pod wodzą Maurycego Saskiego; wespół z ostatnim zdobyla Pragę 26 listopada 1741 r. a Fryderyk August rozstawszy się ze złudném marzeniem o cesarskiéj koronie, głosował za Karolem Albrechtem (24 stycznia 1642 r.) aby tylko w zamian powiększyć swe dzierżawy. Zgodził się nawet późniéj dla ułatwienia zwycięstwa na oddanie saskiego korpusu pod rozkazy króla pruskiego, czém oburzony Maurycy pod dniem 19 lutego 1742 r. wystosował do Brühla ową lakoniczną depeszę: *Vouz n'aves plus d'armée* (1).

Z Maurycym Poniatowski dość w częstych zostawał stosunkach. Tytularny książe kurlandzki w czasie pobytu swego w Dreźnie, w styczniu 1742 r. wymógł na Brühlu, że ten lubo wcale chłodno i warunkowo, polecił wojewodzie popieranie jego sprawy. „Przypomniawszy sobie także — pisze minister 22 stycznia 1742 r.—że przyrzekłem W. Excelencyą zawiadomić, co myślimy w kwestyi widoków hr. Saskiego na księztwo Kurlandzkie, mam honor oświadczyć, że król ma dość przywiązania i przyjaźni dla hrabiego, aby nie być dalekim od sprzyjania mu we wszystkiém co w tym względzie da się zrobić (*ce qui sera praticable à cet égard*), i że jeśli nowa carowa nie wyswobodzi nieszczęśliwego księcia (Ernesta Jana Birena) i jego rodziny, a przynajmniéj jego syna; i jeśli monarcha arcy-chrześciański uzna za stosowne, wstawić się na dworze rosyjskim przez markiza de Chetardie za hr. Maurycym; J. Kr. Mość daleki od sprzeciwiania się temu, cieszyłby się owszem, gdyby mu się powiodło jakim sposobem usunąć przeszkody znane W. Excel. na przyszłym sejmie w Polsce, czém dwór nasz chętnieby się wówczas zajął.“

Oświadczenie powyższe jest tak ogólnikowém, zimném i nic nie mówiącém, a nawet w brzmieniu swém dyplomatycznie niejasném, że nie dziw, iż Poniatowski zagabnięty przez Maurycego, czy nie ma rozkazu działania na jego korzyść, odparł przecząco. To też oburzony już nieraz doświadczoną obłudą Brühla, donosi o tém hrabia w liście z Pragi 22 lutego i prosi z przekąsem „aby z nim raczył postępować nieco łaskawiéj,“ na co Brühl odwrotną pocztą (25 lutego) zaklina się na wszystkie obowiązki, że polecił wojewodzie popierać go u francuskiego ministerstwa, i każe zainterpelować Poniatowskiego na wypróbowaną jego uczciwość, czy nie odebrał w przeszłym miesiącu listu podobnéj treści (2). Pod dniem

(1) Ibidem i u Webera: Moritz, Graf von Sachsen, Leipzig 1870, p. 84.
(2) Archiwum tajne drezdeńskie, i ibidem.

16 czerwca wyczytujemy w jednym z ówczesnych dzienników, że wojewoda mazowiecki wybiera się wyjechać z Drezna do Polski (1); i w istocie musiał niebawem powrócić do kraju, bo 24 t. m. winszuje mu kardynał Lipski „szczęśliwego *ad propria redituri*" — nie on przeto, lecz syn jego na dniu 29 stanął w główném kwaterze austryackiéj armii, miał posłuchanie u naczelnego wodza, doniósł mu, że wojska saskie otrzymały rozkaz cofnięcia się i stawił kilka propozycyi w kwestyi ugody (2). Będzie to niezawodnie Kazimierz ten sam, co wpierw służył w Szwecyi, krótko zaś przedtém dostał się do austryackiéj niewoli i jeszcze 12 czerwca w obszernym liście żali się iż dotąd nie został wymienionym (3). Lipski we wspomnianym wyżéj liście podaje wojewodzie różne nowinki z kraju, którym niezupełnie możemy dać wiarę. Przynajmniéj nie wydaje nam się zgoła do prawdy podobném, aby hetman, Józef Potocki, jadący na wesele wnuczki do Załosic, „pełen był wiernych sentymentów" ku Poniatowskiemu i „*pro manutenenda tranquillitate publica.*" Zresztą kardynał pełen najlepszéj otuchy, nie lęka się wcale zaburzeń, lubo niedawno sam o nie tegoż Potockiego oskarżał, wbrew obawom wojewody, który go w téj kwestyi zapytywał. „Zewsząd, pisze, odbieram doniesienia o domowéj spokojności, i nie widzę, ktoby był tak mocny i akredytowany *in publico* ktoby ją chciał wzruszyć; w Litwie też nie rozumiem, aby kto chciał *turbare pacem* bo tam także *pluralitas pro conservanda pace* (4). Niedługo później w imieniu rodziny serdecznym choć francuskim listem, wita dziewierza tak długo rozłączony z wojewodą książę Michał Czartoryski (5). Wypowiadając żal, że dla ważnych interesów, wstrzymujących go jeszcze w Wołczynie, dopiero za dwa tygodnie będzie mógł po dwuletniem niewidzeniu, zobaczyć Stanisława, wyraża zarazem obawę, aby dwór nie wezwał go do nowych misyi. Przystępując do spraw politycznych, objawia niespokojność z powodu osobnego pokoju jaki przed trzema tygodniami (11 czerwca) zawarł z Maryą Teresą król pruski, zdradzając sprzymierzeńców, obawia się ztąd złych następstw tak dla Saksonii jak dla Polski. Powiada, że zawsze po-

---

(1) *G. d'Amsterdam* nr 51, z Drezna 16 czerwca.

(2) G. d'Amsterdam nr. 57 Du Quartier Général de l'armée autrichienne en Boheme le 30 Iuin „hr. Poniatowski" pisze po prostu Gazeta niedodając który.

(3) Praga 12 czerwca 1742. List pisany po francusku w archiwum X- X. Czartoryskich vol. 937.

(4) Z Krakowa 24 Junii 1742. Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 937.

(5) Wołczyn 3 lipca Archiwum XX. Czartoryskich vol 937. Jest to list bez podpisu, widocznie jednak pisany przez księcia podkanclerzego.

defrzywał o podobny krok przebiegłego Fryderyka, i że swych podejrzeń udzielił Brühl'owi przejeżdżając z Wschowy przez Wrocław, lecz minister uważał to za rzecz zgoła niemożliwą. Książe Michał okazuje się nawet osobiście interesowanym w téj sprawie, posiada bowiem kapitały na odstąpionéj królowi pruskiemu części Szląska zahipotekowane; spodziewa się jednak, że królowa węgierska zawarowała wreszcie wypłatę długów, ciążących na księstwie. Zdaniem podkanclerzego wreszcie nigdy nie było potrzebniejszem dla Polski zbliżenie się do Rossyi, jak w téj właśnie chwili.

Po powrocie do ojczyzny mimo zaręczeń Lipskiego, zastał Poniatowski, zwłaszcza w Wielkopolsce dość powszechne wzburzenie umysłów, o którem w ciągu czerwca, lipca i sierpnia szczegółowo uwiadamia Brühla. W listach pisywanych z różnych miejscowości, uskarża się nieustannie na intrygi stolnika litewskiego Sapiechy, znoszącego się z królem pruskim; na Potockiego wojewodę bełzkiego, sprzedającego nawet dworowi berlińskiemu dobra swe Horyhorki za 300,000 talar.; i na podkomorzego poznańskiego, na tajne konferencye we wsi Ordewii pomiędzy Wieluniem a Pamiątkowem. W województwie sieradzkiém podobno wylęgła się cała kabała; ku niemu téż przedewszystkiém zwraca swą uwagę Poniatowski, pospołu z książętami Czartoryskimi rozpisując listy, aby złe przytłumić w zarodzie. Radzi przytém, aby podkanclerzy koronny, Jan Małachowski, pisał do stolnika litewskiego, jako swego ojca, (zapewne teścia), radząc mu wyjazd do Saksonii dla uzyskania przebaczenia od króla. Wedle świeżych wiadomości wichrzyciele mocno się zatrwożyli pogłoską o pokoju Augusta III z Maryą Teresą, a więcéj jeszcze nowiną, że pułkownicy Błędowski i Milkan zmierzają ku Wielkopolsce. Co się tyczy królowéj węgierskiéj, dziwi go postępowanie jéj z królem polskim, tém bardziéj, że nie jest dla niéj rzeczą tajną, iż Fryderyk August przystąpił do ligi przeciw niéj tylko zmuszony, i że nie mógł uczynić inaczéj, chcąc uniknąć zupełnej swych ziem ruiny.

Malkontenci po różnych częściach Rzplitéj, jak okrom innych donosi kasztelan trocki Massalski, rozpowszechniają złośliwe pisma i agitują przez emisaryuszów, jak przez wielokrotnie wspomnianego agenta szweckiego, Bonę. Skoroby się tedy znalazły autentyczne dowody ich zdrady, należałoby aż do zwołania sejmików trzymać rzecz w ukryciu tak, iżby winowajcy nie mieli czasu do wymówek i obrony. Łagodność, jaką król w téj sprawie objawia, wprawia go w zachwyt. *J'adore*—„mówi,—*et j'admire la clémence et la bonté du Roi, de le voir porté à pardonner pourvue qu' on en temoigne le repentir; je me servirai de cette facilité pour precher l'Evan-*

gile" Wiedząc o zabiegach Poniatowskiego, pragną konfederaci *in spe*, zdyskredytować jego i samego nawet Brühla. I tak Rzewuski, pisarz koronny biega po deputatach trybunału lubelskiego rozgłaszając wśród nich poufnie, że wojewoda mazowiecki po powrocie z Francyi doznał na dworze złego przyjęcia i popadł w zupełną niełaskę—że podobnież O. Guariniego odprawiono z Rzymu, że król mianował komisyą dla zbadania nadużyć Brühla, że Sułkowski powraca na dawne stanowisko, że armia saska zniesiona, że August zmuszony przez Prussy, zawarł haniebny pokój z królową węgierską i t. d. W dalszym ciągu swych relacyi donosi 12 sierpnia o niebezpiecznej korespondencyi Jabłonowskiego, starosty czehryńskiego, z francuskim marszałkiem Belle-Isle; o machinacyach wojewody rawskiego, Stanisława Jabłonowskiego i o Bonie, który go ciągłémi swémi wycieczkami trapi oddawna. „Byłaby szkoda—mówi—aby ten nieszczęśliwy Bona uszedł, mając go z autentycznemi dokumentami w ręku, możnaby bez skrupułów w trybunałach królewskich sądzić wszystkich, co się do téj sprawy wmięszali". Ów „nieszczziśliwy" Bona, istotnie w kilka dni późniéj dostał się w ręce Brühla—a równocześnie rozbiegła się błędna wieść po kraju, jakoby znalezione przy nim papiery kompromitowały mocno Sułkowskiego, i jakoby ztąd wszchwładny ten niegdyś minister i faworyt Augusta osadzony został w Königsteinie (1). Nie ograniczając się na krajowej korespondencyi, znosi się nasz. bohater od czasu do czasu z zagranicą; i tak na interpelacyą jego odpowiada kardynał Fleury z Issy pod dniem 25 października 1742, że Szwecya daleką jest od mięszania się w sprawy polskie, ma bowiem dość własnych u siebie kłopotów (2). Stanowisko Poniatowskich i Czartoryskich, coraz więcéj związanych z dworem, dzielących z faworytem przywłaszczone nad Rzplitą rządy; bogacących siebie i swoje kreatury urzędami i królewszczyznami, występujących zgodnie przeciw wszelkim poruszeniom szlachty i możnowładzców; musiało od nich odwrócić serca ogółu i w następstwie przeciwstawić im silną partyą z Potockimi na czele, dokładającą wszelkich starań, aby ściągnąć *familią* z téj wysokości, na jaką się wdarła dzięki swéj zręczności i sprzyjającym okolicznościom. Stronnicza nienawiść stała się źródłem rozlicznych zajść między wrogiémi obozami, a żadne między niemi nie nabrało tak wielkie-

1) Correspondenz des Pr. ministrs Gr. v. Brühl vol. 36. List Poniatowskiego do Brühla 24 sierpnia.

2) Ibidem.

go rozgłosu, i tak jaskrawo nie zapisało się w dziejach współczesnych, jak smutnéj pamięci pojedynek między Adamem Tarłą, wojewodą lubeskim i najstarszym synem naszego bohatera, Kazimierzem Poniatowskim. Słynna ta sprawa, aż do ckliwości powtarzana po wszelkiego rodzaju dziełach, kompendyach i pismach czasowych; co nas zupełnie uwalnia od przypominania toku zdarzeń, o tyle jednak niezgodnie z rzeczywistością przedstawianą bywa, że opowiadamy ją zwykle ze stanowiska wręcz *familii* przeciwnego, źle z góry uprzedzeni do Czartoryskich i Poniatowskich, a nietajoną również sympatyą ożywieni dla Tarły. Nie należymy bynajmniéj do zwolenników pana Kazimierza, bo nie obce nam błędy i cała nicość tego człowieka; nie mniéj przecież nie pojmujemy sztucznego zapału i uwielbienia dla butnego młokosa, żeniącego się dla miłego grosza ze starą kobiétą, w nadziei rychłego jéj zgonu; bawiącego się w tkliwy romans z Anną Lubomirską, z gładką córą Krystyny i księcia Teodora, a za zupełnie zasłużoną odprawę mszczącego się na wojewodziance mazowieckiéj u marszałka koronnego Bielińskiego w sposób godny tego awanturniczego paliwody. Z takiego punktu zapatrując się na rzecz całą, w znacznie odmiennem świetle ujrzelibyśmy zajście między zuchwałym ulubieńcem szlachty a niepopularnym podkomorzym, stającym w o bronie urażonéj kobiety i siostry w jednéj osobie. Wypadłoby w wówczas, gwoli sprawiedliwości prawdę oddzielić starannie od fałszu, usunąć na stronę wszystko co jest płodem bujnéj imaginacyi otwartych przeciwników *familii* i co spada na karb plotkarsko-oszczerczego ducha czasu. Przystąpiwszy do osądzenia sprawy z pewnym zasobem objektywności i krytycznego zmysłu, przekonalibyśmy się jak wiele, ciekawe epizody téj dramatycznéj i efektownéj powieści, ucierpiały na stronniczości naratorów — wiedzielibyśmy co sądzić o takich rzekomo-autentycznych wypadkach, jak policzek dany jakoby Kazimierzowi Poniatowskiemu przez zapalczywą matkę, i nikczemną niby bojaźnią wywołany okrzyk tegoż podczas pierwszego pojedynku, „*kocham Pana wojewodę*“, o czém nie wspomina nawet sam Tarło, lubo mówi z przekąsem o „bladości“ i przestrachu adwersarza (1).

Ale zbyt już obszernie rozwiedliśmy się nad sprawą, obchodzącą nas jedynie o tyle, o ile w nią wmięszany ojciec jednego z aktorów tragedyi, wojewoda mazowiecki. Udział zaś sędziwego

---

(3) Adam Tarło w liście do stryja, wojewody sandomirskiego 14 stycznia 1744. Kopia w manuskrypcie Zakładu Ossolińskich nr 1387; 44.

męża w smutnym zatargu między dwoma młodzieńcami, mniéj znany publiczności, nie przynosi też wcale chluby, urokiem romantycznych podań otoczonemu Tarle. Jak wiadomo w książce wydanéj przez niejakiego „Obera“ pod napisem „*Szpieg polityczny i pospolity*, ktoś z partyi familii wystawił pierwszy akt tragedyi równie stronniczo jak przeciwnicy, na korzyść Kazimierza Poniatowskiego „grzecznego i pięknego kawalera, pełnego rozumu jak anioł“ a ze szkodą dla pana Adama, podanego na pośmiewisko od początku do końca i wołającego z trwogą, gdy go koń przygniata: „Jezus, Marya, Józef, jeżeli nie zginę, to zostanę kapucynem“. Oburzony pamfletem „graf-kapucyn“ posądzając ojca swego wroga, że „*directe* czy *indirecte*“ jest kompilatorem dziewiątegc „listu „szpiega“, opiewającego znaną przygodę; pisze doń grubiański list, gdzie wśród różnych obelg przypomina mu nizkie pochodzenie „Ojciec W-go Pana — mówi — nigdy nie był sposobny pójść w paragon z człowiekiem mnie równym“, poczem sędziwego Stanisława wyzywa na awanturniczą walkę, gotów stanąć „czy na szpadę, czy dzidę, czy pikę, czy bajonet, czy pistolety, czy fuzyą, czy muszkiet, czy armatę, czy beczkę prochu“... (1). To też ubawiwszy się zapewne tak śmieszną junakeryą nowego Don-Quichota, co wedle słów Kazimierza „oszalał z amorów“, odpowiada mu poważny wojewoda z nieukrywaną ironią. Zapewniwszy nasamprzód, że ani sam nie pisał paszkwilu, ani nie zna jego autora, wyraża zdziwienie „co za sprawę w téj całéj historyi ma jego ojciec, ile że jako szlachcic województwa krakowskiego, „consequenter równy wszystkim innym królestwa tego“, poczem dodaje humorystycznie. „Mówię zaś Wmć Panu, że młodym będąc, miałem w sobie krew burzącą jak kto inszy, ale przyznam się W-mu Panu, że teraz nie mam téj ochoty do bicia się z kim na dzidy, ani na szpady, mniéj eszcze na armaty, albo na beczkę prochu, tém bardziéj że żadnéj do tego nie widzę racyi“. Na tę dowcipną a tak przyzwoitą odprawę nowemi impertynencyami odzywa się Tarło. „Będę miał satysfakcyą z Was wszystkich — pisze — jak każdy poczciwy człowiek ma sobie mieć za poczciwość być waszym otwartym nieprzyjacielem“ i t. d. (2).

Mniéj wykwintną, ale złośliwszą natomiast odpowiedź otrzymał od młodego Poniatowskiego: „Znać mospanie — prawi pan Kazimierz wyniośle—że Waści historya nasza mało co znana; gdybyś ją był czytał, wiedziałbyś, że nasza familia tak dawna i tak do-

(4) Ibidem p. 40. Kopia listu Tarły do starego Poniatowskiego, z 2 listopada 1743.
(5) Ibidem z dnia 3 listopada.

bra, jak W-go Pana; i żeś był daleko mniejszym panem niż mój dziad, nimeś się ze swoją ożenił żoną, któréj pieniędzmi awansowałeś się i którą miasto wdzięczności teraz gardzisz". Jeśli przecież powyższe zdanie z wyjątkiem ostatniego ustępu, o niegodziwém postępowaniu z żoną, niewolne od przesady, trudno odmówić zupełnéj słuszności uwadze, że „jest to rzecz niepoczciwa, żeby młody człowiek jak W-ny Pan, kalumniami atakował człowieka w leciech podeszłego, który przez samą swoją reputacyą nie powinien się trzpicta poddawać szaleństwom" (1).

Nauka snać nie poszła w las, bo odtąd już wojewoda lubelski nie probuje zaimponować swą butą staremu Poniatowskiemu, a zwraca przeciw młodemu całą złość, która mu wkrótce zgotuje śmierć przedwczesną. Gdy później, już po tragicznym tym wypadku Jan Tarło wojewoda sandomirski, na grodzieńskim sejmie w gwałtownéj mowie domagał się sprawiedliwości za zabójstwo synowca, wojewoda mazowiecki bronił z wielkim zapałem i przejęciem sprawy syna, a w końcu zaklął zgromadzone stany, aby sądziły Kazimierza wedle całéj surowości prawa, jeśli go winnym uznają (2).

Tymczasem wkrótce w sytuacyi stronnictw, miała nastąpić uderzająca pod pewnym względem zmiana ról. Kiedy Potoccy z innymi możnowładcami domagają się naprawy skołatanéj bezrządem Rzplitéj, zwłaszcza aukcyi wojska, któreby bezsilnemu państwu wobec zagranicy dodało nieco powagi; a niemogąc tak ważnéj sprawy załatwić na niedochodzących sejmach, pragną konfederackiego związku—wówczas familia za sprawą Stanisława najgoręcéj sprzeciwia się tym planom, razem z ministrem faworytem, którego widmo konfederacyi straszy. Kiedy natomiast Potoccy napotkawszy nieprzełamane trudności, wyrzekają się przeprowadzenia swych zamysłów, podejmuje je familia, a najwymowniéj za niemi przemawia wojewoda mazowiecki. Tak osobliwa gra była naturalnym wypływem nietylko wielokrotnie wspomnianéj nienawiści, rozdzielającéj dwa te wielkie domy, lecz także skutkiem ich odmiennych widoków i sympatyi politycznych. Józef Potocki i jego zwolennicy, chcieli widzieć Rzplitą silną, zasobną i rozporządzającą liczném wojskiem. aby w danym razie módz wystąpić przeciw Rossyi, czego starali się uniknąć związani z nią Brühl i *familia*. Poniatowski i Czartoryscy zaś, pragnąc również obec-

---

(1) Ibidem p. 44, list z dnia 11 listopada.

(2) *G-d'Amsterdam* str. 88 z Grodna 14 października 1744.

nie ustalenia sił kraju, nie czynili tego bez pewnéj zewnętrznéj przyczyny. Nie śmiemy tu wydawać sądu o księciu podkanclerzym i wojewodzie ruskim, z których zwłaszcza pierwszy doczeka się, mamy nadzieję, większego niż dotąd uznania, skoro ciekawy jego żywot roztoczy się kiedyś przed naszémi oczyma w szczegółowéj a wyczerpującéj monografii; ale co się tyczy naszego bohatera, tośmy pewni, że on zachętę do działania w interesie reformy czerpał jedynie z zewnątrz, i to nietylko od dziewierzów, co naturalniejsze i zrozumialsze, lecz i od Brühla, co już dziwniejsze i na pierwszy rzut oka do zrozumienia trudniejsze. A przecież zdanie to uzasadnione i już przez poważnego pisarza wypowiedziane, że Stanisław pierwsze hasło do dzieła reformy wydał dla dogodzenia politycznym knowaniom faworyta. Mówimy o wydanéj na schyłku lat 1744 broszurze wojewody p. n. „*List szlachcica polskiego z prowincyi do jednego z przyjaciół w innėm województwie*“. Nader logicznym jest wniosek Roeppla, że Poniatowski właśnie w owéj chwili usiłował przeprowazić uchwałę pomnożenia sił wojskowych Rzplitéj, nie dla innych powodów, tylko dla zadość uczynienia jak zwykle woli Brühla, który wówczas wedle słów Fryderyka II, „niemal publicznie“ starał się wciągnąć Polskę w wojnę z Prusami, zerwawszy z niemi już po 20 grudnia 1743, t. j. w chwili zawarcia w Wiedniu traktatu z Austryą w obronie znowu sankcyi pragmatycznéj (1).

Ażeby jednak w razie udania się tego zamysłu, odnieść istotną korzyść z udziału anarchicznego państwa w téj wojnie, trzeba było co prędzéj postarać się o urzeczywistnienie dawnéj myśli hetmana, o podniesienie cyfry żołnierza tak koronnego jak litewskiego, i oto dla czego Poniatowski ukrywszy się za osobę „szlachcica z prowincyi“ ogłasza drukiem i rozrzuca na sejmikach projekt reformy jak na owe czasy bardzo trafny i śmiały, od którego streszczenia i szczegółowego rozbioru uwalnia nas fakt, że zrobił to już przed dziesięciu laty Schmitt (2), świeżo zaś Roepell, i że drugi nadto całą broszurę dziś nader rzadką, (3) wydrukował w francuskim przekładzie wysłanym do Berlina przez posła pruskiego Wallenrodta (4). Widzimy z niéj, o czém już wiedzieliśmy poprzednio,

---

(1) Roepel Pollen un die Mitte des XVIII Jahr hunderts p. 65. Adelung. Pragmatische Staatsgeschichte t. IV. p. 411.

(2) Schmitt, Dzieje Polski XVIII i XIX wieku t. I. p. 147—149.

(3) Wiemy tylko o jednym egzemplarzu, będącym w posiadaniu J. I. Kraszewskiego w Dreźnie.

(4) Roepell, Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts p. 65—69 i 208—228.

że jéj autor był znakomitym człowiekiem, bystro obejmującym każdą sprawę, czującym dobrze wielkie niedostatki ustroju nieszczęśliwéj Rzplitéj i umiejącym wynaleść środki dla zaradzenia złemu; a wśród czytania nie możemy tylko opędzić się żalowi, iż nie opłakany stan kraju, nie miłość ojczyzny, jeno wszechwładna wola nędznego faworyta, natchnęła go myślą przedłożenia rodakom podobnego projektu. Że tak a nie inaczéj było, widać to nawet z osnowy rozprawki napisanéj świetnie, grzeszącéj tylko pewnym brakiem ładu i proporcyi. Wady te wypływają nie tylko z pośpiechu, z jakim trzeba było pisać, aby list jeszcze na czas przed zwołaniem sejmików mógł był ujrzeć światło dzienne; lecz także ztąd, że Brühlowi, jak widać z uniwersałów, chodziło wyłącznie o pomnożenie armii i że przedewszystkiem do reformy wojskowości zalecał nakłaniać szlachtę. To też w broszurze wojewody aukcya wojska jest jak zauważył Roepell, punktem środkowym całości, wszystkie inne kwestye reformy zostają od niéj w stosunku zawisłości i mają się do niéj jak środki do celu; w istocie bowiem miały tylko służyć za sposoby dojścia do mety, lub za dodatek do głównego przedmiotu zabiegów dworu. Jeśli autor rozmyśla nad podniesieniem handlu i przemysłu, nad uwolnieniem ich od zdzierstwa jednostek a wprowadzeniem natomiast ogólnego, wszystkich obowiązującego cła; jeśli każe pilnować aby ulepszono skarbową administracyą, ze starostw istotnie kwartę do skarbu płacono i na Żydów nałożono stałe pogłówne, jeśli powstaje przeciw uwalnianiu szlachty i kleru od szelążnego i czopowego, jeśli pragnie zaprowadzić na korzyść Rzplitéj monopol w handlu tabaki i papieru, oraz urządzić właściwiéj pocztowe dochody; jeśli radzi całemu kraj miłującemu obywatelstwu, aby szło za patryotycznym przykładem kasztelana kijowskiego Kazimierza Steckiego, który na ostatnim sejmie ofiarował Rzplitej dziesiątą część wszystkich swoich dochodów (1);—jeśli dla zapobieżenia coraz większemu wyludnieniu doradza sprzyjanie małżeństwom a utrudnianie wstępu do zakonów, i zmniejszenie ogromnéj liczby klasztorów (w obec których staje na wolteryańskiém stanowisku), daléj uwolnienie miast z pod uciążliwéj dla nich niewoli i przywrócenie im dawnych praw, większą względność dla dysydentów, jeśli wreszcie domaga się częściowe-

---

(1) Czemu Poniatowski pierwszy nie poszedł za pięknym przykładem, którego naśladowanie tak wymownie zaleca, żądając od innych, aby swéj miłości do kraju „czynem" dowiedli?

go zniesienia *liberi veto* (1) i przyjścia z pomocą chodaczkowéj szlachcie; (2)--wszystko to czyni dla przeprowadzenia aukcyi wojska, bo wszystkie powyższe refoJmy umożebnić i ułatwić ją mają. Rzecz cala napisana pięknym językiem, zręcznie i przekonywająco a niektóre ustępy należałoby wówczas złotemi literami wypisać. Kończy się list trafnym zwrotem porównawczym do zagranicy: „Urządzenia wewnętrzne i ustawy zasadnicze Anglii—czytamy—nie różnią się wiele od naszych, a przecież jak ten rząd jest piękny i sława narodu doskonale utrzymana. Jak się dobrze rządzi Holandya i kantony szwajcarskie, wszędzie podziwiane i szanowane. Starajmy się naśladować te piękne przykłady, miejmy siły potrzebne. Starajmy się wprowadzić porządek dobry, a wszystko pójdzie wyśmienicie. Przyjaźń nasza będzie szczera i wszyscy będą chcieli wchodzić z nami w przymierza. Sława naszego narodu wzrośnie i ustali się między wszystkiemi narodami obcemi,“ Wymowne te słowa nie przebrzmiały zupełnie bez echa, co widać z obrad następnego, znów niestety na niczém pełznącego sejmu, z powszechnéj niemal gotowości do datków i ofiar, przyczém jednak oświadczenie ks. Teodora Lubomirskiego, że wystawi dla Maryi Teresy 12,000 ludzi, jak niemniéj zastrzeżenia wielu posłów, że pragną pomnożenia wojska, lecz nie nowych aliansów lub co gorsza wojny, wskazują dowodnie, do czego dwór zmierzał.

Nieslychanie ożywiona w téj porze korespondencya między Brühlem a Poniatowskim, trwająca bez przerwy od upadku Sułkowskiego aż do czasu, kiedy stosunki fumilii z ministrem chłodną i w końcu się zrywają, a tak liczna, że składa grube tomy; stanowi na pozór cenny dla biografa materyał, w rzeczy zaś saméj malo jest dlań użyteczną. Przez ciąg wielu setek listów bowiem spotykamy się z témi samémi sprawami, wiecznie z temiż samemi stereotypowo powtaranemi frazesami; a wśród monotonnego szablonu jedyną rozmaitość stanowią, odmienne imiona protegowanych do tego lub owego wakansu, nazwy tych lub owych wsi i starostw,

(1) Autor występuje przeciw zwyczajowi umieszczania w instrukcyach poselskich pewnych zleceń, mających się przeprowadzić choćby za cenę zatamowania obrad („*etiam cum discrimine comitiorum*“).

(2) Chodaczkowi w zamian mają oddawać synów na kadetów. Poniatowski ma z swéj strony pracować nad powiększeniem ludności, zakładając nową kolonię Tatarów, za co mu w imieniu królewskim składa podziękowanie Brühl w liście 14 sierpnia 1743. Arch. ks. Czartoryskich, vol. 937).

o które korespondent prosi dla siebie lub swoich (1). Takąż samą cechę noszą, podobne do siebie jak podobne dwie krople wody odpowiedzi Brühla, donoszącego zwykle, że król przychyla się do żądań wojewody lub że prośbom jego stanie się niezawodnie zadość, lecz August rozporządzi wakansami dopiero po powrocie do Polski - z tą tylko małą różnicą; że minister musi niekiedy zwracać uwagę przyjaciela, iż gorliwość jego przedwczesna, bo człowiek, po którym królewszczyzny dla siebie lub dla kogoś pragnie, żyje dotąd, z czego widać, że Stanisław aby się nie dać uprzedzić, już wówczas co prędzéj upominał się o urząd lub o starostwo, gdy jego posiadacz śmiertelnie zachorował, mając nadzieję że nieszczęśliwy umrze, zanim list nadejdzie do Drezna. Po za stałą kwestyą wakansów, dość stosunkowo częstą rubrykę w listach wojewody stanowią wielce pożądane oskarżenia, wymierzone przeciw ludziom źle dla dworu usposobionym; wskazówki i rady w sprawach ogólnéj europejskiéj polityki, wreszcie żale z powodu oszczerstw jakie na niego i na familią rzucają niechętni, za które Brühl radzi mścić się wzgardą i zapomnieniem. Polityczne dysputy rozpoczynają się między nimi na nowo od chwili śmierci cesarza niemieckiego 20 stycznia 1745 r. Poniatowski pragnie w tak ważnéj chwili stać się królowi użytecznym, dla tego przesyła własne i innych statystów (np. hrabiego St. Severin) poglądy na sprawę przyszłéj elekcyi, i radzi jak umie coby wśród danych warunków, dla wyniesienia Augusta na tron cesarski czynić należało. Brühl ze swéj strony wtajemnicza go w swoje plany i prosi o poparcie dla dopięcia takowych. Ponieważ naglące sprawy cesarskiego wikaryatu zniewalają króla do bawienia w Niemczech, lęka się przeto minister aby nieobecności monarszéj w Polsce źle nie tłómaczono; zaręcza jednak i prosi o zapewnienie szlachty i magnatów, że Fryderyk August przybędzie, skoro tylko będzie mógł, zbyt bowiem sumiennie spełnia swe zo-

---

(1) Z pomiędzy licznych petycyj dla familii, jedna szczególniéj zasługuje na uwagę, Poniatowski prosi z Warszawy pod dniem 29 listpada 1747 o probostwo wieluńskie osierocone zgonem Miastkowskiego dla najmłodszego syna Michała. Przyszły proboszcz był jednak 11-letnim, słabowitem dzieckiem. Ojciec mimo to nie traci nadziei, że wyzdrowieje i że zostanie księdzem, zawsze bowiem czuje powołanie do duchownego stanu. Jeśliby kto zarzucił, że nie jest kapłanem, to należy pamiętać że biskup Rakowski (Lipski) w 14 roku życia miał to beneficyum, to jest *sine cura animarum* a ks. biskup poznański Czartoryski, na sześć czy siedm lat wpierw nim otrzymał święcenia. *Tajne archiwum drezdeńskie.* Zbiór listów noszących ogólny napis: *Poniatowski* w którym są również listy ks. Andrzeja i ks. Józefa Poniatowskich i t. p.

bowiązania *(est trop religieux observateur de ses engagements)* i zbyt kocha Polskę, aby mógł kiedykolwiek opuścić jéj interesa (1).

Z pośród listów wojewody najobfitszym w ciekawe wiadomości jest pismo z dnia 18 marca, w którém donosi, że w Załosiu u hetmana zgromadziła się cala rodzina Potockich, na naradę w sprawie spodziewanéj konfederacyi; w razie, gdyby przyszła do skutku jak już nawet głoszą w Stambule liga między Rossyą, królową węgierską i polską, że dla porozumienia się z Portą wyprawił Józef Potocki do Turcyi jezuitę imieniem Borowskiego, otoczonego licznym orszakiem towarzystwa. Aby w drodze nie doznawać przeszkód, jechał sprytny ojciec pod przybranym tytułem nadzwyczajnego królewskiego posła, ale nieszczęście chciało, że w Chocimiu bystry basza mimo świeckiego stroju odkrył w nim zakonnika i domyślając się podstępu, uwięził go aż do rezolucyi Porty. Jaki los późniéj spotkał biednego jezuitę nie wiemy.

Mimo machinacyi hetmana, podziela Stanisław zdanie Wacława Rzewuskiego wojewody podolskiego, że nie potrzeba się wcale obawiać konfederacyi, gdyż Polacy zanadto już rozmiłowali się w pokoju, aby intrygantom chcieli podać dłoń pomocną.

Wiecznie chwiejny i zmienny Brühl mimo rozpoczętych z Francyą układów, przechylił się znów ostatecznie na stronę Maryi Teresy, i wespół z nią rozpoczął niefortunną kampanią z Fryderykiem II. To też zwątpiały nieco w obec powodzenia pruskiego oręża, w liście pisanym z Drezna 29 listopada pociesza się nadzieją, że „Wszechmocny nie opuści *dobréj sprawy*"; a zapewniwszy, że król o ile to będzie możebném, postara się uczynić zadość głosom Polaków, pragnących go ujrzeć w Rzplitéj, dodaje pobożne życzenie, nad którego urzeczywistnieniem pracował oddawna: „Quel bonheur et quelle gloire, si la Pologne pouvait à cette occasion faire quelque chose pour son Roy"—t. j., gdyby Rzplita dla pięknych oczu jego i Fryderyka Augusta zechciała się narazić na wojnę z Prusami (2).

Podobnémi słowy przemawia i znany nam już Saul, 7 grudnia 1745, z Pragi, dokąd przed Fryderykiem II zbiegł już Au-

---

(1) List Brühla do Poniatowskiego z Drezna 3 lutego, Archiwum X. X. Czartoryskich vol. 937. Bardzo podobnie brzmi późniejszy list Brühla z 17 kwietnia w tejże materyi do podkanclerzego koronnego, Małachowskiego (Schmitt Dzieje Polski z XVIII i XIX w. p. 223—224).

(2) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 937.

gust (1), ale przemawia nadaremnie, bo w Polsce największa owszem niechęć wrzała przeciw dworowi. Z wspomnianym panem Saul, zostawał Poniatowski w nader serdecznych i poufnych stosunkach, i przesłał mu obraz obecnego stanu spraw w Polsce i opis tamtejszych rozruchów, czego ten jak zapewnia, nie omieszkał stosownie zużytkować. Donosi też nawzajem, że król powołał istotnie Potockiego, wojewodę bełzkiego do siebie, ale w tym celu, aby w kraju nie mógł knuć intryg, że gdyby wojewoda bracławski Jan Świdziński przybył na dwór, nie lepszego odeń doznałby przyjęcia—że król nie chce zgoła słyszeć o zawiązaniu konfederacyi, zwłaszcza podczas swéj nieobecności w kraju.

Gdy z powodu ciągłych wojen potrzeba też było armii saskiéj więcéj niż zwykle broni, usłużny zawsze Stanisław podjął się ułatwić nabycie takowéj z obfitéj w żelazo, a tak sobie dobrze znanéj Szwecyi. Przeprowadził z tego powodu korespondencyą z ministrem szwedzkim, hr. Gylenborgiem za pośrednictwem posła sztokholmskiego dworu w Dreznie Wulfvenstierny i podał Brühlowi ceny i koszta transportu (2). Stosunek z Wulfvenstierną umiał nadto wyzyskać na własną korzyść, a mianowicie na podniesienie za pomocą przemysłu dochodów z ziem swoich w sposób, o jakim nie myślano jeszcze wówczas w Polsce. Porozumiewał się w tym celu z Wulfenstierną, aby popiół paprociany (3), który się w jego majątku znajdował w wielkiéj obfitości i materya (*la calamine*) z dóbr X. Augusta, jako też wełnę sprzedawać wprost do Szwecyi bez pośrednictwa trzecich osób, przewożąc te towary, jak radził poseł, przez Elbląg, iżby Gdańszczanie nie nakładali na nie opłaty. Równocześnie znosi się Poniatowski listownie od czasu do czasu z Kardynałem Lipskim, który z królewskiego upoważnienia miał jednać zwaśnionych z familią, Potockich i Tarłów. Widać to już z listu kardynała pisanego 22 kwietnia 1745 z Kielc. W dziesięć dni późniéj, 2 maja, donosi Lipski z Borzęcina, jako z odpowiedzi wojewody sandomirskiego wnosi, „że ten interes decyzya przyjacielska terminare może.“

---

(1) Ibid. „Entre tout cela il y a apparence qu'un accomodement particulier avec la France aura bientôt lieu, par où les cours d'Hanovre et de Baviere fourniront aussi des troupes contre le Roy de Prusse. *Plût à Dieu, que la Pologne pût aussi figurer dans une si belle occasion!*“

(2) Sprawę tę traktują listy Brühla z 3 kwietnia i listy Wulfenstierny z 15 kw i 13 czerwca 1745. Archiwum XX. Czartoryskich, v. 937.

(3) „Une quantité considerable de cendres de fougère, ou ce qu'on appelle *Kotasche*,“ pisze Wulfensterna 13 czerwca 1745.

Miejscem spotkania ma być Lublin; obiecuje tam zjechać *ile authorisatus* rozkazem Jego Król. Mości," nauczony jednak doświadczeniem, że pojednawcze zjazdy źle się nieraz kończą, prosi usilnie, „aby unikać wszelkich nowych exacerbacyi, aby téj planty nie popsuć. Przeciwnicy jednak nie zjechali się (jak pisze kardynał 4 lipca z Dobrohory) dla tego, że „Jmpan wojewoda sandomirski żadnego nie uczynił *passum* do Jmć Pana hetmana, aby się zbliżył ku Lublinowi, a Jmć Pan hetman *et si vult facere, vult rogari*, jako przy zgodach i kompromisach jest rzecz przyzwoita." W ogóle jednanie szło bardzo opornie, bo w liście pisanym z Warszawy 24 lipca zapewnia kardynał, że Tarło okazuje gotowość do załatwienia sprawy w drodze polubownéj, i każe sobie już dziękować za pojednanie różnych rodów i przywrócenie spokoju w łonie Rzplitéj; ale w dziesięć dni późniéj (4 sierpnia) snać się przekonał, że radość była przedwczesną, bo mówi z żalem: „Ja wszelkie moje *passus bona fide* czynię i akcye moje funduję *in aequitate*, ale intencyi Mci Pana Wojewody sandomirskiego nie wiem, czy *ad finem* uspokojenia, czy *ad protestationes differentiarum* z Jmć Państwem *tendit*." Zniechęcony złym obrotem sprawy zrzekł się podobno kościelny dygnitarz dalszéj roli pośrednika, bo jest to już ostatni jego list w téj sprawie (1).

W półtrzecia roku później, na początku 1749, uderza nas dziwny wypadek, widzimy pisujących do siebie dwóch zaciętych wrogów, w-dę mazowieckiego i hetmana wielkiego kor.; a pisujących na pozór przynajmniéj serdecznie i przyjaźnie, oświadczając sobie *cultum infinitum*, udając wzajem nazwy „uprzejmie kochających braci i sług uniżonych." Korespondencyą tę wywołała potrzeba publiczna, zapisany smutnie w dziejach upokorzeń Rzplitéj przechód 37,000 armii rossyjskiéj, co spiesząc na przeciw Francyi, przeszła bez zapytania o pozwolenie, przez Polskę na Grodno i Kraków. Gdy wieść o tym zamiarze dość wcześnie doszła do uszu Potockiego, doniósł dworowi co rychléj „o téj niespodziewanéj na Rzplitą nawalności" pytając co ma począć; ale strwożony Brühl, nie śmiejąc się oprzeć samowoli silnego, a zaprzyjaźnionego z Saksonią sąsiada, a nie mając czoła upoważniać jéj, ratował się jak zwykle małodusznem milczeniem. Zostawiony bez rady i pomocy hetman, wyrzeka na swe położenie, wyraża obawę, iż Rossya przechodząc Polskę „pokaże jawnie, iż zna debilitatem sił naszych,

(1) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 937.

jako uczyniła, kiedy krajem naszym wtargnęła na Wołoszczyznę.“ „Ja—dodaje—lubo mam *lege publica* powierzoną sobie straż granic Rzplitéj, i nie schodzi mi jeszcze na sercu i na ochocie służenia ojczyźnie mojéj, ale dla szczupłości wojska zatamować tego wtargnienia nie potrafię.“ Proponowane przez Poniatowskiego a nieznane nam bliżéj środki, uważa za bardzo dobre, lecz nie śmie ich użyć, ile że ani przez króla, ani przez radę senatu nie upoważniony, aby jeszcze „miasto wdzięczności nie zarobić na cenzurę.“

Opłakany stan kraju, zniewolonego do cierpienia podobnéj zniewagi, wydobywa z piersi jego westchnienie, że dawane przezeń ongi rady nie odniosły skutku. „Gdybyśmy byli—mówi—tak potrzebną i tak zbawienną a dawno pożądaną zrobili aukcyą wojska, nie bylibyśmy exponowani tym, które nas ledwie nie zewsząd czekają, niebezpieczeństwom. Poniatowski żądał snać z natchnienia dworu, aby sam Potocki ze swego ramienia mianował komisarzy dla pilnowania przemarszu wojska, bo ten mówi: Może w to się wdawać i naznaczać komisarzów, rozumiem, że *non convenit*, ile że to *sapit materiam status*, bo ja mając sobie *commissam custodiam* granic, zdawałbym się nietylko *conivere*, ale i niby *favere* téj, krzywdzącéj wolność i honor nacyi i traktat prutski imprezie.“ Tak pisał z Brodów 14 stycznia 1748 r., ale w niewiele dni późniéj, jak widać z listu jego pisanego 28 stycznia, postanowił przynajmniéj prywatnie „*solo motivo* uniknienia ruiny kraju“ uwiadomić o przejściu armii rossyjskiéj tych wojewodów, przez których ziemie marsz się odbędzie, i zaproponować im, jak dodaje z przekąsem, „*altissima prudentia*,“ Poniatowskiego „ułożone sposoby uczynienia porządku na przeprowadzenie tych wojsk auxyliarnych, na prowidowanie dla nich prowiantów i furażów, a to *consulendo integritati* fortun braci.“ Ale owa na pozór przyjacielska korespondencya między naczelnikami dwóch wrogich domów, nie wprowadziła wśród nich bynajmniéj miłości i zgody. Owszem w roku następnym przyszło do srogiego wybryku tłumionych namiętności, do bezprzykładnego nawet w dziejach nierządnéj Rzplitéj zerwania piotrkowskiego trybunału; z powodu że o marszałkowską na nim laskę dobijał się znany nam syn naszego bohatera, w. podkomorzy, i Potocki starosta tłumacki, synowiec hetmański. Drugi otrzymawszy od stryja w pomoc oddział komputowych Tatarów, okazał się silniejszym; p. Kazimierzowi przyszło uchodzić z obawy, jak głosili jego adwersarze, by jako „Ciołek nie był zrąbanym na sztukę mięsa.“ Smutny ten wypadek wielkie w Dreznie wywołał zgorszenie. Z wiadomością o nim przybył umyślnie na dwór Szembek kanonik

katedralny krakowski (1). Niemal równocześnie odzywają się w téj sprawie do Stanisława August, Brühl i z ich polecenia, niedawno podkanclerzym mianowany X. Wodzicki. Ostatni pod dniem 22 października opisawszy, ile król boleje nad piotrkowską burdą. powiada, że „jako zawsze wiele zwykł tribuere doskonałym radom i zupełnemu *in politicis* doświadczeniu, tak żąda skutecznych jego sentymentów, *quid facto opus sit*, aby *grave hoc in populo scandalum* lepszym jakim nagrodzić i naprawić sposobem i rozlicznym nieszczęśliwościom, któreby *ex hoc fonte mali* wypłynąć mogły, wcześnie i dostatecznie zabieżeć. Sam Fryderyk August w trzy dni później z Hubertsburga użala się na zajście w Piotrkowie i aby być pewnym spokojności podczas sejmików uważa, za niezbędne i żąda, iżby zwaśnione rody „wyrzekły się zastarzałéj nienawiści i pojednały się szczerze.“ Zaklina więc w-dę na przywiązanie do tronu i na miłość ojczyzny, aby do tyle pożądanéj zgody doprowadzić, a do życzeń tych i Brühl swe prośby dołącza (2). W trzy dni po wydaniu dwóch ostatnich listów przybył do Huberstburga umyślny z depeszami w-dy mazowieckiego, odpowiadającego już zapewne na pismo X. podkanclerzego (3).

Gdybyśmy dalsze życie Poniatowskiego chcieli opowiadać z uwzględnieniem sytuacyi familii i jéj działań, moglibyśmy tomy popisać; o nim samym jednak nie umielibyśmy już wiele ważnego powiedzieć, jakkolwiek bowiem żyje jeszcze lat kilkanaście; a nawet w r. 1752 postępuje na pierwsze krzesło w senacie, na kasztelaństwo krakowskie (4), to przecież złamany wiekiem i trudami, w pracach *famili* zawdzięczającéj mu w znacznéj części swe wyniesienie, już nie uczestniczy; nie toczy wraz z nią zaciętéj walki z Brühlem, lecz zostawiając to młodszym, sam w poniewolnéj bezczynności spędza późną starość. Już też wówczas i jego korespondencya ustaje niemal zupełnie z wyjątkiem nielicznych listów, jakie otrzymuje w sprawie swych synów, nieraz od koronowanych głów, jak od Maryi Teresy (1761 r. 8 czerwca) i od Fryderyka II (1 lutego 1761), który wziętego do niewoli młodego Andrzeja Poniatowskiego, na słowo wypuszcza na wolność (5). Niedługo potém, 23 sierpnia 1762 umarł w Rykach w województwie lubelskiém.

---

(1) Gaz. d'Amsterdam, nr. 89.
(2) Wszystkie te listy w archiwum XX. Czartoryskich, vol. 937.
(3) Gaz. d'Amsterdam nr. 89 z Drezna 29 października.
(4) Ibidem, nr. 86 „Cinqnieme session le 6 Octobre.“
(5) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 937.

Stanąwszy u kresu końca naszego zadania, dociągnąwszy aż do śmierci, rys długiego i w wypadki tak obfitego życia Stanisława, mamy teraz obowiązek spojrzeć wstecz na jego działalność, rozwijającą się w ciągu trzech panowań, z których dwa obejmują sześćdziesięciokilkoletni okres czasu, i wyrzec o niéj sąd ogólny.

Niejednokrotnie już wprawdzie, przy poszczególnych wypadkach i czynach mieliśmy sposobność objawić swe zdanie, u samego już wstępu skreśliliśmy zwięzłą charakterystykę naszego bohatera; ale dla czytelnika był to wyrok w pierwszym razie odosobniony i jednostronny, w drugim przedwczesny, bo wydany z góry, nieusprawiedliwiony jeszcze tokiem zdarzeń. Inaczéj obecnie, gdyśmy już przebiegli wszystkie ważniejsze chwile zawodu Poniatowskiego, i gdy mając szeroką do sądu podstawę, z sumy rozlicznych faktów możemy wyciągnąć sprawiedliwe, bo łatwe do sprawdzenia wyniki. Uczynimy to krótko i treściwie, napomykając rzecz tylko i odsyłając pamięć czytelników do kart poprzedzających, aby się nie powtarzać niepotrzebnie. Otóż tuszymy sobie, że jeśli z całéj niniejszéj pracy wypływa jako ostateczny wyraz: niewątpliwa pewność olbrzymich talentów i zadziwiającéj zręczności kasztelana krakowskiego, słowem warunki na człowieka, zdolnego do wielkich czynów; to nie mniéj widoczną rzeczą, że z tak wielkich darów, dla społeczeństwa dla narodu żadna korzyść nie wyrosła. Mimowoli nasuwa się tu pytanie, dla czego? dla czego mąż tak znakomity, dochodzący o własnych jedynie siłach do najpierwszych dostojeństw, stojący na czele silnéj partyi, podziwiany przez współczesnych, uczestniczący niemal przez długie lata w rządach nad krajem, bo mający na dworze przeważne wpływy; człowiek bystry i na sprawy ojczyste patrzący w gruncie nie zaćmionem przesądami okiem, wiedzący jak rodzinną nawę chronić od rozbicia — dla czego mówię człowiek ten przez kilkadziesiąt lat publicznéj działalności, nic dla ogółu nie zrobił; dla czego w tak smutnych czasach nie przyczynił się do powstrzymania ojczyzny nad brzegiem przepaści, lecz owszem postępowaniem swém jeszcze ją w otchłań pogrążał? Pozornie trudna, jest wszakże odpowiedź na powyższe pytania dość łatwą i prostą. Człowiek to tylko zwyczajnie osiąga, co sobie założył i do czego całą duszą statecznie dąży.

Poniatowski zmierzał wytrwale do jednego celu, t. j. do własnego w społeczeństwie wyniesienia, i z owego też zadania świetnie się wywiązał. Czy jednak kiedykolwiek pracował wyłącznie i wyraźnie dla dobra ojczyzny, którą zresztą tak często miewa na ustach? Przywoławszy na pamięć całą jego przeszłość, od kolebki aż do grobu, nie moglibyśmy podobno wymienić sumiennie ani

jednego wypadku szczeréj i bezinteresownéj służby dla Polski. Służył on w ciągu swego żywota wielu ludziom i krajom, służył Szwecyi, Saksonii, Karolowi XII, Leszczyńskiemu, Augustowi II, Augustowi III, Brühlowi, *familii*, a przedewszystkiém – sobie, ale nigdy ojczyznie. Nawet wówczas, gdyś pewny, że to nie podejrzana robota, złożona na ołtarzu dobra publicznego, a mająca jedynie na względzie odrodzenie narodu, że *list szlachcica polskiego*, to czyn wysokiego patryotyzmu, zdolny wiele plam zatrzeć—nawet wtedy musimy zaprzeczyć, aby choć owych kilkanaście drukowanych kartek mogło w tym kierunku poprawić jego reputacyą—uważać je bowiem należy za pracę oficyalną, zawdzięczającą swój początek świętéj dlań woli Augustowego faworyta; wcale nie w miłości dla Rzplitéj czerpiącego pochop do zaprowadzenia w niéj pewnych odmian. Nierównie szczerzéj wzięli się późniéj do dzieła reformy XX. Czartoryscy, a jeśli i oni pod wielu względami nie są wolnymi od zarzutów (choć nie takich, jakiemi ich obarczają pisarze stronni i namiętni) jeżeli i oni nie umieją oddzielić sprawy publicznéj od ambicyi i miłości własnéj i własnego interesu, jeśli częstokroć nie przebierają w środkach i gubią kraj – to przeważna większość tych win, spada na spoczywającego już wprawdzie wówczas w grobie krakowskiego kasztelana; bo on to właśnie był ich mistrzem i duchowym rodzicem, bo on to w znacznéj części wpoił w nich swoje zasady i sympatye, swój sposób postępowania; lubo z początku zwłaszcza, nie zawsze i wszędzie szli jego torem, lubo n. p. X-że Michał, jakeśmy widzieli, brzydząc się niegodném odstępstwem dziewierza w r. 1734, jeszcze przez dwa lata mimo wszelkich z jego strony zabiegów, dochowuje wiary Leszczyńskiemu. Czartoryscy w chwili połączenia się z Poniatowskim byli zaledwie dwudziestokilkoletnimi młodzieńcami; nie dziw przeto, że na wrażliwe ich umysły przykład i obcowanie z człowiekiem tak zdolnym, zręcznym wymownym, silnie podziałały i wycisnęły na nich niezatarte piętno. Było to rzeczą naturalną i psychologicznie nieuchronną, nawet szlachetniejsze i sprawą publicznego dobra ożywione dusze książąt, nie mogły się wyjarzmić z pod wpływu osobistości, mającéj za sobą tyle doświadczenia i obdarzonéj tak wysoce darem przekonywania. On im narzucił swoją metodę postępowania, tłómacząc zapewne, że do najwznioślejszych nawet celów nie dochodzi się drogą prostą, lecz krętemi ścieszkami—i dla tego uważamy go za największego u nas w pierwszéj połowie XVIII wieku politycznego winowajcę. Jest nim jako wyjątkowy, genialny człowiek, nietylko ze względu na to co zrobił, lecz i na to czego nie zrobił, a czego powinien był dokonać. Mógłby wprawdzie kto zarzucić, że może

pośród smutnych stosunków, opłakanego stanu kraju, zaciekłości stronnictw, przy najlepszych nawet chęciach nicby dla ojczyzny uczynić nie zdołał. Przyznajemy, że położenie było trudne, pojmu jemy, że nawet potężna głowa mogłaby się rozbić wówczas o twardy mur szlacheckiego i możnowładczego zaślepienia; że potok anarchii mógł swym pędem przełamać silne tamy — ale gdybyż się był przynajmniéj starał oprzeć jego rwącym nurtom, gdyby był popróbował walczyć z szaloną falą!

Z szacunkiem wówczas ugięlibyśmy przed nim czoła, w myśl dwóch rzymskich orzeczeń, pamiętając, że zwyciężony w walc o dobrą sprawę ma prawo liczyć na sympatyą Katona (przez którego rozumie się tutaj w ogóle ludzi szlachetnych), w wielkich rze czach i chcieć, t. j. złożyć dowody, że się dla ich urzeczywistnie nia pracowało — to dosyć!

K O N I E C.

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a

przekład

Maryi Faleńskiéj.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ V.

Podziemny ogień.

Zaszła nagła zmiana w stylu i w tonie powieści panny North. Rozpoczęta na sposób ładnéj idylli, malowała ona westchnienia dusz szlachetnych, patos rozstawania się kochanków; teraz napełniła się pomroką niechęci, odwetu, nienawiści świata. Następujący krótki wyciąg, wystarczy jako próbka nowego sposobu pisania autorki, i zarazem objaśnić może przyszłe jéj fata.

„Kiedyśmy w poprzednim rozdziale żegnali Wirginię Northbrook, znajdowała ona bezpieczeństwo i podporę w towarzystwie najszlachetniejszego człowieka; teraz gdy się odwróciła, z gorzkiemi łzami w oczach, poczuła niestety jak gorzką ironią świat stał się dla niéj; a młoda jéj i pełna zapału natura, zrażała się i silnie bolala jakby zraniona okrutnym egoizmem bliźnich. Wszystko naokoło niéj zamgliło się. Wesołe też słonko nie świeciło już nad szmaragdowemi łąkami w D., natura sympatyzowała z jéj zranioném sercem; ptaszki nawet oniemiały i z uszanowaniem zdawały się przypatrywać smutnéj postaci nieszczęśliwéj dziewczyny.

Krajobraz naokoło okrył się czarnym cieniem, a snujące się owady, zdawały się w przerażeniu oczekiwać natychmiastowéj burzy.

„Dla czegoż prawdę ukrywać? Okrutne rozłączenie, któreśmy opisali, nie było zgoła potrzebném, było ono skutkiem ego-

izmu i złośliwości tych, którzy powinni byli być lepszymi; postanowili oni rozerwać serca naszych dwojga kochanków, i podstępne ich zabiegi odniosły pożądany skutek. Niestety! kiedyż się tego chciwość nauczy, że istnieje coś wznioślejszego i szlachetniejszego od miłości złota i od owego obłudnego blichtru, który zowią światową przyzwoitością? Dla czegoż nie mają dwa młode serca dopełnić wspólnie swoich przeznaczeń? Dla czegoż muszą być koniecznie przemocą od siebie oderwane, by je krwawiące rzucono w otchłań niedoli, gdzie wygasa już wszelka nadzieja, a dusza pozostawioną jest na pastwę najstraszliwszym męczarniom?

„Ale należy nam unikać narażenia czytelników na złe zrozumienie stanu duszy Wirginii w tém okropném jéj położeniu, i dla tego dokładniéj chcemy opisać jej obecne wrażenia. Czuła się samotną, mając przeciw sobie cały świat zimny i bezduszny, ale czy przeto była przygnębioną? O, nie! Duch jéj nadto był silny aby to stać się mogło. Dziwną to było właściwością usposobienia naszéj bohaterki, że podczas gdy w obec dobroci, miała łagodność dziecięcia, i wdzięczność umiała czuć głęboką za okazywaną jej przychylność, srogie obejście w szał ją wprawiało. Gdy po rozstaniu się z Gilbertem, wracała do domu w kierunku C. G... dusza jéj bardziéj była nieustraszona jak kiedykolwiek.

— Czy myślą oni, że mię zwyciężyli? zawołała na głos, z uśmiechem wściekłego szyderstwa na twarzy. O nie! dowiedzą się wkrótce, że pod tą zewnętrzną postacią młodego dziewczęcia, kryje się odwaga i stanowczość kobiety!

Biedna ta istota na bezdroża strącona, w błąd samą siebie wprowadzała. Nie była to już kobieta—ale furya! Pchnęły ją ku temu rozpacz i okrucieństwo. Nie byłoż to smutną rzeczą, widzieć ów młodociany i niewinny umysł knujący plany nieubłaganéj zemsty nad temi, którzy ją z kochankiem rozłączyli, ze względu na marne przesądy świata, obojętnego na cierpienia dusz wybranych?

Tak jest czytelniku, tobie sąd nad nią pozostawiamy; zawyrokuj, czy zasługuje ona lub nie na uniewinnienie; ale w tym razie, daj nam odwołać się do twego miłosierdzia i nie zapominaj jakim sam byłeś w jéj wieku. Zachowujemy do następnego rozdziału opis planu obmyślonego przez Wirginię, a także środków, jakich użyła w dalszém jego przeprowadzeniu."

W tém miejscu urojonego życia naszéj bohaterki, nastąpiła w niém dosyć znaczna przerwa, spowodowana tém, iż rzeczywistość stała się dla niéj bardziéj pełną zajęcia i wyłącznie zabrała

całą jéj uwagę. Wirginia Northbrook musiała ustąpić miejsca Violecie North. Szczegóły zatém planu wyżéj wzmiankowanego, musi nam tu skreślić inna ręka, w mniej poetyczny wprawdzie sposób.

Przedewszystkiém tedy, owa wyniosła, samowolna,' popędliwa i psotna młoda dziewczyna, stała się ni ztąd ni zowąd pozornie bardzo łagodną, posłuszną, pilną w naukach, i okazującą jak największe uszanowanie przewodniczce zakładu. Panna Main była zrazu zaniepokojona tak dziwną zmianą, nie dowierzając jéj szczerości; ale wkrótce cieszyć się nią poczęła niesłychanie.

— Być może, powiadała do nauczyciela niemieckiego języka, że poprostu na złość pannie Wolf, postanowiła sobie zdobyć nagrodę za wzorowe postępowanie, tak jak jéj odebrała nagrody za francuski i niemiecki język, przy ostatnich egzaminach; ale z pewnością dokaże tego, jeśli się tylko na to uwzięła.

Wszyztkie uczennice przyszły z czasem do tego samego przekonania, i także wierzyły, że nie ma nic niepodobnego dla Violetty, skoro raz w to włoży wszystką swoją wolę.

W kilka dni po tém nagłém przeistoczeniu się młodéj dziewczyny, panna Main rzekła do niéj uprzejmie:

— Panno North, czemu nie odwiedzasz teraz pani Warrener, jak to zwykłaś była czynić dotąd? Nie słyszałam od Amy, aby gdzie wyjechała jéj matka?

— Jest w domu pani równie jak i brat jéj, odpowiedziała z wielkiém uszanowaniem Violetta. Ale—ale kiedy tam bywam, przykro mi, że muszę trudzić pana Drummond odprowadzaniem mnie do zakładu! To przecie taka niewielka odległość,—chyba mię on uważa za bardzo trwożliwą lub też roztrzepaną.

— Ach, z pewnością mógłby sobie oszczędzić tego kłopotu, odrzekła dobroduszna nauczycielka. W istocie, tak ztąd blisko do nich, mogłabyś bardzo sama powracać.

— O, dziękuję pani, odpowiedziała spokojnie Violetta. Wielka to uprzejmość z pani strony, bo to rzecz tak przykra naprawdę, potrzebować czémkolwiek utrudzać swoich przyjaciół.

Mniéj było o wiele powagi i poszanowania w wyrazie jéj twarzy, gdy szła po schodach udając się po téj rozmowie do swego pokoju; odbijało się na niéj owszem zuchwałe i wyzywające jakieś postanowienie. Zasiadła zaraz przy stoliku i skreśliła trzy odpisy następującego zagadkowego ogłoszenia:

„Violetta. Czy zawsze bywa J. M. w okolicy Champion Hill, około piąźéj? V. chciałaby wytłómaczyć się ze swego braku uprzejmości.“

Musiała zawczasu pomyśleć o wyprawieniu tych ogłoszeń, gdyż zaopatrzona już była w marki pocztowe, zapewne w tym celu nabyte.

W trzy dni potém, panna North napotkała Jerzego Millera, właśnie w miejscu wyżéj wzmiankowaném.

— Jakże się dziwném musiało panu wydać to ogłoszenie— rzekła, podchodząc ku niemu, z najzupełniejszą swobodą.

— Jakie ogłoszenie? zapytał zdziwiony.

— Ach to było nic nie znaczące dzieciństwo, odpowiedziała, zmieniając w jednéj chwili wyraz głosu. Zdawało mi się, że byłam trochę szorstką względem pana, przy naszém ostatniem spotkaniu, i chciałam się z tego wytłómaczyć. Więc w tym celu umieściłam parę słów w dziennikach. A teraz, usprawiedliwiwszy się już przed panem...

— Jakto? spytał, cokolwiek zmieszany.

— No, tak; nie mam już więcéj nic do powiedzenia—bo i cóżbym powiedziała? rzekła z lekkim odcieniem zniecierpliwienia.

— Czy ma to znaczyć, żeś mię pani chciała pożegnać? spytał ją trochę sucho, gdyż zdawało mu się że obejście téj młodéj panny z nim, cokolwiek nadto mieści teraz w sobie lekceważenia.

— O, mało by mię to obchodziło, odpowiedziała obojętnie. Pocóż tu pan przyszedłeś, dodała, skoro nie czytałeś tego ogłoszenia?

— Sądziłem, że może zdarzy mi się spotkać panią.

Uśmiechnęła się z chłodną powagą i rzekła:

— Zapewne idącą na czele pensyi?

— Choćby i tak nawet. Zawsze i to lepszém byłoby od niczego, odpowiedział;—była bowiem niezmiernie ładna i patrząc na nią, na tę chwilę stracił głowę potrochu.

— A więc, rzekła, jak najlepiéj znowu usposobiona, ponieważ nie napotkałeś mię pan idącą na czele pensyonarek, możemy pójść razem aż pod Green-Lane. Zapewne wracasz pan do domu?

— Tak jest—odpowiedział, zawahawszy się nieco. Pragnąłem powiedzieć coś pani, przy zdarzonéj sposobności.

— A czy co przyjemnego, a czy też nie? Bo jeśli to ostatnie, to się wolę lepiéj bez tego obejść; dosyć mię już i tak ludzie szarpią i udręczają.

— Czyż to być może? zawołał śmiejąc się. — Odzywasz się pani, jak trzydziestoletnia kobieta, naprawdę. Bo też trzeba przyznać, że ten pomysł trzymania cię dotąd na pensyi, jest poprostu pociesznym. Powinnabyś znajdować się u rodziców, lub też u bliższych jakich twoich znajomych, gdzie mogłabyś ludzi widywać

i tworzyć sobie stosunki nie potrzebując wymykać się z domu ukradkiem, i prawdopodobnie w kłopot nas wprowadzać przez to oboje.

— Wiem o tém, odpowiedziała krótko. Cóż tedy miałeś mi pan do powiedzenia?

— Wyszukałem sobie w City, rzekł, kogoś co zna pana Drummond, i ofiaruje mi zbliżyć nas z sobą; przypadkowym sposobem, ma się rozumieć. Cóż tedy, czy zadawalnia to panią?

— Czy mię to zadawalnia? powtórzyła zwracając ku niemu dumne spojrzenie, a czarne jéj oczy, wyrażały teraz zdziwienie. Alboż sądzisz pan, że pragnęłam tego zadowolenia?

— Nie powiedziałem tego wcale, odpowiedział z nieukontentowaniem. Pani wydajesz się chętną do sprzeczki.

— O, nie jestem nią bynajmniéj, zawołała z jednym z owych uśmiechów tak szybko błyskających na jéj ustach, któremi umiała rozbrajać nawet przerażający gniew obrażonéj nauczycielki. Ale musisz pan zawsze mieć na pamięci, jeżeli mię gdziebądź chcesz widywać, że życzenie to od pana pochodzi. Co do mnie—tylko nie mam nic przeciw temu.

— Bardzo dumną jesteś pani, jak uważam.

— Nie; jestem poprostu szczerą.

— Więc tedy, co do owego zapoznania się mojego z panem Drummond, sądzę, że zadosyć uczyni ono wszelkim wymaganiom. Zostałem już przedstawiony owéj pani,—jak się ona nazywa?

— Pani Warrener.

— Teraz więc poznam się z jéj bratem, a jeśli to człowiek łatwy w stosunkach, zaproszę go zaraz na obiad. Prawdopodobnie wywzajemni się tego rodzaju uprzejmością, i pewien jestem, że uda mi się spotkać panią w jego domu. A co, czy wszystko jest już jak należy?

— Ale gdzie tam wszystko stoi najgorzéj, odpowiedziała z uroczym uśmiechem. On nie chce mieć żadnych stosunków z panem.

— Jakto? alboż mu o tem pani wspominałaś? rzekł mocno zaniepokojony.

— Ma się rozumieć, rzekła; i mówiąc bardzo dobitnie, dodała: powiedziałam im, żem przypadkowo zrobiła z panem znajomość: że zdaje mi się, iż życzysz daléj ją prowadzić, i że, w razie gdyby chcieli być tyle uprzejmi, mogliby w tym względzie panu dopomódz.

— A cóż oni na to odpowiedzieli?

— Odmówili... przyjęcia na siebie tak wielkiéj odpowiedzialności.

— Cóż więc zamierzasz pani uczynić? zapytał.

— Co? zawołała parskając śmiechem. Oto zamierzam pójść z panem aż pod Green-Lane, a potém powrócić na pensyą. Czyż to nie dosyć uprzejmości na jeden dzień?

— A potém—czy zechcesz pani uważać naszą znajomość za skończoną?

— Jak się panu podoba, odpowiedziała.

— Czy ma to znaczyć, że się mamy daléj z sobą schodzić w tenże sam ukradkowy sposób, wyglądając ostrożnie z po za węgła, ażali nas kto nie podpatrzy? Wygląda to w istocie bardzo romantycznie, ale zarazem...

— Zarazem, podchwycila z pełną siły prostotą, która go trochę zmieszała, chcę panu powiedzieć parę słów, które radzę, abyś zachował w pamięci. Nie mogę na to pozwolić, abyś na jedną chwilę przypuszczał, że mię choć cokolwiek obchodzi, czy cię spotykam, czy też nie. Czy sądzisz pan, że mam ochotę bawić się w chowanego? Bardzo proszę nie odzywać się więcéj w podobny sposób.

— Cóż ja tu poradzę? rzekł daleko już pokorniéj. Zaledwie obmyślę jaki sposób położenia końca dzisiejszemu stanowi rzeczy, natychmiast powiadasz pani, że się on na nic nie przyda, i zdajesz się z tego bardzo rada. Może sama potrafisz lepszego coś wynaleść?

— O, mój kochany panie, odpowiedziala mu, bardzo wesolo, dla czegóż mamy się koniecznie gdzieśkolwiek i w jakiśkolwiek sposób spotykać? Czyżby nie można ominąć owéj trudności?

— I owszem! rzekł, doprowadzony do gniewu jéj obojętną i wyzywającą wesołością. Najlepiéj nawet tak będzie. Żegnam panią.

To mówiąc, podał jéj rękę.

— Więc nie mam dojść nawet do Green-Lane? rzekla udając żartobliwie smutek głęboki. Ach! zgoda więc na to. Żegnam więc pana nawzajem.

— Wiesz pani wybornie, odezwał się już spokojniéj, ile mi na tém zależy, abyśmy z sobą pozostali w przyjaznym stosunku; z jakiegoż tedy powodu, chcesz w tym razie okazywać tyle... tyle samowoli?

— Więc mam tedy iść pod Green-Lane? spytała z czarującą prostotą.

Parsknął śmiechem i rzekł:

— Nie ma chyba na całym świecie istoty bardziéj drażniącéj od pani. Ale wyleczysz się z czasem, mam nadzieję, z tych wszystkich fantazyi i wybryków.

— A któż to taki będzie mię z nich leczył? spytała z łagodną potulnością,

— Nie wiem tego; ale znajdzie się ktoś co tego dokaże.

Rozmawiając tak, schodzili pochyłą drożyną, po obu stronach obrosłą głogiem, którego świeżą zieloność rozjaśniały promienie wiosennego słońca; niżéj, w dali, były przed niemi łąki i drzewa wioski Dulwich, obrzucone lekką mgłą srebrzystą. W kilka chwil potém, mieli się rozłączyć u stóp wzgórza, ale na ładnéj twarzy Violetty, tak szczerze wypowiadającéj wszystkie wrażenia, nie było widać smutku ze zbliżającego się rozstania.

— Cóż panią teraz znowu zabawia? spytał dostrzegłszy błysk tajonego uśmiechu z pod ciemnych rzęsów co przysłaniały jéj oczy.

— Bawi mię to, że mężczyzni tak mało mają pomysłów, odrzekła. Straciłeś pan wszelką odwagę, dla tego żem powiedziała, iż na nic się nie przyda twój zamiar zabrania znajomości z panem Drummond. Mój miły Boże! kobieta ułożyłaby zaraz na to miejsce, nie wiedzieć ile innych planów.

— Podajże mi więc pani chociaż jeden.

— Jam dopiero młodziutką dziewczyną, odpowiedziała. Zresztą dopókiż będę musiała powtarzać to panu?—nie moja rzecz tém się zaprzątać. Myślałam sobie jednak dziś właśnie, z jakąbym mogła łatwością—gdybym tego chciała—zejść się z panem nie na kilka minut, ale na czas długi.

— Jakto? mogłabyś pani to uczynić? zawołał z żywością. Potrafiłabyś zdobyć sobie dosyś czasu, aby użyć dlugiéj przechadzki lub też nawet przejażdżki?

— Mogłabym pozyskać cały dzień swobody, rzekła śmiało; ale zaraz potém dodała:—ghybym tego życzyła.

— Więc nie chcesz pani postarać się o to! Ale pomyśl tylko, jaką cudowną moglibyśmy odbyć przejażdżkę—teraz właśnie najpiękniejsza pora po temu—uprosiłbym którą z moich znajomych, żeby po panią zajechała.

— O nie; bardzo panu za to dziękuję. Dosyś już mi się uprzykrzyły zabierania znajomości, nowe stosunki i potrzeba odwoływania się do cudzéj uprzejmości. Gdybym się z pensyi wybrała na taką całodzienną wycieczkę, uczyniłabym to jedynie w celu dowiedzenia ludziom, jak mną trudno kierować, wtedy gdy mi się podoba wymknąć z pod ich opieki. Co zaś do wybrania

sobie w tym razie pana za towarzysza, to przyznam, że może wolałabym kogokolwiek innego; ale znowu wtedy nie byłoby w tém nic nagannego.

Oświadczenie to, tchnące szczerością, nie bardzo było pochlebne; jakbądź od niedawnego czasu Jerzy znał tę młodą panienkę, dość mu go było, aby w niéj dostrzedz cokolwiek nadmierną swobodę słowa.

— Cóż tedy, czy chcesz pani to uczynić? zapytał ją.

— Zdaje mi się, że będę miała do tego ochotę, odpowiedziała.

— A kiedy?

— W przyszły wtorek.

— I gdzież się z panią spotkam?

— O, musisz pan zajechać po mnie do zakładu panny Main i tam, wszedłszy do sieni, dać mi znać, że na mnie czekasz.

Wyglądał taką zgrozą przejęty, że o mało się na głos nie roześmiała; ale zdołała zachować pozorną powagę.

— Tak pan zrobisz, rzekła; jestże w świecie coś prostszego?

— Z pewnością żartujesz chyba pani! Czyż chcesz powiedzieć, że panna Main pozwoli ci wyjechać ze mną na przejażdżkę?

— Tak jest, a co więcéj, zanim się wybierzemy, poczęstuje pana kieliszkiem wina Sherry i ciastkami. Jeśli się tego wina napijesz, to dostaniesz na pewno bólu głowy.

— Ależ nie rozumiem wcale...

— Nie dziwię się temu, odpowiedziała z przychylną pobłażliwością. Powiedziałam już panu, że wiem ile mężczyzni ubodzy bywają w pomysłach. Przekonasz się, z jąką łatwością urządzę to wszystko. Ułożyłam sobie plan ten na to tylko, aby ludzi przekonać, jak mało mają pojęcia o tém, czego może dokazać wola —ale nie mam potrzeby o tém tutaj mówić! A! otóż i jesteśmy pod samém wzgórzem—żegnam pana.

Podała mu rękę niedbale, mówiąc te ostatnie słowa.

— Ależ muszę przecie panią z powrotem odprowadzić.

— O nie; umowa jest umową i powinna być dotrzymaną.

— A zatém mam zajechać powozem w przyszły wtorek, przed zakład panny Main, i wszedłszy zapytać od razu o panią? Czy tak?

— Tak właśnie. Będę gotowa przed jedenastą.

Jerzy Miller odszedł w swą stronę mocno zaniepokojony. Spostrzegł w téj dziwacznéj dziewczynie wielkie upodobanie do psot wszelkiego rodzaju. Czy nie gotowa ona czasem oczekiwać

na niego w oknie, otoczona wszystkiemi pensyonarkami, by go śmiechem i drwinami powitać?

Ale potém, pomyślał znowu, że nie jest prawdopodobném, aby się dopuścić chciała podobnie rozgłośnego szaleństwa, wtedy gdy tak nie dawno temu, za podobne wybryki o mało nie została wydaloną z zakładu. Utwierdził się więc w przekonaniu, że mu przynajmniéj w tym razie nie zagraża śmieszność—co zawsze główną bywa obawą u młodzieży—ale zastanawiać się wtedy począł nad innemi drażliwemi stronami owéj sprawy. Nie było to koniecznie bezpiecznym zamiarem, zabrać pensyonarkę na całodzienną wycieczkę, choćby w ostatnim razie mógł ją tłómaczyć tém, że usiłowała na właściwszéj stopie postawić ich wzajemny stosunek, probując zaznajomić go ze swemi przyjaciolmi, o co też i on starał się ze swéj strony. Zkądinąd znowu, czyż mu wypadało wahać się trwożliwie, wtedy gdy to młode dziewczę okazywało tyle odwagi? Postanowił w końcu nająć sobie najpiękniejszą parę koni, jaką znaleść potrafi na ów wtorkowy poranek.

Co do niéj, lekko i wesolo pobiegła w górę ścieżką, którą przed chwilą schodziła z Jerzym w dolinę; zręczna jéj i wysmukła kibić nadawała jéj swobodę ruchów, dosyć rzadką u pensyonarek, i wkrótce znikła na zakręcie drożyny, szybko zdążając w stronę zakładu panny Main. Dobroduszna ta i mało podejrzliwa osoba pozostawała tymczasem w przekonaniu, że panna North wybrała się była do mieszkania pani Warrener.

Wróciwszy, Violetta udała się do swego pokoju i zasiadłszy przed biurkiem, napisała co następuje:

„Camberwell-Grove, we czwartek wieczorem.

„Kochany ojcze;—zdaje mi się to rzeczą bardzo przykrą dla twojéj córki, że z gazet tylko wie o twoim powrocie do Londynu. Czy nie mógłbyś odwiedzić mię w sobotę? Donoszę ci zarazem, że nie mam już prawie pieniędzy — i pozostaję przywiązaną twą córką,

„Violetta.“

Sir Acton North niesłychanie zawsze zajęty, nader mało miał czasu do spełniania domowych obowiązków; kochał jednak tę postrzeloną dziewczynę, i nieraz przykrą mu bardzo bywała myśl, że nie ma ona innego domowego ogniska, jak pensya, na któréj z musu przebywa. Pomimo wszystkich interesów, jakie miał do załatwienia, wybrał się do Camberwell w sobotę z rana i przedewszystkiém miał krótką rozmowę z panną Main. Ta ostatnia przy-

jęła z wielkiém uszanowaniem owego wysokiego i barczystego mężczyznę, z siwą brodą i takiemiż oczami pełnemi dobroci, którego mowa zatrącała cokolwiek akcentem Jorkshiru. W odpowiedzi na jego zapytanie co do sprawowania się Violetty, zapewnila tylko, że w ostatnich czasach było wzorowem, nie czyniąc wcale wzmianki o niedawnéj buntowniczéj sprawce. Więcéj zdawała się o wiele zajęta zwracaniem uwagi sir Actona North na świeżą zieloność kasztanów i więzów ogrodu, na woniejący kwiat bzów,— słowem na wyjątkowo zdrowe położenie jéj wychowawczego zakładu.

Po niejakim czasie, Violetta weszła do pokoju i wtedy nauczycielka zostawiła ją sam na sam z ojcem.

— Cóż tedy, moje dziecię, rzekł ten ostatni, czy ty nie myślisz nigdy przestać rosnąć?

— Miałam dosyć czasu do podrośnięcia sporo, odkąd się z ojcem widziałam; odpowiedziala mu w sposób, który go przekonał, że jeśli wzrostu jéj przybyło, nie ubyło też wcale owéj chłodnéj swobody słowa, która ją cechowała.

— A czegoż ty chcesz teraz odemnie? zapytał.

— Zdaje mi się to rzeczą bardzo właściwą, aby córka pragnęła widywać swego ojca od czasu do czasu, rzekła; zwłaszcza dodala z niejakim naciskiem, gdy zadowolnić się nie może podziwianiem swéj macochy.

— O, o, zawołał ze śmiechem, który w tym razie nie bardzo w porę przybywał do powstrzymania jéj zbytecznéj otwartości— jak uważam nic nie lepszą jesteś teraz niż dotąd bywałaś.

— Z tém wszystkiém, nie zapomniałam o mojém przywiązaniu do ciebie, ojczulku, rzekła serdecznie, i podszedłszy ku niemu, rękami szyję jego objęła; — musisz mi tedy opowiedzieć wszystko coś robił temi ostatniemi czasy, a także co teraz robić zamyślasz?

— Długa to będzie robota, ale muszę zdobyć się na nią dla ciebe; gdyż trzeba ci wiedzieć, że się wkrótce wybieram do Kanady, i że tam około roku zabawię.

W téj chwili, lepsze jakieś niby uczucie, odezwclo się w duszy młodéj dziewczyny; niewysłowione wrażenie trwogi, znagła zmieniło jéj wyraz twarzy i z płaczem zawolala:

— Ach ojcze! czyżbyś mię nie mógł z sobą zabrać?

— Jakto? na rok cały?

— Choćby na dwadzieścia, bylebym z tobą była. Ach! ja tak nienawidzę Anglii!

— Pleciesz bez sensu, moje dziecię, rzekł z uśmiechem wyswobadzając swą szyję z jéj uścisku. Rozumiem, że każda pensyonarka miewa chwile zniechęcenia w swym szkolnym zawodzie, ale wszystko to niebawem za sobą zostawisz, gdy już kobietą się staniesz. Podobno potrzebujesz pieniędzy na twe drobne wydatki? Czy już wydałaś całą twoją pensyę z ostatniego kwartału?

Nie chciała mu wcale odpowiedzieć—wrodzona jéj duma boleśnie się czuła urażoną. Obchodził się z nią jak z dzieckiem; nie chciał dostrzedz szczerego i głębokiego uczucia, z jakiém go błagała, łzami zalana, by ją z sobą zabrał z Anglii.

— No, no; weź to sobie i puść z dymem, jak ci się podoba Violetto, rzekł, podając jéj banknot pięcio-funtowy, nie pomyślawszy nawet ile było nierozważném powierzenie tak znacznéj kwoty, dziewczęciu tyle co ona do wszelkich szaleństw skłonnemu.

Pewna zmiana zaszła była w obejściu Violetty, w tym tak krótkim przeciągu czasu. Witała najprzód ojca z tém usposobieniem wesołém i nieco wyzywającém, jakie zwykłem jéj bywało w stosunku z osobami najbliższemi jéj sercu; potém przez chwilę zbudził się był w niéj błysk serdeczniejszego uczucia. Teraz zaś powierzchowność jéj wyrażała chłodną dumę i zuchwałą jakąś stanowczość.

— Pozwolisz mi odejść na chwilę, ojczulku, rzekła. Mam parę słów do powiedzenia pannie Main.

Wyszła z pokoju i udała się do gabinetu ochmistrzyni, która przyjęła ją nader uprzejmie. Czuła się bowiem niezmiernie zadowolona, ilekroć sir Acton North zaszczycał jéj zakład swemi odwiedzinami.

— Proszę pani, rzekła od razu Violetta, czy nie mogłabym otrzymać rekreacyi na przyszły wtorek?

Cóż mogło obudzić w pannie Main, jakiekolwiek podejrzenie, w obec tak niewinnego pozornie żądania, i dla czegożby mu nie miała zadosyć uczynić? Ojciec, rzadko odwiedzający swą córkę, a nawet bardzo mało spędzający czasu w Londynie, przybył do niéj obecnie. Cóż więcéj mogło być właściwszego, nad chęć jaką miał zabrania jéj do siebie na dzień cały?

— Z chęcią na to przystanę, odpowiedziała. Zapewne przyszle ojciec po ciebie?

— Prawdopodobnie przybędzie tu po mnie pan Jerzy Miller, odpowiedziała z powagą Violetta. Przypuszczam, że go znać musisz pani?

— Słyszałam o nim duzo; ma się rozumieć. Radabym, abyśmy wielu takich mieli jak on, w Londynie.

— Otóż, ponieważ pan Miller, niedaleko ztąd mieszka, sądzę że będzie tyle uprzejmy, iż tu zajedzie, aby mnie z sobą zabrać do miasta. Czy będzie mi wolno pani go przedstawić?

— Uważać to będę dla siebie za prawdziwy zaszczyt, panno Violetto, odpowiedziała dobroduszna ochmistrzyni. Gdy tak nazywała pannę North, bywało to oznaką najlepszego względem niéj usposobienia i szczególnéj nawet łaski.

— Wdzięczna bardzo pani jestem. rzekła Violetta, i już zabierała się iść z powrotem do ojca, gdy w tém, niby przypomniawszy sobie coś, zawróciła się odedrzwi, mówiąc: — Poproszę jeszcze panią o jednę rzecz; — oto dostałam od ojca trochę pieniędzy, a ponieważ pióro mam bardzo już zniszczone u kapelusza i do tego potrzebuję niektórych drobiazgów, chciałabym abyś mi pani pozwoliła wybrać się z Elżbietą w poniedziałek z rana, po te sprawunki. Chciałabym sobie kupić nie jedno, w sklepach na przedmieściu.

— Sama z tobą odbędę tę wycieczkę panno Violetto, rzekla uprzejmie przełożona zakladu.

— Ach, jakże to wiele będzie dobroci ze strony pani! odpowiedziała panna North, odchodząc.

— Cóż ty sobie myślisz, moja dziewczyno, żeś mię tu tak długo wytrzymała? odezwał się do niéj ojciec, ujrzawszy ją wracającą.— Czy wiesz ty, że ja muszę być w Kings-Cross na drugą godzinę?

— Bardzo mi to przykro, rzekla, że się tak śpieszysz ojczulku, Czyż zaraz ztąd chcesz odjechać?

— Tak jest moje dziécię; nie mam chwili czasu do stracenia. Bywaj mi zdrowa, Violetto. Pamiętaj napisać do mnie, jak ci tylko pieniędzy zabraknie.

Ucałowała go, na pożegnanie i rzekła: — Odprowadzę cię do powozu, ojcze. Nie każ już tu prosić panny Main; bardzo jest teraz zajęta. Czy cię jeszcze zobaczę, zanim się do Kanady wybierzesz?

— O, ma się rozumieć; ma się przecię rozumieć! No, no, no!... Sprawiaj się tu jak należy, moja Violetko, i daj mi zaraz znać, jak tylko potrzeba ci będzie pieniędzy.

Po jego odejściu, córka powrócić musiala do swych lekcyi, i nie prędzéj aż wieczorem znalazła znowu chwilę wolnego czasu. Nie miała możności użyc go do dalszego prowadzenia wątku swéj powieści, albowiem podstępny spisek uknuty przez Wirginię Northbrook, wymagal głębszego nieco zastanowienia. Wszelako, ma-

jąc już na myśli coś wyraźnie określonego, postanowiła na papier niezwłocznie to przenieść, w celu wplecenia późniéj tego ustępu w swe opowiadanie przy zdarzonéj sposobności. Oto jest pomieniony urywek, napisany, o ile się zdaje, z pewnym pośpiechem.

„Wirginia Northbrook wrodzony miała wstręt do obludy; nie nawidziła jéj wszystkiemi siłami. Nie zdarzyło nam się nigdy w życiu napotkać kobiety, co by równie silnie, jak ta młoda dziewczyna, pragnęla zachować swą duszę rozjaśnioną czystym promieniem niewinnéj prostoty. A czy wiesz dla czego taką byla, miły czytelniku? oto dla tego iż w spadku jéj się dostał nie mały zasób dumy; nieszczęsne bylo to może dziedzictwo, ale w każdym razie posiadala je; i niczego żywiéj nie pragnęła, jak módz zawsze śmiało spojrzéć każdemu w oczy, i myśl swoją każdą wyrazić otwarcie. Niestety! widzimy ją dziś mimowoli strąconą z prostéj drogi prawdy. Wesola swoboda uleciała z jéj umyslu, a w miejsce jéj zagnieździla się straszliwa podejrzliwość; zimna świata obojętność zbudziła w niéj namiętną chęć odwetu. Czegoż się spodziewała od owego szalonego przedsięwzięcia w które się zapędzila, co sobie myślala wtedy gdy sama jedna w swym pokoju, wolała z wybuchem szatańskiego śmiechu: „Wiwat mój figiel!" Ale odwróćmy oczy do czasu, od tęgo smutnego widoku. Przyjdzie może pora, w któréj ujrzymy Wirginią oswobodzoną od niesprawiedliwéj przemocy owych przyjaciól, tyle serca pozbawionych; i wyjdzie wtedy na jaw zacność jéj uczuć i myśli. Ale jednocześnie — o jakże smutną będzie dola téj nieszczęśliwéj istoty!"

Violetta North tak mocno była wzruszona udręczeniami swéj bohaterki, że o mało nad niemi łez nie wylewała; jak bądź, dziwném powiklaniem uczuć rzeczywistych z wrażeniami wyobraźni, rozżalenie jéj zwracalo się tu jednocześnie ku odmowie ojca na prośbę jéj aby się z nim mogła wybrać do Kanady.

———

ROZDZIAŁ VI.

Jesień życia i jego wiosna.

— Saro, nie możemy téj dziewczyny pozostawić saméj sobie, powiadał James Drummond do siostry, wygladzając kapelusz, któremu daleko było do świetnego połysku. — Obrażona jest na nas, jak widać; nie byla tu już od kilku dni; weźmiemy wielką na siebie odpowiedzialność, jeśli ją teraz pozostawimy bez opieki.

— Weźmiemy na siebie równie wielką, jeśli się wdamy w tę sprawę, odpowiedziała pani Warrener; ale zaraz potém, wyrzucając sobie samolubne te wyrazy, dodala: — Masz słuszność; muszę pójść na pensyą i z nią się zobaczyć. Naprawdę, radabym żeby ją pomieszczono gdzie w klasztorze, albo w jakim zakładzie gdzieby się znalazła pod dobrym kierunkiem moralnym, a zarazem w karbach surowéj karności. Jest to istota dziwnie nieukróconéj natury — niby dzikie zwierzątko — jakbądź posiada jednak pewne cenne zalety; doprawdy nie wiem co się z nią daléj stać może.

— Do klasztoru! zawołał Drummond, śmiejąc się rozgłośnie.— Toż by tam ona w ciągu tygodnia wszystko przewróciła do góry nogami. Sama już myśl o tém, jest czemś nieopłaconém. Violetta North w klasztorze! Proszę wyobrazić sobie przerażenie tych spokojnych istot, skoroby odkryły że mają pomiędzy sobą całą zgraję szatanów;— tyle przynajmniéj ile ich widać na obrazach przedstawiających kuszenie świętego Antoniego. Radbym módz ukradkiem zajrzéć do tego klasztoru, wtedy kiedyby ona tam była. No, pójdziesz więc do niéj Saro; tak najlepiéj będzie. Nie praw jéj żadnych morałów; powiedz jéj poprostu, żeby z siebie nie robiła cudaka Ma się rozumiéć, że jest tu tylko duma jéj zadraśnięta,— bo niepodobna przecię aby ją mógł naprawdę obchodzić ten młody chłopak — jakże się on nazywa?

— Jerzy Miller.

— Z tém wszystkiém jednak, nie wspominaj jéj o szaleństwie jakiém jest zakochanie się dla młodéj dziewczyny, i o niebezpieczeństwach na jakie może się przez to narazić. Nie uwierzyłaby ci,— tak jak i każde inne dziewczę na jéj miejscu. To tak samo, jak gdybyś sądziła że zabezpieczysz twoją apteczką od łakomstwa służących, poprzylepiawszy do butelek z winem kartki z napisem: Trucizna. Nie prubój téż jéj zastraszyć, bo powiadam ci, że nie istnieje nic na świecie, czegoby się mogła ulęknąć ta dziewczyna.

To powiedziawszy, Drummond włożył na głowę kapelusz, któremu staranne owo wygładzenie mało jednak dodało było świeżości i wyszedł z domu na słoneczną pogodę tego majowego poranku. Ze wzgórza na którém stał, mógł wdali dostrzedz przed sobą, ciemną mgłę zalegającą dolinę. Były to dymy londyńskiéj City, ku któréj to dzielnicy zamierzał właśnie kierować swe kroki,— z nie wielką chęcią, co prawda.

Ale jednak, ilekroć go do siebie na śniadanie zapraszał dawny szkolny towarzysz jego Harding, - - który porzucił był naukowe szlaki, dla zawodu degustatora herbaty, o wiele zdaniem jego korzystniejszego, — zawsze prawie odpowiedział temu wezwaniu.

Harding mieszkał w odległym zakątku zaułka Hornsey; rzadko więc miewali dwaj przyjaciele sposobność widywa nia się w porze wieczornéj. W tym ostatnim razie, szczególny nacisk położył na swe zaproszenie, dodając w niém: — „Jeden z moich przyjaciół życzy zabrać z tobą znajomość.“

Drummond udał się naprzód do kantoru na Mincing-Lane, i ztamtąd wyszedł po chwili w towarzystwie swego przyjaciela. Był to człowiek barczysty, niskiego wzrostu, z gęstym czarnym zarostem.

Gdzież jest ów twój znajomy? spytał go obojętnie Drummond, podczas gdy szli razem.

— Ten który pragnie być ci przedstawionym? To młody chłopak, nazwiskiem Miller.

— Jerzy Miller? rzekł Drummond, stając nagle w miejscu z wyrazem przykrego zakłopotania na twarzy.

— Tak jest. Czy słyszałeś co o nim? spytał Harding zdziwiony.

— Słyszałem w istocie. Czy ci powiedział dla czego życzy ze mną znajomości?

— Nie; nic mi o tém nie mówił.

— No, to wiesz co ci powiem, Harding? Jest to — jest to poprostu zuchwalstwem ze strony tego młokosa.

— Mój przyjacielu, o cóż ci więc chodzi? Znasz go i nie życzysz sobie z nim się spotkać? W takim razie cóż cię do tego może zmusić? Wszakże wolno nam gdzieindziéj zjeść sobie śniadanie. Zapytał mnie ni ztąd ni zowąd, czy cię znam, i prosił abym go tobie przedstawił — oto i rzecz cała. Niema przecież przymusu dla ciebie.

— Namyśliwszy się, wolę pójść z tobą na tę schadzkę, rzekł Drummond, jakby nagle powziąwszy postanowienie.

— Ależ powiadam ci, człeku, że nic cię do tego nie zobowiązuje. Chodźmy lepiéj w inne jakie miejsce.

— Nie; chcę owszem teraz z nim się zapoznać.

Przewybornie! ten sam zawsze jesteś co i pierwéj; wykręcający się na wszystkie strony, jak chorągiewka na dachu, i wymykający się co chwila, na podobieństwo żywego srebra.

Weszli obadwa do obszernéj restauracyi, gdzie dosyć znaczna liczba ludzi, po większéj części mających kapelusze na głowach, zajęta była spożywaniem potężnych porcyi wołowiny i baraniny. Harding wielu miał tam znajomych; witano go po drodze różnemi konceptami, na które odcinał się ze swéj strony. Był to rodzaj szermierki, wprawiający zwyle w łagodne zdziwienie Drummonda,

który już nieraz nawiedzał to miejsce w towarzystwie swego przyjaciela. Nikt bardziéj od niego nie był z usposobienia chętny do wesołéj żartobliwości, nawet zaprawnéj lekkiém nieraz szyderstwem, ale w przyjazny zawsze wyrażającéj się sposób; tego jednak suchego dowcipkowania, nie ożywionego żadnym cieplejszym błyskiem, nie umiał zrozumieć i przykre ono na nim sprawiało wrażenie. Uważał przytém, że Harding bywał nieraz cokolwiek zakłopotany w owém odcinaniu się; zapewne nie zdołał przyswoić sobie zupełnie rodzaju dowcipu będącego w obiegu w City. Nie było ani humoru, ani myśli pociesznéj, ani uszczypliwego żartu, w tych osobliwych konceptach; tylko jakaś zabawa polegająca na przestawianiu wyrazów w ten sposób, że zdanie wypowiedziane zdawało się wprost przeciwném temu co miał na myśli mówiący;— niby jakieś kręcenie się w kółko, równie bezmyślne jak niewylkończone dźwięki któremi się małpy odzywają. Dodać jednak naeży, że znajdująca się tam młodzież, z bardzo młodych w istocie ludzi się składała.

— Niema tu jeszcze Millera, rzekł Harding.— Powiedz no mi o cóż to tam chodzi między wami?

— O nic zgoła; nie widziałem go nigdy w życiu. Ale wiem dla jakiego powodu chce się ze mną zapoznać. Cóż to za rodzaj jes człowieka?

— Wcale miły chłopak; tylko na nieszczęście ma przed sobą w przyszłości nadto wiele pieniędzy i z tego powodu nic zgoła nie robi. Teraz jednak, o ile mi się zdaje, ma podobno zacząć zajmować się czemś; słyszałem że mu ojciec kupuje udział w jakiéjś współce.

— Ale — ale jakiego to rodzaju człowiek? spytał znowu Drummond, którego mało obchodziły dalsze widoki młodzieńca, w jeg handlowym zawodzie.

— Odebrał staranne dosyć wychowanie, można powiedzieć, o wiele lepsze w każdym razie niż je zwykle otrzymują owi próżniacy którym los dał za rodziców kupców zbogaconych. Lubi czasem patrzeć trochę z góry na ludzi, i pozować na gentlemana z powierzchowności i z upodobań; nieraz umie suchą dać odprawę tym co się z nim chcą nadto spoufalić w bilardowéj sali tego zakładu, gdzie się zwykle zbiera na partyą po południu to samo zawsze kółko graczy. Skłonny jest do uważania siebie za coś lepszego od nas, chudych pachołków, którzy po kantorach pracujemy; ale nic w tém niema dziwnego jak na syna zamożnego przemysłowca. Co do pieniędzy, umie je hojnie wydawać,— czyli inaczéj mówiąc, że jak cię na obiad poprosi, to ci sutą ucztę zasta-

wi; ale mądry byłby, ktoby go choć na grosz jeden potrafił oszukać, a także nie zobaczysz żeby kiedy dawał pieniądze owym bilardowym włóczęgom, co to zawsze potrzebują pożyczki, a nigdy o uiszczeniu się z długu nie pamiętają. W ogóle, zdaje mi się że porządny z niego chłopak, i dosyć go lubię. Widzisz, bardzo młody on jeszcze, a u młodych to nie nowina napotykać zarozumiałość, zdania nie uzasadnione, i tym podobne rzeczy. Może i w nas sporo tego się znajdowało, kiedyśmy byli w tym wieku.

— Więc nie przypuszczasz żeby był zdolnym dopuścić się jakiego czynu nieszlachetnego?

— Sądzę że wystarczyłoby do uchronienia go od tego, korzystne mniemanie jakie ma o sobie, odpowiedział śmiejąc się Harding. W tém to uczuciu, nie zaś w wyzszych pojęciach o moralności, czerpią po większéj części ludzie siłę powstrzymującą ich od wsuwania ręki do cudzéj kieszeni.

— I ten Miller niczem się nie zajmuje, powiadasz? Nie ma nawet właściwego sobie upodobania?

— Nie; zdaje mi się że jest to sobie poczciwy, ale niedbający o nic chłopak, dosyć lubiący próżniactwo. Już to szaleństwa żadnego on się nie dopuści — bystry jest bardzo i jasno widzi w koło siebie. Ale cóż cię u Boga może tak bardzo obchodzić ten Jerzy Miller, że się tak szczegółowo o niego wypytujesz?

Drummond nic na to nie odpowiedział; zdawał się wyłącznie zajęty pokonywaniem pewnych trudności napotkanych w leżącym przed nim kotlecie. W końcu rzekł, nie podnosząc jednak oczu od talerza — i w taki sposób jak gdyby dalej snuł wątek poprzedniéj rozmowy, nie usłyszawszy zapytania swego przyjaciela:

— Słuchaj no Harding, zdaniem mojém, najnieszczęśliwszemi istotami w naszym kraju, są owi wyrostkowie i młodzi chłopacy, których pożera żądza pozyskania rozgłosu; — liczymy takich na tysiące, którzy tego tylko pragną i tém są zaprzątnięci, aby od razu świat ocenił zdumiewające ich zdolności. Nie mają chwili spokojnéj, dopóki ich utwór nie został wydrukowany; dopóki im nie dozwolono grywać roli Hamleta na Londyńskiéj scenie; dopóki nie znaleźli sposobności przekonania swą wymową zebrania przysięgłych i wprawienia sędziów w zdumienie. Na Boga i gdybyście więcéj mieli rozumu, wy młokosy, poznalibyście ile zawdzięczacie przeszkodom, które nie dają wam wystrychnąć się na dudków! Jeśli przedwcześnie oddacie do druku niewykończone prace, lub też zawezwiecie wszystkich waszych przyjaciół na świadków niefortunnego waszego scenicznego występu, to cóż wam z tego przyjdzie za korzyść, wyjąwszy tę, że w pamięci nagromadzacie sobie wspo-

mnienia, co was nieraz w dalszym ciągu życia, jakby zimną wodą obleją? Ale ciekawy też jestem, kogo by ci należało bardziéj podziwiać: czy młodzieńca dręczonego żądzą wywyższenia się i gotowego—byleby miał ku temu możność — dudka z siebie zrobić w obec świata, czy też chłopaka o wiele rozsądniejszego — prawdopodobnie skutkiem braku wyobraźni— który wiedzie łatwy, wesoły i swobodny żywot? W takim znajduje się wypadku twój przyjaciel Miller, wszak prawda? Więc tedy czyż nie sądzisz, że podobnego rodzaju młodzieniec....

Niepodobna wiedzieć jak daleko mógł był zajść w tym razie Drummond w swych rozumowaniach, gdyby mu w tém miejscu nie przerwało pojawienie się tego właśnie, który był ich przedmiotem. Bystry promień przenikliwych oczu Drummonda, zwrócił się natychmiast ku twarzy Jerzego Millera. Była ona wcale piękna, zwłaszcza ze względu szlachetności rysów. Skromny rumieniec który się na niéj pojawił w chwili formalności przedstawienia, dobrze za młodzieńcem przemawiał. Pierwsze też wrażenie, wyraźnie było korzystném; wszelako Drummond zachował poważne milczenie, bacznie przyglądając się Jerzemu, podczas gdy go Harding wypytywał o powody jego opóźnienia się.

Po chwili, młody Miller zwrócił się ku nowemu swemu znajomemu, i sprobował, z pewną jednak nieśmiałością, zawiązać z nim rozmowę. Przy zwykłém usposobieniu Drummonda, do przerzucania się co chwila w coraz to nowy okres myśli, łatwo się było spodziewać, iż tém chętniéj mu się odda w okoliczności w któréj chodziło mu przedewszystkiém o poddanie przeciwnika pod surową krytykę, nie dając mu poznać swych badawczych zamiarów. Niebawem też Harding ujrzał go, parskającego śmiechem, na jakąś wcale skromnie uczynioną uwagę młodzieńca, którą zarazem zbył konceptem jakimś pustym. Miller opowiadał właśnie oszustwa jakich się dopuszczają przemysłowcy wyrabiający wina wyższego gatunku, przytaczając szczegóły dowodzące iż był dosyć obeznany z przedmiotem o którym mówił. W ciągu téj rozmowy, wypadło mu wspomnieć o częściach składowych rozmaitych win, a czynił to bez żadnéj zarozumiałości, ale w sposób świadczący o dokładném rzeczy zbadaniu. Drummond słuchał go z tém większém zajęciem, że się całkiem nowych dla siebie rzeczy dowiadywał. Ani wiedział, ani też dbał tak bardzo o to, w jaki sposób się jakie wino wyrabia; byleby smaczne było i zdrowiu szło na pożytek, o to mu tylko chodziło, i takie pijał jedynie, innego się wystrzegając. Równie dalekim był od myśli badania części składowych tego lub owego wina, jak od zastanawiania się nad

dalszém zużytkowaniem pieniędzy któremi podatki opłacał. Nie miał pojęcia dla czego, i z czyjego zrządzenia został opodatkowany; i uiszczał się poprostu z tego, co na niego przypadało, bardzo rad będąc że jest w tym względzie wolny od wszelkiéj odpowiedzialności. Z chęcią ręce sobie umywał od kierowania sprawami ogółu, i bardzo był wdzięczny tym co się niemi za niego trudnili.

Uszanowanie jakiém obejście Jerzego nacechowane było względem Drummonda, musiało koniecznie pochlebiać cokolwiek temu ostatniemu; i młodzieniec ów przychylniejsze w nim począł obudzać zajęcie. W dodatku, znajdował pewną przyjemność w myśli iż o wiele korzystniejsze zajmuje od niego stanowisko, w ich wzajemnym stosunku; znał bowiem tajemny cel Jerzego, czego się ten ostatni wcale nie domyślał; jeżeliby więc istniała jaka w nim podejrzana albo też ujemna strona, miał teraz wyborną sposobność do jéj wykrycia. Był zatém mocno zadowolony z tego, iż przyszedł na owo śniadanie; w przyszłości zaś miał zamiar o tyle tylko dopuścić Millera do dalszéj z sobą znajomości, o ileby to uważał za właściwe, co mógł teraz ocenić, znajdując się już w lepszém położeniu do udzielenia porady i pomocy Violecie.

Po śniadaniu, udali się wszyscy trzej na krótką chwilę do górnéj sali przeznaczonéj do palenia; potém zaś Harding musiał zaraz powracać do swego kantoru.

— Panie Drummond, rzekł Jerzy Miller trochę nieśmiało, o ile mi się zdaje, zamieszkujesz pan w stronie Denmark-Hill?

— Tak jest; na Camberwell-Grove, odpowiedział zagadnięty, śmiejąc się w duchu z niezbyt zręcznych rokowań dyplomatycznych młodzieńca.

— Co do mnie, mówił daléj Jerzy, mieszkam na Sydenham-Hill. Przyszło mi na myśl — to jest chciałem powiedzieć — ponieważ wspominałeś pan o starych książkach jako znawca — że mój ojciec posiada księgozbiór rzeczywiście bardzo piękny - który mu podarował pewien jego przyjaciel, wybierając się temu lat parę na stały pobyt do Indyi. Otóż, jeśli nie masz pan teraz nic lepszego do roboty, czy nie chiałbyś czasem — wybrać się ztąd ze mną, dla obejrzenia go? Może byś raczył trochę u nas zabawić i zjeść ze mną skromny obiadek. Na nieszczęście, dom nasz teraz pusty, gdyż cała moja rodzina bawi na wyspie Wight, ale nam przecie służba nie da umrzéć z głodu. Czy — zechcesz pan zrobić mi tę przyjemność?

Drummond roześmiał się w sobie. Biedny ten chłopak knuje sobie daléj swój naiwny planik, myślał w duchu i ani się tego do-

myśla, że baczne oko mistrza śledzi z bliska wszystkie jego niewinne obroty!— Chęć go wzięła dogodzić życzeniu młodzieńca.

— Bardzo dobrze, rzekł; z przyjemnością będę panu towarzyszył. Muszę tylko wysłać telegram do mojéj siostry, żeby na mnie nie czekała.

W taki więc sposób wybrała się razem owa dosyć dziwnie dobrana para, w stronę Sydenham do obszernego, dostatnio i uroczyście wyglądającego domu, stojącego teraz pustkami; Miller tak się krzątał około jak najlepszego przyjęcia swego gościa, jak gdyby miał u siebie jakiego monarchę. A z jakiém też uszanowaniem słuchał monologów Drummonda, dowcipnych jego docinków i dorywczych uwag jakie mu nastręczała ta lub owa książka! Nie jedno w tém wszystkiém, było mu całkiem niezrozumiałe; ale mimo to, przysłuchiwał się ciągle z największą uwagą. Drummond doszedł wreszcie do przekonania, że Jerzy mało posiada gruntownego wykształcenia, ale za to dosyć zdolności, oraz chwalebną chęć zwiększenia zasobu swych wiadomości. Nigdy żaden mistrz nie pozyskał sobie ucznia tak przejętego pokorną czcią dla niego.

Drummond pozostał też na obiedzie u swego nowego znajomego, i przyjmował z łaskawą pobłażliwością, przeprosiny jego, za obiad zarówno obfity jak urozmaicony, bardzo w duchu rozweselony tą wyjątkową uprzejmością Jerzego, skutkiem któréj żaden gatunek wina nie zdawał mu się godnym tak znakomitego gościa. Młodociany gospodarz mocno ubolewał nad tém, że nie ma lepszego cygara do ofiarowania panu Drummond, — i w istocie, te któremi go częstował, kosztowały tylko po siedm funtów i dziesięć szyllingów setka. Wyszli na ogrodowy taras po obiedzie, i tam zasiedli w wygodnych krzesłach, wśród woni rozkwitłych krzewów, pod czystém niebem usianém gwiazdami. Jeśli młodzieniec miał jaką prośbę do przedstawienia swemu nowemu znajomemu, czyż nie była to ku temu najlepsza sposobność?

— Wyobrażam sobie że te światła, które widać tam w dali na wyniosłości oznaczają mniéj więcéj miejsce w którém pan zamieszkujesz? rzekł Jerzy Miller, spoglądając po za mrokiem już obrzuconą dolinę, na niskie wzgórze, gdzie błyszczały tu i owdzie żółtawe iskierki.

— Tak mi się zdaje, odpowiedział Drummond.

— Zdarzyła mi się—wypadkowo—sposobność poznania kogoś z pana sąsiedztwa, rzekł Miller.

— Doprawdy? odparł z pozorną obojętnością jego przebiegły gość, jakbądź wiedział dobrze ku czemu zmierzały te słowa.

— To jest, niekoniecznie osobę zamieszkałą w pana sąsiedztwie, ale młodą pannę umieszczoną na pensyi w pobliżu. Zdaje mi się, przypuszczam—że może pan wiesz cośkolwiek o niéj;—nazywa się panna North.

— O tak, znam ją nawet—odpowiedział od niechcenia Drummond.

— W rzeczy samėj, odezwał się znowu Jerzy, coraz bardziéj zmięszany, tak—tak właśnie słyszałem.

— Znasz pan jéj ojca, ma się rozumiéć? rzekł swobodnie Drummond—co było uwagą któréj nie należało się spodziewać od niego po tak dobrym obiedzie, przy tak wyborowym cygarze i w zamian za tyle cierpliwości w słuchaniu jego rozpraw.

— Nie—niekoniecznie.

— A zatem widujesz pan kogoś z jéj przyjaciół?

Młody Miller wydobył się ze swego zakłopotania, śmiało dając nura w samo jądro sprawy.

— Przyznam się panu, rzekł, żem się z nią zapoznał w dosyć dziwny sposb; starałem się właśnie natrafić na kogoś coby mógł załatwić towarzyską formalność mojego przedstawienia jéj; bo naprawdę bardzo to miła panienka, i jest to wielka przyjemność znać się z osobą tak pełną serca, szczerości i dobroci.

— A, rozumiem teraz — odezwał się Drummond, z wyrazem twarzy człowieka czyniącego ważne odkrycie;—prosiłeś pan zatém Hardinga, aby mnie do City sprowadził, a potém namówiłeś mię abym tu przyszedł z tobą?

Nie było znać w nim urazy ani nieukontentowania; zdawał się poprostu żądać objaśnień. Zmrok osłaniał gorący rumieniec którym oblana była twarz młodzieńca.

— Śmiem myśleć, odrzekł, że nie wziąłeś mi pan tego za zbytek śmiałości. W każdym razie, cieszę się najmocniéj, ze zrobionéj z panem znajomości; — sądzę że zechcesz temu uwierzyć. Zdawało mi się, że może panna North wspomniała przed panem o mojém nazwisku?

— Drummond nie dał na to żadnéj odpowiedzi, tylko uczynił uwagę że chłód tego wieczoru był prawdziwie rozkoszny i wstał z miejsca by sobie nogi trochę wyprostować.

— Mówiąc panu szczerze, wyjąkał znowu Jerzy, myślałem że —że gdy się z sobą bliżéj poznamy, zdarzy mi się kiedykolwiek sposobność zostania jéj przedstawionym w pana domu.

— A! doprawdy? rzekł chłodno Drummond. I w jakim téż celu, proszę pana?

— No, przecież wolno każdemu pragnąć przyjemnego stosunku, rzecz to całkiem naturalna.

— Uważam tc—odparł Drummond, starannnie strzepując popiół ze swego cygara.

Jerzy Miller pozostał przez chwilę w milczeniu; była to rzeczywiście odpowiedź nie wiele dająca otuchy.

-- Nie powiedziałeś mi pan... odezwał się wreszcie.

— Czy zgodziłbym się na to, aby dać panu sposobność widywania panny North w moim domu? No, — koniec końcem, nie uważam w tém nic zdrożnego. Życzysz pan tylko zapoznać się z nią — cóż tu może być złego? Wszelako — muszę zastanowić się nad tém—zobaczę.

— Ach, dziękuję panu najmocniéj.

— Wkrótce potém Drummond pożegnał Jerzego, wymawiając się usilnie w ostatniéj chwili od przyjęcia pół tuzina cygar, wielkości sporéj laski, które uprzedzający gospodarz uważał za niezbędne dla niego, w czasie drogi do domu. Zaszedłszy do siebie, rzekł naprzód do siostry:

— Czy się widziałaś z Violettą, dzisiejszego wieczoru?

— Nie; odpowiedziała; Kennaway był tu z żoną, i cały dzień z niemi spędziłam.

— Tém lepiéj, nie wybieraj żę się teraz do niéj. Musimy zastanowić się jeszcze nad tém wszystkiem. Poznałem tego młodego Millera; wcale przyzwoity z niego chłopak, ale o wiele za młody, aby mu można pozwolić zalecać się do Violetty. Tylko znowu, gdyby się mogli z sobą spotykać od czasu do czasu, to przy swéj bystrości ta młoda dziewczyna wkrótce by w nim dopatrzyła dosyć zwyczajnego człowieka; zatém zdaje mi się, że nie powinniśmy temu przeszkadzać, aby się tu z sobą widywali.

— Jamesie! pomyśl tylko jak to może być niebezpieczném! zawołała jego siostra. Możemy się narazić na przykre bardzo zarzuty. Toż przecie panna North będzie miała spory posag.

— Ten chłopak ma ze dwadzieścia razy tyle majątku co ona. Ale przedewszystkiem nie przyjdzie nigdy do tego, aby była mowa o tém. Porozmawiamy o téj sprawie jutro rano.

Następny poranek rozpoczynał właśnie ów Wtorek, który Violetta North obrała sobie była na zuchwałe rzucenie rękawicy całemu światu.

— Trzeba na to mojego szczęścia! powiadał do siebie Jerzy, po odejściu swego gościa; dopiero mi biedy narobiła tą swoją głową szaloną! Byłby się z czasem zgodził na to, abyśmy się w domu jego widywali — widziałem to wyraźnie — i wszystko poszłoby tak

gładko jak tylko potrzeba; tymczasem teraz, jak ją zabiorę z sobą na ową wycieczkę do Hampton, znowu się wszystko zagmatwa;— a tu nie ma już sposobu z tego się wywinąć, w piękny się kłopot wplączemy, jak nas kto wypatrzy w téj wyprawie, albo dowie się o niéj;—co z pewnością nas czeka.

ROZDZIAŁ VII.

Przejażdżka w pogodny dzień letni.

Ów ranek, mający być świadkiem tak ważnych wypadków, rozpoczął się już, i Violetta, zbliżywszy się do okna swego pokoju, z drżącém trochę od niepokoju sercem, podniosła żaluzye. Przed nią, wszystko tchnęło pogodą i wonią; na liściach iskrzyła się jeszcze rosa pod promieniem słońca, rozjaśniającego niebo, na którém nie było widać nigdzie żadnéj chmurki. Violetta uczuła się całkiem zadowolona.

Usłyszawszy czyjeś kroki przed swemi drzwiami, podbiegła ku nim śpiesznie i zawróciła ze schodów na dół idącą służącę.

— Słuchaj no, Elżbieto, rzekła, masz tu szylling dla siebie; a pobiegniesz mi za to natychmiast na Camberwell-Grove, do magazynu mód pani Cooke, i poprosisz o mój kapelusz. Nie wracaj bez niego; czy skończony czy nie, zabieraj go z sobą. Czyś mię zrozumiała, Elżbietko? Stukaj tam do drzwi, dopóki ci nie otworzą, a potém bierz kapelusz i wracaj tu z nim co tchu. Cóż oni sobie myślą? Alboż ja bez kapelusza siądę do powozu?

— Proszę pani, toż go miano przecie odesłać na ósmą godzinę, a teraz dopiero kwadrans po siódméj.

— To nic nie znaczy; wiem dobrze że go sami nie odeszlą, jeśli się o niego nie dopomnę. Nie trać że czasu, Elżbieto, ale idź i zrób jakem ci powiedziała. Nie daj się tylko zbyć niczém; pani Cooke będzie pewnie próbowała odprawić cię bez kapelusza, jeźli go nie wykończyła; ale ty nie bądź gąską i spraw się jak należy.

Gdy miejscowe pensyonarki — których klika było — zeszły się na śniadanie w jadalnéj sali, dowiedziały się wszystkie o tém, że Violetta ma cały dzień rekreacyi do spędzenia po za obrębem zakładu, i z wielką ciekawością oglądać poczęły strój jaki przywdziała na ową uroczystą okazyę. Już to w ogóle, wprawiała ona pod tym względem w podziw swe towarzyszki; posiadała bowiem właściwy sobie dar ubierania się do twarzy; a pomimo to, gdy która z nich usiłowała wiernie naśladować ową wyrocznię dobrego

smaku, okazywało się zawsze ku wielkiemu jéj strapieniu, że taka sama zupełnie suknia, lub okrywka całkiem inaczéj wygląda na niéj, jak na Violecie North. Nie mogły nawet jéj współzawodniczki pocieszać się w tym razie myślą, że lepiéj od nich opatrzona w pieniądze córka baroneta, ma tém samém większą łatwość w dobieraniu sobie ładnych strojów; albowiem w ubraniu swém Violetta starannie unikała wszelkiéj zbytkownéj ozdoby. Odznaczało się ono zwykle jak największą skromnością. Nie bywało tam nadmiaru falban, ani kokard w oczy wpadających; to jedno w jéj sukniach zwracało uwagę, że się w nich zawsze trzymala kroju uwydatniającego jéj kibić, obcisłością stanika i rękawów. Ale to co sprawiało iż one tak zręcznie przystawały do kształtów Violetty, nie mieściło się w zakresie umiejętności jéj szwaczki; nie była to robota żadnéj ludzkiéj ręki, ale samego już Boga.

W usposobieniu była przewyborném. Czy się choć trochę niepokoiła? Nic a nic. Daleko więcéj było obawy w duszy pewnego młodzieńca, który w tejże saméj porze, jechał powozem zaprzężonym w parę pięknych siwoszów, drogą prowadzącą do Dulwich. Niekoniecznie wyglądał on na człowieka śpieszącego na radośne gody.

— Tak jest, pani, mówiła spokojnie Violetta do panny Main, zbliżając się ku oknu; już dojeżdża tu powóz, i widzę że młody pan Miller po mnie przyjechał. Wolałabym była módz pani przedstawić jego ojca; ale skoro tak się stało, czy zechcesz zejść ze mną, aby z nim się zobaczyć?

— O, i owszem, odpowiedziała uprzejmie kierowniczka zakładu.

Młodzieniec stał w dolnym saloniku z kapeluszem w ręku, i z sercem mocno w téj chwili bijącem, jeśli mamy prawdę powiedzieć. Gdy weszły dwie kobiéty, powiódł po nich wzrokiem z kolei; panna North miała postawę poważną, ale swobodny uśmiech na ustach.

— Chciéj pani pozwolić, rzekła przedstawić sobie pana Millera. Dodała potém: o pańskim ojcu wiele słyszała panna Main, i spodziewała się trochę że sam zechce po mnie dziś przyjechać. Ale zapewne przeszkodziło mu w tém inne jakie zajęcie.

— Tak... tak jest w istocie, wyjąkał Jerzy; i śpiesznie zaraz dodał: – Czy jesteś pani już gotowa?

Czuł szaloną tęsknotę za chwilą w któréj będzie już mógł wyjść z tego domu; lękał się ust otworzyć, z obawy aby mu się jakie niezręczne słowo nie wyrwało. Z dobrodusznéj postawy panny Main, domyślał się jakiegoś przebiegłego pomysłu Violetty, za po-

mocą którego potrafiła odebrać jéj wszelkie środki obrony, w téj tak ważnéj chwili.

Żegnam więc panią, rzekła panna North. Zdaje mi się że powrócę około szóstéj godziny.

Gdy wyszla przed dom i ujrzała piękne siwe konie na nią czekające, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu — wyglądało to naprawdę całkiem na wykradzenie. To samo myślały jéj towarzyszki, wszystkie z okien na nią patrzące, a także gdy się przypatrywały wsiadającéj do powozu młodéj panience w sukni popielatéj, ubranéj ciemnym aksamitem i w takimże kapeluszu z długiem piórem śnieżnéj białości, przyznały wszystkie jednogłośnie, że nie widziano nigdy ładniejszéj narzeczonéj wiezionéj do kościoła. A czy nie był także piękny ten wysmukły i kształtny młodzian, którego usta tak delikatne miały zarysy, a nozdrza z lekka wydęte tchnęły życiem i siłą? Po chwili w dal odjechali oboje, oblani blaskami słońca; odprowadzające ich wzrokiem pensyonarki powtarzały jedna drugiéj, że chociaż nie jest to para nowożeńców, miło ją sobie taką wyobrażać.

Jerzy Miller odetchnął całemi piersiami z uczuciem wyswobodzenia; nie było mu wcale przyjemnie, przed chwilą gdy się w owym saloniku znajdował.

— Jakżeś to pani potrafiła urządzić? zapytał.

— Ach! w najprostszy sposób w świecie! odpowiedziała z uśmiechem zwycięstwa. Ta kochana, poczciwa panna Main, myśli że jedziemy na jakąś wystawę kwiatów, czy czegokolwiek innego, gdzie zastać mamy mojego ojca, pańskiego także i różnych innych jeszcze ojców. Słuchajcie no, woźnico!

Gdy odwrócil się ku niéj, rzekła:

— Prosiłabym abyście nas zawieźli tą oto drogą na Grove-Hill.

— Chciała tym sposobem uniknąć przejazdu przed domem Drummonda.

— Więc jéj to wszystko pani powiedziałaś?

— Wcale nie. Natrafiła na to własnym domysłem. Ale dajmy już temu pokój; czyż to nie roskosz mieć przed sobą cały dzień swobody i jakiéj jeszcze! Nigdy mi się ta okolica nie wydała tak uroczą jak dzisiaj!

Gdy to mówiła, mijali właśnie wzgórze Champion-Hill, ocienione drzewami, których urozmaiconą zieloność uwydatniała pogoda słoneczna tego dnia, raczéj na wiosenny jeszcze wyglądającego, tak w nim przyjemnie lekki powiew ochładzał powietrze.

— Dokądże jedziemy? spytała, choć ją to w istocie wcale nie obchodziło. Aż nadto jéj było wystarczającém uczucie swobody, przyjemność znajdowania się na świeżém powietrzu, pod tém niebem tak promiennie rozjaśnionem.

— Miałem na widoku wycieczkę do Hampton, rzekl nieśmiało. Brzegi rzeki są tam cudowne; każemy podać sobie śniadanie pod kasztanami.

— Ale czy nie zastaniemy tam zbyt wiele miejskich próżniaków? spytała. Zdaje mi się że mają szczególne upodobanie do téj miejscowości.

— O, możesz być pani o to spokojna; w powszedni dzień nie ma tam prawie nikogo.

— A, więc pomyślałeś pan już o celu naszéj wyprawy.

— Ma się rozumieć.

— Wdzięczna panu jestem.

Okazywała się bardzo uprzejmą; z tém wszystkiem jednak, nie był pewien czy i teraz nie żartuje sobie z niego. Czyż nie było trochę ukrytego szyderstwa w tém podziękowaniu, którem go darzyła owa młoda pensyonarka, z wyniosłą łaskawością monarchini?

Znagła śmiechem parsknęła, i wtedy uczuł że była całkiém szczerą.

— Gdyby się kiedy dowiedziała o tém panna Main, zawołała, to myślę, że ją by chyba apopleksya zabiła! Wartoby miljony zapłacić za to, żeby ją można zobaczyć w takiéj chwili!

— Nie widzę w tém wszystkiém nic tak bardzo zabawnego, odpowiedział jéj; bo prawdę mówiąc, nie rozumiem nawet dla czego postąpiłaś sobie pani w ten sposób.

Popatrzała na niego przez chwilę, potém rzekła; jakby nagle powziąwszy postanowienie:

— Powiedz pan proszę woźnicy, żeby się zatrzymał. W rzeczy samej, nie widzę wcale potrzeby abyśmy daléj w tę sprawę się zapuszczali. Użyłam już dosyć przejażdżki, i z chęcią wrócę do domu.

— Ach, nie bądź że pani teraz dziecinną, rzekł do niéj półgłosem. Czemuż nie chcesz zaczekać abym ci lepiéj wytłómaczył? Chciałem tylko powiedzieć, że środek ten był całkiem niepotrzebnym, albowiem nic nam już nie przeszkadza widywać się z sobą w najzwyczajniejszy sposób. Pan Drummond był u mnie na obiedzie, wczorajszego wieczoru.

Wiadomość ta, nie zadziwiła jéj, jak się tego spodziewał.

— Mało mię to obchodzi, rzekła mu.

— Cóż tedy za potrzeba narażać się na przykrości?

— Sami mnie oni ku temu pchnęli, odpowiedziała.

— Więc nie chcesz pani z tego korzystać?

— Ach, na cóż nam się tu spierać i frasować tém wszystkiem, podczas tak cudownego poranku? zawołała niecierpliwie. Powiedziałam że chcę z panem odbyć ładną wycieczkę, i używam jéj teraz; a tu pan wszystko psujesz rozprawiając o różnych trudnościach i nieprzyjemnych ludziach. Dałbyś już przecie temu pokój.

Temi słowy, zamknęła mu usta; nie raz już zresztą uczuł się niezdolnym do walczenia ze stanowczością tak wybitną tej młodéj pensyonarki. Cecha owa jéj charakteru, nie bardzo mu się podobała, ma się rozumieć. Piękna twarz jego zachmurzyła się i milczal z wyrazem nieukontentowania. Po chwili spojrzala na niego, a w oczach jéj błyszczało złośliwe rozweselenie.

— Czy pana obraziłam? spytala.

— Nie; ale byłaś pani szorstką i niegrzeczną, rzekł sucho.

— A! bardzo ładnie się pan wyrażasz rozmawiając z młodą panienką; niema co mówić; odparła śmiejąc się szczerze. Zdaje mi się, że wstępujesz w ślady naszego nauczyciela, pana Siedla. Parę dni temu, powiedział na mnie: To istne półdjable!

— Nie dziwię się temu, odpowiedział Jerzy, rozdrażniony już do najwyższego stopnia; a wyznanie to, tak ją mocno ucieszyło, że śmiać się zaczęła z serdeczną wesołością, która swém nagłem pojawieniem się, pokonała jego zły humor. Mimowolnie prawie, poszedł za jéj przykładem.

— Czy masz pani pojęcie tego, rzekł, ile umiesz bywać niecierpliwiącą?

— Przyznaję, odpowiedziała naiwnie, że mi to już czasem dawano do zrozumienia; ale sądziłam zawsze, że osoby które to mówią, zazdroszczą mi w duchu słodyczy charakteru, dającéj mi pewną wyższość nad niemi. Zapewniam pana, że mam siebie za bardzo łagodną. No, ma się rozumieć, że jeśli się kto na to uweźmie aby mi stać się nieprzyjemnym...

— Czyli inaczéj mówiąc, że jeśli kto w obec pani chce zachować własne zdanie i nie być ci we wszystkiem uległym, to się takim staje dla ciebie?

— Ha! może i jest tu cokolwiek prawdy. Ale dajmy już temu pokój. Przebaczam panu.

Rozsiadła się wygodnie w powozie to powiedziawszy; słońce uwydatniało delikatne barwy jéj cery, a wietrzyk igral z buntującemi się końcami ciemnych jéj i dziwnie bujnych włosów. Jak na młodą dziewczynę, co się ukradkiem z pensyi wymknęła, wyglądała nader mało zatrwożona swym czynem. Czyniła różne uwagi

dotyczące domów jakie napotykali po drodze, oraz otaczających je ogrodów; cieszyła się widokiem pięknych willi, których białe mury oplatały wijące się rośliny, lub też ciemnych cedrów, na tle których cudownie odbijała żywa krzewów zieloność. Kto też zajmuje te domy? pytała. Zapewne to ludzie bogaci? i czy radby pan Miller mieszkać w takiéj willi?

Potém znaleźli się przez czas jakiś w miejscu bardziéj odludném, wśród łąk kwiecistych, które minąwszy wyjechali na szeroki gościniec ocieniony drzewami, wiodący do Clapham-Park. Krajobraz był w tém miejscu bardzo przyjemnie urozmaicony; łagodnemi wyniosłościami, po za któremi coraz to nowe odsłaniały się widoki. Okolica znowu bardziéj się pustą stawała; powóz toczył się wśród ciszy, którą przerywał tylko jego turkot jednostajny.

— Więc się pan widziałeś wczorajszego wieczoru z panem Drummondem? rzekła Violetta. Cóż tedy o nim sądzisz? — Ale nie; lepiéj nie mów mi pan tego; bo jeśli nie masz o nim zdania bardzo — ale bardzo pochlebnego, to się znowu z sobą pokłócimy.

— Sądziłem że masz pani obecnie do niego urazę? rzekł Jerzy, z niejakiém zdziwieniem.

— Alboż to nie można mieć urazy do kogoś; ceniąc go pomimo to wysoko i szanując?

— Wydał mi się bardzo miłym człowiekiem; — no, ma się rozumieć, cokolwiek oryginalnym — nadto ma wiele może usposobienia do wprawiania z umysłu w kłopot tych z którymi rozmawia.

— To nie jego przecież wina, jeśli go pan nie umiesz rozumieć, odpowiedziała z żywością Violetta.

— Co do tego, to nie przypuszczam znowu aby się w nim mieściła wszystka mądrość świata, rzekł na to Miller, który jak każdy młody chłopak, pochopny był do upatrywania w każdym współzawodnika. Musisz pani także przyznać, dodał, że powierzchowność jego nie jest wcale ujmująca.

— Nienawidzę lalek sklepowych, odrzekła. Mężczyzna powinien być mężczyzną, nie zaś lalką.

Zajechali byli tymczasem na dalsze wzgórza, z których widok był już na rozległe przestrzenie pól i łąk, po za niemi rozciągały się lasy i od nich zalatywały chłodne powiewy. Daléj jeszcze, za tą ciemną ścianą zieleni, wyobraźnia upatrywała tajemnicze obszary morza.

— Cóż za cudowną woń przynosi nam tu wiatr! rzekła Violetta. Czemu też to nie można zamknąć ją we flaszeczki i używać zamiast pachnideł? Proszę wyobrazić sobie cenę podobnego skarbu, wśród tłumu naprzykład, w którymkolwiek kościele londyńskim.

— Czy lubisz pan kwiat czerwonego głogu? dodała.

— Dosyć.

— A mnie się on wcale niepodoba. Za nadto jest jaskrawy. Wygląda jakby go farbą na czerwono pomalowano. Wolę go daleko w białéj, wrodzonéj jemu barwie.

— Jedna i druga zarówno jest naturalną, odpowiedział.

— Ach! znowu chcesz się Pan w sprzeczki wdawać, rzekła z wyniosłą łaskawością; szkoda mi na to czasu, przy tak pięknéj pogodzie.

Przy ich młodocianém usposobieniu do wesołości, niedziw iż czas upływał im szybko i przyjemnie, w téj przejażdżce wśród tak sprzyjających warunków. Ale w tém miejscu, rozmowa ich przerwaną została niespodzianém a nader opłakaném zdarzeniem. Jechali właśnie doliną, minąwszy tylko coRobin-Hood, kiedy w tém napotkali kobiétę idącą z dwojgiem dzieci. Jedno niosła na ręku, drugie zostało się było nieco o podal z tyłu. Nadarzył się właśnie w téj chwili na gościńcu wóz drzewem naładowany, a gdy się woźnica Millera brał na prawo, aby go wyminąć, nieszczęście zrządziło, że dziecię idące tą samą stroną drogi, potknęło się jednocześnie i upadając, pod sam prawie powóz się potoczyło. Nie zostało; wprawdzie przejechaném, ale głową o tylne koło silnie się uderzyło i gdy Violetta z szybkością błyskawicy wyskoczywszy z powozu, podniosła je z ziemi, krew płynęła obficie z rany na czole. Na szczęście rana była mało znacząca; ale w pierwszéj chwili, nie wiedząc o tém, młoda dziewczyna, która uprzedziła była nawet matkę w daniu pomocy dziecięciu, wyraziła swe oburzenie woźnicy, ze zwykłą popędliwością

— I to się nazywa umieć powozić! zawołała z wzrokiem zaiskrzonym. Czemużeś nie zatrzymał w porę twoich koni? — O, moja biedna dziecino, uspokój się! — O jakżem się zlękła! myślałam żeśmy cię na śmierć przejechali!

Pobiegła z dzieckiem na ręku do sąsiedniéj szynkowni — gdzie za nią poszła też matka oszołomiona jeszcze trwogą — i tam, zażądawszy wody, obmyła starannie ranę i obwiązała ją płótnem którego jéj dostarczono. Woźnica nadszedł po chwili i tłómaczyć począł zebranym ludziom, że nie było jego winy, w tém co się stało

— Milcz oto lepiéj! rzekła mu Violetta. — Potém dodała, zwracając się do matki dziecięcia:

— Gdzie mieszkacie, moja kobiéto? Powiedzcie mi to, bo chcę przyjść was odwiedzić.

To mówiąc, wyjmowała sakiewkę z kieszeni. Przez cały ten czas blada była, a na twarzy miała wyraz bardzo stanowczy. Jerzy sprobował wdać się też w tę sprawę i rzekł:

— Masz oto suwerena, moja kobiéto; weź go sobie dla twego dziecka.

— Ona powinna dostać dziesięć razy tyle — dwadzieścia razy! zawołała Violetta z lekka nogą tupnąwszy,a do oczu jéj rzuciły się zarazem łzy obfite. Matko, oto masz wszystkie pieniądze jakie z sobą zabrałam — żal mi że niczém inném jak pieniędzmi nie możemy wynadgrodzić ci tego wypadku. Ale odwiedzę cię wkrótce — to samo uczyni mój ojciec. Tymczasem, jak tylko zajdziesz do Wandsworth, pytaj tam o dobrego lekarza i pójdź z dzieckiem do niego — ja mu zapłacę; — pamiętaj, zrób to; i bądź pewna, że będę miała o tobie staranie.

— Dziękuję pani najserdeczniéj, odpowiedziała uboga kobiéta; a obecni tam ludzie powiadali do siebie, podczas gdy odchodziła Violetta: patrzcie no, to mi prawdziwa pani, to nie taka co to patrzy z góry na biédnych i za nadto ma dumy, żeby dla nich krok jeden zrobiła; — o, to mi pani co się nazywa!

Powóz stał przede drzwiami; siadła do niego i rzekła bardzo wyraźnie do woźnicy, juz będącego na koźle:

— Przepraszam was, mój kochany. Zdaje mi się, żem za ostro się wyraziła na razie. Widzę teraz, że nie mogliście zapobiedz temu wypadkowi.

— Tak mi się zdaje, proszę pani, odpowiedział. Na szczęście, skończyło się na nie wielkiéj rzeczy; — za kilka dni, to mu się rana zagoi.

Pojechali tedy znowu daléj; ale tym razem Jerzy w bardzo złym był humorze, skutkiem obejścia jakiego doznał przy ludziach od Violetty, w owym zajeździe.

— W jakiż sposób myślisz pani prosić ojca, odezwał się, aby tę kobiétę odwiedził? Czyż możesz mu się wytlómaczyć z twojéj obecności tutaj?

— Mało mię to obchodzi, odpowiedziała.

— Cóż on zresztą więcéj dla niéj zrobić może? Wieleż jéj dałaś pani pieniędzy?

— Trzy suwereny i cokolwiek drobnych w dodatku.

— Więc za to zadraśnięcie, dostala już więcéj jak cztery funty wynagrodzenia. Sądzę ze nie miała by nic przeciw temu aby całą jéj rodzinę spotykaly podobne wypadki od czasu do czasu.

— Gdyby panu w głowie dziurę zrobiono, odpowiedziała, ciekawa też jestem jakie wynagrodzenie uważali by w takim razie za stosowne pańscy przyjaciele?

Jechali potém przez czas jakiś, milcząc oboje.

— Zdaje mi się, rzekł wreszcie Miller, żeśmy się — jak na jeden dzień zwlaszcza — dosyć nasprzeczali.

— Ale to tylko dowodzi w jakiéj jesteśmy z sobą przyjaźni, odpowiedziała z uroczym uśmiechem.

Ma się rozumieć, że gdybyśmy się byli spotkali na jakiem obiedzie, potém na balu, a późniéj znowu na obiedzie, musielibyśmy zachowywać się nawzajem w sposób najgrzeczniejszy. Czy wolałbyś pan to, od obecnego naszego stosunku? Sprobujmy może tamtego— chociażby ztąd aż do Hampton, naprzykład? Czy mam rozpocząć? — „Przepraszam bardzo pana, kochany panie Miller, ale czy nie był byś łaskaw mi powiedzieć, która jest teraz godzina?“

Zupełna zmiana jéj obejścia w jednéj chwili, była czémś tak pociesznéin w połączeniu z wyrazem jaki twarz jéj przybrała przy tém zapytaniu, że Jerzy roześmiał się serdecznie, a to samo i ona uczyniła; a żart ów wprawił ich oboje w jak najlepszy humor, przy którym utrzymali się przez resztę dnia, z wyjątkiem niewielu już przerw mało znaczących.

Minąwszy Kingston i most jego na filarach z wyniosłemi łukami, przejechali około wjazdowéj bramy pałacu Hampton-Couvt, ulicą ocienioną wysokiemi drzewami, która ich doprowadziła do brzegu rzeki; tam znaleźli się przed obszernym domem, zdającym się pamiętać dawne czasy, o ile wnosić można było z jego budowy. Ściany miał nawpół zakryte pnącemi się po nich roślinami, a w około otaczała go zewsząd zieloność; obecnie mieściła się w nim restauracya.

— Czy odważysz się pani zjeść śniadanie w ogólnéj sali? spytał Miller swéj towarzyszki, jak gdyby przypuszczał w niéj możliwość jakiéjbądź obawy.

— O, dla czegóżby nie? odpowiedziała. Lubię widzieć ludzi w około siebie; a do tego nie sądzę abym tu mogła spotkać kogokolwiek znajomego. Ach! powtarzam jeszcze: gdyby to panna Main mogła mię widzieć w téj chwili!

Gdy weszli do sali, zastali tam tylko dwie stare panny, jedzące chleb z sérem i popijające limonadę; francuza jakiegoś z żoną, o wiele od niego starszą, i sędziwego gentlemena, drzemiącego w swém krześle. Mogli tedy wybrać sobie stolik przy oknie, i odwróciwszy się od czerwonego dywanu i takichże firanek zdobiących pokój, cieszyć się do woli widokiem rozpogodzonego i uśmiechniętego świata zewnętrznego. Violetta z wielką powagą zajęła się obstalowaniem śniadania i bardzo otwarcie i stanowczo wyrażała swe upodobanie do téj lub owéj potrawy. Zachowaniem swém przypominała młodą mężatkę, któréj nadewszystko o to chodzi, podczas poślubnéj podróży, aby się służącym po hotelach wydała tak

swobodną i poważną w obejściu, iżby się domyślić nie mogli, że od kilku dni zuledwie czepeczek włożyła na głowę.

— Czy nie wypiłabyś pani trochę wina szampańskiego? zapytał ją Miller, po odejściu służącego.

— Nie; dziękuję panu, odpowiedziała. Lubię bardzo wino szampańskie—zwłaszcza gdy nie jest nadto słodkie,—ale nie wolno mi pić nic więcéj nad kieliszek xeresu.

— A któż mógłby to pani teraz zabronić? zapytał.

— Szacunek jaki mam dla siebie saméj, odrzekła z łagodną powagą. Czyż sądzisz pan, że chciałabym z tego korzystać, że mnie panna Main nie widzi?

Sniadanie było już podane, nie pozwolili służącemu zamknąć okna, chcąc nacieszyć się do woli rozkosznym krajobrazem, jaki mieli przed sobą. Violetta zwłaszcza, jak bądź przy najlepszym była apetycie, co chwila zapominała o potrawie, którą jéj podano, zapatrzywszy się w jaki szczegół tego urozmaiconego widoku.

— Co to za jedni ci, co tam idą? spytała, wskazując w dole Jerzemu kilku młodych ludzi, którzy przechodząc koło restauracyi, szli drogą wiodącą ku cienistym brzegom rzeki. Nieśli z sobą butelki i szklanki, a większa ich część miała w ustach fajki lub cygara.

— Sądzę, że muszą to być owi niemcy, którzy nie dawno temu tak tu hałasowali na górze.

— Nie nazywam hałasowaniem zbiorowego śpiewu, odpowiedziała. Chciałabym była, aby dłużéj śpiewali. Znam wybornie wszystkie ich pieśni.

— Nie wątpię o tém, że byłabyś pani z chęcią poszła im nawet wtórować, rzekł nie bardzo uprzejmie.

— Mogłabym i to zrobić, odpowiedziała spokojnie. Śpiew mój nie koniecznie uchodzi za czarowny wobec krytyki—ale krytyka, to poprostu zawiść jak wiadomo panu — z tém wszystkiém jednak, przepadam za muzyką, a w szczególności za niemieckiemi pieśniami. Spojrz pan tylko na tego oto z pomiędzy nich, który na ziemi się położył, zakrywszy sobie oczy kapeluszem: czemużby nie miał teraz czego zaśpiewać? Nie pali nawet fajki ani cygara jak drudzy.

— Możebyś pani miała ochotę pójść go o to poprosić? spytał trochę szyderczo Jerzy.

— Zrobiłabym to chętnie, odpowiedziała z prostotą. Nie wyobrazisz sobie pan, jak lubię te niemieckie pieśni chórem śpiewane. Czy znasz pan naprzykład: „Gaudeamus?“

— Jeślibyś pani życzyła pójść zrobić znajomość z temi gentlemenami...

— W taki sam sposób jak ją z panem zrobiłam? przerwała mu.

— Czyż sądzisz pani, że każdy...

Nie dała mu i tym razem dokończyć, widząc wyraźnie z jego twarzy, że mu się znowu zbiera na zniecierpliwienie.

— Że też to ludzie, rzekła, najmniejszego w sobie nie mają poczucia wdzięczności. Naraziłam się w tym razie na najstraszliwsze nieszczęścia; – przypuszczam, że czekałoby mię co najmniéj ze trzy miesiące kozy w samotności o chlebie i o wodzie, – a wszystko to zrobiłam dla obdarzenia pana przyjemnością mojego towarzystwa przez kilka godzin; i cóż w zamian za to zyskałam? Oto że mię pan gnębisz ciągle, że mnie dręczysz, że we wszystkiém mnie się sprzeciwiasz.

— Wyglądasz pani na to, że cię łatwo gnębić i udręczać, nie ma co mówić!

— Cóż w tém było złego, żem życzyła, aby ci niemcy zaśpiewali co jeszcze, dla sprawienia panu przyjemności. Toż co do mnie, znam wszystkie ich pieśni na pamięć. Na cóż mi więc było... Ach! słuchajże pan!...

Rzuciła śpiesznie nóż i widelec na talerz i w ręce klasnęła uradowana.

— Czy nie wiesz pan co to takiego oni teraz śpiewają?

Któryś z owych młodych chłopaków, leżąc wyciągnięty jak długi na trawie, zabawiał się od pewnego czasu, wybijaniem taktu laską na próżnéj butelce, do jakiéjś własnego pomysłu melodyi. Potém, zabrał się był do gwizdania, ale tego zaprzestał wkrótce dla zaintonowania na całe gardło, donośnym głosem basowym, któremu niedbale puszczał wodze:

„Was kommt dort von der Höh,
Was kommt dort von der Höh;"

przyczém zaraz chórem grzmiącym poczęli mu wtórować jego towarzysze, nie koniecznie wszyscy w sposób bardzo muzykalny, gdyż niektórzy próbowali zarazem zachowywać swe fajki w ustach:

„Was kommt dort von der ledernen Höh,
Sa, sa ledernen Höh,
Was kommt dort von der Höh!"

— O Moi nieopłaceni chłopacy, nie przestawajcie tylko! śpiewajcie dalej! zawołała Violetta.

Ale zamilkli wkrótce; chór ów nie posiadał dla nich tyle uroku nowości, ile go miał dla niéj, zaśpiewali parę jego zwrotek bez myśli, poprostu dla tego, że nie mieli co z czasem swoim zrobić. Nastąpiła potém gwarna rozmowa, tu i owdzie przeplatana wybuchami śmiechu; ale wtém znagła zabrzmiał tenże sam głos basowy:

„Es zogen drei Bursche wohl über den Rhein,
Bei einer Frau Wirthin da kehrten sie ein."

i tu znowu wybuchnął rozgłośnie chór, powtarzając:

„Bei einer Frau Wirthiu da kehrten sie ein."

Każdemu wiadomo, że owo opowiadanie Uhlanda, o trzech studentach, liczy się do najrzewniejszych ballad, ale cóż mogła mieć wspólnego poezya z tymi tęgimi chłopakami o grubych karkach, z ich fajkami i piwem, które nieustannie popijali? Wszelako oddalenie łagodziło tu nieco ostrość dźwięków — przecudna owa pogoda sama przez się do uczuciowych wrażeń usposabiała; więc urozmaicone te głosy, odzywające się wśród owych blasków spokojnych po nad brzegiem chłodnych fal rzeki, zdawały się dosyć harmonijnie dobrane.

— Ach! powiadała Violetta, żeby oni chcieli tylko zadać sobie trochę trudu i zaśpiewać jak potrzeba! Pewna jestem, że należą do jakiego muzycznego stowarzyszenia. Czemu też nie wstaną z ziemi i nie cisną w rzekę tych swoich fajek obrzydłych?

Ale nie zabierali się wcale do tego; leżąc na trawie, śmieli się na głos, lub też śpiewali chórem urywki jakiéj pieśni—próżnując rozkosznie, jak ów dzień letni, którego słońce im przyświecało. Ma się rozumieć, że wracało nieraz w ich śpiewie imię Lorelei, chociaż nie było widać w pobliżu żadnéj skały sterczącéj po nad falami, z któréjby czarodziejka mogła wabić ku sobie nieopatrznych żeglarzy, słodkiemi dzwięki swéj arfy. Śpiewali także potém coś na nutę pieśni szwajcarskich wieśniaków, gdy po pracy do domu wracają; a daléj piosnkę jakąś tyrolską. Wszystko to, jak bądź w wykonaniu pozostawiało wiele do życzenie, i najczęściéj nie bywało do końca doprowadzone, mocno zajmowało Violetrę. Coraz się stawała niecierpliwszą; ze śniadaniem załatwiła się śpiesznie, a raczéj zaniedbała je zupełnie; zasłuchana w śpiewie i zapatrzona

w słoneczny krajobraz, mało bardzo rozmawiała przez cały ten czas.

— Czy nie moglibyśmy przejść się teraz? spytała wreszcie.

— Zdaje mi się, że masz pani ochotę zbliżyć się bardziéj ku owym niemcom, rzekł Jerzy.

— Tak jest, odpowiedziała. Nie mogę słyszeć ich dobrze z tak daleka.

— Jak się pani podoba, rzekł, nie zdając się jednak z wielką chęcią spełniać jéj życzenie.

Wzięła szal na siebie i zeszli na dół oboje. Ale cóż usłyszała wchodząc do sieni? Niemcy śpiewali pieśń pożegnalną, któréj znane słowa przypomniała sobie zaraz usłyszawszy melodyę:

„Wohlauf! ist getrunken des funkelnden Wein,
Ade! ihr Gebrüder geschieden muss sein.“

Więc w drogę się wybierali, właśnie gdy chciała lepiéj im się słuchiwać. W rzeczy saméj wyszedłszy przed dom, ujrzała że wszyscy powstawali z ziemi, a służący powracał z wypróżnionemi butelkami i szklankami.

— Już odchodzą, rzekła z wyrazem przykrego zawodu.

— Tak jest, odpowiedział Jerzy, alboż sądziłaś pani, że tu przez dzień cały będą ci wyprawiali serenadę?

— Cóż teraz mamy daléj z sobą począć? spytała, gotowa teraz do wszystkiego, skoro jéj śpiewacy już sobie poszli.

— Chodźmy obejrzeć ogrody, fontanny i sadzawki z rybami. Ma tu być także ciekawy labirynt.

— Słyszałam o nim, rzekła pogardliwie. To największa zabawa służących, błądzić w nim podczas swych świątecznych przechadzek. Dziękuję bardzo panu; mogę się obejść bez téj rozrywki.

Przeszli się około pałacu i obejrzeli jego wnętrze. Spotkali się tam znowu z ową gromadką podróżujących niemców. Byli to po większéj części chłopacy silnie zbudowani, z wyrazem twarzy otwartym, z okularami na nosach; poubierani w letnie spodnie za krótkie i w jaskrawe krawaty, którychby im z pewnością pozazdrościła każda szwaczka lub sklepowa. Ale panna North zdawała się wcale już teraz nie zwracać na nich uwagi i zaledwie spostrzegła ich obecność

W małéj liczbie osób przechadzających się w téj porze po ogrodach otaczających pałac, znajdowały się wszelako dwie, które z pomiędzy innych wyróżniała ze szczególném przyglądając się im zajęciem. Był to starzec ociemniały, z długiemi białemi włosami

i prowadząca go drobna dziewczynka, zapewne jego wnuczka, która mu ciągle opowiadała wszystko co sama widziała w téj przechadzce. Violetta usiadła była ze swym towarzyszem, w cieniu rozłożystego jaworu, zkąd widok miała na zalane słońcem ogrody i na przechadzające się po nich osoby. Ilekroć ukazywał się jéj starzec z owém dziecięciem, zawsze wzrokiem szła w ślad za niemi. Jakże zaciszne było to miejsce, w którém wypoczynek sobie obrała, i jaki świeży chłód w niém panował! Jeden tylko szmer sąsiedniéj fontanny, słyszeć się tam dawał; dalszy słoneczny krajobraz, urozmaicony zielenią i żywemi kwiatów barwami, zdawał się do inego już świata należeć, jak ten który nań spoglądał z owego przybytku ciszy i chłodu.

— Czy widzisz pan tę małą dziewczynkę prowadzącą tego starca? rzekła Violetta. Ona mu opisuje to co sama widzi; złote rybki w sadzawce motyle na kwiatach—wszystko jedném słowem. A czy wiesz pan cobym zrobiła, gdybym była tą dziewczyną, a ten starzec moim ojcem?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, nigdy jéj dotąd nie słyszał mówiącéj z wyrazem, jaki teraz miała w głosie.

Prawiłabym mu kłamstwa różne, rzekła daléj z nagłą goryczą w głosie. Zmyślałabym różne rzeczy i oszukiwałabym go, korzystając z jego ślepoty. A onby mi wierzył, bo jakżeby mógł nawet przypuszczać we mnie podobną nikczemność?

— Naprawdę..... nie umiem rozumieć co pani chcesz powiedzieć.

— Ale mniejsza o to, rzekła znowu niedbale; mamy sobie dzień wakacyi, używajmy go; co nam zresztą drugiemi się zaprzątać?

Gdy to mówiła, oczy jéj jednak szły w ślad za ociemniałym i za towarzyszącą mu dziewczynką.

— Ciekawa też jestem, ciągnęła daléj, jakby w roztargnieniu, czy zawiodłszy raz czyje zaufanie, można odzyskać je znowu kiedykolwiek? Albo czy też wszystko wtedy przepadło, i niepodobna już się zawrócić?

Spojrzał na nią znowu; płakała po cichu.

— Violetto, zawołał, co to jest? co ci takiego?

— Oto poprostu zaczynam sobie zdawać sprawę z tego com zrobiła, odpowiedziała, usiłując łzy swoje ukryć; — a już niemożliwém jest to odrobić. I wszystko to dla czego? dla użycia przejażdżki, z widokiem pól i kwiatów;—i za to, nie potrafię już nigdy w oczy spojrzeć mojemu ojcu, i jedynym przyjaciołom jakich mam na świecie; ani też pannie Main, lub komukolwiek innemu.

— Ależ oni nie potrzebują przecie o tém wiedzieć,—rzekł wahając się.

— A czyż ja o tém nie wiem? zawołała z namiętném rozżaleniem. Cóż może być gorszego dla mnie nad to? Nigdy przed tém nie byłam tyle nikczemną, abym kogobądź oszukiwała—a teraz!... ach myśl ta jest mi nie do zniesienia!

— Nie powinnaś tak wiele nad tém się zastanawiać, rzekł do niéj łagodnie. Główną tu trudność stanowi twoja duma; ktoś inny bardzoby się mało zaprzątał tém, co ci tyle sprawia przykrości. Przyznaję, że nie było to koniecznie chwalebnym czynem, w błąd wprowadzać blizkich twoich, a przynajmniéj dać im w nim pozostać;—ale koniec końcem, była to poprostu psota i nic więcéj...

— Tak jest, przerwała mu żywo; chodziło tu dotychczas o psotę tylko; ale teraz kiedym już miała swoją zabawkę, przychodzi mi za nią zapłacić. Czy wiesz pan co jabym za to dała, aby mieć wymazane ze swego życia te kilka dni ostatnich? Co najgorsza ze wszystkiego to że zapomnieć nie można.

— Ależ to przecie nie tak ważna rzecz znowu, mówił, usiłując ją przekonać.

— Może tak być dla pana, odpowiedziała.

Widział wyraźnie, że było już po całéj przyjemności owéj wyprawy; zwykła swoboda i śmiałość jéj obejścia, opuściła ją teraz; zdawała się wyłącznie owładnięta myślą swego upokorzenia. Na nicby mu się nie przydało wdawać się z nią w rozprawę; nadto była bystrą w odpowiedziach, by jéj placu mógł na tém polu dotrzymać. Począł wierzyć, że dobrzeby było pomyśleć już o powrocie.

Spójrzała na zegarek i rzekła:

— Jak się panu zdaje? czy mogłabym być w Londynie na pół do szóstéj?

— Zapewne, jeśli się zaraz w drogę wybierzemy.

— A czy zechcesz pan mię odwieźć gdzie w pobliże Euston-Square? Potém odjedziesz sobie do domu.

— A jakże będzie z panną Main? spytał zdziwiony.

— Nie frasuj się pan tem; już ja na to poradzę.

— Bardzo dobrze; wracajmyż więc zaraz do hotelu, odpowiedział Jerzy.

Wieczór był gorący, gdy znowu jechali tą samą drogą co rano ku miastu, i mgliste opary zaciemniały niebo; słońce czerwono zachodząc, fantastycznie zabarwiało krajobraz. Wiatru nie było ani trochę, powietrze duszne się stało, ptaki się uciszyły; wszystko burzę zapowiadało.

— Jak mi się zdaje, rzekł Miller, masz pani zamiar odwiedzić swego ojca?

— Tak jest, odpowiedziała stanowczo. To przecież mogę jeszcze zrobić; że wyznam moją winę tym wszystkim, których oszukałam—tak jest, wszystkim — i że przebaczenia u nich poproszę. Temu zaś, co oni potém o mnie pomyślą, nie jestem w stanie zaradzić. Powinnam byla nad tém się zastanowić, zanim się wdałam w owe szaleństwo.

— Nie wiem dla czego, rzekł, miałabyś pani brać na siebie calą odpowiedzialność téj sprawy, i narażać się na wszelkie przykre jéj następstwa. Oto wiesz pani co chcę zrobić, jeśli się na to zgodzisz? udam się razem z tobą do mieszkania twego ojca, i opowiem mu wszystko. Zrobię to z chęcią, bylebyś pozwoliła.

— Zdobył byś się pan na to? spytała, a twarz jéj rozjaśniać się poczęła.

— Z pewnością.

— Lubię pana za to, rzekła mu otwarcie. Ale ma się rozumieć, że nie mogę na to przystać. Nie masz pan w tym razie nic do zrobienia. Nie chodzi mi tu o samo wydalenie się moje z pensyi na cały dzień, ale o ten podstęp tak niegodny — o to kłamstwo całe—tego przenieść nie jestem w stanie.

— Powodem tego jest duma, którą pani posiadasz w tak wysokim stopniu.

— Nie chodzi tu o powód ale o uczucie, które we mnie istnieje, jakiémbądź jest jego źrodło. Jestem taką i inną być nie mogę; brzydzę się dziś sobą, i tak będzie dopóki nie wyznam mojéj winy tym, przeciw którym zgrzeszyłam, zostawiając im prawo przebaczenia mi, lub też nie. Ale jeśli nawet przebaczą, to czyż kiedykolwiek zapomnieć potrafię? O nie, nie; ten wybryk psoty i śmiesznego szaleństwa, sprawił coś, co nie jest do odrobienia,— czuję to dobrze.

— Wierzaj mi pani, rzekł, że zanadto rzecz tę bierzesz do serca. Czyż nie ma w świecie sposobu okupienia popełnionego błędu? Czyż mają wiecznie udręczać człowieka następstwa każdego jego niewłaściwego czynu? Gdyby tak być miało, nadto ciężkiém byłoby życie, naprawdę.

— Powiedz pan woźnicy, aby popędzał konie, o ile tylko może; rzekła mu za całą odpowiedź; ale mówiła to ze spokojną powagą, tak iż nie mógł się urazić uporem, z jakim obstawała przy swym zamiarze.

Powóz toczył się szybko po gościńcu, i niebawem nasi wędrowcy, uczuli się objęci dusznem powietrzem Londynu; złowroga

mglistość nieba zaczynała ustępować, ale parna cisza wciąż panowała. Gdy się już znaleźli w pobliżu Euston-Square, Violetta kazała woźnicy zatrzymać i wysiadłszy, podała rękę Jerzemu na pożegnanie.

— Kiedyż panią znowu zobaczę? zapytał trochę nieśmiało.

— Może nigdy, odpowiedziała; a potém dodała z uśmiechem: nie żądaj pan odemnie, abym się już teraz umawiała z tobą, o jakąbądź schadzkę. Dosyć już złego ztąd wynikło.

— Mam nadzieję widzieć się z panią wkrótce, odpowiedział dosyć stanowczo i zaraz potém odjechał.

Doszła pieszo do drzwi ojca i zadzwoniła z mocno bijącém sercem.

— Czy jest w domu sir Acton? spytała służącego, który jéj otworzył.

— Jest, proszę pani, odpowiedział; zaczém weszła do dolnéj siesi.

Zastała ojca w pokoju, którego ściany w zupełnoćci prawie były zakryte mapami i planami; siedział przed stołem zarzuconym papierami wszelkiego rodzaju. Gdy oczy podniósł, znać w nich było, że myśli jego głęboko były zatopione w jakimś zamyśle, albowiem nie okazał żadnego zdziwienia spostrzegłszy stojącą przed nim córkę.

— Cóż tedy, Violetto, jak się masz? zapytał jéj z roztargnieniem.—Zobaczę się z tobą przy obiedzie, idź sobie teraz moje dziecię; idź sobie...

Jeśli nie uczuł się zdziwiony jéj obecnością tutaj, musiało go jednak wprawić w zdumienie, to co potém nastąpiło. Zanim się spostrzegł jak się to stało, ujrzał klęczącą przed sobą córkę, twarzą przytuloną do jego kolana, i zanoszącą się od namiętnego szlonia. Cóż mogło znaczyć to wszystko? Począł przypominać sobie wtedy, że nie spodziewał się jéj w tym dniu na obiad.

— Moje dziecię, moje drogie dziecię, cóż to jest takiego? zapytał.

Wyznała mu, wśród łkania, rzecz całą—nie ukrywając przed nim żadnego szczegółu, i z naciskiem całą winę na siebie składając. Co prawda, sir Acton North nie uczuł się tak mocno zgorszony wiadomością o jéj zdrożnym czynie, jak się tego można było spodziewać. Sprawa ta opowiedziana mu przez córkę, całkiem inaczéj dla niego wyglądała, niż gdyby się był o niéj przez jakie uboczne pogłoski dowiedział.

— Więc to już wszystko? rzekł, gdy skończyła. I tylko co powróciłaś z téj niedorzecznéj wyprawy? No, no, dobrześ zrobiła, żeś do mnie z tém przyszła. Zostawże mi teraz trochę czasu do

zastanowienia się nad tém co tu daléj czynić wypada; w każdym razie dodrze postąpiłaś udając się do mnie z całą otwartością.

Być może, iż w téj chwili przyszło mu na myśl, że nie tyle czuwał opieką i poradą nad tém młodém dziewczęciem, ile to było jego obowiązkiem. Bądź co bądź, nie łatwo mógł się na razie zdobyć na zdanie co do tego, jak ma daléj postąpić w owéj sprawie, gdyż głowę miał zapełnioną szczegółami, dotyczącemi jakiéjś linii kolejowéj projektowanéj właśnie w Kanadzie, i bardzo w niéj mało miejsca pozostawało dla kłopotów owéj zbiegłéj pensyonarki.

— Nie mam pojęcia, rzekł po chwili, co nam tu lepiéj teraz zrobić. Możeby wypadało...

— O! mój drogi ojcze! zawołała, podnosząc ku niemu z błagalnym wyrazem swe przecudne oczy, jeszcze od łez wilgotne, zabierz ty mnie z sobą do Kanady! Prosiłam cię już o tę łaskę i gdybyś mi jéj wtedy nie był odmówił, jakżebym dzisiaj czuła się szczęśliwą! Pragnę opuścić Anglią nienawidzę jéj;—wszystko mi to jedno jak długo tam zabawisz. Ojczulku, wszak prawda, że mię z sobą weźmiesz?

Położył rękę na głowie Violetty, czy nie przypominały mu czasem wejrzenia jéj matki, te piękne oczy wyrażające tak gorącą prośbę?

— Uczynię wszystko czego tylko pragniesz istotnie, Violetto, rzekł z żywością do niéj.—Ale nie masz pojęcia czém jest taka podróż. Może mi ona zająć daleko więcéj czasu niźli dziś przypuszczam; kto wie czy tam nie pozostanę z jakie półtora roku, lub więcéj nawet może.

— Ach ojcze! niczego więcéj sobie nie życzę—jak odjechać ztąd gdzieś daleko, na długo—choćby nawet na zawsze.

— Ależ to ciągłe podróżowanie, Violetto, czyż cię nie zatrważa? zastanów się nad tém. Będziemy musieli nieustannie przebywać ogromne przestrzenie, mając bardzo mało czasu na własne przyjemności i na oglądanie okolic przez nas nawiedzanych. Zdarzy nam się także nieraz przebywać czas jakiś w miejscowościach, gdzie urządzenie hoteli wiele pozostawiać będzie do życzenia, zwłaszcza dla młodéj panny, wychowanéj w Londynie.

— Nie lękam się tego, odpowiedziała, a z oczu jéj po przez łzy błysnął promień radośny, gdyż mówiąc już w liczbie mnogiéj się wyrażał.

Wstał z miejsca i począł przechadzać się po pokoju; Violetta stała przez chwilę wahając się; potém podeszła ku niemu i głowę

na jego piersiach oparła; a on rękami swemi ją objął i do siebie przytulił.

— Ojcze drogi, rzekła, ja ci takim dobrym będę towarzyszem —będziesz mi dyktował wszystkie twoje listy; rano dopilnuję, żeby ci zawsze podano w porę śniadanie; staranie też będę miała o twoich sukniach i papierach; słowem o wszystkiém potrafię pamiętać. Nie jestem wcale ciekawa oglądania krajobrazów—daleko mię więcéj obchodzić będą koleje, kopalnie węgla i fabryki maszyn; nie mam też żadnych przygotowań do robienia na tę podróż, bo mi się tam przydadzą te same ubrania, które tu noszę; a jeśli będziesz miał z mego powodu większy wydatek, ojczulku, to zapowiadam ci, że nie wydam na siebie do roku więcéj, jak dziesięć funtów, dopóki ci się to nie wynagrodzi.

Roześmiał się na te ostatnie jéj słowa, ale był to śmiech wzruszeniem stłumiony; i oczy miał wilgotne, podczas gdy ręką gładził ją po głowie.

Zdobędziemy się przecie na koszta twojéj podróży, rzekł, nie potrzebując siebie ogładzać dla jéj opłacenia.

— Więc mi pozwalasz zabrać się z tobą, kochany ojcze? zawołała patrząc mu w oczy, z twarzą rozpromienioną radością.

Dał głową znak potwierdzający. Wtedy objęła mu szyję rękami i przyciągnęła go ku sobie, mówiąc:

— Chcę ci coś jeszcze szepnąć do ucha, ojczulku. Oto, że kocham ciebie, i że nie ma na całym świecie drugiego takiego ojca jak ty.

— Cóż tedy, rzekł, oswobodziwszy się z jéj uścisku; obecnie kiedy już sprawa ta jest załatwioną, cóż daléj myśli zrobić panna Violetta?

— O, teraz, skorom ci się ze wszystkiego wyspowiadała, mój ojcze, rzekła, i kiedyś się dla mnie okazał tak dobrym, mniéj mię daleko obchodzi sąd innych ludzi. Mam wszelako zamiar spełnić także mój obowiązek względem nich, i prosić ich o przebaczenie, choćby na klęczkach nawet, gdyby tego chcieli. Potém zaś, muszę zawiadomić pannę Main, że wyjeżdżam do Kanady. Kiedyż się w tę podróż wybierzemy, drogi ojczulku?

— Czy możesz być gotowa za trzy tygodnie?

— Choćby za trzy dni nawet.

— A zatém wyjedziemy za jakie piętnaście lub dwadzieścia dni.

Tak była przejęta wdzięcznością i rozradowaniem, że z chęcią została u ojca na obiedzie, o czém zawiadomiono telegramem pannę Main, i nawet zdobyła się na dosyć uprzejmości względem macochy swéj i siostr młodszych, dosyć brzydkich i niemiłych, co prawda. Po obiedzie odjechała powozem ojca na pensyą.

Potrafiła niebawem załatwić w sposób zgodny swoją sprawę z panną Main, jak bądź ją strapiła mocno wiadomością o swém bliskiém opuszczeniu zakładu i odjeździe do Kanady. Potém, oddawszy jéj dobranoc, odeszła do swego pokoju.

Otworzywszy okno, wyjrzała na zewnątrz; deszcz poczynał teraz padać i łagodne powiewy ochładzały powietrze. Przy słabém świetle jedynéj świecy, jaką posiadała, wydobyła z szafki ćwiartki, na których pisała swą powieść i z zastanowieniem w kawałki drobne je podarła.

— Taki wam należy się koniec, wy kłamliwe brednie! zdawała się mówić do nich. Przepadajcie bez śladu, wraz z mnóstwem innych niedorzeczności! Nie mam już nic wspólnego z wami; dobre byłyście do zabawienia pensyonarki, odrzuca ona was dziś na bok! wstępując w nowe życie *kobiety*.

ROZDZIAŁ VIII.

Żegnaj mi. Anglio!

— Kiedyż się ona w drogę wybiera? pytał James Drummond siostry, spoglądając nieco chmurno przez okno.

— Odjeżdżają jutro do Southampton, odpowiedziała; a podobno następnego dnia z portu mają odpłynąć. Cała pensya jest w najstraszliwszym zamęcie z tego powodu; temi ostatniemi dniami, Amy miewała napady płaczu nerwowego. Opowiadała mi, że wszystkie panny przychodziły z kolei prosić Violettę o jakąkolwiek pamiątkę—a wiesz że onaby gotowa własną głowę porozdawać kawałkami, byleby od niéj tego żądano;—teraz zaś w zamian zamierzają ofiarować jéj jakieś album, w który powpisują swoje nazwiska. O mój bracie, cóż to pocznie bez niéj nasza biedna Amy? Rada jestem, że tyle miała przecie rozsądku, iż nie przyjęła zegarka od Violetty; czy słyszał kto kiedy, aby pensyonarka najspokojniéj darować chciała koleżance złoty zegarek!

— Będzie i nam za nią tęskno, rzekł Drummond, wyraźnie zasmucony blizkim wyjazdem Violetty.

Odszedł niecierpliwie od okna i rzekł z gniewem, który byłby przestraszył każdego, z wyjątkiem pani Warrener, nawykłéj do jego obejścia:

— Czy ty wiesz, jaką krzywdę może wyrządzić temu dziewczęciu owa dwuletnia wędrówka? Spójrz na nią teraz; jest to dzika, samowolna, zuchwała pensyonarka, wchodząca teraz w porę, w któréj jéj charakter ma się wyrabiać. I w téj chwili właśnie, zamiast postarać się o to, aby jaka delikatna ręka kobieca złagodziła ostre kanty tego charakteru—zamiast podania ją pod umiejętnie dobrane wpływy, za sprawą których nabrałaby wdzięku i słodyczy właściwéj kobiecie; rzucają ją wśród tlumu kolejowych przedsiębierców, szorstkich i suchych w obejściu, oddanych wyłącznie czci złota, mających siebie za najrozumniejszych ludzi z całego świata. No, jeśli to dziewczę wróci kiedy do Anglii, to z pewnością będzie wtedy gorsze niż kiedykolwiek było.

— Czyż ją masz dzisiaj za tak bardzo złą? odezwała się łagodnie jego siostra. Sądziłam, że ją bardzo lubisz.

— I tak jest w istocie, odpowiedział. Nie jedno w niéj zajmuje mnie niesłychanie żywo, a nawet czaruje; inne zaś rzeczy znoszę u téj dziewczyny tylko w nadziei, że je czas wykorzeni. Bardzo to dobrze było zabawiać się nieraz jéj szorstką otwartością, jéj wesołém roztrzepaniem i tym rodzajem romantycznéj przesady, w którym miewała chwilami upodobanie; wszystko to uchodziło, gdy była pensyonarką, ale czyby ci się takie rzeczy podobały w niéj wtedy, gdybyś ją widziała już kobietą?

— W miarę jak lat jéj przybędzie, będzie także przybywało rozumu, rzekła pani Warrener, walcząc do upadłego w obronie swéj przyjaciołki.

— Nie wątpię o tém; ale czy jéj także przybędzie uprzejmości, słodyczy, kobiecości jedném słowem? Sądzę, że ojciec myśli, iż jéj dziś daje dowód przywiązania, a tymczasem wielką krzywdę jéj wyrządza.

— Nie rad jesteś Jamesie, że się z nią musisz rozłączyć, rzekła mu siostra z uśmiechem.

— Ma się rozumieć, że mię to nie cieszy. Miałem trochę na myśli poprosić jéj ojca, żeby nam ją tu zostawił przez czas jakiś, po wyjściu jéj z pensyi, co miało wkrótce nastąpić. Gdybyśmy ją byli mogli zabrać z sobą w Highlandy na parę miesięcy, byłaby się tam do nas przyzwyczaiła i zostałaby z nami na czas niegraniczony.

Pani Warrener nie mniéj była skłonną od swego brata do szlachetnych popędów, ale więcéj niż on miewając do czynienia z rachunkowemi książkami i z opędzaniem domowych potrzeb; odważyła się napomknąć, że przybycie jednéj osoby więcéj, przymnożyłoby im w pewnym stopniu wydatków. Ale Drummond nie chciał ani słyszeć o tém. Dowodził że skromność ich utrzymania pozostawia im możność zrobienia czegoś od czasu do czasu dla swych przyjaciół; i że gdyby z nimi zamieszkała Violetta North, to z pewnością, przy jéj usposobieniu, nie należało się obawiać, aby mogła wymagać jakich wygód zbytkownych.

— Ale na nic się już dziś nieprzyda o tém rozprawiać, dodał z westchnieniem. Jeśli kiedy powróci, zobaczymy wtedy, jakiego to rodzaju jest kobieta.

— Otóż właśnie czego żałujesz, rzekła mu siostra, nawykła czytać w myślach jego. Zawsze cię żywo zajmowała ta młoda dziewczyna;—badałeś ją, wypytywałeś, przyglądaleś się jéj istocie duchowéj; — a teraz kiedy studya twoje doszły do najciekawszego okresu, zabierają ci ją i gdzieś za świat wywożą. Może zresztą w końcu nie wyjdzie to jéj tak bardzo na złe; chcę temu wierzyć, gdyż mimowoli kocham to dziewczę; chociaż co prawda, nie była nigdy bardzo dobrym przykładem dla naszéj małéj Amy.

— Czy wiesz co chcę zrobić? rzekł Drummond, jakby znagła na tę myśl wpadając. Oto pojadę do Southampton, aby być przy jéj wyjeździe. Toż najbiedniejszy wychodziec ma kogoś co go żegna w takiéj chwili. Nie wiem czy pojutrze znajdzie się tam przy niéj ktokolwiek, coby przyszedł uścisnąć jéj rękę, zanim okręt od brzegu odbije.

— Alboż tam nie będzie tego młodego Millera? spytała pani Warrener.

— O nie; skoro się tylko dowiedział, że przyrzekła nie widzieć się z nim i nie pisać do niego przed swoim wyjazdem, oświadczył bardzo uczciwie że nie myśli wcale nakłaniać ją do zmienienia tego zamiaru. Było to też wcale zacnym czynem ze strony tego młodzieńca, że poszedł do jéj ojca, prosić u niego o przebaczenie za swój postępek niewłaściwy. Zdaje mi się, że wypadało by nam zaprosić go na obiad temi dniami.

— Zapewne; rzekła jego siostra z uśmiechem; teraz kiedy ci już zabrano Violettę, możesz nowe studya nad nim rozpocząć

— Przedmiot to będzie do nich o wiele powszedniejszy, odpowiedział obojętnie Drummond, wychodząc z domu, dla wywiedzenia się o porze odejścia pociągów.

Nadeszła teraz godzina, w któréj Violetta North opuścić miała ową wysoką kamienicę na Camberwell-Grove, przez tyle czasu jéj domowe ognisko; przede drzwiami stał powóz jéj ojca i drugi przeznaczony do zabrania szczupłego pakunku, stanowiącego całe jéj osobiste mienie na tym świecie. Pensyonarki otrzymały były pozwolenie odprowadzenia jéj aż na dziedziniec, dla pozostania z nią jak najdłużéj; zeszła tedy otoczona niemi ze schodów, i wtedy rozpoczęła się serdeczna zamiana uścisnień, pocałowań, i pożegnań. Ze wszystkich stron wołano: „Bywaj zdrowa Violetto! życzemy ci szczęśliwéj podróży.“ Była to chwila trudnéj próby dla odjeżdżającéj. Przez te dwa ostatnie tygodnie, zwolniona była od wszelkich nauk; i już po trochu przybrała postawę panny dorosłéj. Okazywała wielką uprzejmość swym dotychczasowym koleżankom; ale zachowywała w obejściu z niemi pewien odcień poczucia własnéj wyższości i wyraz dumy, w jaką ją wprawiła panna Main ofiarowawszy jéj na cały ten czas, towarzystwo swoje i gotowość w udzielaniu wszelkiéj porady. Niekiedy nawet, dawała napomnienia młodszym pensyonarkom, zachęcając je do większéj uległości, i do pamiętania jak się powinny zachowywać panienki dobrze wychowane. Ale w téj ostatniéj godzinie, była znowu po prostu Violettą North. Usiłowania jéj w celu pozowania na dorosłą osobę, w niwecz teraz poszły; gorzkie łzy wylewała siadając do powozu, gdzie bez żadnéj już godności osobistéj, rzuciła się w kąt, ukrywając się przed oczami swych towarzyszek żegnających ją powiewając chustkami.

Ale nie płakała już wtedy wcale, gdy stała na pokładzie potężnego parowca, na którym miała odpłynąć, przypatrując się ostatnim przygotowaniom do odjazdu. Poranek był przecudnie pogodny, woda iskrzyła się tysiącami brylantów, odbijając promienie słońca, a niebo jaśniało błękitem. Violetta czuła się dumną, uradowaną, niecierpliwą jak najprędszego wyjazdu. Nowe to uczucie podniecenia, wywołało tak żywy rumieniec na jéj twarz, i rozpromieniło takim blaskiem jéj oczy, że nie jeden z podróżnych patrząc na tę piękną młodą osobę, cieszył się w duchu nadzieją, że może jest ona czémś więcéj jak chwilowym gościem na statku.

— Czas mi już powracać na wybrzeże, rzekł do niéj Drummond; potém dodał z dawnym swoim uśmiechem: Czy z pewnością nie masz żadnego więcéj zlecenia do dania mi, oprócz tych jakie dostałem od ciebie?

— Czy masz pan na myśli pana Millera? spytała oczy w dół spuszczając; a po chwili, nie usłyszawszy odpowiedzi, rzekła znowu: W istocie, mam téż coś dla niego. Powiedz mu pan, że

wdzięczna jemu jestem za całą śmieszność i za wszystkie przykrości, na jakie byłam narażona; ale teraz wszystko to już minęło. Ach, panie Drummond, czyż to nie prawdziwa uciecha, pozbyć się raz tego wszystkiego i w świat się wybrać, wolna jak ptak? Jakżem ja szczęśliwa, że sobie odjeżdżam! A gdy mię pan znowu zobaczysz, będą już całkiem przeistoczoną.

— Bywaj mi zdrów panie Acton. Bywaj zdrowa Violetto; a nie zapominaj do nas pisywać.

Wzięła go za rękę z nieśmiałością pensyonarki; ale tę rękę jednak przez chwilę w swoich zatrzymała, i głos drżał cokolwiek, gdy mówiła:

— Żegnam pana. Dobrym byłeś zawsze dla mnie. Staraj się —nie mieć o mnie złego mniemania. Naprawdę, naprawdę byłeś pan tak dobrym dla mnie!...

W parę godzin potém, wszystko co Violetta North mogła dostrzedz z Anglii, ograniczało się długim pasem błękitu u krańca widnokręgu, na którym tu i owdzie odznaczała się biała smuga; teraz, wcale się już jéj nie zdawało, aby nienawidziła swéj rodzinnéj ziemi. W taki to sposób działa na nas oddalenie; twarde i przykre zarysy tego lub owego przebytego doświadczenia, zacierają się wtedy łagodnie, i pamięć przyjaźniéj w przeszłość poczyna spoglądać. Anglia nie była już teraz dla Violetty zbiorowiskiem brudnych ulic i gwarnych domostw, zakopconych dymem, pełnych hałasu i zamętu;—była to piękna, stara jéj ziemia macierzysta, szlachetna i dumna sobą; ukochana kraina nie jednego poety; domowe ognisko, ku któremu chyżemi skrzydły wyobraźni miała z pewnością nieustannie powracać, z wszelkiego innego zakątka świata. Z radością niedawno temu kraj swój opuszczała; a teraz już jéj serce tęskniło za owém dawném, wesołém, psotném życiem jakie tam wiodła, i nie zdawało się jéj ono wcale tak bardzo nieszczęśliwém. Nowo pozyskane stanowisko kobiety, nie wystarczało w tym razie do pocieszenia jéj; skoro płakała gorzkiemi łzami pensyonarki, i jak prawdziwa téż pensyonarka, żadnéj pociechy przyjąć nie chciała w swém rozżaleniu.

ROZDZIAŁ IX.

Coelum non animam.

Sir Acton North zawczasu był w życiu doszedł do przekonania, żewszystkie kobiety są niepojętemi istotami, przebywającemi w sfe-

rze uczuciowéj, do któréj nie zajrzał nigdy żaden mężczyzna, i skłonnemi do najrozmaitszych wrażeń i przywidzeń całkiem też dla mężczyzn niezrozumiałych. Ale czyżby dla tego, że nieprzystępne mu były owe pojęcia, miał je uważać za nierozsądne i dziwaczne? Tak nie było wcale. Przyjmował je owszem w dobréj wierze; właśnie dla tego, że odgadnąć nie umiał ich źródła. Wielką w ogóle zachowywał względność z kobietami, z któremi bywał w stosunku; nie wchodził wcale w powody ich uczuć, lub też przekonań, i brał je takiemi jakiemi były, dawszy od dawna za wygrane wszelkim usiłowaniom zrozumienia ich dokładnie; jedném słowem, w prostocie ducha, przyjmował wszystko co mu te zagadkowe istoty z siebie wypowiadały czynem lub też słowem. Weźmy tu za przykład, między innemi, stosunek Violetty ze swą macochą. Dla czegóż nie mogłyby, zapytywał siebie, sir Acton żyć pod jednym dachem te dwie kobiety, zachowując nawzajem przyzwoite obejście?

Odpowiedź na to w jego myśli była, że są kobietami, więc przez to samo nlegają sympatyom i wstrętom tajemniczym, oraz różnym wrażeniom tego rodzaju, z pewnością mającym wielką dla nich wagę, chociaż są dla drugich niezrozumiałémi dziecińśtwami. Czy to raz, młodym będąc, sam miewał u siebie znajomych, którzy zdaniami i nawyknieniami, bardzo się od niego różnili? a czyż przeto w sprzeczki się z sobą wdawali? bynajmiéj; albowiem będąc obadwa mężczyżnami, o czém innéın mieli do myślenia, jak o tych subtelnych odcieniach obejścia i wyrażeń, za sprawą których kobieta na chybił trafił nieraz polubi, lub znienawidzi drugą kobietę. Alboż nie zdarza mu się i teraz codzień,—powiadał sobie — pracować wspólnie z jakim człowiekiem, który powierzchownością swą, obejściem, sposobem wyrażania się — jedném słowem wszystkiem — zdradza gburowatość i niskie instynkta; a czyż dla tego miałby sobie uważać, znajdowanie się z nim w jednym pokoju za rzecz nader wstrętną i ubliżającą? Kobiety, to dziwne stworzenia; ale należy łagodnie z niemi się obchodzić; gdyż koniec końcem te wrodzone im przywidzenia, niezawodnie wiele dla nich mają znaczenia.

Sir Acton sumiennie też w czyn wprowadzał ową teoryę; mianowicicie zaś w stosunku swym z żoną i z córkawi. W obecnéj chwili, utrudnił sobie o wiele spełnienie zadania jakie miał przed sobą w Kanadzie; a to dla tego tylko, że pensyonarka zażądała od niego aby ją z Angli wywiózł na jakie dwa lata. Nie miał pojęcia dla czego Violetta mogłe niecierpieć Anglii i tyle pragnęła z niéj wyjechać. Wiedział że się dopuściła pewnych niedorze-

czności pensyonarskich, ale czyżby która z jéj towarzyszek doznała tak silnego żalu, po wykryciu się jéj winy. Bądź co bądź, była to najstarsza jego córka; błagała go płacząc i łkając, aby ją zabrał z sobą do Kanady; zrobił więc czego chciała.

Nie uczuł się także zdziwiony, skoro, od chwili opuszczenia Anglii, poczęła okazywać smutek i tęsknotę. Był to poprostu dla niego nowy objaw owego nieustającego działania wrażliwości kobiecéj. Rozweselał Violettę o ile mógł, usilując obudzić w niéj zajęcie, to tym, to owym szczegółem podróży. Na szczęście, mieli bardzo pomyślną morską przeprawę, a także niektórych przyjemnych w niéj towarzyszy; wszystko to razem wzięte wkrótce przywróciło pannie North zwykłą wesołość i swobodę umysłu. Pełną się też okazala zaciekawienia, dotykając wybrzeży krainy tak dla niéj nowéj i pełnéj dziwów. Dowiodla, że według uczynionéj obietnicy, potrafi być ojcu wyśmienitym towarzyszem podróży. W istocie młodziutka ta dziewczyna dorównywała mu w siłach i zdolna była znieść choćby największe trudy. Obojętna była na wszelkie kłopoty lub utrudnienia i wszystko widzieć umiała w korzystném świetle. Jeśli zaś co pięknego napotykała i godnego podziwu, rozkoszowala się tém w sposób, który bardzo cieszył jéj ojca, bo mu umiała zawsze w podobnych razach swą wdzięczność okazywać. Przytém miała także inną stronę owa podróż. Nie zawsze badali nasi wędrowcy doliny, nie zawsze rozpatrywali się po równinach, lub mapy studyowali. Bywały też dla nich przerwy zapełnione towarzyskiemi rozrywkami; a należy dodać, że zabierając z sobą córkę, Sir Acton North dosyć rad był pokazać niektórym swoim dawnym znajomym, jak to wygląda młode angielskie dziewczę. A czyż w tych rodzinach, nie znajdował się tu i owdzie jaki młodzieniec, który w skrytości podziwiał i pragnął módz oczarować i zatrzymać w przelocie owo prześliczne ptaszę wędrowne? Tak było z pewnością; ale na nic się nie przydawały podobne zabiegi. Violetta nadto była zajęta, zaciekawiona i szczęśliwa — nadto swobodna sercem i myślą, aby zważać mogła na westchnienia i błagające spojrzenia. Jeśli, postanowiwszy przeistoczyć się od razu w kobiétę, zrzucila byla z siebie znaczną część niecierpliwéj szorstkości i otwartości nieraz ostréj, swych pensyonarskich czasów; zachowała w obejściu wdzięczną jakąś powagę — wyniosłą pewność siebie, na dumie opartą — z któréj nie łatwo bylo sobie zażartować. Młodzi ludzie którzy ją poznawali, nie wiedzieli o tém, że tylkoco szkolne ławki opuściła; inaczéj, zdziwił by ich nie mało sposób, w jaki owa pensyonarka zdobyć się umiała na

swobodną powagę kobiéty, a szczególniéj trzymać każdego na właściwém jemu miejscu.

Ale nawet spokojna zgodność z jaką Sir Acton North przyjmował rozliczne dziwactwa kobiecéj natury, ustąpiłaby zapewne zdziwieniu, gdyby się mógł domyślać uczucia stopniowo rozrastającego się przez cały ten czas w sercu jego córki. Symbolizował je w pewnéj mierze sposób, w jaki Anglią opuszczała. Rada była wtedy jak najprędzéj za sobą zostawić nieczystość, gwar i zamęt portowego miasta, z którego w podróż odpływała; ale niebawem, wszystkie te ujemne strony w niepamięć poszły, i patrząc po za siebie, Violetta widziała tylko swoję przecudowną Anglią rodzinną. Tak samo teraz, wszystkie nie miłe strony i upokarzające okoliczności jéj dawnego życia, z którém tyle pragnęła się rozstać; znikały z jéj pamięci, i w przeszłość cofając się myślą, z rzewną tęsknotą przypominała sobie szczupłe kółko przyjaciół, wśród którego żyła. Stopniowo, przyszła do przekonania, że nie istnieje na całym świecie miejsce więcéj urocze i pogodnym spokojem tchnące, jak ów ogródek na Camberwell-Grove po za domem Drummonda. Otaczający ją ludzie, czynili co mogli, dla zabawienia jéj i uprzyjemnienia każdéj chwili; ale byli to dla niéj zwyczajni znajomi tylko; przyjaciół zaś swych zostawiła za sobą w tych dawnych i nigdy nie zapomnianych czasach, które stawały się jéj obecnie tak drogiemi. Za sprawą wyobraźni widziała otchłań pomiędzy niemi a sobą. Anglia nie była w połowie tak od niéj daleko, jak się sama czuła oddaloną od swego życia pensyonarskiego. Ale czy skutkiem tego, mniéj dbała o te wspomnienia? Przeciwnie; tak samo stawały się one z biegiem szasu coraz droższemi dla niéj, jak droższą stawała się Anglia jéj sercu; i nieraz w nocy pątrząc na gwiazdę jaśniejącą w północnéj stronie nieba, powiadała sobie. „O jakżeś ty szczęśliwa! wzrokiem po za morza sięgać potrafisz, i dojrzeć moję drogą Anglią!“

A w jakiż sposób myślała tymczasem Violetta o wspólniku awanturniczéj przygody, która była głównym powodem jéj wydalenia się z rodzinnego kraju. I w tym także względzie uległa ona pewnemu przeistoczeniu. Nasamprzód wstyd jéj trochę było całéj téj sprawy, i rada była jak najmniéj nad nią się zastanawiać. Potém, poczęła o niéj myśleć w sposób na wpół żartobliwy, uśmiechając się z własnego szaleństwa, i zapytując siebie czasem ciekawie, co też on teraz sądzi o tém wszystkiem? Ale w miarę jak w przeszłość spływały dni, tygodnie i miesiące a nieprzerwany szereg coraz to nowych a rzeczywistych gór, jezior i lasów, odsuwał Anglią w dal, z każdą chwilą bardziéj zamgloną i fantastyczną — dro-

bna owa przygoda nabierała w oczach Violetty znaczenia jedynego uczuciowego ustępu, jaki w sobie mieściła jéj przeszłość; i wspominała ów słoneczny dzień majowy, jako należący do minionéj już wiośnianéj pory, prawdopodobnie nie mającéj więcéj powrócić w dalszym życiu kobiéty. Czyliż on także, powiadała sobie, nie był tu ofiarą nieukróconéj jéj fantazyi? I czyż nie wziął odważnie i zacnie na siebie całéj winy, w sprawie za którą nie był w żaden sposób odpowiedzialnym? — A czy téż myśli on teraz czasem o mnie? zapytywała siebie nieraz.

Przez dosyć długo, nie wspominała o nim nigdy w swoich listach. Pewnego razu wreszcie, dodała na końcu ostatniéj ćwiartki nieśmiały przypisek — było to w liście do pani Warrener — i oto o co ją prosiła, we właściwy sobie sposób, na wpół pocieszny:

„Czy téż widujesz pani kiedy, mojego młodocianego wielbiciela? Jakże mi się zdają dalekie te czasy, w których żartowaliśmy oboje z siebie nawzajem! Myślę że już dzisiaj, wyszłam mu całkiem z pamięci; co do mnie zaś, zaledwie sobie mogę przypomnieć jak wyglądał; to wiem tylko że miał włosy falujące, które mi się wydawały godne Adonisa. Czasami śni mi się, że mię złapano na jakiejś niegodziwéj sprawce, i że mi za karę panna Main zadała trzy kartki z Telemaka do przepisania.“

Było to pozornie zapytanie uczynione dorywczo i w sposób obojętny; nie mniéj jednak wyczekiwała na nie odpowiedzi Violetta. Udzielił jéj Drummond, opisując po swojemu, to jest w sposób dziwaczny, urywany i osobliwie zabawny, wieczór spędzony u niego przez Millera w dniu poprzednim. Długo myśl swą zatrzymała młoda dziewczyna nad tym wdzięcznym obrazkiem rodzajowym; a wreszcie, więcéj niż kiedy skłonną była zawołać: „O, jakże szczęśliwe muszą być gwiazdy, skoro widzieć mogą moję Anglię.“

(*d. c. n.*)

POEZYA POLSKA

OSTATNIEGO OKRESU

Podług dzieła:

Rys dziejów literatury polskiéj podług notat Aleksandra Zdanowicza, oraz innych żródeł, opracował i do ostatnich czasów doprowadził *Leonard Sowiński.* — Tom III.— Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego 1876.

przez

A. Jabłonowskiego.

Piśmiennictwo nasze, zostało w roku bieżącym wzbogacone niepowszednio żywym, i wspaniale rozwiniętym obrazem poezyi polskiéj ostatniego okresu; otrzymaliśmy już bowiem III-ci tom cennéj pracy p. L. Sowińskiego, obejmujący właśnie cały zakres liryki i utworów epotycznych nowożytnéj w historyi literatury naszéj epoki.

Tom ten III „Rysu dziejów literatury polskiéj,“ będąc tylko dalszym ciągiem, rozpoczętego w dwóch poprzednich tomach, obrazowania historyi ogólnéj naszego piśmiennictwa; przedstawia obok tego odrębną zupełnie i skończoną w sobie poniekąd całość. Oczywiście należeć tu integralnie musi i całkowity wstęp o Romantyzmie, od jakiego rozpoczyna się istotnie okres ten ostatni; okres V-ty dziejów literatury jeszcze w tomie II-im — a który najwidoczniéj został tam, z uszczerbkiem organicznéj systematyczności układu, zamieszczonym jedynie z powodu potrzeby bardziéj równomiernego mechanicznie rozłożenia treści danéj na tomy.

Stanowi on nadto tak pełny, bogaty i wzorzysty, a przejęty na wskróś jakimś niewypowiedzianie ożywczym ogniem wewnętrznym, obraz Poezyi naszéj ostatniego okresu, ostatniéj doby, że

obok nieposolitéj wagi samego przedmiotu tu traktowanego, obok niewyczerpanéj obfitości treści tyle żywotnéj; niemniéj też dla nieposolicie umiejętnego roztoczenia téj treści i opromienienia przedmiotu nowemi blaski, dla wydatnego obrobienia onego i wykończenia poszczególnych działów—zasługuje na obszerniejsze sprawozdanie. Zasługuje zaś na nie w pełném znaczeniu tego wyrazu.

Nie wahamy się więc przeto, nie pomijając ogólnéj oceny nowéj téj pracy wysoce uzdolnionego autora, jej zalet istotnych i stron ujemnych; podać tu ten obraz, o ile można w ściślejszém zwarciu, i choćby tylko w dalekiéj nawet perspeksywie, dającéj możność atoli przedstawienia głównych konturów i charakterystycznych rysów onego. Nie wahamy się nadto, tém bardziéj, że praca ta p. Sow. wyraża niejako najpóźniejszy i najbardziéj wszechstronny sąd o naszéj Poezyi nowożytnéj, w jéj całości organicznéj pojętéj; sąd—wywołany głęboką potrzebą duchową obecnéj chwili.

Nie myślimy tu wcale utrzymywać, że praca ta p. Sow. odpowiada zupełnie tym wymaganiom, jakie czyni nieodzownémi już sam stopień ogólnego wykształcenia umysłowego naszego społeczeństwa, w teraźniejszém stadyum onego rozwoju. Lub też—aby miała odpowiadać surowym wymaganiom, jakie z największą słusznością w świecie, mamy prawo stawić w obec każdego, kto dziś przy utorowanéj już tak znakomicie przez monografistów drodze, zabiera się do opracowania dziejów ogólnych naszéj literatury. Co więcéj, ubliżylibyśmy nawet wysokiemu, przyznanemu talentowi autora-poety, pomawiając go, że dał nam w swém ostatniem dziele to, na co był zdolny, że dać więcéj nie był w stanie. Okoliczności też samego procesu układania, tworzenia téj pracy, przez szeroką publiczność uwzględnionemi być nie mogą.

Nie jestto więc utwór zupełny i wykończony, nie jest on owém ostatniém słowem sądu o poezyi polskiéj nowoczesnego okresu w danéj chwili, jakieby brzmiało rozstrzygająco długie czasy. Publiczność miała prawo oczekiwania więcéj; autor zaś winien się był czuć w obowiązku dania jéj więcéj, niż dał rzeczywiście.

Najwybitniejszą stronę ujemną powyższego dzieła stanowi—w obliczu dzielnie, organicznie pojętego i zakreślonego głównego planu; w obliczu mocno i żywo uwydatnionéj myśli przewodniéj, i téj jedności idei co ogarnia na wskróś całość przedmiotu—uderzająca niewymierność, że nie powiemy niesystematyczność, wykonania. Wiążą się z tém oczywiście niemałe usterki. Miejscami zdaje się, jakby tu praca płynęła autorowi nie krępowana z góry nakreślonym raz schematem. Widać też, iż upodobańszy osobiście przed-

miot unosił czasem autora daléj nad zamierzenie pierwotne—prowadząc za sobą większą ilość przytoczeń. Z drugiéj strony podobnież, znaczniejsza obfitość gotowego materyału w pewnych monografiach, pobudzała go do zużytkowania zbytecznych nawet niekiedy szczegółów—biograficznych czy literackich. Ztąd powstało, że gdy dla Mickiewicza—opoki na któréj wspiera się w dziele p. S. cały gmach majestatyczny poezyi naszéj nowożytnéj, poświęcono tu 114 stronic jedynie, dla Krasińskiego zaś 77—choćby tu nawet, na uszczuplenie pełniejszego rozwinięcia obfitéj treści, mogły wpływać względy od autora niezależne; Słowacki zajmuje stronic 139, a Kondratowicz 126, gdy Pol znów—28 tylko i t. d. Ztąd niezależnie od kolosalności postaci, z jakiemi się ma przeważnie do czynienia w dwóch pierwszych częściach tomu; przeciążenie onych z ujmą dla części trzeciéj, albo raczéj zmniejszenie zakresu téj ostatniéj części, dla braku już miejsca lub w pośpiechu zamknięcia działu; tak, że dla Żmichowskiéj np. przypada 5 stron jedynie, i nic się nie mówi wcale o jéj wielce żywéj i szerokiéj działalności—gdy natomiast o Syrokomli mamy tyle. Tymczasem zakres poświęcony w dziele autora temu ostatniemu, nie da się usłusznić ani stanowiskiem jego jako poety i obywatela; ani pewnym sentymentem, jaki może nawet mieć wypadało, wydając Rys dziejów literatury w Wilnie, i zostawiając na tytule nazwisko Zdanowicza.

Obok téj głównéj strony ujemnéj — owéj nierównomierności układu i wykonania, idą inne pomniejsze wady i usterki. Tu zaliczyć najprzód należy, większe może nad ścisłą potrzebę pedagogiczną, posługiwania się obcymi sądami; wtedy, kiedy po zdolnościach znanych autora, mieliśmy prawo wyczekiwać bardziéj jego osobistego o wszystkiém sądu, opartego na własnych poprzednich studyach i badaniach samoistnych. Daléj niejednostajność wykończenia poszczególnych badań pracy, i za niedostateczne na dziś może spożytkowanie licznych, rozrzuconych po czasopismach prac monograficznych. Nakoniec, zupełne prawie zaniedbanie i w tym tomie, jak w dwóch poprzednich, wszelkiego co się zowie mechanicznego schematyzmu w rozgrupowaniu kategorycznem treści, tyle ułatwiającém zwykle korzystanie, w każdochwilowéj potrzebie, z przeznaczonego na służenie za pedagogiczny podręcznik dzieła.

Mimo to wszystko atoli—nieocenionych to zalet praca.

Nawet oryginalności, w surowym znaczeniu tego wyrazu, szukać w niéj właściwie nie mamy niezbędnéj potrzeby. Co do téj strony, jesteśmy z góry już uprzedzeni przez p. Sow. w słowie jego wstępném do tomu I-go, przytoczonemi tam starego Kochanowskiego wyrazy: „Nie autorem, powtarza on, lecz tylko pisarzem dziejów

być się mienię. Kamienie i drzewo z inszéj odbieram ręki, a tylko wzniesienie budowli i kształtów jéj mojém są dziełem.“ Wprawdzie ów epigraf niejako, mniéj daleko stosować się może do tomu III, jak do poprzednich; autorem jego niepodzielnym, jedynym jest sam p. Sow., żaden ustęp ś. p. Zdanowicza nie krępuje go tutaj, jak to było w tomie I-ym; jest więc on tu jedynie odpowiedzialnym za tę pracę. Ale już z zasady saméj, nie mamy prawa wymagać tu po niéj bezwzględnéj samoistności; ponieważ kompendya podobne, nawet dla charakteru swego, chyba tylko stosunkowo samoistnémi w istocie być mogą. Dla tego też, wcale nas tu bawić nie będzie drobiazgowa analiza składowych cząstek materyałowych, z obcych zasobów wziętych, jakie weszły w integralny skład bogatéj treści ostatniego p. Sow. dzieła. Praca taka o ile jest nie trudną, przy użyciu odpowiednich odczynników, o tyle zdaje się nam być bezowocną; tém bardziéj, gdy nam właśnie chodzić będzie o zsyntezowanie niejako, zbyt bujnie nieraz roztoczonéj treści, objętéj zakresem owego obrazu poezyi naszéj nowożytnéj.

Dwa picrwsze tomy „Rysu dziejów literatury“ zostały już dosyć wyczerpująco rozebrane i ocenione—tak przez czasopisma, a pomiędzy innemi i Ateneum za styczeń, jak przez pedagogów i czytającą publiczność w ogóle. Recenzenci w surowéj analizie, posuniętéj do najdrobiazgowszych szczegółów, wykazali aż do przesady niemal, wszystkie ujemne strony téj, już z założenia swego kompilacyjnéj i kompendyowéj pracy. Oczywiście, podniesiono też przedewszystkiém pomiędzy pedagogami, i wydatne onéj zalety. Koniec końcem zaś, w ostatecznym wyniku sądów wszelakich, uznano ją powszechnie, mimo niemałych usterek rzeczywistych, za użyteczną pedagogicznie. Tymczasem tom III, obejmujący poezyą ostatniego okresu, przedstawia pracę dalako wyższą pod każdym względem od tomów poprzednich.

W ocenianiu pracy podobnego rodzaju należy uwzględniać przedewszystkiém—o ile w niéj główna przewodnicząca myśl ogarnia całość treści i przenika organicznie wszystkie pojedyncze onéj części; o ile treść ta rozłożoną jest i rozgrupowaną systematycznie; o ile umiejętnie są spożytkowane gotowe już materyały i prace poprzedników na tém polu, ich studya i sądy; o ile też sam autor określa uzasadnienie, a charakterystycznie tak prądy wszystkie i zwroty w literaturze, jako też stanowisko względne, rodzaj i odcienia twórczoszi, jéj pracowników i wyrazicieli; o ile nawet daje bezpośrednio ich poznać, przez umiejętnie wybrane przytoczenia z ich wybitniejszych utworów; ostatecznie zaś — o ile dzieło dane przedstawia rękojmi użyteczności pedagogicznéj.

Otóż, śmiało utrzymywać poważamy się, iż nowa ta praca p. Sow. o poezyi nowożytnéj—w pewnéj, dość znakomitéj nawet mierze, w większym lub mniejszym stopniu co do szczegółowych działów—odpowiada, jak na dzisiejszą chwilę, w ogóle zaspokajająco prawie powyższym wymaganiom.

Tom ten III Rysu dziejów literatury polskiéj stanowi w sobie, jak o tém powiedzieliśmy wyżéj, odrębną poniekąd całość. Nadto znacznie się on wyróżnia od dwóch tomów poprzednich. Treść jego obejmuje jedynie dzieje poezyi naszéj nowożytnéj w zakresie eposu i liryki; przedmiot więc sam bardziéj tu zwarty w sobie i skupiony koło jednego głównego ogniska. Autor zaś, sam znany poeta, traktuje przedmiot ten, nawet mimowoli może, z większém przejęciem się, oraz z głębszą znajomością rzeczy. Więcéj też oczywiście wypowiada o nim zdań i poglądów własnych, oryginalnych, zdobytych przez poprzednie osobiste studya. Porządniejsze jest tu zarazem i bardziéj jasne spożytkowanie obcego materyału, ogarnięcie bardziéj pełne ważniejszych przynajmniéj prac monograficznych, bardziéj dostępnych. Sam ten przedmiot wreszcie, bliższy nam, dla powszechności sympatyczniejszy, obrobiony też jest lepiéj nieskończenie i w monograficznéj naszéj literaturze. Autor tedy nowego kompendyum potrzebował tylko schylić się, sięgnąć, by czerpać pełnemi dłońmi nieocenione skarby — faktów i myśli, z takich żywych źródeł prac szczegółowych, jak np. Mochnackiego o romantyzmie i pierwszych onego przedstawicielach; Odyńca wspomnienia o Mickiewiczu, Zateya Hugona uwagi nad jego Panem Tadeuszem; samego Mickiewicza sądy w kursie literatur słowiańskich o współczesnych sobie wieszczach narodu, a między innymi o Krasińskim; Małeckiego o Słowackim, Ujejskiego o Polu, Kraszewskiego o Kondratowiczu; wreszcie z prac ogólniejszych i ułomkowych—Mecherzyńskiego, Siemieńskiego, M. Grabowskiego, Tarnowskiego, Spasowicza i tylu innych.

Czerpał też z nich p. Sow. obficie; ale czerpał podług planu zakreślonego, z wyborem dobrze rozważonym, z należytą umiejętnością pedagogiczną, i przewodniczony tém poczuciem tajemném, jakiém się poeci wzajem rozumieją. Że się czasem unosił za daleko w korzystaniu z dostatku materyału—psuło to tylko, jakeśmy tego dotknęli wyżéj, harmonijną równomierność systematycznego układu treści; lecz wcale nie mogło robić ujmy jasności przedmiotu. Wiążąc zaś w taki sposób zdobycze prac obcych i wyniki własnych studyi i rozmyślań, w jedną organiczną całość; stworzył on obraz tak bogaty, a takiém tchnący życiem, że naprawdę obraz ten, mimo widomych skaz na nim, zasługuje na to, aby go w głównych

charakterystycznych rysach tu odtworzyć. Bez przesady bowiem, praca ta o poezyi naszéj nowożytnéj, niepowszedniego w gronie naszém poety, musi być uznaną za jeden z piękniejszych nabytków literatury chwili bieżącéj.

Lecz naszém tu zadaniem właściwie nie co innego być winno, jak tylko—ile można żywe zestawienie, w obliczu nieustannie przyświecającéj nam przewodniéj myśli autora — jego osobistych przedewszystkiém zdań i sądów o poezyi i poetach; uwydatnienie szczególniejsze własnych jego charakterystyk i poglądów; a nawet jego własnego kolorytu obrazowania. Tą bowiem drogą jedynie zdołamy najłatwiéj przedstawić żywy obraz poezyi ostatniego okresu, sięgającego do dni naszych, widziany przez pryzmat, jaki nam podaje jego twórca, a po za tym obrazem dać poznać zarazem bliżéj i samgo autora-poetę. Do założenia zaś tego najprościéj dojdziemy, posługując się wszędy ile można własnemi wyrazy autora, przytaczając jego „ipsissima verba;“—niech one świadczą o jego dziele i o nim.

* * *

Główną przewodnią myślą p. Sow. w jego obrazie poezyi nowożytnéj, jest uznanie niepodzielne jedynego Mickiewicza za opokę, na któréj wznosi się cały gmach poezyi narodowéj obecnego wieku, cała tyle bogata wzniosłością swą i wzorzystością świątynia poezyi téj, stanowiącéj V-ty okres dziejów literatury—okres, zdaniem jego, per excell. Mickiewiczowski. Wszystko się też tu grupuje, koło tego olbrzyma: poprzednicy, współzawodnicy, uczniowie i naśladowcy. On jeden jest atoli najwielowładniejszym mocarzem w tym świecie ducha. Cechą zaś przeważną, charakterystyczną poezyi tego okresu w ogóle stanowi nadewszystko jéj narodowość, w najrozleglejszém życiowém tego wyrazu znaczeniu.

Za wstęp istotny do tego okresu służy słynna walka nowopowstającego romantyzmu z klasycyzmem, i stanowcze daléj onego zwycięztwo.

W obliczu przemożnego dziś zwrotu umysłów ku pozytywizmowi, realizmowi i utylitarności, obudzono oto przed chwilą na nowo dawny spór o znaczeniu romantyzmu, uderzając weń już teraz surowym orężem—zgubnych wielce, a bezpośrebnio niby wypływających z niego, skutków. Tém żywiéj przeto, pod świeżemi wrażeniami, zapytamy i my zaraz przy pierwszém zagajeniu rzeczy, jak też autor najnowszego kompendyum historyi literatury. określił istotę owego znaczenia, tak w piśmiennictwie, jak i w ży-

ciu naszém duchowem, tyle wezbranego wielowładnie w swym czasie prądu.

Poczynamy tedy od poglądu ogólnego na okres V-ty, jaki zamieszczonym został mniéj odpowiednio jeszcze w tomie II-im (str. 410—467).

Wymagania nasze zostają pod tym względem zaspokojone całkowicie. Dzielnie tu p. Sow. wykazuje i określa wewnętrzną konieczność i moc wybawczą przełomu, jaki przed 50 laty zaszedł w literaturze i społeczeństwie. Oto, powiada on, po długiem błąkaniu się w kole obcych pojęć i wyobrażeń, literatura polska, oderwana od swojéj przeszłości, swéj przyrody miejscowéj, żywiołów swojskich i rodzinnych, zwraca się do źródeł właściwych, i samo dzielnym ożywiona duchem, rozwija się i zakwita. Nowe zasady płyną prosto z życia, z ducha narodowego, więc krzewią się, i chociaż nie wyrozumowane, a spotwarzane, przyjmują się łatwo w uczuciu powszechném. Pierzchają obrońcy dawnego systematu, a geniusz Mickiewiczowski odnosi świetne zwycięstwo. To co w łonie poezyi stanowiło nowy żywioł i nowy kierunek, to także w dziedzinie nauk rozbudziło nowe życie—to jest badanie przeszłości; odgrzebywanie pamiątek, zamiłowanie rzeczy ludowych. Rozległ się zarazem głos wybranéj inteligencyi i za ludem samym i nabrał siły, gdy zbieracze zaniedbanéj literatury kmiecéj, przechowanéj w żywém słowie jedynie, pokazali ją narodowi, a ten poznał i zajrzał bliżéj w serce ludu, pełne rzewnego uczucia, szlachetności i prostoty. Oni też, za skarby wynalezione pod wiejską strzechą, zjednali dla niéj cześć i obudzili myśl praw obywatelskich dla ludu. Literatura spoczęła teraz na gruncie ściśle narodowym. W literaturze téj odtąd skupia się i zamyka całkowity żywot narodu. Usiłuje ona w swych tworach wyrazić najtajemniejsze życie umysłowości, zbliżyć do oczu miejscowego bytu i rodu znamiona, dziedziczne nasze myśli, uczucia i wspomnienia. Zbiera w sobie wszystkie promienie światła i życia narodowego — jest zgoła literaturą polską, narodową. Nie zacierając zaś nigdzie swego znamienia, bada ona zarazem wszelkie objawy politycznego, religijnego i naukowego rozwoju ludzkości, i zdąża za powszechnym postępem.

Zwrót taki ogólny w literaturze rozpoczął się rozgłośnym sporem pomiędzy stronnikami dwóch systematów w poezyi—klasycznego i romantycznego.

Dosadnie obrazuje autor istotę zawiłéj téj sprawy streszczając przytém i zeznania samych romantyków—Brodzińskiego i Mickiewicza, posiłkując się nadto Mochnackim i in. Nie było to na-

śladownictwem swarów postronnych, powtarza on, ani też dziecinna słów igraszka: chodziło tu o rzecz nierównie ważniejszą. W literaturze poetyckiéj naśladowanéj, zniknęła była stara Polska. Ta była główna wszystkich niesnasek przyczyna. Pogasły były stare tradycye, zaszły rdzą dawne pamiątki, a tymczasem nić dziejów co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątku nie stało. Dopiero przetarłszy oczy, w sam czas jeszcze naród przyszedł do siebie; dopiero wpadło mu na myśl, że może przez długi czas w nie swojém poczuwał się jestestwie, tuląc do łona i piastując jakby umarłe w pieluchach dziecię umarłéj imaginacyi. Zapał owionął głowy. Młodzi pisarze pochwycili gęśl upłynionych wieków. Przezwano ich romantykami, bo nieznane piosnki nucili o kozakach, rusałkach, dziadach i strachach. Romantycy ci chcieli poezyi ojczystéj, związku z przeszłością i rozumem starego czasu; chcieli większéj ze wspomnieniami zgody, mniemając że groby i rumowiska do życia należą, i że samo zniszczenie było tylko jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazyą gminu, dla tego, że w prostocie serca, znajdowali najwięcéj poetycznéj prawdy i szczeroty. I mimo długiego błąkania się po rozdrożach wybujałéj, nieokielznanéj fantazyi—zwyciężyli.

W ogniu téj walki powstała nowożytna, romantyczna poezya. Najwyższym wyrazicielem onéj jest Mickiewicz. W utworach jego powiada charakterystycznie p. Sow., znalazła ona swoje wykończenie, wyczerpnęła wszystką niemal treść, i z nasienia rzuconego przez tego mistrza, rozwinęła się, rozrosła i udoskonaliła. Słowacki i Krasiński, przykładem Mickiewicza do tworzenia zbudzeni, są niemniéj samodzielnemi talentami, którzy razem z swym mistrzem, stanowią zawiązek i podwaliny całéj nowszéj poezyi. Po nich i obok nich, tworzą się rozmaite grupy, które pielęgnują i rozwijają daléj pewne żywioły lub formy poetyczne, wskazane przez mistrzów. Powstają różne rodzaje poezyi nieznane dotychczas lub nierozwinięte aż dotąd. Najbujniéj zakwitła poezya liryczna—nawet epos i dramat mają najczęściéj bardzo mocną barwę liryczną. Co do epopei, Mickiewicz tu wyczerpnął wszystkie warunki i formy piękności, i podobnie jak w Grecyi po Iliadzie i Odessei nie było podobném, aby się kto odważył na coś doskonalszego, tak i po Mickiewiczu nie znalazł się nikt, ktoby mu dorównał w sztuce epicznéj. Ogniwem spajającém Mickiewicza i świat jego epigonów z przeszłością całą jest Brodziński.

Brodzińskiego (t. II str. 467—501) nazywa p. Sow. podobnie jak inni poetą przejścia — pomiędzy klasykami i romantykami, i uważa za prawdziwego zwiastuna ostatniego okresu poezyi pol-

skiéj; jego zaś „Wiesława“ — za najpierwszy fijołek witający duchową wiosnę literatury narodowéj.

Z powodu sielanek Brodzińskiego, robi autor Rysu dziejów literatury bardzo charakterystyczną uwagę co do tego rodzaju poezyi u nas w ogóle! Zwrot Br. ku sielance sądzi on, niezależnie od usposobienia poety, miał obszerną podstawę w charakterze i usposobieniu narodu i w ogóle wszystkich Słowian. Gdzieindziéj sielanka występowała zwykle u kresu cywilizacyi, wyobrażając powszechne sił wyczerpanie, zwątpienie, czczość, przesyt i niesmak. W Polsce poezya narodowa złotego okresu nie skończyła się na sielankopisarzach, ale owszem najwłaściwiéj rozwijać się poczęła. Br. pochwycił przerwany wątek swojskiéj poezyi—sceny poetyczne przeniósł między zagrody sielskie i malował je farbami pożyczanemi od rzeczywistości. Nie dotykał w idyli strony dydaktycznéj —pogląd obyczajowy mąciłby spokojność wiejskiego obrazu. Sielanki złotéj epoki nie oddychały zwyczajną swobodą, przedstawiają obraz zasmucający poddaństwa, niedoli i ucisku. Były one w pewnym względzie uzupełnieniem satyry, przybierającéj ton i barwę idyliczną, i z pod téj zasłony ukazującéj łagodny uśmiech ironii. Br. inaczéj pojął naturę i istotę sielanki; otoczył on ją światłem pogodném, i zbliżył do serdecznéj i żywéj pieśni krakowskiéj.

Pomiędzy Brodzińskim a Mickiewiczem, stawia autor dość uzasadnienie przedstawicieli tak zwanéj szkoły *ukraińskiéj*: Malczewskiego, Zalewskiego i Goszczyńskiego—którzy to czerpali swe natchnienie w tęsknych śpiewach gminu ruskiego, w jego skarbach, odzwierciadlających ognistą a posępną fantazyą tego plemienia, wreszcie w świeżych podaniach kozaczyzny i walk jéj ze szlachtą polską. Przedstawicieli tych szkoły ukraińskiéj, dla tego odnosi p. Sow. do epoki przejścia, ponieważ poezya ich, jakkolwiek spoczywa już na swojskim gruncie i objawia nowy kierunek, wszelako nie przedstawia żadnéj wielkiéj w dziejach narodowych chwili; jest to wreszcie poezya przeszłości, bez charakteru swojego czasu. Od nich też właśnie rozpoczyna się tom III Rysu dziejów literatury.

Autor Rysu tego sam dziecię ziem ukrainnych, i sam równie poeta, dzielnie też, dosadnie i ujmująco charakteryzuje owych najbliższych swych pobratymców w duchu.

Malczewskiego (str. 1 — 25) powiada, uczucie zrobiło poetą. Wychowaniec Ukrainy, uczuciem poetyczném wmarzył się on w otaczającą go przyrodę, zbliżył do miejscowych podań i pamiątek, które dostarczyło geniuszowi jego żywiołu i stworzyły właściwy

charakter poety miejscowego, polsko-ukraińskiego. Wpływ Byrona nie przeistoczył jego ducha, oddziałał jedynie na formę jego twórczości. Co do treści poematu Malczewskiego „Marya“—trzeba wyznać razi ona poniekąd uczucie moralne: w czynie głównym przedstawia zbrodnię — niewinność i cnotę upadającą bez zemsty. Mimo to działa ona tragicznie, tem skuteczniéj, że poeta usuwając starannie z przed oczu widok zbrodni, szanuje w czytelniku uczucie piękna. Przedziwny urok sprawia tu ciemna strona fantazyi, w której głębi Malczewski pojął rzecz swego epotycznego utworu. Ślicznie téż p. Sowiński określa wewnętrzną istotę onego. Rzeczywiście powiada on, wszystko się w téj powieści splata w gmatwaninę nieszczęścia, nigdy nierozwikłaną. Rzecz prosta i zawiła naturalna i okropna, powszednia i głęboka jak przepaść. Główny zarys obrazu prosty jest, głęboko jednak pomyślany. Przedstawione w nim sceny, pełne siły dramatycznéj i życia. Nie tak czyn krwawy, jak przygotowania do niego, wzbudzają zgrozę, kiedy morderca przed dokonaniem swéj roboty, potajemnie, milczkiem, w skrytości myśli, układa zabójstwo. Daleki zamach straszniejszy jest nad samo uderzenie. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do niéj manowce, sieją postrach. To czajenie się uprzedzające skutek, jest nakształt mroku, budzącego złowieszcze przeczucia w duszy czytelnika. Jest to sposób używany przez wielkich artystów, a zasadzony na głębszéj znajomości natury i serca ludzkiego. Z gwaru uczt wesołych, z łona okazałości i zbytku, poeta wywołał straszliwe przeczucia bojaźni i smutku, w które się cały obraz potém przemienia. Nie ma nic bardziéj przarażającego dla duszy ludzkiéj, jak ten uśmiech złowrogi omylnego szczęścia, ta ironia losu, co w drażliwych ponętach rozkoszy, ostre do piersi przymierza kolce — to niespodziewane przejście z pomyślności do rozpaczy i przelęknienia śmierci, budzące nagle myśl zajętą senném szczęścia złudzeniem. Co do szczegółów -- pieśń masek—dziko-liryczną, trwożną i pustą, okropną i wesołą—p. Sowiński nazywa najgenialniejszym pomysłem poematu.

Co zaś do ocenienia poematu tego w całości—w następny sposób zdanie swe on wypowiada:

Nieprzebrane bogactwo uczucia, harmonia układu, świeżość, barwność, wydatna i dotykalna prawie plastyka, wreszcie charakterystyczna trafność i prawdziwość w kreśleniu przesądów i wyobrażeń ludu, a głębokie poczucie natury ukraińskiéj—takie są główne zalety „Maryi“. Przeciwnie ujemną stronę poematu stanowią, obok wad wypływających z saméj treści przedmiotu, przywary nałogowe dawnéj szkoły francuskiéj, wytworna powierzchowność,

miejscami deklamacya i w rozmowach najbardziéj patetycznych rażąca przesada uczuć. Malczewski bierze z serca dziejów swoje postacie, ale zresztą cały poemat jego nie ma barwy polskiéj. Poeta usiłował wystawić staroświecką obyczajowość narodową, ale że trafiał tylko przypadkiem, że nie miał siły i wiedzy dostatecznéj, sztukował przeto czułostkowością i patetyzmem, psując pomysły piękne. Nigdy się przywiązanie silniéj nie tłómaczyło jak w nim właśnie; ale są to dobre ustępy wzięte same w sobie, poematowi jednak szkodzą i ścierają z niego barwę narodowości.

Zaleski, str. (25—49) podług żywéj, pełnéj poezyi oceny pana Sowińskiego; nierównie głębiéj od Malczewskiego zajrzał w serce Ukrainy. Gdy autor „Maryi“ przeczuwał tylko skarby ukryte w ziemi rodzinnéj, Zalewski odgrzebał je, rozkopał kurhany odwieczne i z łona ich wydobył stosy najcenniejszych kamieni, które następnie z niedościgniona ogładził i wykończył doskonałością. W tém poetyczném obrobieniu, nie dorównał mu żaden z liryków polskich XIX-go wieku. Światło i harmonia posługiwały mu jako niewolnice pokorne. Zaleski urodził się takim poetą, jakimi od wieków rodzili się prości, ludowi śpiéwacy Zaporoża. Przyroda pokrewna rozwinęła w oczach jego swoje powaby, swoje tajemnice pełne obrazy i uroki. Wiatr stepowy podesłał mu swém tchnieniem napowietrznego łoża puchy, kołysał w dzieciństwie i unosił dźwięcznym szumem na stare mogiły i komysze. Lotna, swobodna, błyszcząca wyobraźnia nastręcza mu niewyczerpane bogactwa barw i obrazów. Ma on dar szczególny widzenia poetycznego każdéj myśli, każdego uczucia, z któremi igra na podobieństwo dziecięcia, kształci, stroi, przeobraża. Upędzając się za pajęczą siatką pieśni stepowéj, wydaje się jakiemś napowietrzném widzeniem, za to rojenia jego przybierają pozór ułudnéj rzeczywistości. Sposób pisania jemu tylko właściwy świetny, barwny, brylantowy, do najwyższego stopnia wykończony, wydaje wszędzie wielkiego i niezrównanego sztukmistrza. Kunszt jego pozostał dla innych pisarzy tajemnicą. Słowa jego wyrywają się z pod uwagi krytyka i nie dozwalają ani się zbadać, ani dostatecznie określić. Jest to ocean światła w wody kropelce, wszystkie kolory tęczy iskrzące się połyskiem jednego mgnienia. Żywość i strojność obrazów, szczérota uczuć, zewnętrzny kształt i wysłowienie, połączyły się u Zaleskiego w najpiękniejszą harmonią. Poezye jego są melodyą wyrazów—i trudno wypowiedzieć, czy większym jest on poetą czy muzykiem. Najpiękniejsze z utworów Zaleskiego są te, w których poeta wziąwszy za osnowę jaki bądź motyw gminny, rozwijał go w cudowne fantastyczne obrazy. Formę tę poezyi sam sobie on

utworzył i można powiedzieć, iż w tym rodzaju jest najgenialniejszy. Mniejszą wartość mają jego dumy czyli rapsody rycerskie, których nadto największą może wadą jest lekceważenie ścisłéj prawdy historycznéj. Brak zaś filozoficznego żywiołu w Zaleskim, tłómaczy nam to, iż nie stworzył on ani jednego dzieła wielkiego i całkowitego, jego poemat pod tyt. „Duch od stepu", pomimo szczegółów znakomitych, jest utworem nieudatnym, z powodu ubóstwa treści. Wady w nim stanowią: pewne powtarzanie się myśli, jednostajność toku i barwy poetycznéj, język często zbytnią przesycający miękkością, wreszcie nazbyt swobodne igranie z formą—istna swawola artysty.

Niemniéj wyrazistémi rysy charakteryzuje p. Sowiński trzeciego z piewców ukraińskich—jakim jest: *Goszczyński* (str. 49- 73). Różny swém poetyczném usposobieniem od innych śpiewaków Ukrainy, Gaszczyński wybrał dla swego geniuszu posępniejszą stronę jéj dziejów i przyrody. W fantazyi zaś ludowéj ukochał przedewszystkiém stronę jéj dziką, ciemną, szatańską. Posiada téż prawdziwie Rembrantowski pędzel do malowania płomieni na tle mroku nocnego. Krew nie przeraża poety; ręce mu nie drżą, krając pierś żywą nożem anatomicznym. Najgłówniejszy poemat jego „Zamek Kaniowski" przedstawia jedną ze scen owéj krwawéj katastrofy, która w końcu zeszłego stulecia jękiem bolesnym napełniła Ukrainę. Zgromadził tu poeta wszystkie niemal okropności téj epoki zwanéj „koliszczyzną". W całéj literaturze polskiéj nie ma poematu więcéj krwią i mordem przesiękłego jak ten właśnie. Poeta zamiast złagodzenia smutnego malowidła stawieniem go w oddaleniu znacznéj przestrzeni czasu i niejako w półświetle rzeczywistości, zbliżył go zanadto do oczu czytelnika, a przez to przykrzejszym i więcéj przerażającym uczynił. Sposoby téż poetyckie Goszczyńskiego nierównie są głębsze, niż u poprzednich poetów; węzły opowiadania zawiązują się umiejętniéj; na scenę występują prawdziwe charaktery, nie w kształcie sylwetek lub cieni chińskich, jak u Bohdana i Malczewskiego, lecz w ruchu, walce i potrącaniu się wzajemném. Można poecie zarzucić pewien stopień przesady, nie zbywa mu jednak na prawdzie i historycznéj podstawie. Styl jego przy swéj świeżości i przyrodzonéj barwie, szorstki, surowy i nieogładzony, najwłaściwiéj wchodzi w harmonią z duchem i treścią przedmiotu. Wydatność postaci i charakterów, umiejętność nadania masom ruchu i rozwiklania działania, wydają w Goszczyńskim niepospolite zdolności dramatyczne. Ze wszystkich poetów polsko-ukraińskich, on najwierniéj odmalował ziemię rodzinną, albowiem treść barwy do swego poematu czerpał nie

w fantazyi szlacheckiéj, lecz w piersi ludu, pognębionéj zmorą niewoli społecznéj i krwawych wspomnień dziejowych. W tym względzie jest to poeta prawdziwie narodowy. Utwór ten jego zastanawia nadto, jako fakt wielkiéj doniosłości w historyi społeczeństwa polskiego — bezstronnym i dziwnie beznamiętnym poglądem poety na przeszłość. Patrzeć w ten sposób można jedynie na to, co bezpowrotnie minęło.

Za wspólne i charakterystyczne znamiona szkoły ukraińskiéj uważa p. Sowiński (str. 73): uwielbienie siły, swobodę wyobraźni, naturalizm i uzmysłowienie miłości.

Bezpośrednio po przedstawicielach szkoły ukraińskiéj, daje autor jeszcze miejsce *Góreckiemu* (str. 76—88). Lecz tyle tylko powiada o nim: był to poeta z potrzeby wrodzonéj i dla tego zawsze szedł za własném natchnieniem, nie wiążąc się do żadnéj szkoły; a jakkolwiek nie celował wielkim talentem poetycznym, to jednak jego bajki, krakowiaki i niektóre pieśni, piękne zapewniają mu imie w literaturze.

Teraz dopiero przychodzi kolej na *Mickiewicza* (str. 80 –194). Stawi go p. Sow. na niedościgłym szczycie między poetami polskimi, i uznaje go za jednego z największych geniuszów poetycznych ludzkości. Po dość wyczerpującym - rysie biograficznym, w którym zostały spożytkowane materyały, ostatniemi laty wydane, tak następnie o Mickiewiczu autor — poeta powiada: — Był to wielki człowiek, w pełnem znaczeniu tego wyrazu, osobistość posągowa, olbrzymia, górująca nad tłumem podniosłością duszy, sercem szlachetnem i proroczem natchnieniem. Dobroć, tkliwość, prostota, cechowały go zarówno w dziełach jak i w stosunkach życia powszedniego. Jak niegdyś w Krymie, tak potem we Włoszech i wszędzie i zawsze, wszystko co widział, czuł, myślał, wszystko ostatecznie odnosił do społeczności rodzinnéj. Tu było jego „absolutum" najwyższe; w téj idei on żył, pracował, służył Bogu i zapomniał o sobie, a to zapomnienie o sobie; było jedną z najwybitniejszych cech jego osobistości, charakterem serca i ducha. Przez wiele lat znano go tylko jako poetę, późniéj dopiero uznano w nim natchnionego proroczym duchem wieszcza. Po kraju najwięcéj kochał przyjacioł, przyjaźń albowiem pojmował jako sakramentalny związek dusz w imię zasad najświętszych. Aczkolwiek przebywał wielkie wstrząśnienia duchowe, wrodzone usposobienie jego było spokojne — nie potrzebował nawet unosić się, wielkość albowiem była pospolitym pokarmem uczuć jego i myśli, a cnota i poświęcenie powietrzem dla piersi jego. Co do charakteru jego twórczości, powiada autor daléj — obok niesłychanéj potęgi uczucia, zasta-

nawia w Mickiewiczu dziwny spokój, umiarkowanie, trzeźwość duchowa. Niemasz w nim ani śladu miotania się konwulsyjnego, ani chorobliwéj ekstazy. Czy to, jak wietrzyk poranny muśnie on duszę cichą, jakby z westchnień złożoną piosenką, czy jak wir huraganu szczytnym wybuchem lirycznym wstrząsa do samych podwalin istotę naszą — nigdy nie widać w nim wysilenia, łamania się z formą, zamiaru sprawienia efektu. Jest to prawdziwy twórca — mistrz, nie kompozytor — olbrzym, nie atleta. Nie stoi to w sprzeczności bynajmniéj ze znaną wielką uczuciowością poety. Owszem, tylko wielkie uczucie mogło nadawać poecie tę pewność siebie i to wszechwładne panowanie nad formą, jakie podziwiamy w jego utworach, — a Mickiewicz czuł za tysiące. Entuzyazm jego dla każdéj idei wielkiéj był potężny, płomieniejący, wstrząsający wszystkie nerwy, wyprężający wszystkie muskuły woli — istny lot orli geniusza, kierowany wiarą w wykonalność rzeczy niemożliwych i niepodobnych do urzeczywistnienia. Wiara ta przechodziła natychmiast w tłumy. Ta właśnie potęga wpływowa — udział prawdziwéj wielkości — stawia Mickiewicza wyżéj nad wszystkich poetów polskich. Godnym hymnem przyszłości; któréj Mickiewicz był prorokiem; jest jego „Oda do młodości,“ najszczytniejszy utwór liryczny, który z szybkością i mocą iskry elektrycznéj poruszył umysłów tysiące.

Ze wszystkich poetyckich utworów Mickiewicza, uważa następnie p. Sow., najwięcéj trudności, tak pod względem treści, jak formy, przedstawia krytyce, poemat noszący nazwę „Dziady“ — Treść jego różnorodna, zmienna, nie osnuta na tle jednego w przyczynach, w przebiegu, w skutkach rozwiniętego i skończonego wypadku, czynu lub pomysłu; forma liryczno-dramatyczna i opisowa zarazem; artystyczny zaś układ utworu podzielony na części zewnętrznie tylko z sobą spojone. Jest to jakby rozbite źwierciadło duszy, o którem mówi Szekspir, że w każdym kawałku jego odbija się odłam życia poety. Geniuszem bowiem ożywiającym tu cudny świat poetyczny jest sam poeta — jego życiem żyją też tu wszystkie twory; dramat przyborem jest tylko, pożyczonym od rzeczywistości. W „Dziadach“ zamierzył Mickiewicz wypowiedzieć myśl filozoficzną o człowieku i jego stosunkach ze światem; chciał z tego poematu „zrobić jedyne dzieło swoje warte czytania,“ — jak pisał do Odyńca, już po skończeniu Pana Tadeusza. Nieodżałowana przeto szkoda, że utwór w tym sposobie zapowiedziany, nie doczekał się wykończenia i pozostał tylko fragmentem. W „Grażynie“ autor „Dziadów,“ poeta idealista, zmienia się w obrazowego sztukmistrza; liryczny pendzel namiętności, przeistacza w dłuto rzeźbiarza. Zadaniem poety było przedstawienie bohaterskiego typu niewiasty li-

tewskiéj, która ofiarą życia własnego, ocala kraj swój od Niemców. Nie sam jednakże czyn historyczny, ale charakterystyczne odmalowanie miejsca i czasu, tło smętną tchnące powagą, charakterystyka osób działających, tajemniczy związek i pełne dramatycznego effektu rozwiązanie, stanowią zdaniem autora zalety tego utworu. W „Konradzie Wallenrodzie“ — twierdzi on, moralność utworu nader wątpliwa, równie jak epigraf na czele poematu wzięty z Machiawela. Podobne założenia są nakształt miecza obosiecznego, który najczęściéj kaleczy najprzód rękę, chwytającą zań w celu rażenia nieprzyjaciela. Poeta opiewa zdradę obraną za środek do wzniosłych celów—poświęcenie się dla kraju, naznaczone piętnem sromoty i hańby. Myśl ta, służąca za podstawę poematu, aczkolwiek przeciwna charakterowi narodu, w obec ówczesnéj jednak walki obu potęg i wzajemnéj nienawiści, ma za sobą przynajmniéj podobieństwo do prawdy. Ale Wallenrod, jako mistrz krzyżacki, był nad to związany ślubami zakonu — zdrada więc obrażała z drugiéj strony zasadę moralną. Pojmował to poeta, i dla tego, po stanowczem spełnieniu czynu, po głównéj katastrofie wojny, bohaterowi swojemu dał koniec tragiczny. Poemat ten w ogóle, obok uwielbienia dla swoich znakomitych piękności, wywołał nadto liczne i poniekąd uzasadnione i z innych téż stron zarzuty. Surowo osądził go Mochnacki, przyznając wyższość nad tym utworem „Grażynie“ i „Dziadom.“ Sąd ten przecie zdaniem p. Sow, jest za surowy. Romans bowiem Konrada i Aldony nie jest żadnym anachronizmem, ani przesadą w pojęciach, ani manierą w kolorycie. Ma on za sobą prawdę historyczną. Wiek Wallenroda był wiekiem romantyzmu, turniejów, idealnéj czci dla płci pięknéj, wiekiem rycerstwa. Sama tylko liryka poematu jest nieco sentymentalna i za wytworna.

Co do błędu w kompozycyi — w tym względzie utrzymuje daléj autor, krytyk miał słuszność: między całością a jéj częściami niema tu należytéj proporcyi, wymiaru i harmoniii. Charakter Wallenroda — typ poganina w postaci krzyżaka, nie może téż w zupełności zaspokoić czytelnika. Pod względem poezyi jednak rozwinął tu wieszcz całą twórczość, całe bogactwo swego talentu. Zachwyca czytelnika cudowny dramat uczuć, rysy charakterystyczne obrazu, wlana weń prawda i życie. Nic dziwnego tedy, iż „Konrad Wallenrod“ sprawił ogromne wstrząśnienie w umysłach. Klasycy staréj daty oniemieli. Dźwięczność rymów, czar stylu, świeżość obrazów i porównań — jedyne rzeczy, które w kategoryą ich sądów wchodziły, znalazły się tam w poważniejszéj sile; zaczęli więc kapitulować. Od tego téż głównie utworu, rozpoczyna się i epoka wyłącznie Mickiewiczowskiego wpływu na cały rozwój poezyi polskiéj.

Arcydziełem Mickiewicza jest „Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie.“ — Rozpatrując się poważnie w tym pomnikowem dziele, musimy, charakterystycznie powiada daléj p. Sow. podziwiać głęboki umysł architekta, co taki gmach wznieść potrafił, i umiejętną rękę rzeźbiarza, który tak pięknie wykończył każdy jego rys, każdą ozdobę. O ile skomplikowaną, o tyle jasną, pełną ładu i wspaniałéj sztuki jest budowa téj epopei. Potrzeba wielbić geniusz, który wznosząc się na najwyższy szczyt umiejętnéj sztuki i wychodząc obronną ręką z największych jéj tajemnic i trudności, jest zarazem tak prostym, swobodnym, naturalnym i natchnionym w całem opowiadaniu. Przyznać też trzeba, iż autor Rysu dziejów — poeta, z wielką umiejętnością oprowadza nas następnie po wszystkich komnatach wspaniałéj téj budowy, przejmując się sam najżywiéj przedstawianym przedmiotem i robiąc po drodze głębokie nieraz, tryskające poezyą uwagi. Tak np. przy okoliczności wyprowadzenia przez wieszcza (w lis. VI-éj na scenę tłumu szlacheckiego z istnem natchnieniem powiada: Jeżeli kiedy potomność zechce utworzyć sobie wyobrażenie o charakterze i usposobieniu szlachty polskiéj, nie znajdzie tyle źródeł ani w historyi, ani w kronice, ani w pamiętnikach, ile w tych tu genialnych epizodach. Nigdzie prawdziwiéj, nigdzie bardziéj seryo nie poznasz szlachty, jak w tych humorystycznych obrazkach, tak w sobie całych i skończonych a tak koniecznych w téj epopei, nawet ze względu na główne zdarzenia. Tak Homer jest źródłem niewyczerpanem, zkąd głównie czerpią historycy wątku obyczajów i życia Hellenów we wszystkich jego objawach. Jak w całym poemacie, tak i tu, zrósł się poeta ze swoim przedmiotem, przedstawia nam szlachtę ze wszystkiemi jéj cnotami i śmiesznościami naiwnie — zdaje się żyć pośród niéj malując przeszłość, nie zabiera stanowiska badacza, krytyka lub filozofa, a zarazem unosi się z taką łagodną ironią nad przedmiotem, która nie wyłącza miłości i szacunku dla tych wypadków i ludzi, i nie oznacza pogardy — ale jest ledwo dającym się dostrzedz delikatnym uśmiechem męża, co patrzy na świat bez wysokiego o sobie rozumienia, co rad wspomina wszystkie igraszki i chwile swego dzieciństwa, ale wie, że mu nie można do nich powrócić — a co więcéj czuje, że nawet powrócić by nie chciał. W całéj téj epopei, rozlany jest pewien kontemplacyjny spokój i pogoda umysłu, co jak słońce świeci dla sprawiedliwych i dla grzesznych zarazem. Równą miłością otacza wszystko, nie sroży się nawet przeciw złemu i nienawistnemu, bo i to jest czynnikiem dziejowego ruchu — a nie pomija śmieszności i słabostek.

Przed ukazaniem się „Pana Tadeusza“ robi następnie p. Sow, głęboką uwagę, że literatura polska nie miała epopei. A jednak w życiu domowem i politycznem narodu, ukrywał się niewyczerpany skarbiec żywiołów epickich. Polska nie była nigdy państwem politycznie silnie zorganizowanem, lecz żyła i stała indywiduami—co właśnie każdéj jednostce dawała siłę i zarys indywidualny i sprawiała taką obfitość i rozmaitość epicznych, samodzielnych charakterów i epicznych wydarzeń. Ale musiał narod dojrzeć do prawdziwéj epopei. Dosadnie też bardzo określa autor daléj i samą istotę eposu w ogóle i powody opóźnienia onego w Polsce. Przyszedł wreszcie czas, mówiono, kiedy naród poprzestający dotąd na opowiadaniach i rapsodach epicznych, ocknął się z głuchego pomrocza, a duch jego sam w sobie o tyle już wrosł w siły, że był stanie swój własny świat sobie utworzyć i czuć się w nim swobodnym. „W ostatnim zajezdzie.“ — na tle wojen napoleońskich, zarysowuje się nam stan ogólny społeczeństwa polskiego. Nie o samą jednak wojnę tu chodzi. Poeta miał jeszcze inne zadanie. Musiał przedstawić antagonizm nietylko zewnętrzny, lecz i wewnętrzny — musiał nas zaprowadzić do głębi serc, usposobień, zwyczajów i charakterów, gdyż blizką była chwila zatarcia wielu śladów przeszłości. Wskazał więc na wojnę, jako na główną oś wydarzeń — a przedewszystkiem położył sobie za zadanie, skreślić obraz kollizyi istniejących w samym narodzie, podnieść wszystkie strony jego życia, które będąc z sobą w sprzeczności, wywoływała niezgody, waśnie i wybujałość wolności, co stało się przyczyną upadku, ale pokierowane mądrze, mogło być źródłem odrodzenia. Ponieważ życie publiczne Polaków w ścisłym było związku z życiem prywatnem, rodzinnem, przeto musiał poeta na pierwszym planie postawić jakieś indywidualne zdarzenia, któreby dotykało wszystkich stron obyczajowych, domowych, prywatnych stosunków, a zarazem głównemi kończynami wyraźnie wiązało się ze stanem politycznym kraju i świata—i w takiéj całości okazało nam ducha narodu w całéj sile, świeżości, wszechstronnosci i prawdzie. Działającemi zaś tu osobistościami mogli być jedynie ludzie, którzy łączyli by w sobie rysy i znamiona całego narodu. Nadto, przed wszystkiemi musiala mieć pierwszorzędne znaczenie jedna, potężna indywidualność, wpływająca najstanowczéj na całą kolej wypadków, jak np. Achilles w Iliadzie. Takiem zdarzeniem jest w „Panu Tadeuszu“ spór Horeszków z Soplicami, takiemi osobistościami — szlachta występująca w poemacie, a takim bohaterem— Jacek Soplica (ksiądz Robak). Obok tego spożytkowane są tu z równem mistrzowstwem wszystkie motywa epotyczne: okoliczności,

przypadek, tragiczność i mistycyzm ludu. Wszystkie uboczne zdarzenia, czyli tak zwane epizody, łączą się tu z głównym wypadkiem, nie tracąc wcale całokształtnéj samodzielności t. j. wykończenia, które nie dozwala uważać ich jako środki jedynie, jakiemi główna akcya się posługuje. W „Panu Tadeuszu," powiada autor Rysu dziejów literatury, odwzorował poeta wszystkie niemal główniejsze rysy ducha narodowego. Uczucia religijne, rodzinne, obywatelskie, strona obyczajowa i zwyczajowa życia — wszystko to znajdujemy w tem arcydziele. Nie ma też takiego malarza natury, dodaje on poetycznie jak twórca téj epopei; nie znajdziesz w całéj poezyi polskiéj tyle barw słowa, które najpiękniejszym barwom ziemi rodzinnéj wyrównać są w stanie — tyle mocy, ile jest w burzy, tyle spokoju, ile jest w cichéj nocy letniéj, kiedy gwiazdy iskrzą się na niebie, wody mówią do siebie szmerem miłośnym, kwiaty i drzewa napełniają powietrze wonią, rosa lśni się a księżyc ozłaca pochyłe chaty i srebrzyste łany. Ze stanowiska estetyki, podziwiać tu jeszcze należy ów epiczny związek ziemi, nieba, zwierząt, roślin i kwiatów — całéj przyrody z człowiekiem. Słowem, — mówi ogarniając przedmiot ogólnie, autor — we wszystkich względach poeta, zaspakaja w zupełności najwybrydniejsze wymagania krytyki. Przedmiotowość, zaparcie się własnéj osobistości posunął on do najwyższego stopnia, a nawet w tych kilku ustępach, gdzie się zdaje przemawiać od siebie i o sobie, wyraża uczucia stanowiące własność całego narodu, a które z nim dzieli każdy czytelnik. Nie można być bardziéj narodowym i bardziéj sztukmistrzem. Dając nam dzieło mistrzowskie, poeta nigdy nie zwraca uwagi na siebie, nigdzie nie mówi: „Patrzcie, ja mistrz!" Słyszymy natchnione słowa jego, a nie widzimy jego twarzy; czujemy ciepło, jednostajnie rozlane po całem dziele, a nie widzimy ani piersi ani serca poety, dotykamy się kształtów, które wyrzeźbił, a nie znać ręki rzeźbiarza. Forma w „Panu Tadeuszu" od pierwszéj do ostatniéj karty, jest doskonałą. Wiersz zbudowany bez skazy, a epickiemu spokojowi opowiadania właściwy, płynie lekko, potoczyście, bez trudu, a zawsze pełen jest naturalnéj powagi. Podział na księgi trafny, rozkład i ugrupowanie wyborne; myśl zawsze w odpowiednią ubrana szatę — raz strojną i świetną, to znowu skromną i prostą. Język jędrny, silny, pełen barwy, bogactwa i porównań znamienitéj piękności, najczystszy, na wskroś polski. Pomysł cały i wykonanie najzupełniéj narodowe, samotwórcze, oryginalne. Nigdzie niema naśladownictwa. — Podziela też p. Sow. w zupełności zdanie, że po Illiadzie i Odyssei nie było i nie ma epopei wyższéj i bardziéj oryginalnéj jak „Pan Tadeusz" — i za-

myka w następujący sposób sąd swój ostateczny o mistrzu i jego arcydziele: — Jakkolwiek bądź podzielone być mogą zdania, dla nas Mickiewicz wyższym jest od wszystkich naszych poetów, nie wyjmując nawet tak genialnych jak Słowacki lub Krasiński. „Pan Tadeusz“ zaś jest szczytem twórczości Mickiewicza, jest najwyższym i najznakomitszym faktem w *historyi polskiéj* poezyi.

Dział następny swego obrazu Poezyi polskiéj ostatniego okresu, pod ogólnym tytułem „Poeci po Mickiewiczowscy,“ autor — poeta, tak charakterystycznym a świetnym wstępem, zagajając rzecz, rozpoczyna — (str, 194).

Mickiewicz skupił w natchnieniu swojem najświetniejsze promienie narodowego ducha. Widzimy w nim wszystkie myśli wznioślejsze, wszystkie najszlachetniejsze i najgłębsze uczucia, wszystkie najpiękniejsze marzenia i porywy, właściwe całéj społeczności i wyrażone w najdoskonalszéj a obok tego w najzupełniéj rodziméj formie. Nie można być jednocześnie bardziéj wszechstronnym i bardziéj narodowym. Z niesłychanie bogatą treścią połączywszy formę swojską, plemienną, Mickiewicz pierwszy, można powiedzieć, zdobył dla poezyi polskiéj miejsce w nowoczesnéj literaturze europejskiéj, albowiem takie tylko arcydzieła otwierają młodym szczepom, wspaniałe jéj podwoje, które noszą na sobie cechę wszechludzką i narodową zarazem, powszechną i oryginalną. Nadto można powiedzić, iż Mickiewicz utworami swojemi potrącił tysiące strun dotąd śpiących w duszach swych ziomków, i wszystkie one odezwały się pod ręką mistrza głośniejszém lub cichszém drgnieniem; niektóre zaś zabrzmiały przecudną melodyą natchnienia prawdziwie wieszczego. Ztąd uważamy powiada on, Adama za bezwarunkowo wyższego od wszystkich późniejszych poetów, nie wyłączając najznakomitszych, których możnaby nazwać potomstwem duchowem Mickiewicza, gdyż każdy zapalał światełka swoje w tym wielkim, nigdy dostatecznie nie wysławionym duchu, a żaden mu nie wyrównał jasnością i majestatem.

Trzech następujących poetów, zdaniem p. Sowińskiego, można by nazwać „wieszczami ducha,“ gdyż wszyscy trzej mało mają przedmiotowości, a natomiast w każdym przeważa jedna z pierwszorzędnych potęg duchowych, panując wyraźnie nad innemi — w jednym myśl, w drugim uczucie, w trzecim wyobraźnia. Mówi tu autor jak łatwo się domyślić o Garczyńskim, Krasińskim i Słowackim.

Garczyńskiego (str. 194—201) poemat „Wacława dzieje“ uważał był Mickiewicz za utwór największego rozmiaru i najfilozoficzniejszy z pomiędzy wszystkich, jakie są w językach słowiańskich. Za-

sadą onego jest myśl, że tylko w wyzwoleniu ducha możemy znaleść mądrość i potęgę. Rzecz godna zastanowienia, powiada p. Sow., że Garczyński, jeden z najzdolniejszych i najgorliwszych wy znawców Hegla, ów młodziutki mistrz profesorów, po zbadaniu wszystkich labiryntów metafizyki i logiki niemieckiéj, wrócił pod strzechę mądrości rodziméj. Polacy téż, dodaje on, równie jak i wszyscy Słowianie, zawsze mieli wstręt do metafizycznych zaciekań i suchych formuł logicznych. Więcéj ich pociągały założenia filozofii moralnéj i praktyczne zastosowanie ich w życiu. Wola jako pierwiastek czynu psychologiczny i wola w znaczeniu ludowém jako ideał ustroju społecznego, jednoczący w sobie warunki swobody i ładu, to najwięcéj ich zajmowało. Na polu tém przyświecal im raczéj płomień uczucia lub chwilowe błyski natchnienia, niż trwałe i jednostajne światło rozumu. Garczyński tedy, rzucając rękami Wacława cały swój filozoficzny dobytek pod nogi ludu, okazał się przez to poetą narodowym, choć jednostronnym a przeto ułomnym. Wady jego poematu — mistycyzm, mglistość naczelnéj myśli, naśladowanie gdzieniegdzie, i niedostateczne panowanie nad formą; wszystko to atoli przeważają niepospolite piękności poematu — bogactwo treści filozoficznéj, szczytność polotu, wymowa porywająca i nieudany, szlachetny zapał, dla wielkich zagadnień ludzkości. Niegdyś Mickiewicz przecenił wartość Garczyńskiego, a w ostatnich znowu czasach Tarnowski wpadł w ostateczność wbrew przeciwną i mniéj uzasadnioną.

Krasiński)str. 201—279) w widzeniu p. Sow. jest wyobrazicielem przeważnie uczucia. Bogate on dary zostawił po sobie literaturze, i zajął w niéj na wieki szczytne stanowisko. Po słabych młodzieńczych próbach, jak powieść historyczna „Agaj-Han," wystąpil Kr. odrazu z arcydziełem jakiem jest znany jego dramat „Nieboska Komedya." Przedmiot onego stanowi świat chrześciański z całą jego społeczną i polityczną budową, ze wszystkiemi prawami, stosunkami, filozofią, sztuką, poezyą — w walce przeciw nowoczesnym przewrotom i usiłowaniom, dążącym do nowego porządku rzeczy. Czas, miejsce, osoby téj „Komedyi,"—dowolnie są przez poetę stworzone. Dramat odegrywa się w przyszłości nieoznaczonéj, spodziewanéj, niedalekiéj, ale jeszcze nie nadeszłéj. Jest to walka po części wymarzona w wyobraźni poety, tyle jednakże jest tam prawdy i życiem tchnącego kolorytu, że choć osoby zdają się być postaciami idealnemi, maluje się przecież w ich obrazie cała sprzeczność żywiołów społecznych istniejących. Widać że rewolucya francuska stała autorowi na myśli, i z niéj żywcem prawie powybierał obrazy. Głęboka i słuszna jest, przypomina autor, uwaga Mickiewicza, że

„Nieboska Komedya“ jest niczem więcéj, tylko jękiem człowieka genialnego, który widzi cały ogrom, całą trudność zadań społeczeńskich, a nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, aby mógł dojrzec ich rozwiązanie. Niesłusznie on jednak zdaniem jego zapatrywał się na dramat Krasińskiego jako na dzieło zupełnie narodowe. Narodowość jego można uważać tylko w pewnem zastosowaniu; duchem albowiem i formą, utwór ten wydaje charakter powszechny, europejski. Krasiński dziwnie pochwycił ów prąd pojęć burzących, jaki przeleciał Europę w lat kilkanaście późniéj, a w którym znalazły się wszystkie postacie i fazy, nakreślone nieśmiertelnym pędzlem w jego dramacie społecznym. Tak więc upada, uważa p. Sow. zarzut czyniony autorowi utworu, ze zbyt jednostronnego stanowiska, że skrzywił charaktery i typy narodowe, i upada, tém bardziéj, iż straszliwe obrazy „Komedyi“—to przepowiednie i widzenia wydarzeń z r. 1846 i 1848 i lat późniejszych. Nie mają również dodaje on, słuszności i ci, którzy zarzucili poecie, że dramat swój napełnił paradoksami, że nie wierzył w poprawę społeczeństwa przez oświatę, moralność i obywatelstwo. Ostatnie słowa poematu „Galilee vicisti“ dostatecznie zbijają to oskarżenie, świadcząc o głębokiem przekonaniu poety, że świat odrodzi się tylko miłością. Zarzucano wreszcie poecie, że chciał wylać zawziętą nienawiść ku wszelkim wyobrażeniom postępu, że aż do przesady przedrzeźniał język reformatorów nowoczesnych, a wywyższył i upięknił charakter stawionego im oporu. Bezzasadność atoli tego zarzutu, słusznie bardzo uważa daléj autor Rysu dziejów, okazuje się z ujemnych cech samego bohatera, który „czcił tylko siebie i myśli swoje,“ tudzież ze scen takich jak widzenie „Orcia“ w lochach podziemnych, jak nikczemny upadek ducha pomiędzy obrońcami przeszłości, i wielu innych, gdzie twórca tego arcydzieła naznaczył piętnem ohydy, wszystkie rozkładowe pierwiastki szlacheckiego obozu. W poemacie tym Krasińskiego można upatrzyć jedynie wady artystyczne. Najważniejszą zaś jest brak przedmiotowości, nadmiar liryzmu nieodpowiedni treści dramatu. Wszystkie postacie jego są duchami, nie ludźmi; wszystkie przemawiają jednakowym biblijno proroczym językiem. Są to myśli autora, przyodziane w kształty mające podobieństwo do ludzkich. Zresztą wada ta i wiele innych wspólne są wszystkim utworom Krasińskiego. Z „Nieboską Komedyą“ w ścisłym zostaje związku „Niedokończony poemat,“ ogłoszony już po śmierci autora. Utwor ten, miał stanowić pierwszą część trylogii, krórej jedynie druga część t. j. „Nieboska Komedya“ została wykończoną. Poemat w główněj myśli wyobraża—dążenie powszechne do prawdy i doskonałości, i natrafiane na tej drodze ciągłe do zwal-

czania przeszkody. Myśl tę przyodział poeta w kształty zupełnie fantastyczne, naśladując w téj mierze nieśmiertelny poemat Dantego. Utwór ten pełen jest świetnych obrazów, szczytnych myśli, i jaśnieje niezrównaną barwnością stylu. Nigdzie nadto, dodaje autor Rysu dziejów, lepszego wizerunku własnego nie dał poeta, nigdzie szczerzéj nie wyspowiadał się z uczuć, myśli i całéj duszy swojéj, jak w owym „Niedokończonym Poemacie." Jest on téż, a szczególniéj ostatni ustęp jego, najlepszym kluczem do zrozumienia późniejszych Krasińskiego utworów. — Na „Irydiona" zapatruje się p. Sow. wyłączniéj, jako na obraz historyczny ograniczony pewną epoką czasu: prolog i epilog, wskazujące istnienie tam daleko szerszéj historyozoficznéj myśli w zasadniczym planie poety, niedosyć uwzględnienia u niego znajdują. Tak pojmowany „Irydion." przedstawia się zatem jako dramat, którego akcya odnosi się do trzeciego wieku ery chrześciańskiéj, epoki prześladowania chrześcian—kiedy państwo rzymskie za panowania Heliogabala było w stanie konania, rozwiązywania się, dezorganizacyi. Stały w niem wtedy trzy systemata obok siebie: pogaństwo już bez życia, jakby ciało pysznie ubrane leżące na marach; chrześciaństwo podobne do ducha potężnego w pracy swego wcielania się, —i barbarzyństwo rozmaite, pełne jakiejś niespokojności, na wzór atomów, kiedy się zrosnąć i skupić mają,—ślepe, straszne jak siły natury. Z chaosu przecie powszechnego świtało już odrodzenie. Na takiém tu tle oto rozwinął poeta wspaniale swój dramat. Bohatérem onego jest Irydion, syn Amfilocha Greka i Grymhildy kapłanki Odyna, wyobraziciel zarazem Hellady i barbarzyńskiéj północy, mściciel ich krzywd na Rzymie, zguba którego jest właśnie najbliższym celem w téj „tragedyi świata." Lecz bohater ten, będąc uosobioną tylko zemstą, i dążąc jedynie do zewnętrznego potargania więzów, do cielesnéj wolności, która nie może być podstawą nowego porządku świata—z konieczności upada w walce; gdyż cielesna wolność powinna się stać duchową, i wyjawić nie po pogańsku w zemście, ale po chrześciańsku w duchu miłości bliźniego. Nie ginie jednak Irydion w płomieniach stosu, na jakie się sam skazuje, widząc wysilenia swe na zgubę Rzymu obrócone w niwecz — gdyż postać jego jest tylko zaklętą myślą poety. Porywa go zły duch w postaci Massynissy, i jeszcze raz obiecuje śmierć „wiecznego miasta" za cenę żywota wiecznego.—Minęły też potém dla syna zemsty wieki letargu—zbliżyła się godzina złowroga. Runęła Roma pogańska— z kolei, zatraciwszy ducha, upada Rzym chrześciański — zły duch wtedy budzi Irydyona na ostateczną zemstę i żąda spełnienia obietnicy. Ale pośród ruin Kolosseum, nad głową jego zagrożoną zjawia

się duch Kornelii, wyobrazicielki miłości chrześciańskiej, jako anioł jego opiekuńczy. Powstaje tedy spór ostatni, wyroczny o duszę Irydyona. Lecz mimo groźnych wołań Massynissy: „on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romę,“ świadectwem jedném Kornelii: „on kochał Grecyą!“ bohater zbawionym zostaje — a dla odkupienia przeszłości, bierze w imieniu Chrystusa nowe posłannictwo ofiary i trudu. — Sąd p. Sow. o samym utworze stanowczy i krótki.—Genialny ten, powiada on, dramat świata nie tylko myślą ale i pod względem piękności artystycznéj stoi na niedościgłéj wysokości. Natchnienie ani na chwilę nie opuszcza poety. Akcya pędzi z piorunową szybkością, ale wszędzie jest pełna i zaokrąglona. Charaktery schwycone i odmalowane po mistrzowsku. Irydyon i Elsinoe, to najpiękniejsze posągi duchów; Alexander Sewer, Mammea, Ulpianus, męczennicza ludność katakomb, a z drugiéj strony Heliogabal i jego zausznicy; słowem wszystkie postacie dramatu, i zacne i nieszlachetne, przypominają rzeźby na sarkofagach greckich. Język przecudny, styl utrzymany do końca w tonie szczytnego, swobodnie szybującego nad ziemią patosu.

Pierwszym utworem Krasińskiego wierszowanym o większych rozmiarach był „Przedświt“—poemat liryczny, w którym forma odgrywa niezwykle ważną, ledwie nie naczelną rolę. Olśniewający pięknością język zniewala, powiada autor Rysu dziejów, niejako tracić co chwila z oczu myśl poety, tak że potrzeba pewnego wysilenia woli, ażeby ją śledzić bez przerwy. Nikt, nie wyłączając Zaleskiego, nie oblekał pojęć abstrakcyjnych i powiewnych mar wyobraźni w tak cudną formę, jak Krasiński. Po raz pierwszy w literaturze polskiéj, dźwiękiem harfy Eolskiéj zabrzmiały takie jak jego wiersze. Zasadniczą myślą poematu mówi on daléj, jest przebóstwienie dziejów, wprowadzenie idei chrześciańskiéj w sferę polityczuych stosunków. Zanim jednak idea ta w całéj prawdzie swojéj wystąpi jako rzeczywistość, nim świat z obecnego stanu swojego przejdzie do ostatecznego według téj idei przeobrażenia; musi sam jeszcze wyczerpywać się i sobie samemu przeczyć, jak się wyczerpywał i przeczył świat starożytny. Potrzebna to wiedza narodowi. Wszczepić ją i utwierdzić poetycznym obrazem w jego pojęciu, jako wskazówkę i posłannictwo Boże, jest celem a zarazem treścią „Przedświtu, Poeta czyni się tu wieszczem — przewiduje przyszłość odległą — ale nie jest to jeszcze jasnowidzenie, światło dnia jasnego, dopiero przedświt. Ztąd ta niepewność farb, które myśl poety lotną, eteryczną okazują jakby w półcieniu.

W ,,Psalmach“ poeta snuje piękne, choć uludne, marzenia o losach narodu i wielbi heroizm dobrowolnego cierpienia. Z dro-

bniejszych jego utworów—ułamek naśladowany z „Glosy Świętéj Teresy,“ pod względem gorących uniesień i poetycznych piękności, nie ma, zdaniem autora—poety, nic równego sobie w nowożytnéj literaturze europejskiéj. Dusze mistyczne uważają go za najznakomitszy utwór Kr. Do arcydzieł jego, sądzi on, należy także zaliczyć i listy pisywane do przyjaciół i synów. Streszczając nakoniec pogląd swój ostatecznie, tak się p. Sow. charakterystycznie a pięknie wypowiada: Kr. jest to jedna z najpiękniejszych postaci naszego wieku. Głęboki myśliciel, idealista, rad gościć nieustannie w niedościgłych sferach ducha, porywającą siłą natchnienia podnosi się aż do proroczych widzeń, zkąd wypowiada swoje wieszczby, odsłaniając tajemnic pełne łono przyszłości, i objawiając w sobie posłannictwo prawdziwego wieszcza narodu. Spowodowało ten kierunek w Kr. głębokie uczucie religijne, główna podstawa jego charakteru—wrodzone nadto melancholijne usposobienie, tęsknoty trzydziestoletniéj wędrówki, gorycze i cierpienia całego życia. Poeta-filozof cierpienia te uogólniał, podnosił niejako do teoryi, wskazując boleść jako drogę do odrodzenia. Z tego tematu snuł po największéj części swoje poetyczne utwory. Duch jego ogarnął w sobie wszystkie cierpienia, przebolał wszystkie nieszczęścia społeczne i polityczne XIX stulecia, których doznała ludzkość przez oddalenie się od swéj najwyższéj zasady moralnéj. Na tę boleść wynalazł on jakoby osobny język, i ma własną, nie mniéj na uczuciu jak na rozumie opartą dyalektykę. To co dla innych poetów jest punktem dążenia — śpiewność i prostota historyczna, wiara, nabytek całowiecznéj poezyi narodu, miłość ludzkości i poświęcenie—to wszystko jest punktem wyjścia u Kr. Dla tego jest on tak niepowszedniem zjawiskiem nietylko u nas, ale w dziejach powszechnych ducha; ma on bowiem własności, jakich Bóg rzadko użycza poetom. Ze starożytnego świata wziął to, co miał duch Platona wielkiego; ze starego zakonu wziął harfę Dawida, z nowego zakonu apokaliptyczne widzenie przyszłości. Z tak dziwnemi pierwiastkami ducha, żyjąc wśród Europy, wśród narodu swojego i połowie XIX w., przerobił to wszystko w utworach poetycznych, najzupełniéj oryginalnych. Kr. też, drugi po Mickiewiczu, wskrzesił wysoki i poważny typ poetycznego kapłaństwa w literaturze. We wszystkich utworach Kr., żywo dodaje daléj autor, dokładność kompozycyi, harmonia wewnętrzna, świetność i zadziwiające bogactwo stylu wydają prawdziwego mistrza. Trudno się oprzeć potędze i uroczym wdziękom jego słowa—ta harfa cudowna brzmi wszystkiemi dźwiękami i akordami duszy. Abstrakcya jednak pomysłów i powietrzna perspektywa poety, mieszkającego ciągle

w mglistych i niedostępnych sferach ducha, a podnoszącego do téj wysokości najważniejsze zadania filozoficzne, polityczne, socyalne, odejmują mu popularność, i dla większéj liczby czytelników czynią go nawet niezrozumiałym. Przyganiała krytyka proroctwom poety, zwracającego się za kierunkiem rozmaitych dążności czasowych, i z prądem opinii publicznéj zmieniającego swe poglądy. Z większą słusznością wszakże utrzymuje p. Sow. możnaby mu zarzucać optymizm ducha, zapominający o warunkach rzeczywistych tego świata. W duchu i treści jego poezyi jest pewna jednostronność, bo w ogóle przeważnie jego poezye cechują: elegijna rzewność, oderwanie się od rzeczywistości i marzenia niedoścignione w sferach ducha; a piękność poezyi jego, zasadza się więcéj na muzyczności i harmonii, niż na malowniczości obrazów.

Trzecim z „wieszczów ducha,“—w ugrupowaniu autora Rysu dziejów literatury,—olbrzym wyobraźni,—cudotworca języka polskiego—jest *Słowacki* (str. 279—418). Wystąpił on po raz pierwszy z drobnymi utworami jedynie, jak Mindowe, Marya Stuart, Bielecki, Mnich i inni; lecz wystąpił odrazu niepowszednio. Znamieniem jego pierwszorzędnéj zdolności, choć nie rozwiniętéj jeszcze zupełnie, jest tu przedewszystkiem zewnętrzna forma. Język, styl, koloryt, obrazowanie dościgly już tutaj do takiego wydoskonalenia; że pod tym względem nie ustępował początknjący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów polskich.

Najwięcéj jednak, uważa p. Sow., to w pracach owych Słowackiego podnieść należy, iż owiewa je jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spójrzenia. Jest to właśnie strona talentu Słowackiego, która go najwybitniéj odróżnia od wszystkich innych poetów polskich, która stanowi naijstotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet w obec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze..

Przed jego okiem, jak obrazuje daléj poetycznie autor-poeta, widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanéj po rozlogach życia ziemskiego. Za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko w jakiś eter powiewny. Na czém tylko spocznie okiem, co tylko wedle sposobu swego opowie, wszystko to przyobleka się w barwy, kształty, w tony, o jakich drugim na to samo codzień patrzącym ani się marzy. Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownem świetle poezyi przyprawił poetę o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego warunków.

Słowacki, mówi p. Sow., niemiał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością; zrażała go ona, bo dlań nie była pię-

kną; oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem powszednich warunków życia—było najzupełniéj przeczącém. Uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co ma być, upatrywał we wszystkiém, co ten moralny porządek świata naszego wstrząsa, zaburza i targa,—piękność, poezyą, słowem przedmiot godny współczucia poety. Dla tego też poświęcał pióro swoje najczęściéj i najchętniéj walkom rozpacznym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczéj grzeszna, zbłąkana tylko niemoc duchowa, przyodziana w pozory bohaterstwa i poświęcenia. I to właśnie, w czém się rozminął nie tylko z duchem poprzedniéj poezyi polskiéj, ale i z sumieniem lepszéj części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko zaś w młodzieńczéj życia jego epoce; ale i późniéj dążność ta, choć nieco złagodzona, przebija w jego pismach. Ztąd—bohaterowie jego są to natury demoniczne, nad głowami których cięży jakiś fatalizm, co wszelkiéj ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obro że oni sami celu swojego nie osiągając, niweczą spokój i szczęście drugich. Oczywista rzecz tedy, że dzieła jego pierwsze były przyjęte chłodno. Tchną one na wskróś bajronizmem, jaki Słowacki za młodu przyjął nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu.

Słupem granicznym, powiada autor, pomiędzy bajrońskim okresem w zawodzie Słowackiego a dobą naturalniejszych natchnień i więcéj samodzielnych kierunków—jest „Kordyan"—ułamek większéj całości, do utworzenia któréj nie przyszło. Dzieło to jest nieregularnym, nie scenicznie ułożonym, lecz za to wielkiéj lirycznéj siły dramatem. Blizkie pokrewieństwo łączy je z ‚Dziadami" Mickiewicza i „Dziejami Wacława" Garczyńskiego. Bohater atoli onego—Kordyan, w głównéj akcyi, w sile już wieku—(w III-m akcie), jest typem zupełnie samoistnym. Okazał też Słowacki w tym ustępie tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął on w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezyi. Dramatyczne jego pisma późniéj wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością, nie dorównywają już mistrzowskim scenom, tworzącym akt pomieniony. W ogóle nawet jest to część utworu, którą pod względem artyzmu zaliczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu. Poemat „Anhelli,' należy do symbolicznego rodzaju poezyi. Wątpić się godzi, powiada pan Sowiński, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w utworze tym na wskróś przeniknął

caly zamiar autora. Pomimo tego — rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym „Anhellego“ układzie, doznaje w wyjątkowy sposób szczególnéj pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnéj czystości forma, kilka postaci wymarzonych z niezrównaną poezyą, i te prześliczne ustępy, tu i owdzie po calém dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego—wszystko to zjednało „Anhellemu“ sławę jednéj z najlepszych kreacyj Słowackiego. To tylko nie ulega wątpliwości, że scena powieści jest tylko pozorną, a osoby odgrywające na niéj swe role, przedstawiają symbolicznie całą społeczność. Sam Anhelli jest to poeta w społeczeństwie – na ofiarę serca przeznaczony. Zamieszkał w nim anioł poezyi i zamienił go całego na swoje tylko narzędzie. W poemacie „W Szwajcaryi“— niezrównanego wdzięku sielance, treścią któréj jest wspomnienie zerwanéj przez los miłości—prawda i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i geniusz artysty podaly, jak pięknie się wyraża autor poeta — sobie ręce, ażeby złożyć utwór, w którym niewiedzić co wprzód i co więcéj podziwiać: czy idealność caléj inwencyi, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniejszy szczegół jest tu opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury. całość obrazu jednak ma w sobie cóś nadziemskiego. Żadna literatura zdaniem też jego nie posiada dzieła, w któréjby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie. Również arcydziełem w swoim rodzaju jest poemat Słowackiego: „Ojciec zadżumionych w El-Arish,“ porywający mistrzowskim obrazem straszliwéj grozy. Tragedya „Mazepa“ posiada za to wszystkie ujemne strony utworu, co powstał w różnych czasach. Prócz nazwisk historycznych Jana Kazimierza i jego pazia, nie ma tu nic więcéj z historyi. Rzecz całą dramatu, położenie jego czynników, walkę uczuć stworzył poeta w swojéj fantazyi. Główną wadą téj pracy jest niejasność co do zamiaru, dla którego byla pisana. Niewiedzić nawet kto tu jest bohaterem właściwie: paź czy wojewoda, czy też jego żona—najniewinniejsza ofiara tragicznego zbiegu okoliczności. Rola jéj od początku do końca tak jest przeprowadzona, że jéj nigdzie nic zarzucić nie można, sądząc ją ze stanowiska moralnego. Lecz właśnie ta jéj wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Widzimy w niéj nadto, tylko niewinną ofiarę pokutującą za zdrożności, których nie bylo. A tragedyi celem jak słusznie wskazuje pan Sow., nie jest bynajmniéj wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namiętności ludzkie, na których tle nawet wiekuiste ideje przybierają kierunek doczesny i do ziemi ciężący. Niemniéj z etycznego punktu widzenia,

rzecz ta nie może być nazwaną inaczéj, jak zbłądzeniem poety. Cierpienia, ani zasłużone ani wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha!

Wreszcie nie jest zadaniem poezyi powtarzać ułomność nędznéj naszéj egzystencyi na ziemi, winna ona być odbiciem nieskończoności. Ze wszystkich dramatycznych utworów Słowackiego „Mazepa“ był pierwszym, który sobie zdobył miejsce i uznanie na scenie. Tragedya ta jest głównym filarem sławy jego jąko scenicznego poety, i zapewne pozostanie takowym nadal. W żadnym też drugim jego utworze nie ma, mówi p. Sow., już tyle zawikłanéj i bogatéj] w niespodziane zwroty intrygi, tyle ruchu i prądu dramatycznego, tyle scen wstrząsających najwyższą tragicznością; co większa, w żadnéj drugiéj scenicznéj swojéj pracy nie potrafił się Słowacki tak utrzymać w karbach utartéj i zwykłéj rutyny teatralnéj, z wyłączeniem wszystkich owych odrębnych swych właściwości, do których publiczność powszednia chyba dopiero przyzwyczajać się będzie musiała. „Balladyna“ — niemniéj też i zdaniem autora Rysu dziejów literatury, jest może nąjgłębszą kreacyą Słowackiego, a w każdym razie utworem godnym jego geniuszu.

Dwa są poglądy krytyków pisze on, na tę tragedyą, na pozór sprzeczne, w istocie zaś dopełniające siebie wzajemnie. Zarówno więc uwzględnić należy sąd tego utworu ze stanowiska psychiczno-artystycznego, jaki wydał profesor Malecki, jak i pojmowanie dziejowo-symboliczne p. L. J-go. Profesor Małecki, poprzestając li tylko na estetyczném ocenieuiu Balladyny, podnosi ten utwór jako jedno z wyższych dzieł Słowackiego, p. L. J. przydaje mu nadto głębsze jeszcze znaczenie. Zdaniem jego Balladyna jest tragicznym obrazem dziejów wewnętrznych Polski — obrazem fatalnéj walki społecznych jéj żywiołów. Oto — podług jego rozumienia w obrazie tym rostaczają się przed naszemi oczyma, symbolicznie upostaciowane, wszystkie prądy bytu wewnętrznego Rzplitéj. Z gminowładnego łona słowiańskiego opola, pod tchnieniem potrzeb dziejowych, wykwitają stopniowo rozliczne pierwiastki społeczne. Gdzieindziéj, pod jaśniejszą czy powszedniejszą gwiazdą, układają się one w pewną harmonijną działalność umiarkowanego dramatu: — w Polsce gra ich życiowa charakter tragiczny przybiera. Szlachta, arystokracya—pierwiastek, co na wyżynie dziejów wieńczy się koroną wszechwładztwa, kroczy przez nie z podniesioną głową, depcąc i niwecząc jeden po drugim, wszystkie inne pierwiastki społecznego i politycznego bytu narodu. I w dramacie też co krok—to cios, co krok—to krzywda, co krok —to zbrodnia! Pochód taki złowrogi, przy zewnętrznym majestacie

i potędze, wypełnia cały zakres ubiegłych dziejów Polski;—i dzieje te stają się jedną wielką, groźną, ponuro-poważną a wspaniałą tragedyą. Główną jéj postacią jest Balladyna. Ona w tragedyi téj wyobraża, w początku—wydzielający się wcześnie z patryarchalnego łona narodu pierwiastek bardziéj rzutki, możniejszy; a następnie —możnowładztwo republikańckie w ogóle; gdy siostra jéj Alina—zdeptany, politycznie zabity lud wyobraża; a uboga wdowa ich matka—najprzód naród w swym pierwotnym patryarchalnym bycie, a daléj, tenże naród w powszechném dziejowém znaczeniu. Co do innych główniejszych postaci tragedyi: Popiel ma wyobrażać pierwiastek monarchiczny, Kirkor—pierwotną rycerskość służącą tronowi., Grabiec zaś—gmin szlachecki i t. d. Szkoda wszakże, iż p. Sow. robiąc przytoczenia charakterystycznych bardziéj ustępów utworu, ominął powtórzyć ustęp wyznania o sobie Grabca (poczynający się od wyrazów: A wiecie kto ja jestem? razem z wyłożeniem historycznego znaczenia, jakie mu nadaje w swych „Uwagach“ p. L. J.; ten ustep, jako najwybitniéj w tragedyi Słowackiego historyczny, posłużył, ile się zdaje, krytykowi za główną podnietę i oporę do tłómaczenia i całego utworu, we wszystkich onego częściach, dziejowo—symbolicznie. „Balladyna“ też, rzeczywiście, mówi daléj p. Sow. przytaczając zdanie tegoż krytyka, jako poetyczny utwór dopiero wtedy okazuje się nam w całym blasku swego uroku i mocy, jeśli ją obejmujemy jednocześnie zarówno z artystycznéj jak i historycznéj strony. Sztuka zyskuje w takim razie na szczytności i głębi, historya przyodziewa się urokiem piękna, a utwór wywiera nieopisanie potężne wrażenie. Tylko wszechstronne pojęcie Balladyny jest pojęciem istotném, a nawet jedynie artystyczném. Dla tego też rozumienie Balladyny jako epizodu jedynie dziejów, zaniechanie symbolicznego tłómaczenia ustępów, wyzywająco napiętnowanych cechą allegoryi; musiały wywołać u Małeckiego cały szereg niesłusznych zarzutów, które znakomity ów krytyk czyni poecie, oraz błędów w pojmowaniu ogółu i szczegółów rozważanego przezeń utworu. W dwóch tylko punktach Małecki ma słuszność bezwarunkową. Najprzód dotykając uderzającéj zawisłości Balladyny od Makbeta szekspirowskiego, zawisłości posuniętéj daleko po za granice właściwe; a powtóre—niestosowności użytéj formy, — gdy ręka poety wyrzeźbiła „Balladynę“ w plastycznych kształtach tragedyi, zamiast roztoczyć jéj treść tyle fantastyczną w poemacie. — „Lilla Weneda“ — również tragedya idei, tragedya narodu i społeczeństwa całego, nie osób pojedynczych — daje obraz pierwszego zawiązku społeczeństwa polskiego, przedstawiając przyjście Lechów i za-

gładę przez nich Wenedów, pierwotnéj kraju ludności. Właśnie też konanie to ustępującego z historyi i pokonanego plemienia, wziął poeta za główny przedmiot swojéj tragedyi. Występują tu do śmiertelnéj walki dwa przeciwne sobie pierwiastki, dwa plemiona wielce różnych natur—i, rzecz dziwna, zwycięża niższe z nich, pośledniejsze. Ale fatalizm zawisł nad Wenedami—a przekleństwo ich wynika z nich samych; zabrakło im zupełnie na duchowéj sile żywotnéj, tak niezbędnéj do istnienia ciałom zbiorowym, stracili oni wiarę w siebie, stracili serce. Trzymają oni jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw, ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki—których oni już sami nie rozumieją. Wyższość zaś Lechitów na tém jedynie polega, iż oni ufają w siły swoje i gwiazdę swoję, i mają serce do boju. Próżne więc wysilenie ostatnich, wśród skazanego na zgubę plemienia, przewódców—króla Derwida z rodziną! Najwdzięczniejsza, najrzewniejsza i najbardziéj ujmująca współczucie widza rola w dramacie przypada tu córce królewskiéj Lilli Wenedzie; ona też przed innémi postaciami mogłaby być nazwaną bohaterką tragedyi, rzeczywiście jednakże bohaterem tu sztuki jest cały lud Wenedów.

Jako utwór artystyczny, niewątpliwie należy „Lilla Weneda" do tych dzieł Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia w myślącym czytelniku niepospolite wrażenie, i wytrzymuje porównanie z każdém dziełem pierwszego rzędu. Pomimo tego nie można zaliczać tragedyi téj do skończonych arcydzieł: pomysłowi bowiem nie odpowiada jego wcielenie; i tu bowiem pomiędzy ideałem a wyrażeniem tego ideału—przestrzeń ogromna. „Beniowski," choć osnuty na tle historyczném, ale treść poematu z wypadkami historyi rzeczywistymi nie ma nic wspólnego. Charakter jego jest bardziéj egotycznym. W żadnym też utworze Słowackiego nie odsłaniają się tak nago najlepsze i najmniéj korzystne strony charakteru samego poety — miłość z jednéj, a szyderstwo i duma z drugiéj strony—jak w „Beniowskim." Melancholia, wzgarda, szyderstwo, fantazya malownicza, płyną tu równoległemi prądami, prześcigając się wzajemnie co chwila. Inne utwory poety mniejszéj są wagi

Najwydatniejszą zaletą poezyi Słowackiego, zdaniem powszechném, jest przedziwna piękność języka, dla którego nie zdaje się nic być trudném, który umie się nagiąć do wyrażenia każdego obrazu zewnętrznego świata i każdego uczucia. Wiersze jego są

ciągłą melodyą. Kochał się on w przepychu barw wschodnich, obrazy swoje cieniował z niesłychaną biegłością, w każdą cząstkę swych myśli wlewał woń, barwę i melodyą. Lecz sam porwany tym przepychem myśli, odrywał się zbytecznie od rzeczywistości. Zamykając rozbiór dzieł Słowackiego, p. Sow. stawia pytanie: czy może być on uważany za poetę narodowego w pełném znaczeniu tego wyrazu? I tak odpowiada na nie—głęboko a poetycznie.—Jeżeli chodzi o pewną fazę zbiorowego żywota, odpowiedź na zapytanie powyższe będzie twierdząca. Żywioły poezyi Słowackiego są żywiołami pewnéj historycznéj chwili w życiu narodu. Lecz jeśli poezyi naznaczymy zadanie takie, jakie miał przed oczyma Mickiewicz i wszyscy znakomitsi poeci polscy, przed nim i po nim; zadanie odlewu w kształtach posągowych, pierwiastków dodatnich, dogmatycznych, stanowiących posady i niezbędny warunek życia, to w takim razie zmuszeni będziemy zaprzeczyć Słowackiemu charakteru narodowego. W poezyach jego duch narodowy objawia się w stanie pośmiertnego rozkładu swojego. W podobnych doń procesach chemicznych mogą się wytwarzać nowe produkta—częstokroć cudnéj piękności kryształy;—lecz produkta owe nie są już tą samą materyą organiczną, z któréj powstały:—są one już czémś inném. W poezyi Mickiewicza, narodowość jest ciałem drgającém tętnami zdrowia i życia:—nie poznajemy jéj w utworach Słowackiego—w kształtach ulotnionego, skrystalizowanego sublimatu.

W dalszym rozwoju swego obrazu poezyi nowożytnéj p. Sow. następnie tak rzecz nawiązuje (str. 418). Każdy z poetów ostatniego okresu, o których była mowa dotąd, ma na około siebie jakby orszak drugorzędnych wieszczów, przypominających duchem i formą dzieł swoich, znamiona genialnego pierwowzoru. Niektórzy z nich sami są znakomitymi poetami i bynajmniéj nie podlegają zarzutowi naśladownictwa. Pokrewieństwo ich z Adamem, Kazimierzem z Krolówki, z Zygmuntem, Juljuszem, Garczyńskim, Gaszczyńskim, Zaleskim,—dowodzi tylko, że czerpali natchnienia swoje ze wspólnych z mistrzami owymi źródeł. Należy też i im przeto zaszczytne miejsce w literaturze, jako młodszéj, ale rodzonéj braci olbrzymów, których utwory służyły im za karm duchową.

Około Mickiewicza gromadzą się: Zan, Odyniec, Chodźko Aleksander, Korsak, Zieliński, Brzozowski, Józef Borkowski. Nieco opodal stoi skłaniający się więcéj ku Brodzińskiemu Witwicki,—a jeszcze daléj Gosławski, Zaborowsk, Gaszyński i Morawski (str. 418—451). Z tych: *Odyniec*, w początku tylko swego zawodu pisał oryginalne poezye w duchu romantycznym. Późniejsze zaś jego utwory mają owszem cechę klasyczności, odznaczając się wydatnością

obrazów, spokojem rozwijającéj się myśli i nadzwyczajną ogładą języka i wiersza. Poezye Odyńca tworzone w dojrzalszym wieku tchną wszystkie duchem miłości i prawdy chrześcijańskiéj. Najwięcéj wszakże talentu rozwinął on w tłómaczeniach angielskich i niemieckich poetów. Zasługa w tém Odyńca jest wielka. Tłómaczeniami swojemi bowiem zawiązywał on duchowy sojusz pomiędzy różnych ludów wieszczami i rozszerzał horyzonty naszych własnych poetów, ukazując im rozliczne drogi, którémi chodzi duch piękna nieśmiertelnego. *Morawski* zaś, klasyk pierwotnie, w najlepszym swym utworze „Dworzec mojego dziadka" jest naśladowcą Mickiewicza. Utwór to wszakże pod każdym względem znakomity, pełen prawdy, celujący prostotą języka i wiernym rysunkiem postaci historycznych ubiegłego wieku.

Torem Mickiewiczowskiéj gawędy, jaśniejącéj najwyższą doskonałością w „Panu Tadeuszu," poszło, powiada daléj p. Sow. (str. 451.) wielu innych poetów, z których najwięcéj sławy zjednali sobie Pol i Kondratowicz. Rodzaj ten poezyi zbliżony najwięcéj do życia, co jest jego zaletą; z drugiéj strony ma liczne wady: nieład w rozporządzeniu przedmiotu poetycznego, luźność toku i w ogóle zaniedbanie tak pod względem wewnętrvnym, jak i pod względem formy. *Pol* (str. 451—479) w początku swego poetycznego zawodu, nie tworzył nic na wielką skalę, ale podobnie Beranger'owi we Francyi, którego sławę zdaje się chciał posiąść, śpiewał on same piosnki obozowe, same wspomnienia wojenne. „Pieśni Janusza" też zjednały mu pierwszy i zasłużony rozgłos. Była to bowiem poezya rzeczywistego życia, schwytana i przeniesiona w dzieła sztuki, w treści któréj jest prawda, w formie doskonała plastyka. Poezya ta miała swoją epokę, i do niéj też wyłącznie należy. Lirykę nastrojoną do panujących czasowo usposobień ujął tu poeta w formę popularną—i najwłaściwszą, bo wykształconą na pieśniach ludowych. Ten sam kierunek ludowy postrzega się równie „w Obrazach z życia i podróży," na które zdaniem autora Rysu dziejów, pod względem formy, nie ma nic piękniejszego w poezyi polskiéj. Wyśpiewał tu Pol cudnym językiem majestat gór tatrzańskich i prostego wśród nich życia. Umie zaś niezliczonémi czarami przyozdabiać ziemię rodzinną: duch poety udziela się tu wszystkiemu—od świętojańskiego robaczka do kilkowiekowego dębu, od remizowego gniazda do zielonego Beskidu; myśl też jego pozostanie nierozdzielna od miejsc, którym drugi raz życie dała. Słynna jego „Pieśń o ziemi naszéj" jest arcydziełem pomysłu, języka i poezyi. Drugim rodzajem poezyi, uprawianym niepoślednio piórem Pola, są poetyczne opowiadania czyli gawędy, już to krótsze, przeważnie

humorystycznéj treści, już dłuższe i poważniejsze. Lecz pierwsze, mimo zalet kolorytu i obrazowania, jak np. w „Przygodach Winnickiego“ rażą w ogóle ubóstwem treści; a nadto, jak uważa pan Sow., można w nich autorowi zarzucić stronniczą apologią życia i zepsutych obyczajów szlachty w najsmutniejszéj dobie historyi polskiéj. Najcelniejszą zaś z poważnych powieści poetyckich Pola, a razem jedném z arcydzieł jego jest „Mohort.“ Poeta wziął postać tę z tradycyi, jako ściśle histotyczną. Nie ujmuje to jednak zasługi geniuszowi poety, który umiał ją, podnieść do wysokości artystycznego, posągowego typu. Autor zbyt skromnie nazwał swe dzieło rapsodem. Jest to pieśń skończona, podnosząca się do wyżyn bohaterskiego poematu. „Mohort“ mówi pięknie p. Sow.—to wielkie słowo o wielkim bohaterze. Żelazna ta postać kresowego żołnierza, sypiającego na siodle z szablą przyrośniętą do téj ręki, którą odgarnął był od siebie godności ofiarowane przez króla, ma w sobie cóś lwiego, a zarazem głęboko ludzkiego; człowiek ten miał wiarę prostaczą, miał rzewne uczucia w piersi. Artyzm wysoki w kompozycyi, plastyczność i doskonałość formy; ustępy to pełne siły, to najrzewniejszém tchnące uczuciem, obrazy przecudnych barw, nareszcie język dziwnie uroczy i odpowiedni treści, stawiają poemat ten na równi z najznakomitszémi utworami Pola z pierwszéj epoki jego zawodu. Pod względem wewnętrznéj wartości najwięcéj zbliża się do niego „Pachole Hetmanskie,“ powieść historyczna, zawierająca w sobie opowiadania giermka Jana Tarnowskiego, hetmana, o jego dworze i znakomitych czynach. „W Wicie Stwoszu“ chciał poeta przeprowadzić myśl — jak największe nawet talenta upadają i giną skutkiem zarozumiałości i pychy. Nie wszędzie tu jednak dopisywało Polowi natchnienie. W charakterze głównéj postaci jest wiele zagadkowości i niekonsekwencyi, co nie dozwala o nim dokładnego utworzyć sobie wyobrażenia. Obok ustępów nader świetnych wyglądają co chwila błahe i pospolite. Zaniedbanie formy wyraża się nawet w wersyfikacyi dość słabéj. Drobne poezye są najsłabszym utworem Pola. Język poety, robi uwagę p. Sow. jest w ogóle piękny, lecz grzeszy nazbyt widocznem ubieganiem się za kosztownością, która jako rozmyślna i wypracowana, nie zaś samorzutna i naturalna, jak w Słowackim razi cokolwiek czytelnika. Potrzeba przyzwyczaić się do niéj i niejako przebaczyć ją poecie, a nie zachwycać się nią i podziwiać. Co do uznania Pola —mówi daléj autor—bezpośrednio po Mickiewiczu przez czas niejaki żaden poeta nie był tak wysoko ocenionym, jak autor. „Pieśni Janusza;“ sławę tę jednak sam Pol nadwerężył, odkąd został wyłącznie poetą szlacheckim. Nadto ła-

twość wielka poetycznego tworzenia przechodzi u niego w improwizatorstwo, i ztąd, jako też z wygodnéj formy gawędziarskiéj, jaką poeta sobie wyrobił, płyną nader rażące wady jego poezyi: nieład w układzie, monotonia opowiadania, rozwlekłość, ubóstwo treści i zbyt częste powtarzanie się.

Za wiele miejsca a nieodpowiednio do rzeczywistego stanowiska poety, poświęcił p, Sow., tak w biografii, jak i w przytoczeniach, *Syrokomli-Kondratowiczowi* str. (479—605). Za to wyczerpująco określa autor charakter natchnienia, działalności i utworów tego „wioskowego lirnika.“ „Najistotniejszą cechą i powołaniem prawdziwém Syrokomli był liryzm; lirycznym jest on w gawędzie i w próbach epopei, w dramacie, w prozie, w listach, zawsze i wszędzie. Największym też jest poetą wtedy, gdy śpiewa swe na pół łzawe, pół uśmiechnięte piosnki liryczne, swoją tęsknotę i dobroduszny żarcik, napróżno probujący być złym. Z największém nadto upodobaniem przyodziéwał on poetyckie pomysły swoje w liryrzno-opowiadającą formę gawędy. Nie stworzył on jéj pierwszy, ale odtworzył ją po swojemu, oryginalnie, tak że się stała jego własnością, że może się nazwać jego formą najwłaściwszą. Syr. powołał w niéj przed wszystkimi lud na scenę, bo z nim najmocniéj sympatyzował. Niekłamane współczucie dla nieuposażonych od losu, których dolę i niedolę nosił w sercu braterskiém; nad których podźwignieniem, nie mogąc czynem, przynajmniéj myślą w skromném zaciszu pracował; zjednoczenie miłości dla czcigodnego obyczaju i dobroczynnego postępu, dla tego co przeszłość jako drogą puściznę pozostawiła i co upragnionego dla ludzkości przyszłość z po za tajemniczéj zasłony ukazuje; miało powiada p. Sow. w Kondratowiczu wierne i niestrudzone echo, które w duszach szlachetnych głośne znalazło odbicie. Nikomu też, nie wyjmując nawet najbardziéj w serce ludu zapatrzonego autora „Wiesława,“ nie udało się go tak wiernie odmalować, jak właśnie Syrokomli — w jego np.: Pogrzebie rolnika, Lirniku wioskowym, Garści pszennéj i t. d.

Kocha on lud przedewszystkiém, szlachcica lubi, ale ubogiego i jak najbardziéj zbliżonego do ludu, woli jednak wieśniaka, i czuć że wierzy w przetworzenie się społeczności, w zespolenie się wszystkich jéj pierwiastków. Wreszcie czuje on ze wszystkimi, jest uniwersalny sercem. W jego gawędzie mieszanina ironii lekkiéj i wielkiéj czułości jest jego własnością wyjątkową wyłączną, jego charakterem osobistym. Ciągle się w niéj splata ten półuśmiech gorzki, który ciągnie za sobą płacz, i łza nie mogąca spaść z powieki, któréj towarzyszy osładzający ją uśmiech. W formie, mówi

daléj autor, jest on aż do zbytku swobodnym, nie umié się skrępować niczém, jest instynktowo artystą; ale nie szuka w prawidlach sztucznych recepty na estetyczne utwory. Nie znaczy to bynajmniéj, że Syrokomla nie zaprzątał się teoryą i sztuką, lub je lekceważył; ale natura przemagała w nim zawsze, opanowywała go i wiodła, zamykając mu oczy na te światła, dla drugich konieczne, zbytnie dla jego talentu. Ilekroć, jak w „Margierze,“ chciał pójść przeciwko powołaniu, drogą obmyślaną, sztuczną, określoną, przestawał być sobą, zniżał się niemal do pospolitości. Jednym z największych i najlepszych utworów Syrokomli jest „Urodzony Jan Dęboróg.“ Jest to prawdziwa gawęda szlachecka — skromny, powszedni wizerunek rodzinnego zakąta, oświecony promykiem cichéj, rzewnéj, serdecznéj miłości. Niema w tym poemacie ani charakterów, ani zajmujących wypadków. Autor poprzestał na upostaciowaniu własnych uczuć i popędów poczciwych w kilku urojonych osobach; a tryumf sumienia nad słabostkami wrodzonémi każdemu człowiekowi stanowi rozwiązanie powieści. Całą zaletę tego utworu stanowią uczucia i myśli zacne, oraz piękność pojedynczych ustępów. W „Szkolnych czasach“ autor dosnowywa wątek opowiadania przerwanego w „Dęborogu.“ Piękna to i pełna świeżości osobista reminiscencya, nieustępująca poprzedniéj gawędzie. Ten obraz szkoły, nauczycieli, życia studenckiego, tak zapamiętany serdecznie, tak pochwycony gorąco, tak odmalowany barwnie, starczył by sam, uważa autor, na imié dla poety. Pomiędzy gawędami Syrokomli wielką [rzewnością odznacza się „Zaścianek Podkowa,“ do napisania. którego to utworu dał poecie pochop rzeczywisty wypadek ryczałtowego wygnania szlachty zaściankowéj z pewnych wielkich dóbr hrabiowskich po drodze do Wilna, czego właśnie sam był mimowolnym świadkiem. Do najpiękniejszych utworów jego zdaniem pana Sowińskiego należy „Spowiedź pana Korsaka“ —legenda niepospospolicie podniosłego nastroju o młodym magnacie, który pokutując za zabicie kmiecia, zastąpił osierociałym rodzicom utraconego syna, i aż do zgonu służył im, odziany w chłopską siermięgę. Poeta niepotrzebnie tylko wprowadził miłość do legendy, przez co zmieniła ona charakter i może spospoliciała. Największy z poematów Syrokomli, a przez samego poetę uważany za najlepszy, jest „Margier,“ Treść jego stanowi wypadek historyczny: mianowicie bohaterska obrona od krzyżaków przez wodza Margiera w zamku Pullen, 1336 roku, i straszny zgon Litwinów, którzy nie chcąc się żywo oddać w ręce nieprzyjaciół, sami się na stosie na ofiarę swym bogom pozabijali. Wszakże chybiony to zupełnie utwór. Znajdujemy w nim wszystkie może

warunki epopei, lecz epopeją wcale on nie jest: brak tu ducha i żywotności w ogóle; szczytny zkądinąd Margier, wzięty ze świata konwencyonalnego nie zaś rzeczywistego, żyje tylko sztucznym żywotem potężnego talentu autora; nadto przedmiot pieśni sam przez się zużyty, a treść zbyt uboga. Nie jest ten utwór przecie bez licznych i wielkich zalet, a główną wśród nich — nieporównanego wdzięku wiersz, opracowany ze smakiem nadzwyczajnym, i mnóstwo szczegółów pomyślanych cudnie, prawdziwie rzec można natchnionych. Poemacik „Kęs chleba," malujący całą tęsknotę poety za wsią dawną, za życiem zostawionem za sobą, jest jedném z jego arcydzieł. Nic rzewniejszego, nic śliczniejszego a prostszego być nie może. Znajduje się tu poeta na swoim zagonie, pod swém niebem, u brzegów Niemnowych. Rzecz zaś gawędy niezmiernie prosta: historya to poczciwego szlachcica dzierżawcy, jakim był ojciec poety, którego zabiegliwszy dziedzic z wioski trzymanéj przezeń ruguje bez litości i pozbawia kęsa chleba. „Zgon Acerna" należy do tych prób historycznych pieśni, w których Syrokomla nie tracąc swojego talentu, nie był już tak sobą, tak wielkim i szczerym poetą, jak w mniejszych swych sielskich gawędach i obrazach.

W świecie przeszłości powiada p. Sow. jakoś nieraźno było poecie. On z zapałem prawdziwym mógł tylko to śpiewać, co w sercu jego kołatało—Litwę, jéj pola, wsie i lasy, lud i jego dolę. W obec historyi poważnéj nie miał dostatecznéj swobody. Ztąd barwy nieco bledsze, ztąd zarysy nieśmiałe i cały zakroj tych poematów bojaźliwy. Ztąd też i „Acernus" gdyby go poeta był wysnuł z serca, wyidealizował, byłby daleko większe robił wrażenie. Są jednak miejca wielkiéj piękności, choć całość uboga i dosyć sucha, a tragiczność tego Hiobowego łoża nie dosyć uwydatniona. Jest to więc tylko udatny obrazek rodzajowy—i nic więcéj. Wysokiéj artystycznéj wartości za to jest gawęda „Janko Cmentarnik," chociaż treść jéj niesłychanie prosta i szczupła. Janko stary gwardzista napoleoński powraca nareszcie... na grobowce, bo między żywymi niema ani jednego ze starych druhów z pamiętnych mu dni młodości, i ze smutku zapija się, chodząc od mogiły do mogiły dawnych przyjaciół z kuflem w ręku. Na tém zaś tle utkał poeta mnóstwo prześlicznych obrazków wśród jednéj głównéj myśli, jaką jest bezgraniczna tęsknota. Do lepszych też utworów Syrokomli należą „Stare Wrota." Prawdziwym bohaterem tego poematu, choć epizodycznie tylko występującym, jest tu Piotr Sksrga, przedstawiony przez poetę jako ideał polskiego kapłana.

Lecz pirwsza część jedynie jest niepospolitéj piękności, dalsze już jéj niedorównywają.

Pomiędzy najcelniejsze utwory Syrokomli zalicza p. Sow. „Ułasa,“ — sielankę bojową z błot poleskich. Cudnie to piękny obrazek, pełny życia i barwy, przypominający „Pana Tadeusza.“ Mniéj tu liryzmu jak w innych utworach Syrokomli; przeważnie panuje żywioł malowniczy, opisowość, a każdy obrazek wykonany mistrzowsko.

Rzecz dzieje się w czasie wojny francuskiéj 1812 r. w błotach poleskich. Tło czasu oddane znakomicie. Wszystkie obrazy i postacie poematu składają się tu harmonijnie na całość żywą i piękną, na dramat, w którym zdrada tylko pod koniec brzmi nótą zgrzytliwą. Mało téż poematów Syrokomli, prócz „Kęsa chleba,“ tak spójną całość stanowią. Ze wszystkich zaś poemetów jego na tle historycznem osnutych, „Marcin Studzieński,“ zdaniem autora, może jest najudatniejszy. Temat nastręczyła poecie Kronika Bielskiego. Bohaterem tu szlachcic, który odepchnięty przez ojca swéj wybranéj, idzie walcryć z Tatarami pod Kleck—i po powrocie, dopiero dopina celu swych pragnień. Całość utworu przedstawia pełną harmonią, szczegóły — bogactwo obrazów. Poeta sam czuł, że tworząc go był szczęśliwie natchniony — i miał słuszność, to jaśniejsza była chwila, gdy to pisał. W zawodzie dramatycznym Syr. mniéj był szczęśliwym. Liryzm był jego cechą, jego powołaniem. Ztąd téż, szereg ślicznych epizodów, związanych powiada p. Sow., jak Bóg dał, oto utwory jego dla sceny. Pozostaną one jako poemata, nie wytrzymają krytyki jako dzieła sztuki pisane dla teatru. Sam poeta czuł to dobrze. Pierwsza próba jego na polu dramatycznem, „Chatka w lesie,“ jest ładnym obrazkiem, któremu podobało się poecie nadać dyalogową formę. „Hrabia na Wątorach, krotochwila wierszem z XVI wieku“ ma być komedyą historyczną. Za temat jéj autor wziął przysłowie zapisane u Rysińskiego: „Comes de Wątory, jeden kmieć a trzy dwory,“ i uderza tu na puste pretensye potomstwa imion zasłużonych. O obydwóch zaś tych utworach to zarówno można powiedzieć, że są w nich śliczne szczegóły, niema kształtnéj całości, niema planu i umiejętności w budowie. Fantazya włada poetą, który się sili na rusztowanie dramatu i podołać mu nie może. Najgłówniejszym i niezaprzeczenie najpiękniejszym z utworów dramatycznych Syrokomli jest „Kasper Karliński,“ dramat historyczny osnuty na epizodzie ze znakomitéj obrony Olsztyna, przeciw partyzantom arcyksięcia Maksymiliana, w któréj dowódzca załogi nie szczędzi własnego syna, prowadzonego przez wrogów przodem w czasie napadu na zamek. Dramat ten, obok znakomi-

tego tragicznością wysoką tematu, w ogóle jest lepiéj od poprzednich osnuty i poprowadzony, praktyczniejszy dla sceny i wypracowany bardzo starannie. Można wszakże zrobić twórcy jego zarzut zbyt pośpiesznego kreślenia przedmiotu tak wielkiéj treści Mimo to poeta, który w „Margierze" osłabił piękną legendę ubrawszy ją w kwiaty, tu stanął na wyżynie dziejowéj i godnie odpowiedział zadaniu. Jedną z najznakomitszych zasług Kondratowicza są piękne, z wielkim talentem dokonane przekłady poetów polsko-łacińskich XVI i XVII wieku. W ogóle zaś zamykając swój sąd ostatecznie, powiada p. Sow., — utwory jego świadczą o talencie świéżym, rodzimym, pełnym serca. Jako poeta miał on dar niepospolity, miał swój język, swą formę, miał nadewszystko swój głos ołzawiony, rzewny, dziecinnie prosty i szczery, którego urok działał na najzimniejszych. Dziecię Litwy, lirnik wioskowy, będzie on w poezyi tych dni typem swojego kraju, jego obyczaju, poczciwości...

Około Kondratowicza garnie się gromadka pokrewnych mu dążnością i formą poetów, po większéj części osobistych jego przyjaciół. Podobieństwo ich do Syrokomli nie ma cech zwyczajnego naśladownictwa, przyczyną jego jest wspólne źródło natchnienia i braterstwo duchowe, które łączyło tych ludzi. Do nich należą: Pitkiewicz, piszący pod imieniem Adama Pługa, i Korotyński. Pierwszy obdarzony niepospolitym talentem i serdeczną, dziecięcą niemal tkliwością, wsławił się przeważnie na polu powieściopisarstwa; drugi odznacza się wysoce wzorową polszczyzną, w czém przewyższył mistrza swojego.

Odrębne zupełnie stanowisko zajmuje *Jachowicz* (str. 606) najpopularniejszy twórca bajek dziecinnych. Nie prześciga téż go nikt w zdolności przemawiania sympatycznego do dziecięcego świata.

Kraszewski (str. 607—616) najznakomitszy z powieściopisarzy polskich, w pierwszéj połowie swego pisarskiego zawodu poświęcał się także poezyi. Pierwszy zbiór jego poetycznych utworów jest wszakże bez wyższéj wartości. Nierównie wyżéj za to wzniósł się on w trylogii epicznej „Anafielas," składającéj się z trzech poetycznych rapsodyi: „Witolorauda," „Mindowe" i „Witoldowe boje," w których wyśpiewał trzy wielkie chwile w dziejach bohaterskiéj Litwy. Lecz poematowi temu brakuje prostoty niezbędnie potrzebnéj w epopei; język zaś onego jest raczéj wymowną prozą, aniżeli natchnioną poezyą. Za to w jego „Hymnach boleści," poświęconych apoteozie cierpienia, co „łamie słabych tylko, dźwiga nieugiętych," znajdujemy ustępy niepospolicie piękne. Sielanka p, n. „Wioska" składa się z obrazków odmalowanych z wysokim arty-

zmem i nieporównaną rzewnością, które natchnęła autorowi tęsknota po życiu wiejskiem. Probował Kraszewski sił swoich także w zawodzie dramatycznym, ale niezbyt szczęśliwie, Najwięcéj dowcipu i zalet scenicznych posiadają, zdaniem autora Rysu dziejów, jego komedye: „Miód kasztelański,“ „Równy wojewodzie,“ „Panie kochanku“ i przysłowie dramatyczne „Kosa i Kamień.“

Niepowszednie miejsce zajmuje *Pruszakowa* (Duchińska), utwory jéj poetyczne zaleca wysoka moralność, rzewność serdeczna i wielka poprawność formy, aczkolwiek zbyt jednostajnéj. Powieści jéj poetyczne odznaczają się umiejętném kreśleniem charakterów kobiecych, które autorka maluje z wielkim zamiłowaniem i prawdziwą intuicyą serca. Niepospolitą łatwością opowiadania i obrazowania poetycznego zaleca się jéj poemat „Elżbieta Drużbacka,“ który jest raczéj obrazem dziejów narodowych w epoce Drużbackiéj, aniżeli jéj osobistą historyą (str. 616). W dalszym rozwoju obrazu poezyi nowożytnéj p. Sow. idzie zastęp poetów co poruszali żywioł ludowy i słowiański. W tym kierunku wyprzedziła była innych tak zwana szkoła ukraińska. Z pomiędzy zaś mnóstwa pisarzy, którzy potém zamiłowanie ukraińszczyzny posunęli do ostatecznych granic, zasługują na odznaczenie Groza i Olizarowski (str. 618—637). Z licznych poezyi *Grozy* nie wszystkie są jednostajnéj wartoścl. Poemat jego p. t. „Starosta Kaniowski“ niegdyś nad miarę zachwalano. Jest w nim istotnie poetyczność budowana z żywiołów poezyi gminnéj. Znajdują się miejsca, gdzie nietylko są naśladowane tony pieśni ukraińskiéj, ale nawet w usta mówiących osób włożone prawdziwe słowa i toki ludu a te są, powiada autor — poeta równie syn ziem ruskich, poetyczne, bo niewątpliwa, że każdy lud a szczególnie ukraiński, mówi poezyą a nie prozą.“ Groza téż jak inni pisarze téj szkoły, umiał czasami rozwikływać poetyczność ukraińską i z jéj żywiołów tworzyć. Lecz nie rozwinął on tu dostatecznie bogatéj treści i grzeszy często powszedniością obrazów. Najlepszym z utworów poetyckich Grozy jest duma historyczna p. t. „Jassyr Batowski,“ stanowiąca małe arcydzieło. Wszystko tu pełne prawdy i poezyi, a razem obleczone w te barwy, w które wyobraźnia ludu i śpiewaka powinna je była ubrać. *Olizarowski* nierównie wyższy jest talentem od Grozy; cechy jego poetyckiéj twórczości: śmiałość, świetność, nadewszystko życie. Najwyższym jego utworem jest poemat p. t. „Zawierucha,“ w którym najwybitniéj uwidomiły się wszystkie cechy szkoły ukraińskiéj. Bogate urozmaiceniem obrazy tego poematu mają fizyognomią harmonijnéj całości. Widać przytém, że obrazowanie nie kosztuje autorowi żadnych wysileń; myśli naturalnie oblekają się w ciało, kształty ze-

wsząd się tłoczą i obstępują poetę; każde jego slowo żyje. Język i wiersz wszędzie świetny, poetyczny i muzykalny. Nadto wniknął on głębiéj od innych w gminną narodowość ukraińską i przez to o krok daléj prace swojéj szkoły posunął. Drugi poemat Olizarowskiego „Bruno,“ nic nie ma wspólnego z Ukrainą, utwór to romantyczny w rodzaju „Dziadów.“ Przecudne są w nim obrazy natury nieporównanéj świeżości, kreślone pendzlem jemu tylko właściwym. Obok świetnych zdolności, bujnéj wyobraźni i niepospolitéj łatwości wiersza, grzeszy jednak Olizarowski brakiem stałego charakteru i wykończenia. Do szkoły ukraińskiéj zaliczają i *Padurę*, który pisał w języku ukraińskim dumy historyczne. Lecz bezzasadnie wcale zrobiono zeń ludowego poetę polsko-ukraińskiego,—skutkiem uprzedzenia lub niewiadomości. Dumki Padury, powiada, jako znawca głęboki przedmiotu p. Sow., są miernem naśladowaniem „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza, a język ich mieszaniną ukraińskiego, polskiego i cerkiewno-słowiańskiego. Ani z treści swéj, ani z toku, tonu i nóty nie mają one nic wspólnego z duchem ukraińskiego ludu. Śpiewała je tylko z zamiłowaniem szlachta ukraińska i czerwono-ruska (szczególniéj okolicznościowe); a jeżeli śpiewali teorbaniści albo kozacy dworscy, czynili to jedynie z rozkazu. Prawdziwy lud ukraiński nie zna Padury. Ani jedna dumka jego nie przeszła do ludu.

W innych prowincyach do poetów z wybitniejszym kierunniem ludowym, zalicza autor Rysu dziejów, Wasilewskiego i Lenartowicza (str.—637—654). *Wasilewski* nie był we właściwém znaczeniu poetą — artystą, ale miłym i do serca mówiącym śpiewakiem. W jego poezyach, nawet weselszéj treści, powiewa jakiś duch smętny i niespokojny, a niekiedy przebija nawet gorzka ironia. Działalność jego poetycka przedstawia trzy zwroty: egotyczny, ludowy i społeczny z pewnym historycznym odcieniem. Pałająca jego dusza najbardziéj lubiła się wylewać w krótkich lirycznych strofach, w sonetach i dytyrambach; wszystkie zaś jego marzenia i szały odbiły się najwyraźniéj w obszernéj fantazyi p. t. „Dziecię szału,“ która jest jakby jego spowiedzią przed światem. Czysta a nieszczęśliwa miłość jest tu tematem dominującym; nie opanowuje nim atoli poeta należycie. Szczęśliwiéj wypowiada się on w rzeczach obserwacyi i ironii, któréj wyrazem jest wiersz: „Drzym sobie duszo.“ Innym jest poeta, kiedy zapomina o swych cierpieniach i pogodniejszém okiem spogląda około siebie, szukając przedmiotu, do któregoby mógł sercem przyrosnąć. Takim przedmiotem dla niego jest lud krakowski. Wasilewski zapatrzył się w jego życie i obyczaje, w charakter moralny, wsłuchał się w jego pieśni, prze-

niknął go na wskroś, pokochał całém sercem i uwił dlań na pamiątkę prześliczny wieniec niezapominajek w zbiorze „Krakowiaków.“ Daleki od wszelkiéj osobistéj fantazyi, którą inni poeci kładą na karb pomysłów ludowych, jest on tylko wiernym, ale zarazem idealnym tłómaczem uczuć samego ludu w ich najrozmaitszych i najdrobniejszych odcieniach. „Krakowiaki“ jego są tak czyste i rodzinne, jak te, które się snują po wiejskich chatach, a tylko wzbogacone potęgą sztuki. Wiele téż z nich przyjęło się pomiędzy ludem. Poemat „Katedra na Wawelu“ zaleca się wyższym pomysłem, choć w wykonaniu ledwie zarysowany; nie widać tu sztuki, ale jest zapał i prawda uczucia. *Lenartowicz*, rzewny i tkliwy z przyrodzenia a obdarzony dziwnie wrażliwém uczuciem piękna, jak gdyby z powietrzem razem pochłaniał on w każdéj chwili najpiękniejsze barwy i dźwięki świata, a następnie tworzył z nich pieśni swoje. Jest to śpiewak w całem znaczeniu ludowy. Pieśniami i powieściami ludu wykarmił swoję poetyczną muzę — wykołysał ją w szumie sadów i łanów zbożowych, przy dźwięku sierpów, modlitwie ciszy wieczornéj i niedzielnych wczasach drużyn wieśniaczych. Wprowadził do literatury nowy świat sielski — do poezyi nieznaną wprzódy słodycz i wdzięki. Piosnki jego to kwiecie ludu, miłe, rzewne, proste i serdeczne. Jest to osobliwsza, mówi p. Sow., poezya, która zdaje się być obcą wielkiéj sztuce, a przecież czaruje wszystkimi urokami sztuki — pieśni jakby prosto wzięte z ust ludu, a tak cudne wykończeniem i formą — obrazy mieszczące w sobie tyle życia i prawdy, oddychające tak powabną prostotą, tak rzewném uczuciem, taką świeżością i wonią, że trudno oderwać się od wrażeń sprawionych przegrywkami téj złotéj lirenki. Prosta ich nuta i powszednia piękność, ale płynie z serca i wlewa pokój do duszy. Sam poeta porównywa w „Przygrywce“ poezye swoje do śpiewów skowronka. Największa część poezyi Lenartowicza ułożona jest na wzór i na nutę pieśni ludowych; niektóre nawet jakby wprost dla ludu pisane były. Do najpiękniejszych utworów jego należą dwa niewielkie poemaciki: „Zachwycenie“ i „Błogosławiona,“ które do arcydzieł poezyi polskiéj policzyć można. Poeta wprowadza do swéj pierwszéj sielanki mieszkańców drugiego świata, według tradycyi religijnéj i wyobrażeń ludowych artystycznie i nader szczęśliwie pojętego. Niebo jego wygląda całkiem po ziemsku, po polsku, jak z drugiéj strony, ziemia jest u niego tylko żywym wizerunkiem istném przedsieniem nieba. Rzewność i miła prostota tak w treści jak w niewymuszonym, dziwnie łatwym wierszu, są tutaj nieporównane. Pokrewny treścią „Zachwyceniu“ jest poemat „Błogosławiona,“ pełen myśli wzniosłych w przecudnéj formie,

opiewa on wejście duszy wybranéj do nieba i promienne onéj widzenia. Najsłabszym z utworów Lenartowicza jest poemat „Gladyatorowie,“ którego osnowa wzięta ze starożytnego świata. Z innych jego poezyi załuguje na odznaczenie „Bitwa Racławicka“ — ustęp z większego poematu treści historycznéj, wyśpiewanego na nutę ludową Krakowiaka. — W ostatnich czasach twórczość jego przybrała inny charakter; porzucił sielankowe postacie ludu, a bierze osobistości i wydarzenia dziejowe, albo téż kréśli swe osobiste wrażenie.

Do poetów z charakterem ludowym poniekąd, zalicza p. Sow. i autorów legend, t. j. powieści poetycznych, których osnowa wzięta jest ze świata religijnego, przeważnie z podań miejscowych. W tym rodzaju odznaczyli się Fr. Morawski, Garczyński, Siemieński, a szczególniéj x. Hołowiński arcybiskup Mohilewski, którego kilka legend, jak „Krówka Jaremy,” „Buława Madeja” i t. d. są nader udatne i czysto ludowe (str. 654—656).

Niektórzy z poetów nie ograniczyli się żywiołem ludowo-polskim, lecz poruszyli nadto słowiański. Szczególniéj odznaczyła się w tym względzie poezya czerwono ruska, która oparła się na żywiołach rodzinnych, na podstawie pieśni gminnéj i historyi (str. 657—691). Z tłómaczy odznaczył się tu między innymi *Nabielak*, który pierwszy wykładał ziomkom rapsody „Rękopismu królodworskiego”, tłómacząc je wierszem białym, choć niezbyt w nim było do twarzy starosłowiańskim zabytkom. Lecz właściwie na czele zwrotu słowiańskiego w poezyi stoją Bielowski i Siemieński. *Bielowski* znakomity badacz dziejowy, wzbogacił literaturę istnie twórczym przekładem słynnego poematu staro-ruskiego „Wyprawa Igora na Polowców” (Słowo o pułku Igora). Następnie wyśpiewał wspaniałą „Pieśń o Henryku Pobożnym”—poemat oryginalny, w duchu i tonie starożytnym niepospolitego mistrzostwa, i inne pieśni pomniejsze. *Siemieński*, jeden z obecnie żyjących najpłodniejszych pisarzy polskich, posiada, utrzymuje autor, zdolności tak wielkie, iż mógłby w każdym niemal dziale literatury osiągnąć najwyższe stanowisko, gdyby nie rozrywał swych zajęć jednocześnie na rozmaite przedmioty, a często drobiazgi. Jako poeta zdobył on sobie naprzód niezmierną sławę znakomitym przekładem „Królodworskiego Rękopismu.” Przewyższa on w ogóle Bielowskiego darem odtwarzania barwy słowiańskiéj i gminnéj, i na téj drodze posuwa się nawet wytrwaléj i dłużéj od niego, przekładając pieśni pobratymców. Z tych duma „O kniaziu Dymitrze Wiśniowieckim” może być policzona do prawdziwych klejnotów poezyi polskiéj. Przekładów S., któremi większą niż oryginalnemi poezyami, zjednał sobie sławę, jest

bardzo wiele. Wśród nich, tłómaczenie z Firdusego „Szach-Name,“ ustępu „Biszen i Menisze” jest arcydziełem, które znawcy stawiają wyżéj nad inne tłómaczenia europejskie, chociaż było dokonane nie z oryginału. Wiekopomną wreszcie zasługą S. jest całkowity przekład Odyssei Homera, praca olbrzymia a opromieniona takiém natchnieniem, wykonana z taką sztuką mistrzowską, z takiém przejęciem się duchem pierwowzoru, że nic doskonalszego wyobrazić sobie nie można. Jeżeli w tém arcydziele koniecznie szukać zechcemy skaz, to chyba zbytnią ilość archaizmów i russycyzmów tłómaczowi zarzucić będziemy mogli, jakkolwiek nie czynił on tego bezwiednie, lecz z rozmysłem wypływającym z idei zasadniczéj przekładu. Z oryginalnych poezyi S. najcelniejszą jest duma historyczna p. t.: „Trąby w Dnieprze.”

Obok tych nieprześcignionych tłómaczy arcydzieł bratniéj poezyi słowiańskiéj może być poniekąd postawionym i *Zmorski*. Szalony ten, namiętny, lecz pełen zdolności poeta, po pierwszych dość pomyślnych oryginalnych próbach, jak fantastyczny poemat „Lesław,” poświęcił się prawie wyłącznie zbieraniu i tłómaczeniu pieśni ludowych serbskich, i na téj drodze rzeczywiste położył zasługi i chlubną pozyskał sławę. Pisał on też i oryginalne poezye w duchu ludowym. Jego „Wieża siedmiu wodzów,” pieśń z podania, śmiało może być postawiona obok „Henryka Pobożnego” i „Trąb w Dnieprze.”

Potém (str. 691—713) następuje w obrazie poezyi nowożytnéj p. Sow. liczny zastęp pracowników, którzy zbierając gorliwie pieśni, podania, klechdy, przypowiastki, przysłowia gminne; usiłowaniami swojemi najskuteczniéj przyczynili się do nadania poezyi polskiéj kierunku ludowo-narodowego. Z tych po Chodakowskim, Łukaszu Gołębiowskim i Brodzińskim, główniejsi byli nast: Wójcicki, jeden z najzasłużeńszych pisarzy polskich, który dzielnie wpływał na dwa pokolenia ludzi poświęcających się badaniom przeszłości, znany przyrodnik geolog Zejszner, wielce zasłużony współczesny etnograf i kompozytor muzyczny Kolberg i inni. Między tłómaczami zaś pieśni litewskich—Jucewicz (z Pokiewia) i K. Brzozowski. Ze zbieraczy przeważniéj podań i powieści ludowych, między innymi odznaczyli się: *Berwiński*, badacz krytyczny podań ludu polskiego, który zaprzecza wszakże ich samorodności i *Marcinkowski* (Gryf), badacz ludu ukraińskiego, głęboki i wszechstronny. Pomiędzy zbieraczami zaś przysłów odznaczył się najwięcéj *Darowski*.

Przechodząc następnie do grona poetów najnowszéj doby, rozpoczyna p. Sow. rzecz (714—718) uwagą, iż niektórzy z histo-

ryków literatury, zastanawiając się nad poezyą pomickiewiczowską, upatrują w czasach dzisiejszych (mniéj więcéj od roku 1840) okres przesilenia czyli przejściowy. Kierunek romantyczny i niektóre poezye Mickiewicza miały podług nich (Nehring) popchnąć poezyą na niebezpieczne drogi wygórowanych uniesień, do czego przyczyniły się równie wypadki polityczne, a więcéj jeszcze egzaltowane dążności i teorye. Znamieniem tego przesilenia było odstąpienie od prawideł i gonienie za nadzwyczajném natchnieniem; obok tego sentymentalność, niezadowolenie, niesmak lub rychły przesyt, skargi i satyra na społeczeństwo, niedowiarstwo lub bałwochwalstwo siły ducha. Do poetów tego kierunku zaliczani są ze zdolniejszych: Sowiński, Jabłoński, Żeligowski, Żygliński, Berwiński i Ujejski, którzy, mimo widocznego pokrewieństwa z duchem Mickiewicza, do szkoły jego, dla odmiennéj barwy poetycznéj, policzonymi być nie mogą. Lecz na zapatrywanie się takie w żaden sposób, powiada p. Sow., zgodzić się nie można. Jego zdaniem, poezya polska jest po dziś dzień dalszym ciągiem mickiewiczowskiéj. Geniusz ten, mówi on, poruszył wszystkie struny ducha twórczego, a spokrewniwszy się z największymi geniuszami wszystkich wieków i całéj ludzkości; uniepodobnił, że tak się powie, absolutnie odrębną i samodzielną arystokracyą duchową po za sferą swojego świata.

Poeci nowi, oczywiście prawdziwi—z powołania, otrzymawszy ostatnie święcenie kapłańskie od ducha wielkiego wieszcza, promieniejącego w dziełach jego, kierują swój polot przedewszystkiém ku ideałom prawdy, piękna i dobra; towarzysząc natchnioną pieśnią uroczystemu pochodowi ludzkości do jéj świętych przeznaczeń. Takim sposobem Mickiewicz dopomógł pokoleniom przyszłym do znalezienia straconéj od wielu lat drogi, po któréj niegdyś niezachwianie kroczyli wielcy narodowo-obywatelskim duchem pisarze XVI i XVII wieku. W tym względzie dokonał on raczéj zwrotu nie zaś przełomu w poezyi polskiéj. Jest to olbrzym i drogoskaz na rozstajnych drogach prawdy i błędu, i każdy kto chce uniknąć manowców, powinien przedewszystkiém zwrócić nań badawcze spojrzenie. Jakoż po Mick. nikt już nie zdoła przemówić potężniéj do serc, nie potrącając uczuć zbiorowych, wyższych nad egotyczne popędy i uniesienia. Wyglądają wprawdzie niekiedy, jak upiory z pod ziemi, widma bajronizmu, do których przyłącza się poronione potomstwo Hejnego i Musseta; lecz śpiewacy tego rodzaju nie mają żadnéj przyszłości przed sobą. Nie mają jéj również, pomimo chwilowego często olbrzymiego rozgłosu, i tacy poeci, którzy nadewszystko cenią piękną i wytworną formę, których poe-

zya przypomina już to połyskujące a zimne kryształy dyamentów, już subtelną i wiotką, a nietrwałą jak pajęczyna tkań koronkową. Poeci zaliczani do mniemanego okresu przesilenia, wyrażają właśnie, powiada daléj autor Rysu dziejów, w utworach swoich myśl rozbudzoną przez Mickiewicza z letargu, w jaki wprawiło ją niewolnicze naśladowanie francuzczyzny. Rozczytując się w ich pismach, znajdujemy w nich też same żywioły, jakie stanowiły duszę i treść ziemiańskiéj poezyi okresu Zygmuntowskiego: to samo górujące nadewszystko poczucie dążeń powszechnych, ten sam niepohamowany popęd do społecznéj satyry. Oczywiście uwzględnić należy odmienność formy, wynikającą już to z różnic indywidualnych, już ze zbliżenia się z tak zwaną literaturą romantyczną; z rozszerzenia zakresu pojęć estetycznych i poglądów społecznych, nareszcie z entuzyazmu właściwego młodym poetom, usiłującym „dźwigać świat nowemi tory.“ Upojenie i zapał tego rodzaju stanowią rys charakterystyczny każdéj epoki w jéj młodzieńczém zaraniu. Nie ma przeto najmniejszéj potrzeby tworzenia jakiéjś nowéj, nieokreślonéj epoki przesilenia, jest to dalszy ciąg tylko okresu Mickiewiczowskiego. U poetów tego zwrotu przemagającym żywiołem jest liryzm; nawet dramatyczne utwory, szczególniéj te, których treść brano ze stosunków społecznych, są właściwie poematami i dzisiejszym warunkom scenicznym nieodpowiadają.

Do poetów tych należą (str. 718—767): — *Jaśkowski*, poeta współczesny wielkich zdolności—przeważnie poeta elegijny; wiersz ma piękny i energiczny, uczucia najzacniejsze. Do celniejszych wierszy jego można zaliczyć: „Grosz wdowi,” „Błogosławieństwo polom” i in. *Czajkowski* Antoni, zajmujący również jako poeta szczytne stanowisko. Poezye jego znamionuje myśl wzniosła i prawdziwe natchnienie. Posiadamy wyborny jego przekład „Hermana i Doroty” Goetego. *Norwid* Cypryan — poeta, rytownik i rzeźbiarz, który należał w młodości do owego pokolenia literatów warszawskich, co odznaczali się egzaltacyą umysłową i dążnością do zerwania z tradycyą wszelką. Nie można mu w utworach jego zaprzeczyć talentu, lecz zaćmiewa go dziwaczny mistycyzm przypominający mgły „Króla Ducha.” *Żygliński*, malarz i poeta niepospolitych zdolności. Zawiędziona miłość młodzieńcza odstrychnęła go od świata, i odtąd wylewał swą boleść w poezyach pełnych melancholii głębokiéj—pełno w nich rzewności i ducha chrześciańskiego, a zalecają się melodyjnością i pięknym językiem. *Baliński* Karol —jeden ze znakomitszych pomickiewiczowskich poetów — patrzał w przyszłość i snuł ją z bólów i zawodów, pragnień i wierzeń swojego żywota. Pierwsze jego utwoty odznaczają się egzaltacyą

i głębokiém melancholijném uczuciem, późniejsze jaśnieją już zaletami klasycznéj sztuki, a pod względem nastroju tchną religijném ukojeniem. Piękniejsze i bardziéj wykończone z jego utworów są: „Farys," „Droga krzyżowa" i „Zaprzaniec." Wybornie też on przełożył tragedyę Kalderona „Kochankowie Nieba." *Berwiński* odznacza się w swych poezyach wysoką artystycznością języka, oraz pięknem obrazowaniem; wpływ tu Byrona i Słowackiego aż nadto widoczny: w ogóle zaś zarzucić mu można przesadę i nienaturalność uniesień. W rodzaju poezyi Krasińskiego odznaczającéj się przedewszystkiém wzniesieniem myśli do sfer idealnych, tudzież uroczystością języka, zasługuje na chlubną wzmiankę Stan. *Koźmian*, znakomity krytyk i tłómacz Szekspira. Może on być za najcelniejszego ucznia Zygmunta uważanym. Pomiędzy poetyckiemi utworami jego odznaczają się szczególniéj dwa piękne wiersze: „Do mistrzów słowa" i „Mowa polska." *Ujejski* jeden z najznakomitszych poetów pomickiewiczowskich szedł zawsze za popędem natchnienia; ztąd ów urok niewysłowiony i rzewność okok piorunującéj potęgi myśli w poezyach jego, przyodzianych nadto w szatę cudnego języka. Silna, namiętna liryka, potęga wewnętrzna, i mocny, nieco jaskrawy koloryt są głównemi cechami utworów jego. Niemi to on porywał cerca i wielką w narodzie, a szczególniéj pomiędzy młodzieżą zdobywał wziętość. Poemat „Maraton," należy do najpierwszych młodocianych prób pióra, zapowiedział już orli lot pojawiającego się poety. „Skargi Jeremiego," powiada pan Sow., mogą się liczyć do najpierwszych w naszéj literaturze utworów lirycznych. „Melodye biblijne," tchnące powagą i wzniosłością, zalecają się przytém zachowaniem ducha biblijnego i jasnością obrazów, choć zanadto może tu widać przepychu w kolorycie; a zbyt wielkie bogactwo rytmów odejmuje im charakter naturalności i prostoty, właściwy poważnéj poezyi hebrajskiéj. Najpiękniejsze z tych melodyi są: „Hagar na puszczy," „Jeremiasz," „Rebeka," i „Mojżesz przed śmiercią." Nie zawsze jednak utrzymywał się Ujejski na tak szczytnych wyżynach natchnienia: drobne poezye jego, których treścią utyskiwania na własne losy, rażą sentymentalnością i przesadą. Wyższéj wartości są jego „Tłómaczenia Szopena"—wyborny przekład na słowa boskiéj muzyki mistrza. *Wolski*, zdolny poeta i powieściopisarz, łączy charakter ludowy z bajronizmem. Pomiędzy utworami jego większych rozmiarów—„Ojciec Hilary" i „Połośka," oba osnute na tle ludowém; ale wdzięcznéj téj treści odbiera wiele uroku nienawiść do wyższych stanów i nienaturalna przesada wydarzeń. Jego też są libreta do oper Moniuszki „Halka" i „Hrabina." Liryki jego niewielkiéj wartości; brak uczucia

i prawdziwego natchnienia zastępuje w nich forma artystyczna. *Żeligowskiego* (Sowa) poezya rozwinęła się przeważnie w sferze zadań społecznych, i tam tylko jest rzeczywiście potężną; po za granicami téj sfery polot poety traci większą połowę swéj siły. Jego „Jordan” udramatyzowana satyra, karcąca ostro i śmiało przesądy i wady społeczeństwa polskiego, miał niegdyś ogromny rozgłos. Krytyka wszakże zarzucała utworowi temu, mniéj słusznie, formę dowolną i brak akcyi dramatycznéj. Z wierszy też jego—te tylko prawdziwie są piękne, które natchnęła poecie jego myśl zasadnicza, t. j. założenie jakieś zbiorowe. Żelig. niegdyś zanadto przeceniony, dziś znowu niesłusznie zapomniany został; w swoim czasie spełnił on chlubnie zadanie poety. *Pajgert* poświęcał się głównie przekładom obcych arcydzieł poetycznych. Z oryginalnych zaś jego utworów, najznakomitszym jest „Kadmea,” ustęp z dziejów Grecyi, pełen plastyki i prawdziwie klasycznéj piękności (str. 752). *Jabłońskiego*, jednego z najzdolniejszych poetów ostatnich czasów, dumki tęskne unosiły, przez całe niespokojne, rzucane po rozmaitych krajach życie, do stron rodzinnych Podola. Z większych jego utworów odznacza się poemat „Gwido,” którego treścią jest żywot artysty ścigającego przez całe życie ideał harmonii wśród nie rozumiejących go ludzi. Myśl poematu niezaprzeczenie piękna, język, pomimo kilku russycyzmów, prześliczny; utwór to jednak zanadto młodzieńczy—wyobraźnia pieni się tu zbyt mętną powodzią form, często dziwacznych. Ustępy opisowe są najpiękniejsze. W „Dumkach” jego uderza podobieństwo do takichże utworów Zaleskiego, wszakże spowodowane jedynie tożsamością przedmiotu i pokrewieństwem uczuć obu poetów. *Sowiński* należy także do liczby tych poetów, na których najpotężniéj działają założenia zbiorowe. Podźwignienie ideałów społecznych i wcielenie ich w czyn—to godło poetyckiéj twórczości jego. Odzywa się już ono w „Widziadłach”—jednym z pierwszych jego utworów, stanowiącym związkę 12 sonetów, a które są jakby idealnym życiorysem ducha poety. Po ideałach wiary i poezyi, po widmach zwątpienia i szałów zmysłowych, następuje tu poczucie powinności. Podobnie jak u Jabłońskiego, przyjaciela lat dziecinnych poety, na drodze obowiązku staje tu żądza samolubnéj sławy, i jak w jego „Gwidonie,“ na drodze wcielenia ideału, po walce płonnéj następuje śmierć. W poemacie p. n.: „Satyra,” celem autora było natchnąć starożytną satyrę ideałem chrześciańsko-społecznym. Ideał ten ma postać gminowości, już to w sferze robót ciżbowych, już na szlakach promiennych geniuszów, zarówno na polu religii i sztuki, jak na obszarach pracy społecznéj. Autor wciela swe ideały w rozmaite

postacie dziejowe. Lecz jednostka wszędzie tu poświęcona powszechni. W poemacie „Z życia” autor upostaciował potęgi pewnéj chwili dziejowéj. Bohaterowie téj fantazyi dramatycznéj wyobrażają rozmaite siły duchowe składające się na czyn zbiorowy, a mianowicie; wiedzę, ducha poezyi i wolę. Postać przedstawiająca zniewieściałe samolubne uczucie, kończy obłąkaniem. Kobieta, namiętna i zmienna, pod koniec poematu, daje się porwać podnioślejszym popędom. Rzecz dzieje się właściwie w świecie fantastycznym i kończy się tryumfem woli. Sow. też powszechnie przypisywaną jest tragedya „Na Ukrainie,” w któréj też same prawie postacie występują co w poemacie „Z życia,” lecz już nie jako osoby idealne, ale jako działacze ściśle historyczni. Humorystyczny poemat p. n.: „Fragment powieści” rzuca światło na jedną z kart życia autora. Pełno tam uniesień namiętnych i myśli poważniejszych. Zarzucają Sow. krańcowość w dwóch wbrew przeciwnych kierunkach: w abstrakcyjno-idealnym i w plastyczno-zmysłowym. Tak skromnie i ściśle zakreśla on sam, w swym obrazie poezyi, własne stanowisko.

Z gronem powyższém poetów związane są właściwie i dwie znane autorki, Żmichowska i Ilnicka, oddające się również i poezyi (str. 767—776. Poezye *Żmichowskiéj* (Gabryeli), znanéj z wysokiego wykształcenia i znakomitego talentu autorki, odznaczają się prześliczną formą i niepospolitém bogactwem uczuć i myśli. Pomimo nastroju ich nieco fantastycznego, wszystkie je znamionuje głęboka rzewność. Obszerna powieść z pogańskich czasów Słowiańszyzny p. n.: „Maina i Kościéj” zawiera wiele pięknych i dobrze obmyślanych obrazów. Śliczną jest elegia p. t.: „Czemu mi smutno?” — pełen też pięknych myśli wiersz p. n. „Szczęście poety” i w. in. Głębokość i rzewność nie wyłączają u Gabryeli miłego, prawdziwie niewieściego dowcipu. Proza Gabryeli, powiada p. Sow., jest tylko odmienną formą poezyi; tyle tam wdzięku, wyobraźni, myśli i uczuć wzniosłych, tak delikatne cieniowanie czynności ducha ludzkiego, tak wspaniałe obrazowanie, taki nareszcie język i styl uroczy i poetyczny. Nadto wszystkie opowiadania jéj znamionują cel najzacniejszy—rozbudzenie w sercach czytelników uczuć podniosłych, rodzinnych, obywatelskich i chrześciańskich. Pomiędzy innémi odznaczają się powieści; „Prządki,” „Poganka,” „Biała róża” i inne. Poetyczny talent *Ilnickiéj* należy równie do znakomitszych. Jest on przeważnie lirycznym. Natchnienie jéj, jakkolwiek nie ma zdaniem autora ani orlego polotu, ani głębokości nadmiernéj, odznacza się za to szczerotą, wielką rzewnością i nieporównanym wdziękiem. Dodać do tego należy mi-

strzowskie władanie językiem i formą poetycką, tudzież najzacniejszą myśl, przeświecającą we wszystkich jej utworach — jak naprz. poezye: „Dzwonek," „Strącona," „Skowronek," „Anioł Pański 1870" i w. in.

Do liryków podnioślejszego nastroju ducha zalicza jeszcze autor Liberę (Krakowiankę), Rzętkowskiego (Floryan), Ordona Zawadyńskiego, Komara, Maryana Kochanowskiego i kilku innych (str. 776).

Nakoniec, obraz ten bogaty poezyi nowożytnéj p. Sow-go zamyka grono takich poetów, co zdaniem autora-poety, cenią w sztuce przedewszystkiém wytworność formy i przy odpowiedniém wykształceniu rzeczywiście dochodzą w utworach swoich do wysokiego stopnia artyzmu. Poezye takich pisarzy, powiada on, połyskują światłem zimném, gdyż po największéj części nie płyną z ożywionego natchnieniem uczucia, lecz z nabytéj nauki lub z imaginacyi podnieconéj rozwagą. Chodzi im nie tyle o wzruszenie, ile o podziw ze strony tłumu. Do tego rodzaju mistrzów zalicza on Faleńskiego (Felicyana), Łuszczewską (Deotymę) i Asnyka pisującego pod pseud. El...y lub Stożka (776—791). Z poezyj *Faleńskiego* najlepsze są zdaniem autora „Kwiaty i kolce," jakkolwiek i te nie wolne od pretensyonalności. Inne rażą zbytnią jaskrawością barw, nagromadzeniem efektów i sileniem się autora na niezwyczajność, tak co do pomysłu jak i formy. „Termopile" i „Pod Kannami" mają przynajmniéj wielkie opisowe zalety, lecz zaćmiewa je nadmierna kunsztowność, posunięta nieraz do zupełnéj niezrozumiałości. W „Odgłosach z gór" powtarzają się te same zalety i wady, co i w innych poetyckich utworach autora: mistrzowskie władanie językiem, z którym on igra jak z dzieckiem, czochrając go i fryzując z kolei, przesada w opisach, nienaturalność opiewanych wrażeń i kunsztowność; właściwsza sztuczkom niż sztuce. Za to prawdziwym Faleński jest mistrzem w przekładach swoich, szczególniéj kiedy ma do czynienia z pisarzami rzymskimi. Tu już krępowała poetę widocznie zarówno treść jak i surowa prostota pierwowzorów. Co do *Deotymy*, od pierwszego jéj wystąpienia jako improwizatorki podzieliły się zdania względem jéj talentu poetyckiego; jedni byli bezwzględnymi onego wielbicielami, inni zaś odmawiali jéj całkiem zdolności poetyckich. Odrzuciwszy to co jest przesadzonego w pochwałach i naganach jéj nie szczędzonych, przyznać należy, utrzymuje pan Sow., że obie strony mają poniekąd słuszność. Zewnętrzne zalety improwizacyi Deotymy są niezaprzeczone. Swobodna w polotach jéj wyobraźnia zatrzymuje się dłużéj przy pojedynczych częściach

swojego utworu i przyozdabia je przecudną płaskorzeźbą najwyszukańszych alegoryj. Artystyczne wyrobienie formy przechodzi w jéj utworach często doniosłość saméj idei, i to jest właśnie co w pierwszéj chwili unosi zdumionych słuchaczy, a nawet i czytelników. Lecz z drugiéj strony fantazya improwizatorki czerpała swój pokarm i materyały w zdobyczach wiedzy tylko, nie zwracając uwagi na życie rzeczywiste, na skarby poezyi w sercu ludzkiém i przyrodzie istniejące. Wychowana w sztucznéj atmosferze salonów, nie doznala ani rozkoszy, ani cierpień żywota, tak powiedzić gminnego, łamiącego się codziennie z potęgami wrogiemi; jedném słowem, Deotyma, sądzi autor-poeta, nie znała i nie zna życia. Ztąd poezye jéj uderzają nie siłą uczucia, lecz bogactwem erudycyi, głębokością myśli i niesłychaną bujnością wyobraźni. W improwizacyach swoich wygłaszała ona najczęściéj rezultaty swych studyów nad dziejami ludzkości lub życiem przyrody. Była to filozofia i że tak powiemy, mówi daléj p. Sow., poezya nauki, ale nigdy poezya serca i przyrody. Zaklęci jéj czarem, widzimy się jakby w jaskini zalanéj bengalskiemi ogniami, któréj ściany połyskują tysiącami najcudniejszych kryształów, lecz w jaskini téj, wieje chłód przejmujący. Jest to piękna świątynia, nie bez Boga, jak się wyraził Mickiewicz o Juliuszu, lecz bez człowieka. Jedyném uczuciem głębokiém i szczerém, znajomem sercu D., było uczucie religijne; ztąd najpiękniejsze pomiędzy jéj poezyami są te, w których promienieje myśl religijna, przeczucie odrodzenia społeczności przez wiarę i powrót do Boga. Na nieszczęście i tutaj zbyt często wkradają się poglądy filozoficzne i nieprzebite chmury mistycyzmu. W ostatnich jednakże czasach fantazya D. zaczęła się zwracać ku właściwszym przedmiotom; serce jéj uderzyło prawdziwie ludzkiém uczuciem, erudycya znikła, a oktawowa zwrotka zastąpiła ulubioną dawniéj formę starożytnéj ody. Z tego peryodu pochodzą: „Bolesław Chrobry," „Wanda" i w. in. Nadzwyczajna wytworność formy przypominająca koronki brabanckie—smak artystyczny, wykształcony na najcelniejszych wzorach, rodzinnych i obcych—dowcip subtelny—uroczy odcień melancholii, połączony z uśmiechem ironii leciuchnéj—nareszcie zdolność wpadania w poetyczną zadumę, i nieporównana łatwość oddawania téj rozmiłowanéj w saméj sobie zadumy w wierszu prześlicznym—to są zdaniem autora główne znamiona talentu poetyckiego *Asnyka*. Brakuje mu tylko potęgi, gorącego uczucia indywidualności. Jest to—powiada on, posuwając się, zdaniem naszém, w sądzie tym swoim ostatnim do surowości zbytecznéj i niezupełnie uzasadnionéj — poeta salonów, pozujący z nieporównanym, wyższym nad samą naturalność wdzię-

kiem. Potrafi dorównać Słowackiemu pięknością wiersza, Lenartowiczowi tkliwością, Hejnemu ironią i humorem; lecz gdy w utworach jego dopatrzyć zechcemy samego poety, indywidualność ducha i charakteru jego, zawsze ukaże się przednami Słowacki, Lenartowicz, Zaleski, Hejne, Musset—nigdy sam Asnyk.

Z licznych naśladowców Słowackiego, Hejnego i Musseta, do zdolniejszych zalicza p. Sow.: Michaux (Miron) i Gomulickiego. Pierwszy ma wiele artystycznego smaku, drugi celuje formą piękną. Treścią ich utworów bywają już to uniesienia sztucznéj rozpaczy i zwątpienia, już erotyczne wybryki (str. 791).

Oto jak wygląda obraz poezyi polskiéj ostatniego okresu, w ścisłém swém zsyntezowaném zwarciu, żywémi słowy autora-poety, przedstawiony. Daje on nam pełne, jasne, przestronne, w główniejszych rzeczach, wyczerpujące niemal wszędy—wyobrażenie, o istocie, charakterze ogólnym i odcieniach onego, o zwrotach doraźnych i powszechnym rozwoju, o polocie niezwalczonym i spokojnéj potędze poezyi naszéj, w całym ciągu długiéj półwiekowéj, a tyle stanowczéj doby historycznéj, nawet chwilę obecną jeszcze obejmującéj. W szerokiém, wieloliczném gronie wieszczów narodu, geniuszów, talentów skupiających się jakby pod cieniem skrzydeł jednego niedościgłego olbrzyma, wśród ugrupowania ich artystycznego, ustopniowania systematycznego ich względnego, pojedynczo i zbiorowo co do pokrewieństwa ducha, stanowiska—mamy tu przed sobą roztoczoną, dobitną, wyraźną charakterystykę każdego z poetów, każdego z ich utworów głównych, odcieni nawet ich twórczości; mamy zarazem żywe cech twórczości owéj uwydatnienie w licznych z delikatnym wyborem robionych przytoczeniach przykładów i wzorów. Pedagog więc znajdzie tu treść, ze znajomością rzeczy opracowaną i wcale dostateczną; a błędy, mechanicznéj przedewszystkiém systematyki i nieliczne drobniejsze usterki, z łatwością sam naprawi — z największą wdzięcznością przyjmując, w porę mu daną, pracę tę autora, jako najpełniejsze i najlepiéj obrobione dotychczas „compendium" poezyi naszéj ostatniego okresu. Że zaś ten autor pełnemi tu dłońmi korzystał z prac swych poprzedników, nie wysilając się w rzeczach utartych na oryginalność—może nawet, tém ci lepiéj; niezaprzeczenie bowiem, umiał on też wybrać tam wszystko, co było najbardziéj na to zasługującego. Nie inaczéj tedy, jak tylko, jako wielce cenny nabytek piśmiennictwa naszego w ogóle witamy i my, mimo znanych już onego stron ujemnych, III-ci ten tom Rysu dziejów literatury polskiéj p. Sowińskiego.

Korespondencya z Paryża.

(Dokończenie).

Październik.

Rome Vaincue p. Aleksandra Parodi i melodramata. *Vie de Napoleon* p. Stendhal. Niefortunny przekład poetów polskich. Wystawy w pałacu Przemysłowym. Kongres robotników.

Z nowych sztuk w teatrach najwięcéj hałasu narobiła *Rome Vaincue* p. Aleksandra Parodi. Autor w dedykacyi p. Emilowi Perrin administratorowi komedyi francuskiéj, wyznaje, że: „z sercem przepełnioném wdzięcznością składa mu w ofierze pracę swoją“—i ma słuszność. Dyrektor komedyi francuskiéj, musi czasami przyjąć jaką tragedyę, winien to swemu klasycznemu stanowisku; ale na jednego Parodi, któremu udało się szczęśliwie skorzystać z chwilowego usposobienia publiczności i przedstawić swą sztukę, ileż to tragedyi nie wynagradza pracy autorów.

Dzieło p. Parodi nie ma więcéj wartości jak zwyczajne ćwiczenia z wyższéj retoryki; Włoch urodzony w Grecyi, ma on łatwość wierszowania bardzo pospolitą na południu, i chybabyśmy każdego Włocha improwizującego sonety musieli nazywać poetą, jeślibyśmy p. Parodi przyznawali prawo do naszéj admiracyi.

Goethe, doskonałą znajomością i żywém odczuciem starożytności, a nadewszystko siłą natchnienia geniuszu, dokazał tego, że w swojéj *Ifigenii* nie napisał ani jednego wiersza, któryby dźwięczał fałszywie w ustach Ateńczyka z czasów Peryklesa. Ale podobne sztuki nie każdemu i nie często się udają, tragedya starożytna zdaje się już swój zawód przebiegła i skończyła. Żeby poczuć się pełnym zapału i z duszy wydobyć tony prawdziwe,

trzeba namiętnie pokochać przedmiot, w którym szukamy natchnienia. Dzisiaj jeszcze niejeden Serb o bitwie pod Kossowem mówi jakby o sprawie dnia wczorajszego: lecz któryż z nowożytnych Rzymian bierze do serca klęskę pod Kannami? Korneille do swych tragedyi wprowadził nowożytny element bohatersko-rycerski; Turcy i Rzymianie Rasyna, są to dworacy Ludwika XIV; wzniosłość i delikatność uczuć każe nam zapominać o wiecznym anachronizmie, wykwintnéj galanteryi dworu wersalskiego, przerzuconéj w pośród ludzi otaczających Bajazeta lub Mitridata. Lecz naśladowcy Rasy przedstawiają nam istoty wymyślone, fałszywe, niepodobne ani do Rzymian z wieku Scipionów, ani do dzisiejszych Francuzów. Tragedya pana Parodi nudna od początku do końca, przyjęto ją jednak z oklaskami, grają na prowincyi, zapewne będzie tłómaczona i grana za granicą; bo dzisiaj przyklaskiwać tragedyi znaczy należeć do ludzi dobrego tonu. Zwolennicy sztuki dla sztuki, którychby można nazwać nieprzyjaciółmi sztuki, rzadko kiedy mają powodzenie w obec publiczności, bardzo rozumnie i obojętnie traktującéj te igraszki dowcipu rozłożone na pięć aktów; imponuje to publiczności na dni kilka, lecz w końcu ziewanie bierze górę nad konwencyonalną admiracyą. Role w „Rome Vaincue“ rozdano najlepszym aktorom teatru francuzkiego, aktorowie nie szczędzili usiłowań, a jednak nie mogli grać dobrze, bo mieli do wyrażania uczucia nieprawdziwe; podnosząc ręce, wystawując naprzód nogi, nie wiedząc co z sobą robić, musieli deklamować tirady służące tragedyi za ozdobę. Bardzo chwalono p. Sarę Bernhardt, że się podjęła roli staruszki; doskonale się umalowała, dokazała tego, żeśmy z całéj jéj twarzy widzieli tylko białka oczu; ale sama ani na chwilę nie była wzruszoną, ani też nikogo nie wzruszyła. W bezbarwném tém dziele p. Parodi wybrał przedmiot nie świeży, zużyty już w libretach opery. Chodzi o to czy występna Westalka będzie lub nie żywcem pogrzebana; Rzym poniósł świeżo klęskę pod Kannami, pewną Westalkę podejrzewają o zbrodnię, która ma być niby powodem téj klęski. W pierwszym akcie spotykamy kika kartek z Liwiusza, ułożonych w hexametra i przemieszanych wykrzyknikami: O Wstydzie! O dniu smutny! O klęsko! O cnoto! O Romulusie! O bogowie! i t. d. Opowiadanie bitwy pod Kannami:

> Cannes est un hameau non loin de l'Aufidus,

mogłoby rozradować profesora w liceum; słuchając takich ustępów każdy kto układał rymy o śmierci Turenne'a, z rozrzewnieniem

przypomni sobie ławy szkolne, i szczęśliwe czasy kiedy profesor mawiał w klasie: „Uczeń, który w ciągu godziny nie ułoży trzydziestu dobrych hexametrów dostanie *pensum*, a kto w tym czasie ułoży ich sześćdziesiąt dostanie uwolnienie.“

W drugim akcie wszelkiemi sposoby starają się odkryć występną Westalkę. P. Parodi czytał modne romanse; Ponson du Terrail i Gaboriau dostarczyli mu rozwiązania do tego aktu. Luciusz podejrzewa, że Opimia kocha Lentulusa, wygłasza więc że on zginął, Opimia mdleje i zagadka rozwiązana. Ale ten Luciusz, grzeczny jak widać Rzymianin, ofiaruje się ojcu Westalki, zachować tajemnicę; ojciec, wielki Fabiusz we własnéj osobie, rozkazuje mu czynić swą powinność, t j. spełnić wszelkie formalności potrzebne na to, ażeby córka jego mogła być żywcem pogrzebana. Połowę aktu tego zajmuje długa i bardzo śmieszna dysputa pomiędzy poetą Enniuszem a Fabiuszem. Poeta czytał Diderot'a i d'Alambert'a, jest przeciwnikiem przesądów, i przedstawia Fabiuszowi, że Westa to bogini zagadkowa, małżonka Coelus'a, pradziada Jowisza, który sam niczém nie jest, chyba powietrzem. Enniusz drwi sobie z Fabiusza:

Qui peut croire aujurd'hui que pourvu qu'on enterre
Toute vive une femme, ou soumettra la terre?

Fabiusz fanatyk, poświęcający życie własnego dziecka, cierpliwie słucha Enniusza radzącego mu, aby w senacie wnieść projekt zniesienia tak barbarzyńskiego zwyczaju; pan Parodi czytał Woltair'a i jego humanitarne pisma, jakoż Enniusz wykrzykuje jakby filozof XVIII-go wieku:

Homme, j'ai défendu
Les droits du genre humain.

Te pojęcia innego wieku wkładane w usta bohaterów Rzymu, zgroząby przejęły znawców starożytności; widać, że mało już mamy erudytów, bo publiczność dawała oklaski.

W trzecim akcie widzimy usiłowania dziwacznego niewolnika rodem Galla, starającego się wybawić Opimią—Gall pełen nienawiści dla Rzymu; dziwnie niekonsekwentnie jednak, uwierzył wprzesądy rzymskie; ponieważ ofiara Westalki konieczna do zbawienia Rzymu; on postanawia zgubić Rzym — ocalając życie Westalki. Poeta polski dał nam postać Irydiona, którego istną

karykaturą jest Vestaepor p. Parodi. W tym akcie ostatnia tirada niewolnika zaczyna się od słów:

C'est quand il fait mourir que le silence est beau! Ale nowet ta pochwała milczenia, zdaje się zachęcać go jeszcze do gadatliwości.

W czwartym akcie, Opimia która dzięki Vestaeperowi była uciekła, rozmyśla się, woli być żywcem pogrzebaną i powraca. W piątym akcie babka przebija ją sztyletem. Nie ma tu zgoła charakterów, tylko marionetki w starożytnéj draperii, wszędzie nawet widać sznureczki i niemal rękę, która je ciąga żeby ruszać osóbkami. P. Parodi wydrukował swą tragedyą, dodając na końcu wiersze na cześć *Pic martial*, mówiąc o tym ptaszku:

Oiseau vert comme l'arbre où il cherche sa proie, autor śpiewa dytyramby na cześć Francyi i woła;

J'ai chanté les Français en chantant les Romains
On peut un jour les vaincre, on ne peut de leurs mains
Arracher le grand sceptre. Au haut des sept collines,
Sur les bords de la Seine, ou les bords du Rumon
Leur peuple inébranlable est toujours la lumière
Des peuples, à l'envie se renvoyant son nom.

Autor musi w osobnym przypisku tłómaczyć nam że Tybr w liturgii rzymskiéj nazywany też był *Rumon*. Jeżeli śpiewając o Rzymianach p. Parodi chciał opiewać Francuzów, popełnił błąd podwójny. Kopia ta starego Rzymu, w ciągłéj jest sprzeczności z typami które nam przekazała starożytność rzymska, a jeżeli to nie Rzymianie to tém bardziéj nie Francuzi; prócz tego w tragedii téj zupełny brak życia, i żywotnéj materyi z któréjby mógł skorzystać patryotyzm dzisiejszy. Na przedstawieniu Cyda serce silnéj bije i drga zapałem, każdy młodzieniec poczuje tam wielkość bohatera oswobodzającego Hiszpanią. Lecz jakże mogą przemówić do czyjéj duszy Rzymianie, przygotowujący w ciągu pięciu aktów ofiarę krwawą nieszczęśliwéj Westalki.

Pewien krytyk opowiada, że Jakób Offenbach dyrygując orkiestrą w teatrze francuskim, przysłuchując się tragedyom, uległ zachciankom i pokusom sparodyowania tych lalek klasycznych. Odnowiono obecnie przedstawienia Pięknéj Heleny, bogowie Olympu mówią tam językiem stróżów i przekupniów, i tańcują kankana. *Rome Vaincue* z muzyką Offenbacha, grana przez aktorów Wodewilu mogłaby być zabawną. Filozofowi wolno szukać przyczyny powodzenia utworów Offenbacha, Halevy i Meilhac'a, w przesadach literackich z których śmiech chyba jeden wyleczyć nas zdolny. Iluż to spektatorów w teatrze francuskim stara się po-

wstrzymać od ziewania, przez uszanowanie dla miejsca gdzie się znajdują, powracając tam nazajutrz po wysłuchaniu [Pięknéj] Heleny może odważą się gwizdać. Pseudo-Grecy i pseudo-Rzymianie wtedy tylko mogą być znośni kiedy sami siebie nie mają za ludzi poważnych. Sztuka p. Parodi może go zaprowadzić do akademii francuskiéj, lecz nikt pewno odczytywać jéj nie będzie, a prędko ludzie dziwić się będą dla czego ją grano na scenie. Nie mamy już dzisiaj poetów tragicznych; widząc nową tragedyą, publiczność chce sobie wmówić że tam jest życie, ale przekonać się musi prędko, że to tylko martwe lalki skaczą pod takt marszu pogrzebowego; starożytność dostarczy pretekstu do deklamacyj każdemu kto zechce czytać jéj autorów, lecz tragėdye galwanizowane grą aktorów jak z prochu wyszły tak prędko w proch się obracają. A potém, po śmierci jakiego Viennet'a lub Lebrun'a, ostatni raz przypomina nam się tytuł tragedii niegdyś z oklaskami przyjmowanéj, orator któremu zlecono ułożenie nekrologu, z bólem serca i głowy musi przepatrywać na nowo jakiegoś *Arbogasta* lub *Pallasa syna Evandra.*

Pan Ludwik Davyl przedstawił w teatrze Porte-Martin dramat *Coq-Hardy*—jest to naśladowanie Muszkieterów Dumasa—na wzór którego autor zbyt poufale obchodzi się z historyą, rzecz się dzieje za czasów Ligi. Dramata podobne ściągają specyalnie swoją publiczność, rozmiłowaną w szczęku pałaszów, — publiczność niedość z bliska oznajomioną z historyą, tak że nie razi jéj wcale widzieć Ludwika XIV w wieku dziecinnym i we własnéj osobie, występującego na ulicy ze szpadą w ręku przeciwko *fronderom.* Ludzie pędzący żywot jednostajny i nudny, czują konieczną potrzebę silnych wrażeń, melodramat doskonale odpowiada téj potrzebie. Urzędnik naprzykład który lat dziesięć z kolei codziennie przechodzi te same ulice idąc do biura i wracając do domu, i od rana do wieczora spisuje ustawicznie całe kolumny cyfr,—niewątpliwie abonuje *Gazette des tribuneaux* i idzie do teatru *Chateau d'Eau* patrzeć na *Crime de Villefranche.* Sztuki te pełne zabójstw, ostre, deklamatorskie, czasem jednakże dają obrazki mistrzowską skreślone ręką; spotykamy tam niekiedy życie najniższych klas towarzystwa z zadziwiającą oddane prawdą. Ale ogół melodramatów grzeszy nadużywaniem zbyt pospolitych środków. Cenzura teatralna wymaga aby zbrodnia była ukaraną a cnota nagrodzoną; więc zbrodnia w prologu, a potém cnotliwy bohater prześladujący zbrodniarza przez pięć aktów aż do rozwiązania, oto sztuka — nad którą ludzie płaczą z rozrzewnienia — a samo to rozrzewnienie już dowodzi że człowiek nie może obejść się bez wzruszeń.

W operze komicznéj odnowiono *Piccolino*—libretto p. Sardou —mało do prawdy podobne, ale to się wybacza. Opera ma wielkie powodzenie, szczególnie dzięki sympatycznemu i efektownemu zarazem głosowi Pani Galli-Marié.

* *
*

Napoleon W. na wyspie św. Heleny powiadał: „Kto zechce dobrze się ludziom przedstawić, będzie mnie chwalił.“ Dzięki Napoleonowi III widzimy wręcz przeciwne zjawisko;—kto tylko chciał być czytany, poniżał Napoleona I, i starał się potępić synowca w osobie stryja. P. Lanfrey zawdzięcza swą literacką karyerę zręcznemu eksploatowaniu tego prądu opinii, napisał on historyą Napoleona I; najzupełniéj stronną chciał do rozmiarów średniowiecznego kondotiera zdrobnić człowieka z którym historya porównywać może tylko Aleskadra W. lub Cezara. Systematyczne poniżanie Napoleona I, powtarza się i dzisiaj, w stosunku prostym do obaw rastauracyi bonapartystowskiéj. Kiedyś jednak, wszystkie te książki, nie wyjmując Lanfreya, a nawet ostatnich tomów Micheleta niegodnych wielkiego talentu autora, będą zapomniane tak samo jak *l'Ogre de Corse* pamflet burboński który wyrywano sobie za czasów restauracyi, a o którym w naszém pokoleniu nikt nawet nie słyszał.

Nie można tego powiedzić o wydanéj świeżo w księgarni Colman Levy *Vie de Napoleon p. Stendhal.* Tytuł nie odpowiada książce, są to notaty robione w celu napisania życia Napoleona, projektu tego autor nie wykonał; Stendhal (jest to pseudonim Bayle'a) miał umysł przedewszystkiém sceptyczny, ustrzegło to jego od przesady; — w przedmowie pisanéj w formie listu do wydawcy (ulubiony wybieg Walter-Scotta) Bayle zabawnie przyrzeka, że nigdy nie będzie używał frazesów. „Nigdzie, — powiada — styl nie pali papieru, nigdzie nie ma *trupów*, ani też nigdzie nie używam wyrazów *straszny*, *szczytny*, *horror*, *nienawistny*, *rozkład towarzystwa*.“ — To co do formy. Bayle żył za czasów cesarstwa, nieraz widział cesarza własnemi oczyma, pomimo swego sceptycyzmu poddał się nieraz uczuciu admiracyi na równi z innymi, „Im lepiéj prawda cała będzie znaną, powiada, tém większym będzie Napoleon.“ Przedmowa bardzo dowcipna, autor twierdzi, że w Paryżu publiczność nie ma opinii, czyli że nie ma opinii publicznéj o rzeczach współczesnych, że jest tylko szereg upodobań, które niszczą jedno drugie, jak fala morska pochłania poprzedzającą falę.

„Lud, pisze on, który od Napoleona doświadczał dobrodziejstw cywilizujących, któremu on zapewnił własność i zawieszał na piersiach krzyż zdobiący marszalków, sądzi go sercem i zdaje mi się, że potomność potwierdzi sąd ludu. Co do sądu salonów, ten się zmienia przynajmniej co lat dziesięć“. Stendhal zabawne robi uwagi nad postępem sztuki kłamania, i cytuje rzeczy najoczywiściéj fałszywe pisane o Napoleonie. Daléj uważa on że: „Czytając historyą starożytną w młodości, serca zdolne do zapału, przywiązują się zwykle doRzymian, płaczą nad ich klęskami; pomimo niesprawiedliwości ich i tyranii dla sprzymierzeńców. Podobnego rodzaju uczucie nie pozwala nam pokochać innego wodza, skorośmy się wpatrzyli w Napoleona czynnego. W mowie innych wynajdujemy zawsze coś nieszczerego, coś udanego, co niszczy rodzące się przywiązanie. Jedyna namiętność, jaka mi pozostała, to miłość dla Napoleona, lecz to nie przeszkadza mi dostrzegać wad jego umysłu, i słabości które mu zarzucić można“. Mówiąc o korzystném stanowisku pisarza z roku 1860 (sam on pisał w roku 1845) dodaje, że brakować mu będzie jednéj nieocenionéj rzeczy, nie znał on swego bohatera, nie słuchał rozmów o nim trzy lub cztery godziny codziennie. Rzecz rozpoczyna się opisaniem żołnierzy, których Napoleon miał wodzić po całéj Europie. „Wtedy panowało w nas uczucie głębokie, którego dzisiaj śladu nie widać; uczucie nasze wewnętrzne skupiało się ciągle około myśli *być użytecznym ojczyźnie*. Reszta, t. j. odzienie, pokarm, awans, było dla nas nędznym i znikomym szczegółem. Nie było wtedy *towarzystwa* w Paryżu, więc i *sukcesa towarzyskie* rzecz główna w karyerze każdego Francuza, nie egzystowały dla nas; na ulicy oczy nasze łzami się napelniały czytając napisy na ścianach na cześć dobosza Barra, (który w trzynastym roku dał się zabić, nieprzestając bić w bęben dla uprzedzenia o niespodzianéj napaści“)· Od tego bohaterskiego pokoleuia przechodząc do Napoleona, autor twierdzi że: „On kochał Francyą, z calą słabością kochanka“. Kiedy niekiedy zdarza się Stendhalowi wypisać paradox, czasem nawet nonsens, lecz mnóstwo jest obserwacyi prawdziwych i bardzo trafnie dopatrzonych. Admiruje on to pomyślne otoczenie, w którém wyrosł Napoleon; jeżeliby się był urodził markizem, słyszałby naokoło siebie anegdotki o galanteryi, dysputy o pierwszeństwo, słowem same nędze. W Korsyce Paoli podtrzymywał walkę wcale niepospolitą, usiłowania tego wyższego człowieka były ciągłym przedmiotem rozmów Korsykanów. Nic miernego, nic małego, żadna próżnostka nie owładnęła była ludźmi otaczającymi kolebkę Napoleona. Gwardya narodowa wyspy liczącéj 180,000 mieszkańców wal-

czyła z Francyą, i opierała się wojsku z 25,000 ludzi. Portret pani Laetitii narysowany po mistrzowsku; w Korsyce egzystowało prawo straszne, podobne do sławnego *hors la loi* rewolucyi francuskiéj; kiedy Paoli zwrócił się do Anglików, zagroził pani Laetitii tém prawem; ona była wdową, nie miała nikogo ktoby ją bronił, kazała jednak odpowiedzić: że żadne niebezpieczeństwo nie skłoni ją do opuszczenia stronnictwa Francyi; majątek jéj był zniszczony, lecz ona nie ustąpiła, nie okazała wtedy żadnéj słabości, tak samo jak po upadku syna. Nie możemy iść do końca za Stendhalem, praca jego nierówna, niedokończona, lepiéj jednak pozwala odczuć Napoleona, jak lodowate i nienawistne fantazye Lanfrey'a, które tylu czytelników przyjmuje za historyą. Dusze pewnych ludzi podobne do zwierciadeł odbijających w karykaturze każdego kto w nie spojrzy, jeżeli Lanfrey pyszni się tém że Napoleon odbity przez niego wygląda jak karykatura, niczego to jeszcze przeciw Napoleonowi nie dowodzi.

Dawno już powiadają, że to tak łatwo nie napisać złej książki, jednakże niby nie tak rzeczy się mają. Polak, kryjący się pod pseudonimem Charles de Noir-Isle, na starość już poczuł chętkę dosiąść Pegaza. Heine dziękował Bogu za to, że Fryderyk Wielki złe wiersze pisał po francusku, było to szczęściem dla literatury niemieckiéj; my jako Polacy powinniśmy się cieszyć, że p. de Noir-Isle upodobał sobie wersyfikacyą francuską, rozpoczął on swój zawód niewielkim tomikiem poezyi, poświęconych chorobie córki, którą stracił; były tam rymy takiego rodzaju:

Laure rend
Tout ce qu'elle prend

Ale boleść rodzicielska tak jest poważną, nawet kiedy przybiera śmieszne formy, że wybaczono autorowi dziwactwo podobnych zwierzeń; a on za to postanowił niestety! tłómaczyć wielkich poetów polskich XIX wieku. Tłómaczenie to zdrada — powiadają Włosi; tutaj już nie zdradę ale parodyą znajdujemy. Najprzód Krasiński i Słowacki ulegli metamorfozie, która arcydzieła ich przekształciła na podobieństwo rymów karmelkowych, teraz przyszla koléj na Mickiewicza; mamy przed sobą część pierwszą Pana Tadeusza pod tytułem: *Monsieur Thadée, ou le dernier procès en Lithuanie sui generis.* Rozkoszny ten dodatek *sui generis*, jest prawdziwie odpowiedniém godłem na czele trzystu stronnic okaleczonego języka francuskiego. W miejscach, gdzie tłómacz zwątpił o swym gieniuszu, powtarza prozę Chrystyana Ostrowskiego. Nie śmiem dawać dużo cytat, ale kilka koniecznie dać potrzeba.

Kiedy bohater poematu wraca do domu rodzicielskiego, tłómacz wskazuje nam: „Un visiteur menant un char á deux cheveaux“. Jakby tu chodziło o rzymskiego Cezara; Tadeusz znajduje:

Porte close au verrou,
Mis a l‘éxterieur sans la moindre serrure;
Le jeune impatient ouvrant lui méme en fou
Sans attendre les gens entre par l‘ouverture.

Tłómacz nie objaśnia przez jaki otwór, można myśleć że chodzi tu o dziurkę od klucza. W portrecie Telimeny czytamy ta ki aforyzm:

Ainsi tout amoureux qui brule comme un cierge
Toujours aveuglement croit son amante vierge.

Wyraz *zrazy* tłómaczy się następną parafrazą:
Et l‘on offrit encore de la viande roulée par tranches
to znowu woli mówić: Le *bigos* est á point.

Jednak pomiędzy dwoma złemi tłómaczeniami, gorsze zawsze więcéj warte; jeżeliby antor nie tak źle władał językiem i łatwiéj dobierał rymy francuskie, mogliby sądzić niektórzy, że oryginał wiernie oddany; a teraz francuz zupełnie nieświadomy naszéj literatury, nie będzie mógł posądzić, aby podobna kakofonia, była chociażby najdalszém echem poezyi w całym kraju naszym za arcydzieło uznanéj. Przyjaciele autora powinniby zdaje się odwieść go od zamiaru dalszego pracowania na tym niewdzięcznym polu. Chcieć dać poznać cudzoziemcom znakomitych poetów naszych, i kazać tym poetom mówić jakimś najkomiczniejszym bełkotaniem; to błąd, którego nie usprawiedliwia naiwne złudzenie zaślepionéj miłości własnéj. Słyszałem kogoś żalącego się na to, że Bóg często odmawia wielkim poetom środków drukowania swych utworów, a udziela ich hojnie miernocie; lecz pewno rzadko kto tak źle użył pieniędzy jak p. de Noir-Isle, marnując je na drukowanie ulubionych sobie, ale trochę dziwnych rozrywek swoich. Jeżeliby nas traktował własnémi elukubracyami, nic byśmy mu zarzucić nie mogli, ale Krasińskiego, Słowackiego, Mickiewicza, przedstawiać światu jako współwinnych kaleczenia języka francuzkiego, i tworzenia dziwacznych obrazów, znaczy to prawie bezcześcić umarłych i obrażać dwa narody.

* * *

Od czasu wojny mamy corocznie wystawę w pałacu Przemysłowym na Polach Elizejskich urządzoną p. *Union centrale des Beaux Arts appliqués à l'industrie*; jest to ogromny bazar gdzie przypatrzyć się można postępom przemysłu. Wynosimy ztamtąd wrażenie, że żyjemy w wieku naśladownictwa; dzisiaj za niewielkie stosunkowo pieniądze można mieć dom urządzony wedle upodobania, w stylu renesansu, Ludwika XIII lub Ludwika XVI. Dzięki postępom metalizacyi można mieć tarczę Henryka II, sztylet Karola IX zrobione z gipsu, nikt nie dotykając nie odróżni ich od oryginału, doskonale zaś figurują one w trofeach broni. Odlewom gipsowym nadają pozór jakiego chcąc metalu: spiżu, porfiru, marmuru, starożytnego zielonego lub zupełnie czarnego bronzu, przedmiot tak metalizowany naturalnie nie ma trwałości metalu, ale służąc do ozdoby, opylany i oczyszczany trwa lata całe bez zepsucia. Płótna malowane do złudzenia naśladują gobeliny. Celem téj wystawy jest: „Podtrzymywać we Francyi uprawę sztuk mających na celu upiększenie rzeczy użytecznych; ażeby dopomódz przez to usiłowaniom ludzi przodujących w społeczeństwie, troszczących się o ciągły postęp pracy narodowéj, od szkoły i terminu aż do mistrzowstwa; i rozbudzić współzawodnictwo pomiędzy pracującymi nad rozpowszechnieniem u nas poczucia piękna.“ Reprodukcya mebli starych doszła do zadziwiającéj doskonałości, a cena tych tours de force rzemieślniczych codzień się zniża. Wystawy takie użytecznie zapełniają przedział między wystawami powszechnémi, dążącémi téż zdaje się do peryodyczności. Unia centralna wystawiła w tym roku jedyny w swym rodzaju zbiór najpiękniejszych staroświeckich tapiceryi (obić na ściany), francuskich i zagranicznych. Ustanowiono konkursa, jeden z nich przeznaczony wyłącznie dla kobiét, które tutaj stanowią całą osobną klasę artystek dekoratorek. Na konkurs ten może być przedstawiony przedmiot służący do jakiegokolwiek przemysłu wchodzącego w zakres sztuki, z warunkiem żeby kompozycya dekoracyi była przez kobiétę ułożona i rzecz przez nią samę zrobiona.

Rzeczpospolita robi powolności, do jakich nie przywykliśmy pod poprzednimi rządami. Prawie każdego wieczora w którymkolwiek punkcie Paryża, zbierają się zgromadzenia nazwane prywatnémi, ale to prawdziwe publiczne zgromadzenia. Nie widać tam ani słychać nieporządków tak zwyczajnych w klubach, szczególnie podczas oblężenia lub komuny; — nie znaczy to aby tam nie wnoszono dość dziwnych propozycyi; lecz dyskusya bywa najczęściéj rozsądna a zawsze spokojna. Widoczny to postęp w naszych obyczajach politycznych. Robotnicy zdają się téż rozumieć, że czcze wy-

razy i gadanina niczego dla nich nie wytworzą; dawniejsze kongresy socyalistów w Bruxelli i Lausannie, były głośném spiskowaniem przeciw napoleońskiemu cesarstwu; trochę prawdziwych pojęć i słusznych żądań mięszało się tam z taką mnogością dziwactwa, że nie można było tam dobić się do praktycznych rezultatów.

Kongres robotników niedawno odbyty w Paryżu, wyrzekł się zupełnie polityki; zapewne nie wszyscy robotnicy przyszli tam z prawdziwémi i jasnémi pojęciami o swych interesach, ależ i na kongresach uczonych ekonomistów, statystyków, etnografów—słyszeć można czasami rzeczy dość dziwne; dla czegoż więc mielibyśmy być surowszymi dla prostych robotników, aniżeli dla ludzi uczonych z profesyi?—Na kongresie, robotnicy zajmowali się tylko nędzą swego stanu i środkami które jéj zaradzić mogą; bezstronny obserwator musi im przyznać, że mają wśród siebie wiele ludzi zdolnych, że ulepszeń społecznych szukają dzisiaj w daleko lepszym i skuteczniejszym kierunku aniżeli dawniéj. Zdarzały się sceny burzliwe, trudno ich uniknąć w zgromadzeniach obradujących; ale czyż one nie zdarzają się w parlamentach? Robotnicy nie szukają już dzisiaj jedynego, ogólnego, cudownego lekarstwa, a starają się specyalizować swe badania, i coraz ściśléj trzymają się we właściwych sobie granicach.

Kongres pierwszą sesyę odbywał 2 października, na ulicy Arras w sali gdzie się zwykle odbywają zgromadzenia demokratyczne. Reprezentanci prasy, szczególnie angielskiéj licznie się tam zgromadzili.

Pierwszy mówca P. Guillon powiedział, że celem kongresu jest wskazać klasom kierującym społeczeństwem, a ciągle spierającym się o władzę, że w kraju ogromna część ludności pragnie nadewszystko reform, że nimi i nią zajmują się zbyt mało. Delegowanych wybierały korporacye, było ich 105 z departamentów a 255 z Paryża, jeden z mowców obliczał, że delegowani przedstawiali milion sto tysięcy robotników.

Na drugiéj sesyi przystąpiono do kwestyi *pracy kobiet* w naszych niezmiernych miastach, tak trudno im uczciwie zarabiać na życie. P. Dauthier wypowiedział kilka słów z serca prosto do serc idących, opisywał on nędzę robotnicy krzątającéj się koło gospodarstwa domowego, po całodziennéj pracy w fabryce. „Wstaje ona pierwsza, a kładzie się ostatnia; cała rodzina już śpi a ona czuwa bo nie chce spocząć, póki nie skończy téj drugiéj swojéj roboty.“ Każdemu to w oczy bije, że kobiéta nie może spełniać swych obowiązków kiedy na 12 do 13 godzin musi z domu wychodzić, że w tém leży przyczyna słabego węzła rodziny i upadku znaczenia życia

rodzinnego. Mówca szukając przyczyn niskich zarobków kobiét wskazuje na konkurencyą klasztorów i więzień. Zakonnica lub kobiéta w więzieniu nie opłaca mieszkania, jedzenia, opalu i oświetlenia, i dla tego może swą robotę dawać za tańszą cenę aniżeli kobiéta z ludu. Jeden z wielkich magazynów Paryża ogłaszał, że bieliznę szyje nie na machinach ale ręczną robotą, bo 150 klasztorów wyłącznie dla niego pracuje. Zakonnice odpowiadają, że jeżeliby nie robiły ręcznych robót zarzucanoby im próżnowanie; tak to kwestye społeczne jedna drugą komplikują. Wprawdzie za dawnych czasów zakonnicy w klasztorach podejmowali się robót uciążliwych, których nikt inny robić nie chciał; budziło to dla nich powszechne uwielbienie a nie zawiść. Dzisiaj kiedy praca ludzka głównie się ku przemysłowi zwróciła, mogłyby klasztory wyszukiwać dla siebie roboty trudniejsze, niebezpieczniejsze, od których robotnicy się usuwają; pozostałyby przez to wierne swym tradycyom i duchowi; kongresa katolickie roztrząsając podobne zadania silnieby się przyczynić mogły do przezwyciężenia w ludzie francuskim niechęci do katolicyzmu.

Kobiéta znowu wskazywała, że mężczyzni biorą się do robót kobiecych, i obliczała szczegółowo co zarabia dziennie najpilniéjsza robotnica; cyfry te smutnie są wymowne, rzadko kiedy robotnica może zarobić więcéj jak 25 do 30 *sous* (od 2 do 3 złotych). Pani Raoult twierdzi, że stowarzyszenia robocze mogłyby jedynie na to co poradzić. Późniéj mówiono o dzieciach, robotnica nie może sama karmić dziecka, nowonarodzone oddają wieśniaczkom, a lud nazywa te wieśniaczki *wyrobnicami aniołków*. Z liczby nowo-narodzonych wywożonych z Paryża, 60% nie przeżywa pierwszego roku, w niektórych gminach cyfra ta dosięga 90%.

Dawniéj parlament angielski zażądzał był śledztwo parlamentarne o pauperyzmie w Anglii, tutaj sami ubodzy i nędzarze prosto do publiczności przemawiają, przejdźmy więc do proponowanych lekarstw. Robotnicy domagają się urzędowego uznania syndykatów korporacyjnych egzystujących już dzisiaj prywatnie, i wolności stowarzyszania się. Oklaskami przyjęto mówcę Bonne kiedy na sesii 4 października mówił: „Nie mam zamiaru przypuszczać szturmu do kapitału, owszem wyznaję i twierdzę, że kapitał i praca solidarnie z sobą związane; żądamy jedynie aby nam słabszym dozwolono dojść przez stowarzyszenia do rozporządzania kapitałem.

Na sesii 6 października p. Desmoulin miał bardzo ciekąwą mowę o uczniach rzemieślniczych i nauczaniu profesyonalném. Dawny system uczenia rzemiosł dzisiaj już znika, a nauka profesyonalna jeszcze nie urządzona, w przejściu pomiędzy tymi

dwoma systematami siłę roboczą przemyslu stanowią robotnicy już w pewnym wieku, lecz w miarę znikania tych reprezentantów starych tradycyi nie wiadomo kim ich zastąpić. Nie mogę nawet w streszczeniu dotknąć wszystkich badań ekonomicznych, które kongres poruszył, bo by to nas do obszernéj rozprawy doprowadziło. Były głosy psujące harmonią, lecz kongres taki nie ma siły prawodawczéj, a tém bardziéj głosy pojedyncze mało mają znaczenia; nie należy obwiniać całego zgromadzenia, za kilka nieszczęśliwych wyrażeń które się komuś wymknęły, i nie należy za to potępiać robotników, nazywając ich socyalistami. Zresztą socyalizm to tylko wyraz, oznacza on reformę społeczną, a któż utrzymywać zechce że społeczeństwa nasze są doskonałe? Prawda że socyaliści dużo już bredzili, ale badacze nawet zbłąkani, często bywają pożytecznymi; można ich porównać do podróżników szukających źródeł Nilu w rozmaitych stronach, i ci którym się nie powiodlo nie mniéj są pożyteczni następcom, bo zaoszczędzają im nowych zawodów. Niektóre szkoły socyalistów zamącają samo pojęcie ojczyzny w głowach robotników, najnieszczęśliwszy frazes wypowiedziany na kongresie brzmiał dość dziko: „Cóż nas obchodzić może że Francya będzie mniejszą albo Niemcy większe." Ale wykrzyknik ten wywołał hałaśliwe protestacye. Klęski 1870 roku ożywiły w masach ludu słabe bardzo przedtém pojęcie o ojczyznie—dzisiaj wszycy robotnicy z małymi bardzo wyjątkami, czują że sprawa narodowa ma pierwszeństwo przed sprawą garnka kuchennego. Zarzucano kongresowi, że rozstrząsał kwestyą: czy nie należy aby robotnicy byli reprezentowani w parlamencie.

Czyż nie mamy w senacie prostych wyrobników? Robotnicy mają prawo stawić z pomiędzy siebie kandydatów jeżeli się im tak podoba; ich też jest obowiązkiem dowieść, że mają dostateczne do tego zdolności. Mówią o interpelowaniu gabinetu, dla czego dał taką swobodę kongresowi — ministrowie łatwo dowiodą że postąpili sobie w téj mierze roztropnie. Zgromadzenie to poruszyło kwestye koniecznie domagające się studyów i badania; porządek nie był naruszony, a rząd wyrzekłszy się systematu represii nie potrzebował srożyć się. Klasy rządzące nie unikną niebezpieczeństw połączonych z bogactwem i władzą, jeżeli jak strusie głowy pod skrzydła chować zechcą, lub zamykać będą usta przeciwnikom, owszem powinne ich wysłuchiwać uważnie. Najłatwiéj usunąć urojone wymagania biorąc inicyatywę reform, i smiało a umiejętnie przeprowadzając zmiany słuszne i możebne. Syndykaty robotników niezawodnie otrzymają sankcyą legalną; egzystują one już dzisiaj, ale są tylko tolerowane, robotnicy w skład ich wchodzący

mogliby być powołani do sądu jeżeliby się tak rządowi podobało. Trudniéj daleko rządowi wyrzec się praw ograniczających swobodę stowarzyszania się i zgromadzania się. Zawsze jednak stary system stanowczéj odmowy, zastąpiony będzie systematem stopniowych koncesyi, które jedne mogą zapopiedz nagłym wstrząśnieniom społecznym; więc kongres robotników był użytecznym. Co do stanowiska kobiet i roli w społeczeństwie, o którą tak ożywione wiodą się spory; coraz to szersze koła uznają, że zakres właściwych im czynności może być znacznie rozszerzony, chociaż nie mają one przeto wyrzekać się swéj natury. W praktycznéj Anglii, znakomici ekonomiści uznawali że należałoby kobietom przyznać prawa polityczne; na kongresie radzono tylko o tém jak dać kobietom lepszą opiekę, jak ustrzedz je od nędzy i pokus; robotnicy zdają się przychylać do opinii, że kobieta nie może być wiecznie skazana na stanowisko bierne, że i jéj przystoi wypowiedzieć co cierpi i czego żąda; że byłoby rzeczą słuszną i pożądaną iżby robotnice stowarzyszały się i pomagały sobie wzajemnie. Robotnicy dyskutujący o tém co może los ich polepszyć, lepiéj się zasługują społeczeństwu aniżeli pijący w szynkowniach lub na los swój narzekający; robotnica usiłująca energicznie wyrwać się z nędzy, i uniknąć występku, lepiéj robi niż kiedy nad losem swym łzy bezskuteczne wylewa; lepiéj jest starać się przezwyciężyć złe, aniżeli się mu poddawać, i ubodzy niewątpliwie mają prawo stosować do siebie przepis ewangelii: szukajcie a znajdziecie.

WYJĄTKI ZE ZBIORU AUTOGRAFÓW WŁ. G.

w Żytomierzu (1).

1. Niewydany wiersz Antoniego Malczewskiego.

O jak przykro do swoich wracać bez nadziei!
Toczy się hucznie powóz w znajoméj kolei,
Mija znane przedmioty, ojczyste zagony,
Ale widok ich dla mnie kirem osłoniony.—
Ach czemuż tak jak dawniéj o szczęściu nie marzę?
Gdzież te co się tak lubo uśmiechały twarze?
Gdzież te serca co czuły każde mego bicie?
Znikły—przez chwilę tylko ozdobiły życie.—
Jak promień co z obłoków na samotne góry
Błyśnie, i znów go skryją wiatrem gnane chmury—
Teraz cicho—żadne mnie nie witają głosy—
Tylko wiatr jęczy smutnie uginając kłosy.

---

(1) Właściciel bogatego zbioru autografów w Żytomierzu pan W. G., uprzejmie przyrzekł nam dostarczać ciekawych a nieznajomych publiczności urywków rękopiśmiennych rozmaitych autorów i znakomitych ludzi dawniejszych czasów. Rozpoczynamy od ogłoszenia wiersza Ant. Malczewskiego, i listu X. Biskupa Krasickiego, który chociaż ważnym nie jest, ale nie mniéj ciekawy jako próbka dowcipu biskupa-poety, w domowych, rodzinnych jego stosunkach.

P. R.

2. List ks. Ignacego Krasickiego biskupa Warmińskiego, do synowca Ignacego Krasickiego.

W Berlinie, 6 stycznia 1787 r.

Attencya WMPana była mi bardzo miła, oznacza czułość jego, y mimo brzuch y karczystość y pleczystość y łyczystność żeś rzeski i skory. Święty Franciszek Borgyasz (jak powiadają Jezuici) miał dyameter brzucha na trzy stopy i puł, a według powieści cyców Dominikanów Święty Tomasz z Akwinu przewyższył go na pułtrzecia cala. Choćbyś więc brzucha nie stracił, y owszem choćby jeszcze więcéj spoważniał, nie frasuy się na ogromność, a zrób ją przykładem na ówczas y usprawiedliwieniem przeciw tym którzy jéj uwłaczają. Naypierwsze jey dwa puklerze ja y oyciec, jeszcze nam nicht nie zadał żeśmy źli albo głupi.

Zdała mi się nie od rzeczy ta dyssertacya stosowana do pirożnego Dubiecka, gdzie niegdyś słyszałem wielokrotnie powtarzany ten odgłos: Woyciechu! kiełbasa dla Jeymości, pirogów dla Jegomości! Woyciechu zrazów dla Pana Jana—Woyciechu! kaczkę dla Pana Ignacego—Woyciechu! jędyka dla Pani Miecznikowey!—Woyciechu! kotletów dla Pani Starościny! — Woyciechu! kurczęta dla Panny Anny—Woyciechu! podpłomyków dla Xawerka—Woyciechu! Woyciechu! Woyciechu! od rana aż do północy.

Czy więc Woyciech odpocznie czy nie odpocznie, jedz, pij, to przywiley młodości, a umiey korzystać z szczęśliwey pory, na co po większey części młodzież niepamięta, pięknie to będzie dla WMPana, że się staniesz excepcyą od powszechney a zbyt fatalney reguły; miło to będzie dla nas starych, odmładzać się w szacownych następcach.

Szczerze kochający stryj,

I. Krasicki.

Na adresie podpisano:

A Monsieur
Monsieur le Comte Ignace Krasicki.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowo-odkryta siła.

Gdy przeważna liczba uczonych sili się wytłómaczyć wszystkie dostępne dla naszych zmysłów zjawiska za pomocą sił już znanych, oraz ich rozlicznych kombinacyj, inni wciąż jeszcze istnienie nowych sił przypuszczają, dając do zrozumienia, że w treści i sposobie ich objawów szukać należy objaśnienia wielu faktów niewytłómaczonych. Chociaż nikt na pewno mówić nie może, że znamy już wszystkie siły, że oprócz ciążenia, ciepła, elektryczności i t. d. nic już w grę zjawisk świata nie wchodzi; to jednak stronników ostatniego poglądu jest nadzwyczaj mała; prawdziwie wyjątkowa liczba pomiędzy uczonymi, ponieważ dotąd nauka nie czuje pozytywnéj potrzeby szukania nowych sił, gdy wszystkie stosunki sił znanych nie są jeszcze wszechstronnie zbadane i gdy nie ma pozytywnie ustalonych dowodów, że pewne stosunki, czy pewne strony niezbadane sił znanych, nie będą zdolne dać nam dostatecznego pojęcia o faktach dotychczas niezrozumiałych. Pomimo to, jakeśmy wspomnieli nie można wyłączyć a priori istnienia nowych sił, do których percepcyi dotąd nie byliśmy przygotowani,—nie ma bowiem dostatecznego dowodu, ażeby nie istniały. Względem więc wszelkich badań dążących do odkrycia i zbadania nowych sił, musimy się zachowywać zupełnie objektywnie i bezstronnie—jeżeli naturalnie nie są przedsiębrane przez szarlatanów. Rola taka przystoi głównie sprawozdawcy i dla tego też uważamy za stosowne podać wiadomość o ;,nowo odkrytéj sile,“ wstrzymując się od wszelkiéj krytyki, lecz jednocześnie podając ją z wszelkiemi zastrzeżeniami.

Nową tę siłę odkrył Edison i nazwał ją „siłą eteryczną“ (etheric force). George Beard opisał ją w naukowém czasopiśmie „The Quarterly Journal of Science etc.“, wydawaném przez znanego chemika Williama Crookes'a (N. L. kwiecień 1876 stron. 178—291). Niniejszą wiadomość podajemy według tego sprawozdania.

Do otrzymania *siły eterycznéj* potrzeba tylko strumienia galwanicznego znacznéj siły, przerywanego przyrządem sygnałowym (takim jakiego używają telegrafiści) i przepływającego przez niezbyt wielką wężownicę (spiral) z cienkiego drutu. Dla nagromadzenia siły potrzeba w poprzek końca wężownicy, lub w jéj wnętrzu, umieścić kawałek żelaza, kadmu, lub węgla drzewnego. Przyczepiwszy do tego kawałka metalu lub węgla drut miedziany albo żelazny, mamy przewodnik, za pomocą którego możemy siłę przeprowadzić do ziemi, przez rurę gazową, lub jakikolwiek inny przedmiot będący dobrym przewodnikiem. Edison twierdzi stanowczo, że do gromadzania nowéj siły najlepiéj jest używać kadmu, gdyż metal ten zbiera jéj więcéj niż inne; Beard jednak dodaje, że ani robił, ani widział doświadczeń nad porównawczém przewodnictwem różnych metali i dla tego też wstrzymuje się od wyrażenia własnego o tém zdania.

Strumień galwaniczny, jakeśmy wspomnieli, powinien być dość silny. Stosownie do wielkości wężownicy, wielkości ogniw stosu i stężenia roztworów kwasu, trzeba użyć 5, 10, 15, a nawet 20 par Bunsena. Prawdopodobnie i przy słabszym strumieniu rodzi się siła eteryczna—ale ilość jéj nie jest wtedy tak znaczna, aby mogła dać widoczne objawy. Przerywanie strumienia może być częste i rzadkie; w tym ostatnim jednak przypadku, najwyraźniejszy objaw siły eterycznéj, iskra, pojawia się tylko przy przerywaniu obwodu, po którym prąd płynie. Nadto koniecznym warunkiem rozwoju nowéj siły jest *gwałtowne* przerywanie strumienia.

Przy badaniu nowéj siły prawie niezbędném jest użycie skrzynki zamkniętéj, ciemnéj gdyż nie zawsze udaje się otrzymać iskrę widzialną przy świetle dzienném. Do tego celu służyć może jakakolwiek skrzynka, z otworem w dnie górném. Przez dwie przeciwległe ściany boczne przeprowadzają się dwa przewodniki zakończone węglami zaostrzonemi, leżącemi pod otworem górnym. Jeden węgiel łączy się z kawałkiem żelaza lub kadmu nagromadzającego siłę, drugi zaś z rurką od gazu lub innym przewodnikiem. Węgle powinny być w ten sposób umieszczone, żeby je można było przybliżać i oddalać, stosownie do natężenia siły. Można jednak i w świetle dzienném zobaczyć iskrę; a mianowicie na rurce od gazu

na innym przewodniku o chropawéj powierzchni: atoli muszą one być umieszczone w cieniu.

Zbadane dotąd właściwości siły eterycznéj są następujące:

1) Iskra daje się otrzymać nawet z przewodników połączonych z ziemią lub z wielkiémi masami metalicznémi.

2) Ciało człowieka jest przewodnikiem dla siły eterycznéj choć nie tak dobrym jak metale. Człowiek stojący na izolatorze, po wypuszczeniu z ręki przewodnika, doprowadzającego doń siłę eteryczną, nie jest nią naładowanym: nie można z niego wydobyć iskry palcem lub metalem.

3) Siła przepływając przez ciało człowieka nie okazuje żadnych widocznych wpływów fizyologicznych: człowiek nic a nic podczas tego nie czuje,—nie odbywa się ani kurczenie się mięśni, ani drżenie, ani włosy się nie jeżą;—jedném słowem nie ma ani jednego z owych objawów fizyologicznych, które wywołuje elektryczność.

5) Znaczna ilość owéj siły wywołuje kurczenie się łapki żaby, ale tylko wtedy, gdy do otrzymania siły służy cewka Rhumkorfa. W przeciwnym razie kurczenie się mięśni nie następuje, choć wywołać je można działaniem elektryczności z jednéj pary stosu Bunsena, przezwyciężającéj opór około 35 tysięcy mil (angielskich) drutu żelaznego. Jednakże choć łapka nie kurczy się, nowa siła bez wątpienia przechodzi przez nią, gdyż koniec przewodnika daje iskrę.

Rozmaite formy elektryczności fizyk wykrywa za pomocą elektroskopu, butelki lejdejskiéj, galwanometru, elektrometru, elektrolizy działania fizyologicznego, objawów światła, ciepła i ozonizowania powietrza. Siła eteryczna, o ile ją dotąd zbadano, nie oddala listków elektroskopu, nie ładuje butelki lejdejskiéj, nie porusza czułéj strzałki galwanometru lub elektrometru Tomsona, nie rozkłada jodku potasu, nie wywołuje żadnego widocznego wpływu w nerwach ruchowych i czuciowych, w mięśniach lub innych tkankach ciała ludzkiego; nie zawsze nawet działa na żabę galwanoskopijną—tak czułą na najmniejsze ilości elektryczności. Działania siły eterycznéj na kalorymetr jeszcze nie zbadano dostatecznie.

Za oznakę tedy obecności nowéj siły w przewodniku, służyć dotychczas może tylko światło widzialne w iskrze, oraz niekiedy skurcz mięśni żaby.

Wszystkie zjawiska zgodnie dowodzą, że siła ta nie jest *polarną*, chociaż, być może, iż tak jak światło, zdolna jest do polaryzacyi przy odpowiednich szczególnych warunkach. Nic dotąd

nie dowodzi, aby płynęła zamkniętym prądem: wydobywamy ją z przewodnika tak jak gaz z rurki, jak ciepło z pieca. Nie ma ona przeważnéj dążności do płynięcia ku ziemi, tak jak elektryczność; i owszem, wcale nie przenosi ziemi nad inne przewodniki; jeżeli przyrząd wywiązujący siłę eteryczną jest połączony wprost lub za pośrednictwem rur gazowych z ziemią, to jednak można wydobyć iskrę z każdego punktu rurki lub drutu przyprowadzającego siłę do ziemi. Przechodzi ona w człowieka lub w metal, zbliżony do przewodnika przeprowadzającego ją do ziemi. Nic z tego wszystkiego nie przedstawia żadna forma elektryczności;—wszystkie one zachowują się wprost przeciwnie.

Edison i Beard starali się zjawiska powyżéj opisane sprowadzić do objawów sił dotąd znanych, ale to im się wcale nie udało;—i owszem podczas tych usiłowań przekonywali się coraz bardziéj, że to jest odrębna siła, *gdyż wszelka znana forma elektryczności, dająca iskrę, tak jak nowa siła, przedstawiałaby wszelkie właściwości elektryczności, a mianowicie wywoływałaby wyraźne działanie fizyologiczne i okazywałaby wszelkie oznaki polarności.*

Edison nazwał nową siłę „eteryczną“ z powodu jéj dążenia do rozchodzenia się w rozmaitych kierunkach. Według niego siła eteryczna jest więcéj zbliżona do ciepła aniżeli do elektryczności, albo też zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy dwiema temi siłami. Beard zaś przypuszcza, że jest to siła promienista, stojąca w pośrodku pomiędzy światłem i ciepłém z jednéj strony, a magnetyzmem i elektrycznością z drugiéj—i okazująca niektóre właściwości wszystkich tych sił.

Zasługę odkrycia (?) nowéj siły dzieli z Edisonem Houghston profesor w Filadelfii, który już w r. 1871 wspominał w pewnym artykule o téj nowéj iskrze. Że jednak zaszczyt odkrycia nie przypisuje się zwykle pierwszemu obserwatorowi, lecz temu, który bliżéj zagadkę zbadał i nadał jéj rozgłos, więc w razie sprawdzenia się nowości, odrębności i samoistności siły eterycznéj, za odkrywcę jéj poczytywany będzie Edison, choć dopiero 22 listopada 1875 r. poraz pierwszy widział jéj iskrę.

Działanie światła na selen. — Oko sztuczne.

P. C. Wiliam Siemens miał w Royal Institution odczyt o działaniu światła na selen, w którym zawarł wszystkie główniejsze i najbardziéj uderzające strony tego zjawiska. Zakończył go opisaniem oka sztucznego swego własnego wynalazku, budzącego interes nie-

tylko w sferach naukowych, lecz nawet w kołach nic z niemi nie mających wspólnego. Podamy treść tego odczytu.

Promień światła padając na krajobraz lub na dzieło sztuki, w jednéj chwili okazuje nam ich kształty, — lecz gdy zostanie zasłonięty, formy widziane jakby zniknęły zupełnie. Krajobraz i dzieło sztuki pozostają zawsze tém czém były, i mogą się znowu oczom naszym objawić, z całą swą pięknością, jaką im dają światło, cienie i kolory. Zdaje się więc jakoby działanie światła było tylko przelotném, powierzchownem; zdaje się, że ono nie wywiera żadnego wpływu trwałego na stan materyalny ciał, roztoczonych przed naszemi oczyma; zdaje się, że ono najmniéj ze wszystkich sił przyrody wnika w ciała i zmienia ich skład wewnętrzny. Cóż więc dziwnego, że natura światła była bardziéj zagadkową od natury innych sił i że nawet wielki Newton zawołał pod wpływem zniechęcenia: „*Nil luce obscurius!*“ nic nie ma ciemniejszego od światła.

Jakże wielki kontrast stanowi ta skromność geniuszu, który najwięcéj tajemnic światła rozjaśnił z zarozumialstwem jego przeciwników i krytyków, takich np. jak Goethe. Autor Fausta nie poprzestając na tém, że był wielkim filozofem i poetą, niezadowolony tém, że tak jasno czytać umiał w sercach ludzkich, zapragnął jeszcze zasłynąć w nauce i okazał się dumniejszym, że swoich błędów, jakie wypowiedział o naturze światła, niż ze swego Fausta i Mistrza Wilhelma. W jego „Farbenlehre“ znajdujemy następującą aluzyą do powyżéj cytowanych słów Newtona:

Es sprach ein grosser Physicus
Mit seinen Schulvervandten
Nil luce obscurius!
Ja wohl—für Obscuranten.

(Mówił wielki fizyk ze swymi zwolennikami: *nil luce obscurius!* —Prawda—lecz tylko dla obscurantów).

Jednakże w naszych czasach nauka weszła na trop wpływu światła na ciała stałe, a najlepszym dowodem stałych zmian dokonywanych przez światło w ciałach, jest fotografia, polegająca na więcéj lub mniéj głęboko sięgającym rozkładzie soli srebra, wywoływanym przez jaskrawe lub łagodniejsze promienie słońca. Inne działanie światła na ciała stałe, przedstawiają nam tak zwane sole fosforyzujące. Gdy związki te wystawimy na wpływ światła, a potém przeniesiemy je do ciemności, to one świecić w niéj będą rozmaitemi barwami. Co więcéj, można powiedzieć, że światło

jest najpotężniejszą siłą natury, gdyż okrywa ziemię ziołami i drzewami wszelkich gatunków. Bez niego świat roślinny nie mógłby istnieć. Wprawdzie grzyby rosną w ciemności, która nam się wydaje zupełną, i w ostatnich czasach dr. Higgs przedstawił światu uczonemu grzyb rosnący w głębiach jaskiń hrabstwa Derby, w największéj ciemności; a rozbiór tego grzyba przekonał, że nie zawiera on wcale włókien drzewnych, czyli stałych związków węgla, gdyż tylko światło może z kwasu węglanego powietrza wydzielić węgiel w stałéj formie. Prawda, dodaje Siemens, że i ciepło może rozłożyć kwas węglany, ale Bunsen i Deville wykazali, że do tego potrzebna jest temperatura 2,500°, a więc taka, którąby natychmiast zepsuła wszystkie tkanki organizmu roślinnego.

Wpływ światła na selen o wiele się różni od wpływów dopiero co wymienionych. Zanim się bliżéj nad nim zastanowimy, podamy krótką wiadomość o samym selenie.

Selen jest ciałem nie złożoném, czyli pierwiastkiem. Odkrył go Berzelius w 1817 r. w pirycie żelaznym. Jest topliwy i palny a wielu własnościami swemi zbliża się do siarki, fosforu i telluru. Chemicy nie zdecydowali się jeszcze na jego miejsce w rzędzie pierwiastków, i zostawili go wraz z innémi ciałami, na granicy metaloidów i metali. Po stopieniu (przy 217° C) i nagłém oziębieniu przedstawia się w postaci masy brunatnéj bezkształtnéj (amorfnéj), z odłamem muszlowym, będącéj złym przewodnikiem elektryczności, podobnie jak siarka i fosfor. Gdy pałeczkę takiego selenu amorfnego wystawimy na działanie temperatury 100°, to spostrzeżemy, że w strukturze tego ciała zaszły ważne zmiany: odłam jego nie będzie już muszlowym, lecz krystalicznym, a przewodnictwo dla elektryczności ze złego zamienia się na lepsze, choć jeszcze bardzo słabe, tak, że potrzeba silnego stosu i nader czułego galwanometru, aby skutek był widoczny.

W lutym 1875 r. p. Willoughby Smith doniósł towarzystwom inżynierów telegraficznych, że pałeczka selenu krystalicznego, taka jakiéj używają od pewnego czasu w telegrafii, gdy zachodzi potrzeba użycia silnych oporów, stawia mniéj oporu strumieniom stosu, jeśli była wystawiona na światło, aniżeli wtedy, gdy była trzymana w ciemności. Wiadomość tę z początku przyjęto z pewną dozą niedowierzania. Miałożby proste, powierzchowne działanie światła na ciało stałe zmieniać w jednéj chwili jego stan wewnętrzny do tego stopnia, aby pomiędzy cząstkami jego otworzyło dla przejścia prądu elektrycznego bramy, zamykające się, gdy światło działać przestanie? Jednakże fakt ten zupełnie stwierdzony został przez Rosse'a i Sale'a.

Dość długo odkrycie to pozostawało bez rozgłosu i dopiero przed rokiem mniéj więcéj, zajęło się nim dwóch badaczy, zupełnie niezależnie jeden od drugiego.

Dr. Werner Siemens, nadał selenowi używanemu do doświadczeń taką formę, że można go poddawać, maximalnemu działaniu światła; i w skutek tego zamiast posługiwania się stosami bardzo energicznymi i nader czułymi galwanometrami, można otrzymać wyraźne rezultaty przy użyciu jednego tylko ogniwa Daniell'a, oraz i galwanometru zwyczajnego. Budowa tego elementu selenowego jest następująca. Dwa cienkie druty żelazne lub platynowe, zwinięte na końcach spiralnie, kładą się na blaszkę miki w ten sposób, żeby jeden był objęty przez drugi, ale żeby się z sobą w żadném miejscu nie stykały. Następnie na tak zbliżone druty spuszcza się kroplę roztopionego selenu, który wypełnia próżne miejsca pomiędzy skrętami obu drutów, i przed zastygnięciem selenu nakłada się na wierzch drugą blaszkę miki, nadającą moc całości, Mamy więc tym spotobem dwa druty metaliczne podzielone cienkiemi słojami selenu. Końce drutów wychodzące na zewnątrz tego elementu selenowego, służą do połączenia go z drutami idącymi od stosu.

Jeśli użyjemy do doświadczeń elementu z selenem *amorfnym*, umieszczonego w ciemności, to przy sile jednego ogniwa Daniell'a strzałka galwanometru nie okaże żadnego zboczenia. Jeśli puścimy następnie wiązkę światła na element selenowy, to zobaczymy, że i w tym razie strzałka galwanometru nie wyjdzie ze swego pierwotnego położenia. Okazuje to, że selen amorfny jest złym przewodnikiem elektryczności, zarówno w ciemności jak pod wpływem światła. Jeśli jednak element taki pozostawimy przez godzinę w gotującéj się wodzie (temperatura 100°) i następnie ochłodzimy go powoli, to ze zmianą stanu amorfnego na *krystaliczny* zmieni się też sposób zachowania selenu. Gdy przez element umieszczony w ciemnéj skrzynce przepuszczać będziemy prąd elektryczny, strzałka galwanometru zboczy cokolwiek jeśli skrzynkę otworzymy, tak, że na selen padnie światło, zboczenie stanie się większém. Gdy zamkniemy znów skrzynkę, zboczenie zmniejszy się, lecz dojdzie do poprzedniego stanu, gdy znowu światło wpadnie na selen.

Bądź co bądź selen trzymany w temperaturze 100 stopni i powoli oziębiony jest słabym przewodnikiem, a przewodnictwo jego cokolwiek się powiększa pod wpływem światła. Werner Siemens spostrzegł nadto, że przewodnictwo tego selenu powiększa się coraz temperaturą, a więc, że pod tym względem jest podobny do siarki,

siarków metali i t. d. Odmianę tę nazwał *pierwszą modyfikacyą selenu, elektrolityczną.*

O wiele silniejszym przewodnikiem jest *druga metaliczna modyfikacya* selenu. Otrzymuje się ją przez kilkogodzinne trzymanie selenu w temperaturze 210⁰ i powolne następnie ochładzanie. Po takiém traktowaniu przewodnictwo selenu nie powiększa się już z podwyższaniem temperatury, lecz w miarę jéj zniżania, i pod tym względem odmiana ta jest podobna do metalów. Modyfikacya ta przeprowadza elektryczność daleko lepiéj aniżeli piérwsza i tak jest czuła na działanie światła, że przewodnictwo jéj w świetle słoneczném jest piętnaście razy większe aniżeli w ciemności. Widać to z następującéj tablicy:

	Przywodnictwo względne		Opór
	zboczenie strzałki	stosunek zboczeń	
1. Ciemność	32	1	10,070,000
2. Światło rozproszone	110	3,4	2,930,000
3. Światło lampy . .	180	5,6	1,790,000
4. Promienie słońca .	470	14,7	680,000

Krążek selenowy jest także czuły na barwy. Każda inaczéj działa na jego przewodnictwo. Następujące liczby okazują stosunkowe zboczenia igły galwanometru. Światła barwne są otrzymane z widma jednéj i téj saméj lampy parafinowéj, za pomocą pryzmatu z siarkiem węgla. Promienie ultrafioletowe 139; fioletowe 148; niebieskie 158; żółte 178; czerwone 188; ultraczerwone 180.

Gdy światło to działa przez czas dłuższy na czuły krążek selenowy, to ten ostatni okazuje pewnego rodzaju znużenie, objawiające się w powolnym powrocie strzałki galwanometru ku zeru. Znużenie to ustępuje, gdy krążek jest przez kilka godzin trzymany w ciemności, ale zupełna czułość jego pierwotna powraca dopiero po kilku dniach takiego odpoczynku w ciemności.

Za każdym razem, gdy nowe odkrycie naukowe zostanie dokonane, ludzie praktyczni zadają pytanie: „jaki ztąd użytek?" Nie wiedzą oni widocznie że każde powiększenie naszych wiadomości jest użytecznėm w praktyce i że prędzéj czy późniéj znajdzie zastosowanie. Gdy spostrzeżono wpływ światła na selen, niktby się nie spodziewał, że na téj zasadzie bardzo pożyteczny przyrząd może być oparty, a jednak wkrótce po zauważaniu tego zjawiska zastosowano je do budowy bardzo praktycznego fotometru czyli światłomierza. Urządzenie fotometru tego bardzo łatwo jest pojąć. Dowiedziono że działanie światła na przewodnictwo selenu jest proporcyonalne do pierwiastku kwadratowego natężenia światła. Wiadomo daléj, że natężenie światła zmienia się w odwrotnym stosunku kwadratów z odległości,—wypada więc ztąd, że stosunek

kwadratów z odległości (przy równych skutkach) określa stosunek natężenia świateł.

Jeśli tedy ustawimy dwa światła, normalne i dane do zmierzenia, tak, aby działając na krążek selenowy sprawiały jedno i to samo odchylenie strzałki galwanometru, to w takim razie z odległości tych świateł od krążka, będziemy mogli zmierzyć ich natężenie.

Metoda ta daje zupełnie ścisłe wypadki dla światła białego; mierząc światla kolorowe trzeba użyć rozmaitych środków ostrożności.

Drugiém z dotychczas dokonanych, nadzwyczaj ciekawém zastosowaniem wpływu światła na selen, jest oko sztuczne, wynalezione przez Wernera Siemens. Aparat ten jest złożony z kulki szklannéj, mającéj z przedniéj strony okrągły otwór, któremu podobny z tylnéj odpowiada. Otwór przedni jest zasłonięty soczewką dwuwypukłą, a tylny zatyczką ruchomą opatrzoną w krążek selenowy połączony z galwanometrem i ogniwem Daniella'a. Soczewka jest zasłonięta dwoma ekranami na podobieństwo powiek kulka szklanna przedstawia gałkę oczną, selen siatkówkę. Jeżeli postawimy przed soczewką ekran biały i skierujemy nań światło elektryczne, to po otworzeniu powiek igła galwanometru nagle się odchyli; gdy ekran będzie czarnym, ruch strzałki galwanometru po otwarciu powiek zaledwie da się zauważyć. Ekran niebieski sprawi małe zboczenie, żółty większe, a największe (po białym) ekran czerwony.

Mamy więc oko sztuczne, które jest czułe na światło i na różnicę barw, które okazuje znaki znużenia, gdy długo jest wystawione na działanie silnego światla i które odpoczywa po oddziaływaniu na światło przy zamkniętych powiekach. Jakaż to analogia z okiem naturalném!

Nie trudno byłoby tak urządzić, aby pod wpływem silnego światła powieki zamykały się automatycznie. Trzebaby tylko zastować elektromagnes, któryby podczas przebiegu prądu elektrycznego ściągał blaszki żelazne służące do ich zamykania, za pomocą odpowiedniego mechanicznego urządzenia. Naśladowałoby to zupełnie zachowanie się oka podczas błyskawicy.

„Być może, powiada William Siemens kończąc swój odczyt, że analogia ta nie pozostanie bez znaczenia dla fizyologów, którzy usiłują wytłómaczyć funkcye naturalne organizmu."

Rozmaite teorye do których dał powód radyometr Crookes'a.

Pod tym tytułem p. Lippman pomieścił w Revue Scientifique bardzo ciekawy artykuł o radyometrze, znanym już czytelnikom Ateneum z Nr. 4-go. Rzuca on światło na naturę zjawisk odkrytych przez Crookes'a i stanowi niejako dopełnienie powyższego artykułu. Podajemy go z tego powodu w całéj niemal rozciągłości.

W ostatnich czasach „młynek świetlny“ Crookes'a stał się bardzo popularnym, — a to dla wielu powodów. Przedewszystkiém przedstawia on bardzo zajmujące doświadczenie, powtóre trudno się oprzeć chęci sprawdzenia zdania Crookes'a twierdzącego, że obrót młynka jest skutkiem bezpośredniego działania promieni słonecznych, a wreszcie — trudność odkrycia prawdziwéj przyczyny, drażni ciekawość każdego, kogo tylko zjawiska dziejące się w naturze obchodzą. Trudność dopiero co wspomniana, w znacznéj części ztąd pochodzi, że wszystkie czynniki dotyczące téj zagadki, jak różnice temperatury, ciśnienia i t. d. z powodu swéj nieznaczności wymykają się naszym zwyczajnym sposobom mierzenia, a z drugiéj strony że zjawisko odbywa się w miejscu niedostępném, w bani szklannéj jak najszczelniéj zamkniętéj. Zobaczymy jednak powiada p. Lippman, że doświadczenie zdołało rozwiązać zagadkę, którą tak genialnie przedstawił p. Crookes w formie „młynka świetlnego.“

Myśl zbadania kwestyi, czy promienie światła padając na ciało, zdolne są, przez wywarcie pewnego uderzenia, do poruszenia z miejsca tego ciała — jest bardzo stara. W *Memoires de l'Académie des sciences* z roku 1747 znajduje się rozprawa *Mairana*, mająca za przedmiot sprawdzenie hypotezy Eulera, który przypisuje położenie ogona komet odpychającemu działaniu światła słońca. W tym celu Mairan skoncentrowawszy promienie słońca za pomocą soczewki, rzucił je na skrzydła bardzo ruchliwego młynka żelaznego; młynek zaczął się obracać. Doświadczenie odbywało się w powietrzu, a p. Mairan przypisał ruch rozszerzeniu powietrza przez ciepło słoneczne. W artykule swym cytuje on podobne doświadczenia, dokonane dawniéj przez Hartsoekera w 1696 r. i Homberga w 1708 r, (1).

Czytelnicy przypomną sobie, że dla uniknięcia wpływu ciepła, Crookes używał próżni najdokładniejszéj, jaką tylko można

---

(1) Patrz artykuł Bertholda o historyi radyometru w *Poggendorffts Annalen.* Laplace, Fresnel, Saigez, Forbes i Boden Powell mówili już o sile odpychającéj światła. Fay dawno już wprowadził tę siłę do teoryi komet.

otrzymać przy pomocy machiny pneumatycznéj rtęciowéj. Podczas doświadczenia, w miarę jak próżnia stawała się doskonalszą, wpływ światła nietylko nie znikał, ale przeciwnie, stawał się coraz większym; Crookes więc wniósł ztąd, że powietrze nie wchodzi wcale w grę tego zjawiska i że światło wywiera na skrzydełka młynka wpływ mechaniczny bezpośredni. Działanie podobne, łatwe do przewidzenia przy dawniejszéj teoryi wypływu światła (emisyjnéj), nie jest także niezgodne z dzisiejszą teoryą, według któréj światło jest drganiem eteru. Byłaby to pewna analogia z dźwiękowémi drganiami powietrza, które mogą w ruch wprawiać ciała lekkie. Znakomity matematyk angielski *C. Maxwell*, usiłował nawet obliczyć siłę tych uderzeń eteru, a rachunek jego pozwolił Crookes'owi porównać tę siłę z działającą w radyometrze. Crookes zmierzył parcie jakiemu ulega skrzydełko radyometru, oznaczonéj powierzchni, i wyprowadził wniosek, że ciśnienie światła słonecznego na powierzchnię kilometra kwadratowego mierzy się *tonnami*, gdy tymczasem parcie wywierane przez eter świetlny mierzyłoby się tylko na *grammy*. Z jednéj więc strony ciśnienie obliczone przez Maxwella jest zbyt słabe, aby mogło wytłómaczyć ruch radyometru, a z drugiéj na odwrót, ciśnienie które obserwujemy w radyometrze jest zbyt silne, aby je można było przypisać samemu tylko działaniu promieniowania. Gdyby siła promieni światła była tak wielka jak wypada z obliczenia wpływu na radyometr, to wystarczałaby do zepsucia porządku systemu słonecznego, gdyż światło działa na powierzchnię planet. Jest to wniosek bardzo ważny. „Siła ta, powiada Crookes, wywierana na oświecaną przez słońce część kuli ziemskiéj, równałaby się trzem milionom tonn metrycznych a więc mogłaby ziemię wyprzeć z jéj orbity, gdyby nagle w ziemię uderzyła" Jestto jeszcze jeden zarzut przeciwko teoryi Crookes'a, który uczony ten sam sobie zadaje. Jest on bardzo ważny, gdyż opiera się jedynie tylko na doświadczalnem zmierzeniu ciśnienia, jakiemu ulega skrzydełko radyometru. Przerobić zaś astronomią tak aby się zgadzała z teoryą radyometru podaną przez Crookes'a — tak jak tego chce wynalazca radyometru,—rzecz jeszcze przedwczesna.

Jaka tedy jest natura siły obracającéj młynek? Jeśli siła ta pochodzi od uderzeń eteru świetlnego, to w takim razie punkt jéj oparcia stanowi masa tego eteru; jeśli przeciwnie siedlisko téj siły jest we wnętrzu radyometru, jeśli naprzykład pochodzi od gazu, który jeszcze pozostał w radyometrze, to w takim razie punktem oparcia będzie dla niéj kula szklanna obejmująca radyometr a wtedy

siła ta powinna usiłować obracać szklanną powłokę w kierunku przeciwnym obrotowi skrzydełek.

Otóż trzeba rozwiązać to ostatnie pytanie. Pan *Schuster* wpadł na świetną myśl postawienia téj kwestyi, którą téż rozwiązał doświadczalnie. Urządził taki radyometr, że kula szklanna mogła się poruszać swobodnie i rzucił promienie światła na skrzydełka. Doświadczenie sprawdziło jego nadzieje, gdyż powłoka szklanna obracała się w kierunku przeciwnym obrotowi młynka (1). Crookes powtórzył to doświadczenie. w sposób następujący. Bania radyometru pływa po wodzie i jest obstawiona czterma świecami, które jednostajnie ze wszystkich stron radyometr oświetlają. Bania więc jest ruchomą. Z drugiéj strony, można wstrzymać obrót samych skrzydełek za pomocą urządzenia następującego: jedno ze skrzydełek zakończone jest igłą namagnesowaną; jeśli zbliżymy do niéj silny magnes, to igiełka zatrzyma się w danem położeniu. Gdy magnes jest oddalony, młynek jest ruchomy i może się obracać po zapaleniu świec, gdy zaś zbliżymy sztabę namagnesowaną młynek zatrzyma się, a jego szklanna powłoka zacznie się obracać, pomimo tarcia o wodę, w kierunku przeciwnym obrotowi młynka, z prędkością jednego do dwóch obrotów na minutę. Siła więc działająca na skrzydełka, działa w kierunku odwrotnym na szkło.

Według Crookes'a gdy pozwolimy zupełnie swobodnie młynkowi się obracać, to i powłoka szklanna obraca się w tym samym kierunku co i skrzydełka, ale ruchem bardzo powolnym,—z prędkością mniéj więcéj jednego obrotu na godzinę.

Zaraz po wynalezieniu radyometru, *Reynolds* wypowiedział zdanie, że przyczyny obrotu szukać należy w gazie lub parze zgęszczonéj w warstwie sadzy, którą jest pokryta jedna strona każdego ze skrzydełek młynka. Sadza, jako ciało bardzo porzyste zatrzymuje na swéj powierzchni gaz lub parę zgęszczoną, ktore się następnie wydzielają, w skutek ogrzania sprawionego przez promienie słońca lub świecy. Wywiązywaniu się ciała lotnego z powierzchni poczernionéj towarzyszy cofanie się skrzydełka podobnie jak się to dzieje w młynku hidraulicznym, fajerwerkowym i w małéj machince parowéj zwanéj *eolipylem.* Dla obalenia tego sposobu tłómaczenia Crookes wykazał radyometr, który pozbawiono powietrza w czasie gdy był wystawiony na temperaturę czerwoności nic nie stracił na swéj czułości choć przecież przylegające do sadzy powietrze powinno było ulecieć w skutek ogrzania. Fizeau otoczył

---

(1) Proceedings of the Royal Society t. XXIV, 1876.

radyometr dwudziestu czterema świecami, aby go jednostajnie ze wszystkich stron oświecić i przekonał się że prędkość obrotu nie zmniejsza się po dłuższym czasie. Pomimo to że w tych warunkach nie może mieć miejsca, obniżenie temperatury, któreby dozwoliło sadzy znowu gaz czy parę pochłonąć,—apparat działać nie przestaje. Wreszcie, przygotowano radyometr bez sadzy i wszelkiego innego ciała porzystego, radyometr, którego skrzydełka z jednéj strony były pokryte naprzykład wypolerowaną blaszką glinową (aluminium) a z drugiéj srebrną, — a jednak działanie było takie same jak przy użyciu warstewki sadzy; atoli niezbędnym warunkiem okazała się ta okoliczność, aby blaszki służące do pokrycia obu powierzchni skrzydełek były z różnych metali zrobione (1).

Dewar i *Tait* (2) przedsięwzięli wspólną pracę dla wykazania za pomocą doświadczenia, że słaba różnica temperatury dwóch powierzchni każdego skrzydełka, stanowi istotny warunek funkcyonowania instrumentu. W skutek téj różnicy temperatury, powierzchnia cieplejsza doznaje impulsu od rozrzedzonego powietrza (znajdującego się zawsze pomimo najdokładniejszego wypompowania radyometru), impulsu, który jest przyczyną ruchu. Samo promieniowanie według tych uczonych nie usiłuje ani przyciągnąć ani oddalić skrzydełek; działa ono tylko pośrednio sprawiając znaczniejsze podwyższenie temperatury na powierzchniach mających większą władzę pochłaniania promieni (3). Skrzydełko z kryształu soli, nie doznaje żadnego działania od promienia, gdyż sól jest przezroczysta i przecieplista (t. j. nie pochłania światła ani ciepła). Jeżeli oświecimy jéj powierzchnią przednią, pokrywszy tylną warstewką sadzy, to sól ogrzeje się w skutek zetknięcia z przyległą warstewką sadzy silnie pochłaniającą ciepło, – i to ogrzeje się daleko silniéj aniżeli zewnętrzna powierzchnia powłoczki sadzy, która jest bardzo złym przewodnikiem ciepła. Powierzchnia tedy solna będzie więcéj ogrzana; ztąd pozorne odpychanie skrzydełek przez światło wpadające. W innem doświadczeniu przy zmienionych warunkach Dewar i Tait otrzymali odwrotny skutek. Powierzchnia tylna soli krystalicznéj była pokryta warstewką przezroczystego fosforu, który

---

(1) Geissler przygotowuje radyometry z miką niewypaloną i blaszką metalową; instrumenta te lepiéj jeszcze może działają od przyrządów z sadzą.

(2) *Nature* t: XII, str. 217 z 15 lipca 1875.

(3) Podobnie rzecz się ma z termometrem z kulką okopconą, który pod wpływem jednego i tego samego płomienia prędzéj się wznosi w górę niż termometr czysty. Według Fizeau i Foucault najsłabsze promieniowanie wywołuje już różnicę temperatury w dwóch termometrach.

przepuszcza wszystkie promienie oprócz ultra-fioletowych: absorbuje on te ostatnie zamieniając się na masę nieprzezroczystą, przyczém wywiązuje ciepło. Warstewka tedy fosforu rozgrzewa się od tych promieni, a ztąd wynika że skrzydełko jest czułe na promienie ultra-fioletowe i porusza się *ku* źródłu światła. W tym więc razie nie ma miejsca odpychanie, zwykle obserwowane w radyometrze, lecz pozorne przyciąganie. Podobnie jak fosfór przezroczysty, zachowuje się téż siarka przezroczysta.

Dla wytłómaczenia, w jaki sposób powierzchnia więcéj ogrzana może zostać odepchniętą przez małą ilość powietrza pozostałego w radyometrze, Dewar i Tait podali własną teoryą. W teoryi téj wysoki stopień rozrzedzenia powietrza ma podstawowe znaczenie. Uczeni ci odróżniają w swéj teoryi przypadek w którym gęstość powietrza jest znaczna, od przypadku, w którym jest nader mała.

W pierwszym przypadku, gdy powietrze jest np. pod ciśnieniem atmosfery, ruch młynka według Dewera i Taita, powinien być przypisany prądom powietrza, wywołanym przez ogrzanie. Zetknąwszy się z ciepłą ścianką powietrze rozszerza się i idzie w górę, sąsiednia warstwa powietrza przypływa na jéj miejsce i tym sposobem może wywołać ruch skrzydełka, gdy ono jest dostatecznie ruchliwe. *Neesen* badał doświadczalnie zjawisko przy powyższym warunku i stwierdził tłumaczenie Dewara i Taita. Gdy więc przypływ powietrza ma miejsce ku kolumnie powietrza wznoszącéj się w górę, okazuje się pozornie przyciąganie skrzydełka przez światło.

W drugim przypadku, gdy powietrze jest bardzo rozrzadzone, mechanizm wskutek którego odbywa się ruch jest według Dewara i Taita zupełnie różny od poprzedzającego. Odróżnienie to usprawiedliwione zostało przez liczne doświadczenia dokonane przeważnie przez Crookes'a. Skombinowane skutki ciężkości i rozszerzania się nikną w miarę rozrzadzania się gazu. Crookes zauważył, że przy pewnym stopniu rozrzadzenia, który nazywa *punktem obojętnym*, znika działanie (przyciąganie), które miało miejsce przy ciśnieniu atmosferyczném. Jeśli w dalszym ciągu gaz rozrzadzamy aż do takiego stopnia próżni, jaka istnieje w radyometrze, występuje nowy objaw, różny od pierwszego kierunkiem i natężeniem. Gdy w powietrzu zwykłém lub jeszcze dość gęstém jest słabe przyciąganie, w powietrzu dostatecznie rozrzadzoném okazuje się silne odpychanie — tém silniejsze, im powietrze jest rzadsze — przynajmniéj w granicach, w których odbywały się doświadczenia Crookes'a, Dewara i Taita. Dla wytłómaczenia tego odpychania, Dewar i Tait biorą za podstawę hypotezę mechanicznéj konstytucyi gazu, podaną przez A. Bernouilli'ego. Hypoteza ta, rozwinię-

ta przez Kröniga i Clausiusa w Niemczech, oraz Maxwella w Anglii, pozwoliła już podciągnąć pod rachunek rozmaite własności mechaniczne i termiczne gazów, współczynniki ich dyffuzyi, przewodnictwa dla ciepła, ciepła gatunkowego i t. d. Wiadomo, że hypoteza ta polega na uważaniu gazu jako nieskończonego systemu, utworzonego z cząsteczek niezawisłych; cząsteczki te, bardzo liczne, bardzo do siebie zbliżone nadzwyczaj małe w stosunku do przestworów jakiemi są rozdzielone, są ożywione szybkim ruchem przenośnym i odznaczają się doskonałą sprężystością, Uderzenia tych latających cząsteczek o ściany naczynia, w którym są zawarte, stanowią to, co nazywamy ciśnieniem gazu. W ten sposób masa gazu jest podobna do nadzwyczaj gęstego roju pocisków doskonale sprężystych. W teoryi téj, przenoszenie się ciśnienia w masie gazu tłómaczy się rozchodzeniem ruchu uderzających się cząsteczek; podwyższenie temperatury tłómaczy się powiększeniem ich prędkości.

Założywszy to zastanówny się nad tém, co się dzieje w radyometrze. Gaz w nim zawarty ogrzewa się przez zetknięcie z ciepłém skrzydełkiem i usiłuje wywrzeć na nie powiększone ciśnienie: gdyby gaz nie był bardzo rozrzadzonym, to powiększenie ciśnienia rozdzieliłoby się całkowicie na wszystkie części aparatu; ciśnienie wzrosłoby wtedy, lecz, będąc jednostajném ze wszystkich stron nie sprawiłoby ruchu. Teorya Dewara i Taita ma właśnie za zadanie wykazać, że gdy gaz jest dostatecznie rozrzadzony, to całkowite rozchodzenie się ciśnienia już się nie odbywa. Pod zwyczajném ciśnieniem cząsteczki gazu, zawarte w jednostce objętości, są tak liczne, że średnia odległość, którą może jedna z nich przebiedz przed spotkaniem się z drugą wynosi $1/_{10000}$ milimetra, gdy zaś rozrzadzenie gazu jest doprowadzone do $1/_{4000000}$ ciśnienia atmosferycznego, to ta odległość średnia dochodzi do 400 milimetrów,— gdyż częstość uderzeń zmniejsza się bardzo nagle z zmniejszaniem się ilości cząsteczek. Lecz naczynie szklanne radyometru ma tylko kilka centymetrów średnicy, a skutkiem tego wielka liczba cząsteczek po zetknięciu się z ciepłą powierzchnią skrzydełka i odskoczeniu od niéj, przed potrąceniem albo o inną cząsteczkę gazu, albo o zimną powierzchnię skrzydełka, spotyka ścianę szklanną. Po zetknięciu się z zimném szkłem następuje oziębienie, to znaczy zmniejszenie prędkości, a ztąd cząsteczki, które się dotknęły szkła sprawiają w częściach aparatu, które potém przebiegają, uderzenia mniéj gwałtowne od tych, jakieby sprawiały, gdyby się najprzód ze szkłem nie zetknęły; innemi słowy, zetknięcie się ze szkłem zmniejsza ciśnienie, które w innym razie byłoby się roze-

szło po zimnych częściach przyrządu w skutek ruchu cząsteczek wziętych pod rozwagę. Wypada ztąd w szczególności, że ciśnienie na zimne t. j. tylne powierzchnie skrzydełek będzie mniéj wielkie, a więc nierówność ciśnień na ciepłą i zimną powierzchnię skrzydełka zastąpi miejsce równości, istniejącéj wtedy, gdy szkło znajduje się po za obrębem lotu cząsteczek, które się zetknęły z powierzchnią cieplejszą. Skutkiem zaś téj nierówności ciśnienia jest ruch w kierunku od cieplej ku zimnéj części skrzydełka.

Tak więc, w teoryi mechanicznéj gazów równość ciśnienia we wszystkich punktach pewnéj masy, całkowity jego rozdział na wszystkie punkta, wyjaśnia się na téj zasadzie, że gaz jest złożony z cząsteczek niezawisłych, mogą mieć różne temperatury (t. j. prędkości) i *doskonale sprężystych*. Ściana szklanna, względem cząsteczek gazu, mających taką samą jak ona temperaturę, zachowuje się jak ciało doskonale sprężyste, lecz w stosunku do cząsteczek które dotknęły ogrzanéj powierzchni skrzydełka zachowuje się jak ciało niesprężyste. W ostatnim przypadku szkło przejmuje od nich część siły żywéj i przeszkadza całkowitéj transmisyi ciśnienia.

Według więc Dewara i Taita, radyometr Crookesa jest małą machinką obrotową o powietrzu rozrzadzoném, ogrzewaną przez promieniowanie i zużytkowującą tylko nadzwyczaj małą cząstkę ($^1/_{5000000}$) całéj energii promieni.

Dotychczas rzecz tak była traktowaną, jakoby z radyometru znajdowało się powietrze rozrzedzone. Tymczasem Crookes używa najdoskonalszéj machiny pneumatycznéj i nadzwyczaj starannie powietrze wypompowuje. Pomimo to jednak przypuszczenie powyższe nie traci swéj mocy. Że radyometr zawiera powietrze, tego niedawno jasno dowiódł *A. Kundt* za pomocą następującego doświadczenia. Na młynku radyometru jest poziomo ułożona blaszka rurki, ktora się obraca razem z młynkiem. Nad tą blaszką znajduje się druga, także pozioma, i zupełnie niezależna od piérwszéj. Druga ta blaszka może się obracać na końcu igły. Gdy blaszka dolna obraca się wraz z radyometrem, udziela przez tarcie swój ruch powietrzu nad nią znajdującemu się, a to powietrze również przez tarcie udziela swój ruch blaszce górnéj, i w skutek tego blaszka górna, nieruchoma z początku, zostaje wciągnięta w ruch, i obraca się w tę samą stronę co i młynek—tylko z mniejszą prędkością.

Obecność małéj ilości powietrza w radyometrze nie powinna nikogo zadziwiać, żadną bowiem machiną pneumatyczną niepodobna otrzymać próżni bezwzględnéj.

Za każdym poruszeniem tłoka pompy pneumatycznéj, powietrze zbiornika który ma być opróżniony musi wypełnić nową przestrzeń próżną pod tłokiem. Powietrze więc to rozdziela się pomiędzy zbiornik i przestrzeń próżną — i zawsze pewna część gazu pozostaje w zbiorniku.

Daléj wiadomo, że powietrze tak silnie przylega do ciał stałych, że pokrywa je cieniutką powłoczką, któréj niepodobna prawie usunąć. To téż przyjąć należy, że ściany naczynia z którego mamy wypompować powietrze, pokryte są taką powłoczką gazu i par zgęszczonych, które się w próżni powoli i stopniowo od szkła oddzielają, i rozchodzą w opróżnioném naczyniu; ogrzanie szkła przyspiesza to odłączanie się gazów.

P. Alvergniat przedstawił niedawno Akademii nauk w Paryżu opis doświadczeń, w których otrzymał próżnię, doskonalszą od wszelkich dotąd otrzymywanych. Radyometr, podczas opróżniania z powietrza, był wystawiony na temperaturę prawie 400° za pomocą pary siarki wrzącéj. Do budowy jégo nie wchodziło żadne ciało porzyste, takie jak np. sadza. Radyometr opróżniony przy tych ostrożnościach, nie obracał się już, gdy nań padało światło, choć to światło zupełnie wystarczało do obracania radyometru, pozbawionego powietrza w sposób zwykle używany. Alvergniat uzupełnił to doświadczenie próbą odwrotną: wpuścił cokolwiek powietrza do radyometru. Młynek pozyskał napowrót swą czułość i zaczął się obracać. Powietrze zostało wpuszczone przez otworek zrobiony w szkle przez iskrę elektryczną. Był on tak mały, że powietrze w instrumencie dopiero po dwóch godzinach ciągłego przypływu, doszło do ciśnienia atmosferycznego.

Rezultaty otrzymane przez Alvergniata potwierdza praca Finkenera. Badacz ten dla ocenienia ciśnienia powietrza pozostałego w radyometrze liczył ruchy tłoka pompy pneumatycznéj merkuryalnéj, służącéj do wywołania próżni. Jednocześnie rachował liczbę obrotów młynka na minutę. Tym sposobem stwierdził, że gdy dojdziemy do ciśnienia kilku milimetrów rtęci, prędkość obrotu z początku nadzwyczaj słaba, powiększa się w miarę rozrzadzania powietrza i nareszcie dochodzi do *maximum*; następnie zmniejsza się aż do pewnego stopnia, który już pozostaje stałym. Do granicy téj dochodzi się wtedy, gdy próżnia jest o tyle doskonałą, o ile machina na to pozwała.

Aby przejść tę granicę, Finkener postarał się otrymać próżnią za pomocą absorbcyi, próżnią chemiczną. Użył do tego radyo-

metru, w który wlutował naczyńka szklanne zawierające: 1. czysty nadmanganian potasu, przeznaczony do wypełnienia radyometru tlenem czystym, wywiązującym się z téj soli pod wpływem ogrzania; 2. miedź czystą przeznaczoną do pochłonięcia tego tlenu, w skutek utlenienia się pod wpływem wyższéj temperatury; 3. wapno czyste wypalone dla pochłonięcia pary wodnéj. Po tych przygotowaniach połączył radyometr z pompą pneumatyczną rtęciową i zrobił w nim próżnią; następnie ogrzał nadmanganian do 200° za pomocą kąpieli z aliażu, aby wydzielić z niego tlen, który natychmiast pompą wyprowadzał na zewnątrz. Czynność ta była powtarzana przez kilka dni co kilka godzin, a to dla zupełnego wymycia radyometru z powietrza za pomocą tlenu. Nakoniec, gdy radyometr już tylko czystym tlenem był wypełniony, Finkener zalutował otwór prowadzący do niego i ogrzał miédź do 220°. Temperatura ta była długo podtrzymywaną, a podczas ogrzewania Finkener notował prędkość obrotu co dziesięć minut.

Z początku prędkość powiększała się z czasem trwania absorbcyi, późniéj zmniejszyła się i wreszcie młynek stał się nieruchomym. Powiększając natężenie światła można było znowu wywołać ruch, lecz po pewnym czasie, przy ciągle trwającéj absorbcyi ruch ten zmniejszał się. Po stu minutach, według Finkenera siła obracająca zmniejszyła się o więcéj niż $0^{95}/_{100}$ wagi natężenia najwyższego, a Finkener twierdzi że mógłby jaszcze bardziéj zmniejszyć prędkość, gdyby nie przypadek, który przerwał doświadczenie.

Działanie radyometru Finkener tłómaczy opierając się tak jak Dewar i Tait na teoryi gazów Bernouilli'ego, — i używa do tego rachunku. Rachunek wykazał że maximum prędkości w jednym z radyometrów przez niego użytych, ma wtedy miejsce gdy ciśnienie wynosi, 0,^{mm}007 slupa rtęci. Doświadczenie stwierdziło te obliczenia, gdyż maximum wypadło przy ciśnieniu 0,^{mm}007 i 0^{mm}010. Rozmiary naczynia szklannego, jakeśmy wyżéj widzieli, wchodzą w rachunek téj teoryi: im mniejszą jest średnica naczynia, tém większą jest prędkość. Finkener sprawdził i tę konsekwencyą: obserwował coraz większą prędkość, przy równém ciśnieniu, gdy używał naczyń coraz mniejszych.

Według tedy Alvergniata i Finkenera doświadczenie okazuje że siła obrotowa radyometru niknie w miarę opróżniania radyometru z powietrza. Fakt ten nie dający się wytłómaczyć na zasadzie teoryi przypisującéj obrót bezpośredniemu mechanicznemu działaniu promieni, stwierdza z drugiéj strony teoryą, według któ-

réj radyometr jest małą machinką obrotową o powietrzu rozrzadzoném, ogrzewaną za pomocą promieni.

Inne jeszcze doświadczenia rozmaitych uczonych doprowadziły do rezultatów, które mogą być uważane za szczególne przypadki, dające się przewidzić na zasadzie tego co wyżéj było powiedziane. Opuszczamy je, kończąc artykuł streszczeniem, w którém Lippmann sformułował kardynalne wypadki doświadczeń opisanych. Wynika z nich że:

1) Siła poruszająca młynek ma punkt oparcia na szkle naczynia (Schuster).

2) Siła ta zależy jedynie tylko od małéj różnicy temperatury dwóch powierzchni każdego skrzydełka i jest niezależna od kierunku promienowania (Dewar i Tait).

3) W radyometrze zawsze się znajduje cokolwiek powietrza (Kundt).

4) Prędkość obrotu najprzód się powiększa z zmniejszaniem się gęstości powietrza (Crookes), lecz późniéj gdy próżnia staje się coraz dokładniejszą, prędkość się zmniejsza i wreszcie młynek zatrzymuje się (Alvergniat, Finkener). Gdy wpuścimy wtedy cokolwiek powietrza, obrót na nowo się rozpocznie (Alvergniat).

Z faktów tych wypada wyciągnąć wniosek że obrót młynka świetlnego dokonywa się za pośrednictwem powietrza rozrzadzonego, pobudzanego przez ciepło, zgodnie z teoryą rozwiniętą przez Dewara i Taita, J. Stoney'a oraz Finkenera. Z ruchu więc radyometru nie można sądzić o bezpośredniém mechaniczném działaniu światła — radyometr wbrew twierdzeniu Crookes'a, wcale téj kwestyi nie przesądza.

Tak więc radyometr Crookes'a nie sprawił żadnego wyłomu w nauce współczesnéj, choć tego wielu niedowarzonych krytyków nauki spodziewało sie i pragnęło. Widocznie opiéra się ona na silnych podstawach, i zdaje się, że, choć w przyszłości uledz może i musi wielu modyfikacyom, to jednak z gruntu obaloną nie zostanie. Zresztą sam nawet Crookes nie myślał wcale o usunięciu podstaw z pod współczesnego systematu naukowego — zdawało mu się tylko, że odkrył nową stronę światła. Że się omylił — nie wielki to grzech, a bądź co bądź zasługa odkrycia nowego, pięknego a pouczającego zjawiska, mogącego mieć ważne następstwa naukowe i praktyczne, tylko uznanie i wdzięczność zjednać mu może u uczonych. Obyśmy to samo niezadługo powiedzieć mogli o Edisonie, o którego „'odkryciu" podaliśmy wiadomość na początku sprawozdania.

Bronisław Rejchman.

Kronika miesięczna.

We współczesnym rozwoju naszego peryodycznego piśmiennictwa, dwa doniosłe, a niepomyślne fakta zasługują na uwagę: gonienie za wiadomostkami i przemilczanie kwestyi poważnych.

Niech ktoś wleci w studnię lub niech okradnie bliźniego,—niech się urodzi potwór bez rąk lub niech oś pęknie u przejeżdżającego omnibusa,—wnet opisy *faktów* tych znajdą się w mnóstwie dzienników, z których jeden powtarza słowa naocznego świadka, a pozostałe—słowa swego szczęśliwszego kolegi.

Też same pisma, sprawom istotnie ważnym, niewiele poświęcają miejsca, — rzadko zaś kiedy powtarzają za kolegami swymi poglądy i rozumowania, które właśnie jak najbardziéj należałoby rozpowszechniać między czytającą publicznością.

Toż samo dzieje się z wiadomościami zagranicznémi. Jakaś zabawna dykteryjka, oburzająca zbrodnia, podejrzanéj wartości odkrycie lub opis nawet bardzo pospolitego zjawiska natury, cieszą się u nas gościnnością. Z téj saméj niepomiernéj gościnności korzystają fakta, a raczéj pogłoski z zakresu wielkiéj polityki. Tymczasem wiadomości z dziedziny ekonomii, odkryć naukowych i ważniejsze objawy życia społecznego, wspominają się rzadko i tak pobieżnie, że czytelnik nie może ztąd odnieść najmniejszego praktycznego pożytku.

System ten niezmiernie szkodzi społeczeństwu. Każdy wie o tém, że ogół nasz w porównaniu z zachodem jest zacofany i opóźnia się w cywilizacyjnym rozwoju. Opóźnienie to, prócz wielu stron złych, przedstawia jedną dobrą: pozwala mianowicie posuwać się już utartémi drogami i korzystać z doświadczenia innych.

U nas jednak z powodu małéj dbałości o rzeczy ważne, korzyści te są poprostu niemożliwe. Umysłowość społeczna karmi się dykteryjkami i nie przypuszcza nawet, aby mogła zkądinąd zaczerpnąć światła, do rozjaśnienia kłopotliwych, a nieustannie nasuwających się pytań życiowych.

Niemniéj szkodliwém jest przemilczanie przez ogół prasy— poważnych kwestyi, które ten lub ów organ poruszył. W artykule takim autor niejednokrotnie przelewa całą duszę swoją, w nadziei, że praca jego wywoła dyskusyą, która do głębin społeczeństwa wniesie zdrowe pojęcia, a w najgorszym razie, da szerszym kołom czytelników materyał do samodzielnego i wszechstronnego rozmyślania. Nadzieje te jednak prędko zawodzą. Ogół pism, zajęty rozprzestrzenianiem wiadomości reporterskich, nie zaprząta sobie głowy dyskusyą. Co najwyżéj, jakiś uniwersalny recenzent, przytoczywszy tytuł rozprawki, zamiast ją przedewszystkiém streścić, wytyka raczéj jéj wady, nadmieniając przytém po bakałarsku, że: można było jeszcze lepiéj napisać.

To sromotne lekceważenie dziennikarskich prac poważniejszych, nietylko zabija samę kwestyą w zarodku, ale i do umysłowéj atmosfery społecznéj wnosi pierwiastki zgnilizny. Czytelnik powoli zaczyna sądzić, że nad koncert i psa, który złamał nogę, nie ma już rzeczy godniejszych uwagi; gdy mu zaś następnie ten sam organ raczy podać artykuł, w którym nie ma mowy o koncercie, lub psie co nogę złamał,—wówczas czytelnik ziewa i artykuł pomija. Piszący podobnież, widząc że na pracę poważną nikt nie zwraca uwagi, chwyta się rzeczy lekkich i topi erudycyą i namysł w powodzi codziennych fatałaszek.

Zrozumiawszy takie lekkomyślne usposopienie większości prasy, dziwić się doprawdy potrzeba, że wśród niéj znalazł się jeden organ, mianowicie *Niwa,* która, z żelazną wytrwałością, nietylko od roku prowadzi rubrykę p. t.: *W sprawie upadających posiadłośei ziemskich*, ale nadto, do poprzedniéj dodała w ostatnich czasach dwie nowe rubryki: *W sprawie lasów* i *W sprawie podniesienia przemysłu i handlu.*

Dalecy jesteśmy od bezwzględnego chwalenia całéj działalności *Niwy.* Pismo to pozuje na organ pewnéj klasy i od czasu do czasu całemu społeczeńsswu udziela rad tak głębokich, że ich co najmniéj... zrozumieć niepodobna. Z tém wszystkiém jednak, wyżéj wymienione szeregi artykułów, nadają pismu zalety, w obec których pobłażliwiéj godzi się spoglądać na błędy. Inni i błądzą i zalet nie mają; sieją wśród ogółu zamęt pojęć, a niczego nie rozjaśniają.

O ośmiu pierwszych artykułach: *W sprawie upadających posiadłości ziemskich*, mówiliśmy w zeszycie sierpniowym. Obecnie uważamy za obowiązek streścić trzy ostatnie. Zaczniemy od pracy p. *Adolfa Smorczewskiego*, pomieszczonéj w dwóch numerach. Szanowny autor mówi w niéj wyłącznie o melioracyi, czyli o sposobach podniesienia żyżności i wartości ziemi

P. Smorczewski, rozprawę swoję zaczyna od tego, że u nas w ostatnich czasach, zarówno na zboża jak i na trawę urodzaje były złe. Na nieuprawnych i nicnawodnianych łąkach, młode pędy z wiosną marzną, w lecie usychają. Na gruntach nieprzemakalnych i wilgotnych, zboża wydają liche kłosy i nielepszą słomę. Niezależnie od zmniejszania się plonów na gruntach już uprawnych, mamy jeszcze w kraju mnóstwo piasków i bagien, tudzież ziem ornych, których płody z powodu zbytniéj odległości od zabudowań folwarcznych, ledwie są zdolne zwrócić koszta produkcyi.

W Lombardyi dzięki sieci kanałów, pola i ogrody mimo spiekoty, otrzymują dostateczną ilość wody. Zalewane na noc łąki taż sama woda chroni z wiosną od przymrozków, a w lecie od suszy; to też z łąk tych zbiera się po sześć pokosów rocznie.

W Szkocyi, przepełnionéj niegdyś bagniskami, na gruntach, które zaledwie lichy owies wydawały, dziś dzięki drenom, żniwa odbywają się o cztery tygodnie wcześniéj niż dawniéj,—pszenicy zbiera się tyle co w Saksonii, a znacznie więcéj jęczmienia. Cała Brandemburgia, Pomorze, Prussy Zachodnie i Wschodnie, Szląsk średni i dolny, pełne niegdyś piasków i bagien, dziś—skutkiem margłowania, regulacyi rzek i osuszania, wydają prześliczne zboża i wyborne rasy bydła. Najwymowniejszym dowodem zwycięstw jakie rolnik odnosi nad naturą, są cyfry zbiorów z jednego morga 300-prętowgo, które p. Smorczewski przytacza.

Według tych cyfr zbierają:

		pszenicy:	jęczmienia:
Szkocya korcy austryackich		24,54	36,81
Saksonia	"	24,64	30,09
Belgia	"	17,30	31,01
Prusy	"	18,79	24,37
Francya	"	14,64	17,59
Galicya zach.	"	6,38	10,09
" wschod.	"	8,73	8,99

Według p. S. plony w Królestwie, są prawdopodobnie niższe od galicyjskich. Przypuszając, że zbiory nasze równają się średnim galicyjskim: 7,55 korcy pszenicy, 9,81 jęczmienia i – że przez melio-

racyą podnieślibyśmy je mogli tylko do średnich europejskich: 16,43 pszenicy—22,71 jęczmienia, wówczas wypadałoby, że rutyna i brak ulepszeń w rolnictwie pozbawia nas rocznie: 8,88 korcy pszenicy i 12,90 korcy jęczmienia z morga. Straszny podatek opłacany zacofaniu!

Doświadczenie uczy, że wszystkie większe roboty melioracyjne, w rozmaitych krajach dokonywane, doznawały silnego poparcia ze strony rządów. W wypadkach powyższych rządy nie odegrywały roli inicyatorów i przedsiębierców, ale bogatych kapitalistów, którzy posiadając znaczne fundusze i łatwe środki egzekucyjne, udzielają rolnictwu pożyczek za umiarkowane procenta.

U nas, do pomocy podobnéj, odwołało się przed dwoma laty Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, upraszając o udzielenie funduszu na następujące roboty melioracyjne:

1) Osuszanie — za pomocą kanałów i rowów odkrytych lub sączków (dreny).

2) Nawodnianie.

3) Wszelkie inne roboty ziemne z powyższémi mające związek.

4) Stawianie budynków gospodarskich na przestrzeniach od głównego folwarku zbyt odległych.

Ponieważ na podanie to nastąpiła odpowiedź odmowna, postanowiono więc przystąpić do działania własnémi siłami. Na odnośném jednak zebraniu (7 sierpnia 1876 r.) wyrażono wątpliwości, azali nakłady melioracyjne opłacają się w naszym kraju (!) i postanowiono czekać na zebranie ogólne. Tym więc sposobem wykonanie projektu uległo znowu zwłoce, z wielką szkodą dla rolnictwa; przypuściwszy bowiem, że Towarzystwo Kredytowe zechce go wziąć w ręce stanowczo,—trzeba jeszcze czekać na odpowiednie zezwolenie, co również nie mało czasu zajmuje. Tyczasem zaś kraj traci corocznie na każdym morgu około 9 korcy pszenicy i około 13 jęczmienia!

Jeszcze na posiedzeniu w dniu 5 sierpnia 1874 r. Towarzystwo Kredytowe, w kwestyi pożyczek melioracyjnych obmyśliło następujący tryb postępowania.

Dobra żądające pożyczki melioracyjnéj mają być zbadane przez specyalną delegacyą, która oznaczy cel i wysokość mających się udzielić funduszów. Na podstawie opinii delegacyi, właściciel dóbr otrzymuje promesę dającą prawo do pożyczki, a następnie wchodzi w umowę z przedsiębiercami robót. Gdy zaś te zostaną wykonane, delegacya oceni je, a gdy uzna za odpowiednie—promesa zostanie wypłacona, a dług zapisany na zwiększonym szacunku dóbr. Zachodzi pytanie czy Tow. ma prawo to zrobić i czy będzie miało na to pieniądze?

Na oba te punkta p. S. odpowiada twierdząco. Towarzystwo ma prawo, ponieważ według zasad z roku 1869. można rozszerzyć pożyczkę T. K. Z. w miarę wzrastającego szacunku dóbr, których wartość roboty melioracyjne nieomylnie podnoszą. Towarzyztwo w każdéj chwili może przedstawić projekt kredytów na 4,000,000 rs. —posiada bowiem dziesiątą część téj sumy, w połowie wartości domów do niego należących (309,000 rs.) i w rocznym dochodzie wynoszącym bez kar 100,000 rs. który dziś tonie w funduszu rezerwowym, zbieranym z wielkim wysiłkiem *pour le roi de Prusse,*— jak mówi p. S.,—bo dla Niemców, którzy wykupiwszy dobra w Królestwie, będą korzystać za lat 20 ze zmniejszenia rat poborowych.

W dalszym ciągu, szanowny autor zastanawia się nad korzyściami jakie morg ziemi odnieść może z czterech powyżéj zacytowanych rodzajów melioracyi i dochodzi do następujących wniosków:

	Wydatek jednorazowy na morg.	Podniesienie stałe wartości morga.
1) Osuszenie bagien (nad Bzurą, Bugiem, Narwią, Wieprzem i t. d.) . . .	6 Rs.	15—75 Rs.
2) Zaprowadzenie drenów w gruntach gliniastych pod uprawę cukrowych buraków	40 „	66 „
3) Irygacya łąk (Krakowskie, Sandomirskie, Lubelskie)	15 „	150 „
4) Marglowanie, torfowanie, szlamowanie	26 „	200 „
5) Budowa nowych folwarków na każdych 10-ciu włókach	15 „	33 „

Jeszcze ciekawsze są cyfry wykazujące ogrom potrzebnych w kraju melioracyi, a zarazem podniesienie wartości naszego rolniczego warsztatu. p. Smorczewski sądzi, że:

Dreny należy zaprowadzić na 91,408 włókach. po 1,200 rs. włóka, a więc za	109,688,600 Rs.
Zirygować należy 64,138 włók łąk, po 450 rs. włóka	14,431,050 „
Zamienić 17,174 włók pastwisk na pola i łąki koszone, po 450 rs. włóka	7,728,100 „
Osuszyć 8,225 włók bagien, po 180 rs. wł.	1,480,500 „
Wykarczować 15,411 włók krzaków po 600 rs. włóka	9,246,600 „
Do przeniesienia . .	142,374,850 „

	Z przeniesienia . .	142,347,850 Rs.
Zmarglować, zaszlamować i ztorfować 144,275 włók pól żytnich, po 450 rs. włóka . .		64,923,750 „
Postawić 1,000 folwarków nowych, każdy za 4,500 rs. , ... , ...		4,500,000 „
	Razem . .	211,998,600 „

Słowem, dla postawienia kraju na europejskiéj stopie, trzeba w ziemię włożyć pracy za 212,000,000 rs. lecz gdzie pieniądze?

Na to odpowiada p. S. że owe 4,000,000 rs. które Tow. Kr. Ziemskie drogą pożyczki zebrać może, wsparte corocznie milionem rs. nowéj pożyczki, zaciąganéj na podstawie 100,000 rs. rocznego dochodu Towarzystwa z jego pracy i zabiegłości,—że pieniądze te przy szybkim obrocie i umiejętném gospodarstwie finansowém, wydadzą w ciągu 20 lat skutek równy 54,000,000 rs.—ulepszą więc czwartą część kraju i podniosą istotną wartość dóbr przynajmniéj o 108,000,000 rs. Byle tylko Towarzystwo Kredytowe wzięło się nareszcie do dzieła.

Zasługą rozprawy p, Smorczewskiego jest to, że pobudza ona do czynu flegmatyczną a jedyną instytucyą rolniczą w kraju — że ważności ulepszeń nie dowodzi za pomocą rozwlekłych rozumowań, ale za pomocą przykładów wziętyoh z historyi rolnictwa innych krajów — że okazuje możność dokonania wielkich rzeczy małemi środkami i... wytrwałością, — że zastanawia się nad tém: co, gdzie, i za jaką cenę mniéj więcéj zrobić można? Z tém wszystkiém rozprawa ta robi wrażenie pięknéj „poezyi ekonomicznéj“ (przepraszam za nowy termin) i fantazyi opartéj na cyfrach. Nie ma Polaka, którýby czytając o owych: 4-ch, 54-ch, 108-iu i 212-tu milionach rs., nie doświadczał uczuć nierównie podnioślejszych aniżeli te, jakie w młodzieży wywołują frazesy: „miała włosy jak heban, oczy jak niebo, usta jak korale i t. d.“ Dzięki więc niech będą naprzód Bogu, a późniéj p. Smorczewskiemu, że nas już suche cyfry rozmarzają i powodują: „prędsze serca bicie...“

Z drugiéj jednak strony należy przyjąć za pewnik, że roboty melioracyjne w kraju naszym nie są bynajmniéj kosztowną zabawką, ale że istotną i ogromną korzyść przynoszą. Nie dawniéj jak przed dwoma laty zawiązała się u nas spółka drenarska pod firmą: Wyczałkowski, Hornowski et Comp. Młode towarzystwo w ciągu 1875 roku zaprowadziło dreny w dwu majątkach na małych przestrzeniach, i do świetnych doszło rezultatów. I tak. Na folwarku Tuzępy z 24 morgów pola przed zdrenowaniem zbierano średnio 20 korcy i 6 garncy *żyta;* po zdrenowaniu zaś tylko z 19

morgów 168 korcy 124 garncy pszenicy. Odtrąciwszy wysiew a doliczyszy wartość słomy, otrzymano z morga 55 rs. 66 kop. dochodu; że zaś dreny kosztowały na mórg 35 rs. 51 kop. w pierwszym więc zaraz roku zbiór pokrył koszta i jeszcze przyniósł przewyżkę. Tym sposobem drenowanie przeszło *dziesięć* razy podniosło dochód z morga.

Na innym folwarku, Góra, zdrenowano morgów 26, tak samo po 35 rs. 51 kop. morg. Grunta te obsiewane pszenicą, przy najkorzystniejszych warunkach dawały dochodu brutto 48 rs. 66 kop. Po wydrenowanin zaś taki sam dochód wynosił 71 rs, 48 kop. Tym więc sposobem koszta melioracyi pokryją się w ciągu dwu pierwszych lat i jeszcze przyniosą 10 rs. nadwyżki. W rezultacie zaś wartość zbiorów podniosła się stale o 46 %.

Wniosek ztąd prosty: korzyści z zaprowadzenia drenów nie są jednostajne, lecz w każdym razie bardzo znaczne, — koszta zaś pokrywają się szybko. Na nieszczęście znaczna liczba naszych majątków nie tylko nie może ponosić jednorazowego wydatku 35½ rs. na mórg, ale nawet nie jest w stanie poczekać dwu lat, a nawet roku na znakomite zyski. Nie dość, że żyją z dnia na dzień, ale jeszcze najmniejsze zatrzymanie się, choćby dla przeprowadzenia zbawiennych reform, grozi im bankructwem.

I otóż znowu staje przed nami kwestya, że: większe majątki ziemskie nie mają racyi bytu, ponieważ nie posiadają sił do samodzielnego dźwignięcia się z niemocy. Czy więc nie byłoby lepiéj dać raz za wygraną i zamienić wielkie dobra na małe kolonije.— rozparcelować kraj, jak żądał tego p, Sewer.

Na to—rozpaczliwe pytanie odpowiada p. *Henryk Wiercieński* ziemianin, artykułem: *Kilka uwag w sprawie parcelacyi.* Dalecy jesteśmy od robienia komukolwiekbądź niezasłużonéj reklamy, nie chcemy jednak należyć do rzędu tych, którzy mają zwyczaj, według słów ewangelii, chować światło pod korzec.

Za prawdę! bardzo już dawno w dziennikarstwie naszém nie zdarzyło się nam spotkać podobnie napisanéj rozprawy. Od pierwszych zaraz kartek widzisz, że autor jéj jest głębokim myślicielem i że armią potężnych argumentów stokroć bieglej włada, niż wielu, z téj saméj co on klasy, talią kart—przy preferansie lub wiście. Pan Wiercieński nie rzuca się, nie olśniewa czytelnika wymową ale dowodzi wprost jak matematyk. To też pozwolimy sobie artykuł jego rozbić na twierdzenia.

Twierdzenie I. Rolnictwo nasze w ogóle nie upadło, ale podniosło się.

Między rokiem 1836—1847 rolnictwo karmiło 4,8 milionową ludność i wysyłało za granicę 1,2 mil. korcy zboża mogącego wyżywić 315,000 głów ludności; cała więc produkcya wystarczala na 5,1 mil, ludności. Dziś kraj, przy 6 milionowéj ludności wysyła 3,3 mil. korcy, odpowiadających 800,000 ludności, rolnictwo więc nasze może wykarmić około 7,000,000 luddności, podniosło się więc o 40 %, *quod erat demonstrandum.*

Ośmielamy się zrobić w tém miejscu uwagę, szkoda, że p. Wiercieński obok cyfry wyrażającéj, postęp naszego rolnictwa nie zestawił liczb przedstawiających to samo zjawisko w krajach innych. Wówczas bowiem mogłoby się okazać, że istnieje wprawdzie u nas postęp bezwzględny, lecz że względnie do innych— cofnęliśmy się. Uwagą tą jednak nie chcemy zmniejszać zasługi p. W ; dowody bowiem jego zawsze pozostają dowodami, nie zaś zdaniami ogólnémi, których gdzieindziéj mamy pełno.

II. Zły stan finansowy posiadłości większych ma główne źródło w społecznych zmianach lat ostatnich, poboczne —w niedostatecznéj kulturze. Skutkiem uwłaszczenia, posiadłości większe straciły na rzecz mniejszych 250,000 włók ziemi czyli 250 milionów rs., kilkadziesiąt tysięcy budowli wartych około 10 milionów rs., a prócz tego, tracą rocznie przez serwituty przeszło 5 milionów rs. co odpowiada kapitałowi 100 milionów rs. Razem więc własność większa zrzekła się na rzecz mniejszéj około 360,000,000 rs. Za to otrzymała w listach indemnizacyjnych 66 milionów; że zaś papiery te stały w początkrch 53%, więc naprawdę dostała tylko 35 milionów rs. Ofiara 325 milionów rozdzielona na 300,000 włók pozostałych przy własności większéj, obciążyła każdą włókę na 1083 rs. Pomimo tych strat należało jeszcze reformować cały dotychczasowy system gospodarstwa, co jest rzeczą kosztowną. Nie dziw więc, że zubożały rolnik, dla uratowania się od bankructwa, płacić musiał olbrzymie procenta, brnąc w długi, które ostatecznie zrobiły go robotnikiem większych i mniejszych kapitalistów.

W tém położeniu, pożyczka Tow. Kredytowego z roku 1869, pozwoliła tylko spłacić pilniejsze długi, a skutkiem szybszych kroków egzekucyjnych, odstraszyła kapitały od lokowania się na hypotekach dóbr ziemskich.

Dodajmy do tego nowe instytucye gminne, które, skutkiem przewagi włościan i płynącego z niéj systemu opłaty z morga, przeszło połowę ciężarów publicznych zwaliły na własność większą, nie zasłaniając jéj bynajmniéj od mnóstwa szkód, jakie im włościanie wyrządzali, a łatwo pojmiemy przyczyny dzisiejszego, opłakanego stanu posiadłości większych.

Jeszcze jedną słabą stronę gospodarstw tych, upatruje pan Wiercieński w znacznych przestrzeniach leśnych, które dziś nawet 3% dochodu nie przynoszą; sądzimy jednak, że ta okoliczność najmniéj złego wyrządza naszemu rolnictwu, które i tak wiele gruntów, z powodu ogległości od folwarków nie może dość starannie obrobić.

W tém miejscu znowu nasuwa się uwaga. Doprawdy przykro pomyśleć, że u nas jedna klasa tak wielkie ofiary poniosła dla drugiéj, co gorsza, stała się od téj drugiéj poniekąd zależną i wiele złego od niéj doświadcza. Lecz pocieszmy się. Dzisiejszy stosunek właścicieli większych do włościan jest zjawiskiem zadośćuczynienia sprawiedliwości dziejowéj: krzywdzeni od wieków zostali wynagrodzeni,—nie mający głosu otrzymali dziś przeważny. Dziękujmy więc Bogu, że straszna klątwa: „do dziesiątego pokolenia karać będę winy ojców,“ spełniła się ostatecznie na naszych głowach i już daléj nie sięgnie. Mówiąc tak nie chcę się bynajmniéj natrząsać nad losem stanu najbliższego nam pojęciami i uczuciami,—chcę raczéj, w goryczy dzisiejszéj, zaczerpnąć pociechę i wskazać ją innym. Sprawiedliwość istnieje, to dosyć; błogosławieni którzy płaczą dziś, ponieważ jutro mogą być pocieszonymi..

III. Większa własność jest bardziéj produkcyjną niż mniejsza. Rezultatu tego możnaby się łatwo domyśleć. Tam gdzie stosunki społeczne są regularne, własność większa posiada więcéj inteligencyi. pieniędzy, machin, wprowadza więcéj ulepszeń, mniéj traci czasu i lepiéj jest obrabiana. Cyfry zresztą, przytoczone przez p. Wiercieńskiego, stanowczo tego dowodzą. I tak: naprzód co do plonów. Z gruntów dworskich zbiera się średnio u nas i w cesarstwie 4,7 ziarn, z gruntów włościańskich 3,1. W Galicyi zbierają z gruntów dworskich 3,40, z gruntów włościańskich 2,77 ziarn.

U nas w r. 1871, większa własność z przestrzeni 4½ miljonów morgów ziemi uprawnéj, zebrała 10 milionów czetwerti zbóż i jarzyn, a więc 2,27 czet. z morga. Drobna zaś własność z 6 milionów morgów zebrała także prawie 10 milionów czetwerti, a więc po 1,69 czet. z morga.

Na Szląsku, gdzie przeważa własność większa, hoduje się więcéj bydła niż w prowincyach pruskich, w których przewaga znajduje się po stronie mniejszéj.

W sierpniowym zeszycie Ateneum, opierając się na statystyce guberni Kieleckiéj, zwróciliśmy uwagę, z wszelkiemi wprawdzie zastrzeżeniami, że własność większa mniej hoduje zwierząt domowych, aniżeli mniejsza. Dziś musimy sprostować tę opinią na podstawie obliczeń pana Wiercieńskiego. Aczkolwiek bowiem,

własność większa posiada mniéj zwierząt, wyżywia ich jednak więcéj, ponieważ w ciągu lata karmi na swoich pastwiskach bydło włościańskie. Skutkiem tego, wielka własność na 100 morgach wyżywia $47^1/_2$ sztuk bydła swego i włościańskiego,—mała zaś na 100 morgach utrzymuje tylko $22^1/_2$ sztuk bydła swego.

Ze względu na dochody i wartość ziemi, znowu przewaga znajduje się po stronie własności większéj. W Żuławach, 18-to morgowe kolonie dają czystego dochodu z morgi $6^2/_3$ talara, cena zaś morga wynosi 212 talarów. Nad Odrą 1100 morgowe folwarki, przynoszą dochodu $7^1/_{21}$ talara z morga, przy cenie 225 talarów za morgę. Pan W. cytuje i inne przykłady, zwracając jednocześnie uwagę, że stosunek dochodu netto do dochodu brutto, jest także większy we własnościach większych.

Świetną swoją argumentacyą pan Wiercieński zamyka żądaniem, aby prasa, zamiast zachęcać do parcelacyi, wskazywała raczéj na okoliczności gniotące własność większą i odbmyślała środki wydobycia jéj ze złego położenia. Na to żądanie chętnie zgadzamy się z szanownym autorem, nadmieniając jednak, że mogą być okoliczności, w których dobra wielkie koniecznie rozparcelowane być muszą i że kraj nic na tém nie straci, jeżeli na téj drodze powiększy się w nim liczba—choćby małych właścicieli ziemi.

Na tém dziś kończymy ze „Sprawą upadających posiadłości ziemskich,“—a teraz rzućmy okiem wstecz. Przed kilkoma laty pisma nasze nie zajmowały się wielkiemi kwestyami polityki wewnętrznéj. Zasługą *Przeglądu Tygodniowego* (z którym zresztą solidaryzować się nie możemy) stanowi to, że on piérwszy zwrócił uwagę na pytania, społeczeństwo nasze obchodzące, choć roztrząsał je w sposób bardziéj krasomówczy, aniżeli naukowy. Naśladowały go inne pisma jak: Opiekun Domowy, Niwa, gazety: Polska i Warszawska, tudzież Wiek, lecz choć nie zbywało im na dobrych chęciach, nie miały one jednak siły do udoskonalenia i rozwinięcia powyższego kierunku. Dopiéro *Niwa* szeregiem artykułów któreśmy rozbierali, otworzyła wrota nowéj epoki i ośmieliła się jeden i ten sam przedmiot obejrzeć z wielu punktów. Jestto wielki krok naprzód: u nas bowiem dotychczas redakcye bały się cyfr jak dyabła, a bardziéj niż cyfr lękały się pomieszczania w szpaltach wielu prac o jednéj kwestyi. *Niwa* pokonała w sobie ten wstręt śmieszny i z wielką pracą *wyżebrała* prawie artykuły u ludzi fachowych, którzy dotychczas milczeli, pozwalając rozpleniać się chwastom deklamatorstwa i zarozumiałego nieuctwa. Dziś już droga utorowana i łatwo odgadnąć, że wśród obecnéj powodzi wydawnictw peryodycznych,

utrzymają się te tylko pisma, które miłość dla kraju wzniosą po nad własne chwilowe interesa, które siać będą zdrową wiedzę i reprezentować opinie nie téj lub owéj klasy, ale — *prawdę*, o ile ta jest dla człowieka dostępną.

Ojczyste dziennikarstwo nasze ma wielkie obowiązki: w niém bowiem streszcza się całe umysłowe życie narodu. Kto obowiązków tych nie pojmuje, ten niech lepiéj odłoży pióro. Żołnierz, który usypia, bawi się, albo wchodzi w konszachty na placówce,— nie poparcia ale śmierci jest godzien.

Chcąc od spraw rolniczych przejść do handlu, wzięliśmy do ręki, najeżony cyframi, artykuł pana J. Jeleńskiego, pod tytułem: *Nasz handel z cesarstwem.* Szanowny autor cieszy się w pewnych kółkach nazwiskiem ekonomisty, wiele pism zasila swemi pracami i z niepraktykowaną, nawet u nas, śmiałością — rozstrzyga w ostatniéj instancyi najdrażliwsze i najbardziéj powikłane kwestye ekonomiczne i społeczne.

Statystyka handlu we wszystkich krajach należy do najtrudniejszych i do najmniéj dających się ująć; u nas naturalnie jest z nią gorzéj niż gdzieindziéj. Dla tego téż ze zdziwieniem przeczytaliśmy tytuł tak wiele obiecujący. Przyjąwszy go jednak jako fakt dokonany, sądziliśmy, że szanowny autor, da nam w tekście przynajmniéj dwie tablice, z których jedna obejmowałaby spis produktów wywożonych od nas, druga zaś sprowadzanych do nas z cesarstwa.

Kwestye to istotnie ciekawe i obejmują wiele podrzędnych pytań. Jakie téż gałęzie produkcyi i w jakim stopniu rozwijają się u nas? Które należy podnieść, albo nawet stworzyć? W jakim stopniu, ułatwienie stosunków z cesarstwem wpłynęło na pomyślność naszego przemysłu? Czy rozwijający się przemysł w cesarstwie nie grozi naszemu?... I tak daléj.

Nieszczęściem, na żadne z tych pytań nie można znaleźć, w pracy pana J., stanowczéj odpowiedzi. Z cyfr przytoczonych przez niego, widzimy, że ruch towarów na kolejach: Terespolskiéj i Petersburskiéj wzrasta, że jedne towary, jadą od Pragi do Brześcia, inne od Brześcia do Pragi, a jeszcze inne wprost z zagranicy zdążają do cesarstwa. Ale co w tém jest naszego? nie wiemy.

Zresztą, aby zaznajomić czytelnika z faktyczną stroną artykułu, przytoczymy przykłady wzięte z tabliczek.

Tabl. I. Drogą Terespolską, w obu kierunkach (z cesarstwa i do cesarstwa) przewieziono:

	w r. 1872	w r. 1873	w r. 1874	w r. 1875.
Zboże	804,491	5,171,671	8,268,989	3,823,248 pudów.
Machiny i narzędzia rolnicze .	154,565	237,834	329,918	478,070 „

i t. d. i t. d.

Ztąd więc nie dowiemy się jaki jest nasz handel z cesarstwem, przejdziemy zatém do tabliczki następnéj.

Tabl. II. W r. 1775, w kierunku od Warszawy do Bréścia wyekspedyowano np.

„*Mebli* w komunikacyi miejscowéj pudów 9,542; wprost na drogę Moskiewską 9,537; na drogę Kijowską 12,329; wprost z zagranicy do cesarstwa 40,637; razem pudów 71,536.“

Z dwu ostatnich cyfr, wnosićby można, że cesarstwo kupiło mebli zagranicznych 40,637 pudów; a *naszych* 30,599 pudów. Otóż zachodzi kwestya: czy owe 30,899 pudów mebli są rzeczywiście wyrobem krajowym i czy reprezentują: „nasz handel meblami z cesarstwem?“ Na te jednak pytania nietylko pan Jeleński, ale nawet zarząd drogi Terespolskiéj odpowiedzić nie byłby w stanie. To téż roztropny zarząd nie ogłasza artykułów o „naszym handlu z cesarstwem.“

Tabl. III. W r. 1875, w kierunku od Brześcia do Warszawy przewieziono:

„*Żyta* — między Brześciem a Warszawą pudów 438,024; z drogi Moskiewskiéj 1,586,200; z drogi Kijowskiéj 243,832; w przewozie wprost za granicę pudów 108,086, — razem 2,367,211.“

Pewni jesteśmy, że z całéj téj ilości żyta niewiele u nas pozostało i że nasi kupcy pośredniczyli tylko w przewiezieniu go za granicę. Cyfry te jednak wyglądają tak, jak gdyby nas cesarstwo swojém zbożem zasilało.

Ciekawe także jest zestawienie następujące. *Łoju* przewieziono od Brześcia do Warszawy w r. 1875 pudów 106,761. W tym samym roku *świec* i *mydła* przewieziono 16,124 pudów. Przypuszczając, że cała ilość świec i mydła wyekspedyowana została od nas do cesarstwa, zachodzi pytanie: co się stało z ilością 90,637 pudów łoju? Czy myśmy go zużyli, czy téż pojechał sobie za granicę? Znowu więc niewiadomo: jaki jest nasz łojowy handel z cesarstwem?

W tabl. IV znajdujemy: ruch towarowy, bez względu na kierunek, na drodze Petersburskiéj;—w latach: 1871 i 1875. Z cyfr tych widzimy, że i na drodze Petersburskiéj przewóz towarów wzrasta, ale o naszym handlu — ani wzmianki.

Najciekawsza jest tabliczka V, w któréj pan Jeleński, zapisuje towary przywiezione *z zagranicy* do cesarstwa w r. 1872. Daty te,

poczerpnięte, już nie ze sprawozdań kolei Teresposkiéj, są rzeczywiście dość ciekawe, lecz w niczem nie przyczyniają się do rozjaśnienia pomroki otaczającéj nasz handel z cesarstwem.

Mimo to jednak, pan Jeleński jest pełen dobréj otuchy i nietylko zadawalnia się swojémi cyframi, ale nawet wnioski z nich wyprowadza. Oto są one:

„Wniosek I. Od nas w stronę cesarstwa odchodzą po największéj części wyroby gotowe, z cesarstwa natomiast wysyłane są prawie wyłącznie produkty surowe.“

Uwaga. To, że przez kraj nasz przejeżdżają towary w obu kierunkach, nie stanowi jeszcze „naszego handlu z cesarstwem.“ Według bowiem podobnéj logiki, osoba. pod któréj oknami przewożą beczki z okowitą, mogłaby rościć pretensyą do tytułu: handlarza okowity.

„Wniosek II. W całym tym ruchu, tak w jedną jak i w drugą stronę, wyręcza nas w znakomitym stopniu zagranica.

Ośmielam się zrobić poprawkę: zagranica nas nie wyręcza, ale sama handel prowadzi.

„Wniosek III. Wzrastający szybko na kolejach łączących nas z cesarstwem ruch towarowy, świadczy bardzo wymownie, iż zapotrzebowania z tamtąd na rozmaite towary, szerszy z każdą chwilą przybierają zakres.“

I tu znowu szanowny autor pokłócił się z logiką. Ruch bowiem towarów na jakiejś pojedyńczéj drodze, wzrastać może z bardzo wielu powodów, ani zatém „świadczy,“ ani „wymownie“ o rozwoju handlu cesarstwa, a tembardziéj naszego handlu z cesarztwem.

Najciekawszą i najmniej spodziewaną jednak jest konkluzya ostateczna. Pan Jeleński wie o tem, że ogromna większość towarów, przejeżdżających przez nasz kraj do cesarstwa, pochodzi z zagranicy i ubolewa nad tém, co mu się chwali. Na nieszczęście jednak, nie ograniczając się na samém ubolewaniu, chce jeszcze wskazać przyczynę lichego naszego handlu z cesarstwem, a nawet, celem zwalczenia téj choroby, zapisuje receptę. Zgadnijcież więc, czego potrzeba, ażebyśmy większe odnieśli korzyści z naszych stosunków z cesarstwem i, ażeby nasze wyroby, choć w pewnym stopniu, zastąpiły zagraniczne?

„My, jesteśmy bliżéj — mamy łatwiejszą nierównie komunikacyą, mamy *wszystko pod bokiem* i brak nam jedynie .. ba... rzeczy najważniejszéj, bo dobréj organizacyi naszego handlu z cesarstwem.“

Tu już doprawdy, szanowny ekonomista zadrwił z redakcyi, a redakcya z publiczności. Zdanie jego wygląda tak, jak gdyby ktoś powiedział, że najważniejszą częścią balu, jest woskowana po-

sadzka, choć wiadomo, że do zabawy téj potrzeba przedewszystkiem tancerzy i muzyki. Podobnież, najlepsza *organizacya handlu*, najłatwiejsze komunikacye, nie stworzą handlu tam, gdzie brakuje przemysłowéj produkcyi. A u nas jéj brakuje, ponieważ sami mnóstwo przedmiotów sprowadzamy z zagranicy.

Towarzystwo *Pośrednik*, które miało zawiązać stosunki między kupcami rossyjskiemi, a rzemieślnikami i fabrykantami naszemi, a nad przedwczesnym upadkiem którego, słusznie ubolewa pan Jeleński, w rozwoju naszego handlu, bardzo skromną odegrałoby rolę. Nam bowiem przedewszystkiem potrzeba: większéj liczby fabryk i rzemieślników, — kapitałów i fachowego wykształcenia. Gdy to będzie, gdy się w kraju wytworzy masa sił produkcyjnych, wówczas naprzód zagranica przestanie nas zalewać swojemi wyrobami, a powtóre — nadmiar produkcyi krajowéj, wytworzy sobie setki pośredników. Dziś już nawet, kilka gałązek przemysłu naszego znajduje odbyt w cesarstwie, dzięki obfitszéj nieco produkcyi i uzdolnieniu producentów.

Tak więc artykuł p. t. „Nasz handel w cesarstwie" kompletnie niczego nie uczy za wyjątkiem chyba cyfr dotyczących ruchu na D. Ż. T. i upoważnia nas z kolei do wypowiedzenia następujących wniosków:

1) Szanowny autor ma nader słabe pojęcie o przedmiocie który obrobić zamierzył: do przedstawienia bowiem tak złożonego zjawiska, jakim jest handel, nie wystarczą nawet najbardziéj dokładne sprawozdania z ruchu odbywającego się na paru jakichściś drogach, choćby nawet Terespolskiéj i Petersburskiéj.

2) Szan. autor, nie zużytkował nawet materyału jaki mógł mieć pod ręką, a pisząc np. o wprowadzeniu do cesarstwa z zagranicy 33 pudów kwiatów sztucznych, nie zrobił nawet najlżejszéj wzmianki, o tych tysiącach i setkach tysięcy pudów wołów, które corocznie przyjeżdżają koleją Terespolską na Pragę. Domyślamy się, że autor o wołach tych wspomni chyba w jakimś innym artykule.

3) Wnioski autora, jak już okazaliśmy, są na wiatr rzuconemi frazesami. Stawiając je, pan Jeleński zapomniał, że wyroby gotowe nietylko od nas do cesarstwa odchodzą, ale i z cesarstwa do nas przybywają. Dla przykładu wymieniam rzeczy powszechnie znane: perkaliki, kożuchy, naczynia stołowe i kuchenne, jak: samowary, tace, noże, widelce, — konfitury, cukierki, kawior, tkaniny tak zwane perskie, prawdopodobnie sukna, perfumy, wyroby chemiczne, a między innemi przetwory suchéj destylacyi drzewa, zabawki dziecinne, niektóre narzędzia dla straży ogniowéj, a nawet

lokomotywy sprowadzone w ostatnich czasach dla drogi nadwiślańskiéj, z jakiejś fabryki moskiewskiéj.

4) Z powodów wyżéj przytoczonych, cyfry, któremi p. Jeleński tak zaimponował radakcyi i publiczności mają bardzo małe znaczenie. Ze względu saś na wnioski, zamiast nich, mógł był szanowny autor przytoczyć ludność europejskich krajów, a nawet pierwiastki biegów planetarnych, i na tych podstawach oprzeć kazanie noszące tytuł: „Nasz handel z cesarstwem.“

* * *

Odkładając do następnego numeru uwagi nad dotychczasowym przebiegiem, ciekawszych spraw w sądach pokoju, zapiszemy tymczasem, niektóre dane ze statystyki kryminalnéj na rok 1875. Sądy nowe zostały, jak wiadomo, wprowadzone dopiero w drugiéj połowie bieżącego roku. Cyfry więc z r. 1875 ważne będą jako punkt wyjścia dla statystyki przyszłéj. Wiedząc bowiem, jaki był stan dotychczasowy moralności kraju, poznamy z czasem, jakie zmiany wywołała w niéj reforma sądownictwa.

Liczba przestępstw w ciągu 1875 r. zameldowanych sądowi wynosiła: 30,012. Z tego przypada 22,291 na przestępstwa z kodeksu kar głównych i poprawczych i 7,721 na wykroczenia przeciw ustawie gminnéj.

W porównaniu z rokiem 1874, liczba przestępstw przeciw kodeksowi zmniejszyła się o 14,6%, przeciw zaś ustawie gminnéj o 21,6%. Lecz w porównaniu z cyfrą przeciętną z dziesięciu lat ostatnich, liczba przestępstw przeciw kodeksowi kar główn. i popraw. *zwiększyla się* w stosunku 6,5%.

Ogólna liczba osób, pociągniętych do odpowiedzialności karnéj za przestępstwa z k. k. gł. i p. wynosi 36,540 (29,989 mężczyzn i 6,551 kobiét). Z liczby téj: uwolniono dla braku dowodów 35,4%, skazano na kary 30%, uniewinniono 4,9%, załatwiono w inny sposób 29,5%. W porównaniu z rokiem 1873, liczba skazanych wzrosła o 2,7%, — w porównaniu zaś z cyfrą przeciętną dziesięciu lat ostatnich, wzrosła o 0,8%.

Ogólna liczba przestępstw przeciw k. k. gł. p. (22,291) ze względu na miejsce spełnienia, rozdziela się jak niżéj:

Na Warszawę przypada	5,6%
„ miasta gubernialne.	3,8%
„ inne miasta	15,3%
„ wsie	75,3%

W porównaniu do stanu średniego z dziesięciu lat poprzedzających, liczba przestępstw w miastach zmniejszyła się, a w Warszawie nawet, zmniejszenie to dosięgło 30% cyfry dawniejszéj. Przeciwnie zaś na wsiach, przestępstwa wzrosły o 11% przeciętnéj cyfry z lat dziesięciu. Stan ten, uwydatnia się jeszcze bardziéj przy podziale przestępców ze względu na miejsce ich pochodzenia.

W r. 1875 z 11,138 skazanych przypada:

Na Warszawę	4,6%
„ miasta gubernialne.	2,8%
„ inne miasta	10,9%
„ na mieszkańców wsi	81,7%

W porównaniu ze średnim stanem lat dziesięciu, liczba przestępców wiejskich wzrosła o 14%. Na Warszawę stosunek przestępców do liczby ludności jest mniejszy niż w całym kraju, co nader chlubnie świadczy o moralności naszego miasta. Co więcéj, 9% przestępstw spełnionych w ogóle w miastach, przypada na indywidua pochodzące ze wsi.

W końcu, ze względu na czas spełnienia przestępstw, przypada:

Na miesiące zimowe.	19%
„ „ wiosenne	24,3%
„ „ letnie	30,4%
„ „ jesienne	26,3%

W innych krajach i w Warszawie maximum przypada na miesiące zimowe, minimum na letnie; w naszym zaś kraju w ogóle, stosunek jest odwrotny. Pochodzi to ztąd, że na wsiach naszych, przestępstwa wypływające z namiętności spełniają się najczęściéj w lecie i one to wytwarzają ten niezwykły stosunek.

Streszczając te wyniki, zamknąć je można w następującym zdaniu: „W kraju naszym, od lat dwunastu moralność w miastach wzrasta, — na wsiach upada.“ Bardzo już dawno powiedziano, że własność uszlachetnia człowieka; czyliżby prawda ta nie miała się stosować do naszéj ludności wiejskiéj? Bynajmniéj. I ją uszlachetniła własność, lecz dzięki sądom wójtowskim, zatracił poczucie różnicy pomiędzy złém i dobrém. Na nowo otworzonych sądach gminnych leży ciężki obowiązek ukrócenia rozbujałéj samowoli i nieposzanowania prawa; rezultat ten jednak, może dopiéro po upływie jednego pokolenia osiągniętym zostanie.

* * *

Z dniem dzisiejszym pismo nasze kończy piéwszy rok istnienia. Z tego powodu, a może i z wielu innych, uważamy za właściwe wypowiedzić kilka uwag ogólnych.

Rubryka niniejsza tak nadal jak i dotychczas, zajmować się będzie wyłącznie sprawami naszego ogółu; do obejmowania bowiem szerszych kręgów, nie wystarczą nam siły ani rozumowe, ani uczuciowe.

Jak dotychczas tak i nadal, rozbierać będziemy fakta chwili bieżącéj, o ile nam możność pozwoli, z naukowego i realnego stanowiska. Każdy taki fakt ważniejszy, roztrząsać będziemy objektywnie, starannie unikając przedmiotów, których, bądź my sami, bądź koledzy nasi inni dziennikarze, nie mogliby poddać wszechstronnéj dyskusyi i obejrzeć z różnych stanowisk.

Wiadomo, że nie ma teoryi, któraby w stosunku do społeczeństwa nie przedstawiała pewnych stron złych i dobrych. Na nieszczęście, umysł ludzki jest ograniczony, a w teoryi ulubionéj przez siebie, widzi i przedstawia tylko strony dobre. Oddając więc społeczeństwu na usługi swoje jednostronne poglądy, których z jakiegokolwiek bądź powodu krytykować nie można, przyczynia się do wytworzenia zamętu pojęć, w obec którego, ludzie mniéj samodzielnych umysłów, mogą stracić w życiu podstawy dawne, a nowych nie zyskać.

Mówiąc tak, nie myślimy bynajmniéj pochlebiać społeczeństwu; owszem jak dotąd tak i nadal surowéj krytyce poddawać będziemy błędy klas i pokoleń. Z tém wszystkiém chcemy stawiać czyny ogółu tylko przed najwyższy trybunał prawdy, gdzie społeczeństwo samo może być swoim oskarżycielem, a jego sumienie sędzią. Wiemy, że grzesznik, nawet od takiego trybunału nie zawsze odchodzi poprawionym, lecz wiemy i to, że odchodząc od niego, jeżeli nic nie zyskał, nie zatraci przynajmniéj własnéj indywidualności i godności.

Nie widzimy potrzeby wywieszać żadnych nowych sztandarów, mniemamy bowiem, że stare hasła: uczciwość, wiedza, swobodny i wszechstronny rozwój, które towarzyszyły ludzkości jeszcze w zaraniu cywilizacyi, na długie wieki wystarczą. Na wszelkie nowe teorye społeczne, patrzeć będziemy ze stanowiska tych haseł, pilnie badając, czy to, co niejednokrotnie okrywa słę płaszczykiem obowiązku, nie zasługuje raczéj na nazwę zuchwałéj lekkomyślności, korzystającéj z braku hamulca.

Każdemu, czy to jednostce, czy społeczeństwu, potrafimy oddać sprawiedliwość, czcić jego rozumne i cnotliwe postępki. Potrafimy również uzbroić się w cierpliwość wówczas, jeżeli nas ze strony innych podobne nie spotka uznanie. Dla zareklamowania jednak wartości naszéj, nie zniżymy się do potakiwania tym, którzy brak faktów starają się wypełnić deklamacyą.

Jakkolwiek drogi jest nam rozwój cywilizacyi i jakkolwiek chętnie gotowiśmy służyć wielkim ideom,—nie myślimy jednak narzucać naszych usług i zabierać głosu wówczas, kiedy nikt od nas tego nie żąda. Postępując inaczéj, podobni bylibyśmy do niesfornych dzieci mieszających się do rozmowy. Krok taki wywołuje wprawdzie niekiedy pobłażliwy uśmiech, częściéj jednak zasłużoną pogardę.

Upoważniony jestem dodać, że uczucia te i poglądy ożywiają cały skład redakcyi naszego pisma. Pojedyncze jego rubryki różnić się mogą treścią i materyałem, zasady jednak będą miały wspólne. Pewni jesteśmy, że społeczeństwo oceni dokładnie to nasze skromne, lecz jasne stanowisko. Ładnie to wprawdzie brzmi tytuł: wynalazcy nowych dróg życia i kierownika opinii publicznéj, my jednak poprzestaniemy na tytule: wiernego sługi i stróża rzeczywistych, moralnych i materyalnych interesów społeczeństwa.

Aleksander Głowacki.

Redaktor i Wydawca, *H. Benni.*

OMYŁKI DRUKU w Zeszycie XI-ym.

Str. 13 wiersz 23 od góry zamiast *ową* czytaj *swą*
„ 16 „ 20 „ „ *i* „ *to też.*
„ 32 „ 4 „ przed wyraz. *Rossya* opuszcz. *służyła mu chętnie.*
„ 40 „ 20 „ zamiast *Rodzewski* czytaj *Radzewski.*
„ 46 „ 8 „ „ *z tém* „ *z nią.*
„ 52 „ 11 od dołu „ *WPan* „ *ten Pan.*
„ 53 „ 6 „ po wyr. *dopuścić* dodaj *w końcu.*
„ 54 „ 3 od góry zamiast *Arcybiskup płocki* czytaj *Biskup płocki.*

OD REDAKCYI.

W Zeszycie XI Ateneum, p. Jabłonowski w art. „Wschód Muzułmański” (str. 125) wskazał, że uwaga umieszczona przy Rozdziale XII tłómaczenia *Islamu Vamberego* (str. 144) o zmienionych w tłómaczeniu wyrażeniach autora, dowodzi ze strony *tłómacza* nietolerancyi, podobnéj do téj, którąśmy przywykli zarzucać muzułmanom. W skutek tego otrzymaliśmy od *Wydawnictwa znakomitych utworów literatury nowoczesnéj* objaśnienie, że zmiany te zostały zarządzone i przypisek o nich ułożony przez *sterujących wydawnictwem*, i że one dla tego tłómaczowi p. Władysławi Bogusławskiemu przypisywane być nie powinny, o czém na żądanie literackiego steru Wydawnictwa, czytelników naszych zawiadomić spieszymy.